


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Aleksander Fredro

TRZY PO TRZY

**pamiętniki
z epoki
napoleońskiej**

Oparte na wydaniu z r. 1922 przygotowanym przez prof. Henryka Mościckiego, z nową przedmową Adama Grzymały-Siedleckiego.

Nie bez poczucia zawodowej dumy stwierdzam, że pierwsze okazałe i wedle naukowych wymagań przygotowane wydanie „Trzy po trzy” (rok 1917, Gebethner i Wolff) opatrzone było moją przedmową. Gdy obecnie „Książka i Wiedza” przystępuje do wznowienia tej luksusowej edycji, zaprojektowała powtórzyć na czele książki i ten mój szkic sprzed czterdziestu lat. Przeczytałem go, no i przyszedłem do przekonania, że nie ma innej rady, jak tylko zakasać rękawy i napisać rzecz nową. O czterdzieści lat poszły czasy naprzód, a wraz z tym zmieniły się i moje wyobrażenia o tym, jak powinna być brzmieć przedmowa do pamiętników Fredry. Przekonania moje o „Trzy po trzy” i o ich autorze pozostały we mnie od tamtego czasu nie zmienione, w poruszonych wówczas tematach nie było nic, co bym teraz – z tych czy owych względów – musiał przeinaczać, ale nie dogadza mi dziś pisarz, który ówczesną przedmowę pisał. Poza tym przez czterdzieści lat rozrosła się pięknie fredrologia, a wraz z nią przybyła i garść uwag o „Trzy po trzy”. Z niejednego z tych sądów należy skorzystać, z. niejednym podysputować.

I

Już pierwsza stronica mojej ówczesnej przedmowy dostarczyła nie byle komu, bo profesorowi Wacławowi Borowemu, sposobności do polemiki. Wypowiedziałem bowiem zdanie, że „Trzy po trzy” nie były pisane z myślą o druku, że mają konstrukcję naiwnego (rozmyślnie naiwnego, oczywiście) opowiadania, co w niczym zresztą nie odbiera utworowi wdzięku i wartości. Prof. Borowy zrazu w recenzji, potem w swojej przedmowie do edycji pamiętników w wydawnictwie M. Kota (Kraków 1949 r.) zwrócił mi uwagę szeroko rozprawdowaną, że pozorna naiwność, przeliczne dygresje, odchodzenia od tematu etc. to nie brulionowość i nie domorosłe gawędziarstwo, lecz wyrafinowany kunszt narratorski, wzorowany na „Tristramie Shandy” Sterne’a, angielskiego z XVIII w. powieściopisarza, którego Fredro powinien być znać. Rzecz jasna, że gdy taką tezę wypowiadał uczony miary Borowego, to podparła się żelazobetonowymi argumentami. Ale porozmawiać wolno, nieprawdaż?

Więc faktem stwierdzić się dającym jest, że Fredro ulegał „wpływowi”; sam się przyznaje do zależności od Moliere’a, w początkach swojego komediopisarstwa pozostawał pod urokiem Goldoniego – nie w takim stopniu, jak tego chciał profesor Kucharski, ale np. „Przyjaciele” mają posmak polskiej „Locandierzy”, z tą różnicą, że włoscy zalotnicy płacą swojej oberżystce za przebywanie w jej zajeździe, a w „Przyjaciółkach” objadają się za darmo w gościnnym domu Zofii. Można by się pokusić o twierdzenie, że „Mąż i żona” są udratyzowaną wersją Hogarthsowskiego „Le mariage à la mode”, a rozwiązanie komediowego węzła w „Panu Jowialskim” nie odbiega od finalnej niespodzianki w „Weselu Figara” – oto jeden łańcuch dowodów pośrednich na korzyść prof. Borowego. Następnie: chaotyczny tok powieściowy „Tristrama Shandy”, tak zresztą harmonizujący z chaotycznymi przeżyciami jego autora, magnetycznie podzielał na wielu pisarzy, i to znakomitych; Borowy wspomina Diderota, germaniści cytują np. Wielanda i Jean Paula. Nie ubliżałoby Fredrze, gdyby swoim nazwiskiem powiększył tę listę. Ale...

Ale czy naprawdę aż do Sterne’a jechać Fredro musiał, by „Trzy po trzy” napisać w takim stylu, w jakim je napisał?

Skromnym moim zdaniem, nie tyle Sterne stwarzał Fredrze jego pamiętnikarski styl, ile... pamiętni mu z lat dziecińczych szlacheccy gawędziarze, sumienni kronikarze wymyślonych

przez się historii. Zdarzali się wśród nich istni artyści, którzy z *rozwlekłości* swoich narracji umieli wydobyć zainteresowanie. Otwórzcie „Trzy po trzy”, a przekonacie się, ile uznania Fredro żywił dla tych utalentowanych gadułów. „Kiedy się (taki) odezwał: razu pewnego... już wszystkie oczy były na niego zwrócone – wszystkie) uszy natężone... I w samej rzeczy trzeba słyszeć takiego improwizującego łgarza, aby pojąć, jaki wdzięk mają te długie i szerokie, a co krok w epizody wyskakujące opowiadania”. Czyż tak trudno wyczuć, że tu, w tym uroku wysłuchiwanym ongiś bajed, urodził się styl „Trzech po trzy” wraz z ich uskakiwaniem w poboczne „epizody”, z całą prywatnością ich treści i nieodzownymi „proszę ja jejmość dobrodziejki”, „zważcie waćpaństwo” etc. Po kilkudziesięciu latach z lubością wspomina owych domorosłych improwizatorów – o Sterne’ie ani dudu.

I tak oto („proszę waćpaństwa”) dałem się wciągnąć w dyskusję wpływowologiczną, w sprawę bardzo godną, może nawet niezbędną, ale w sprawę uczonych w piśmie, nie naszą; w sprawę, która nie może przejmować nas, zwykłych miłośników literatury. Nigdy do tej gałęzi badań nie miałem nabożeństwa. W dziele sztuki pisarskiej zawsze mnie więcej zajmował talent niż „zależności” oraz indywidualność autora. Nie inna też przede wszystkim rzecz mnie obchodziła, gdy czytałem „Trzy po trzy”, i nie co innego, jak tylko portret psychiczny Fredry starałem się już wówczas, w 1917 roku, wyłuskać z uroczych kart tej opowieści. Tym samym chcę się zając i dzisiaj.

Dlaczego ten portret wydobywać z „Trzy po trzy”, a nie z komedii autora „Zemsty”? Dlatego, że komedie te pisał... komediopisarz. Rasowy komediopisarz, a więc organizacja twórcza, która w dziele jak najstaranniej chowa swoje „ja” (w diametralnym przeciwieństwie do poety lirycznego). Dodajmy do tego wychowanie artystyczne Fredry, wychowywanie się na obiektywizmie literatury Wieku Oświecenia, a jasnym się stanie, dlaczego z komedii „Zemsty” czy ze „Ślubów panieńskich” jawnie poznajemy Cześnika i Rejenta lub Anielę czy Klarę, a tylko domyślnie twórcę. Odpowiednio nastawiona wrażliwość potrafi i z „obiektywnych” figur jego komediowego świata wyczytać co nieco wiadomości o temperamencie, uczuciach, skłonnościach czy antypatiach autora „Dożywocia”, ale będą to – prawniczego języka używając – poszlaki, nie dowody. Dowodów, świadectw dostarczą nam dopiero te pamiętniki, gdzie Fredro, chce czy nie chce, musi mówić o sobie i choć czasem z nawyku chowa się i skrywa swoje sentymenty, to jednak nie może mu się to tak udać, jak mu się udaje w komediach. Dlatego to „Trzy po trzy” snadniej niż inne dzieła autora „Pana Jowialskiego” pozwoli nam zebrać farby do portretu.

2

Nie wiem, czy w moim przedstawieniu rzeczy portret ten nie będzie zanadto pochlebiony, ale jeżeli tak się stanie, to nie moja wina, a przynajmniej nie zamierzona wina. Nie wiem bowiem, czy nie Fredro właśnie jest najmilszym dla mnie pisarzem polskim. Są czcigodniejsi od niego, niewątpliwie głębsi, górniesi, o większym znaczeniu dla społeczeństwa, ale nie zmieni to faktu, że on mi najmiły. Czy jestem odosobniony w tej sympatii? Raczej posłuchać, co mi ktoś w roku bodaj 1948 opowiadał:

Świeżo udyplomowany młodzieniec, pedagog, dostał nominację na nauczyciela wiejskiego gdzieś koło Kartuz, w jądrze więc Kaszubszczyzny. Przejęty ideą nie tylko swoich bezpośrednich obowiązków, ale i potrzeb kulturalnych w ogóle, przystąpił do organizowania świetlicy i chłopskiego zespołu teatralnego. Zaopatrzony w tym celu w dość pokaźny zbiór sztuk scenicznych wszelakiego rodzaju – śpiewnych i nieśpiewnych, „ludowych” i nie o ludowym temacie, komedii i wodewilów – przystąpił ze swoją „trupą” do kolejnego ich odczytywania. Niejedno przypadało do gustu, ale tylko dopóty, dopóki nie poznano „Zemsty”. Dopiero Fredro wzbudził maksymalne uznanie. Wniknijcie w rzecz: „Zemsta”, utwór pisany językiem niezupełnie tu i ówdzie zrozumiałym, zwłaszcza dla prostego

człowieka, komedia dysząca klimatem szlachecczości – a *chłopi*, i do tego Kaszubi – oczarowani Raptusiewiczem, Rejentem, Papkinem i całą „feudalną” historią! Synowie i wnukowie tak germanizowanego ludu wyczuli we Fredrze tę glinę, z której i oni są ulepiani. Były u nas okresy, kiedy przepowiadano, że zamiłowanie do Fredry zmaleje, gdy ze społeczności polskiej zetrze się szkliwo szlachecczości. Najnowsze czasy zadały kłam tym przewidywaniom. Ja osobiście nie pamiętam czasu, w którym by autor „Ślubów panieńskich” cieszył się tak szeroką popularnością, jaką go obdarowała Polska Ludowa. Robotnik czy dzisiejszy inteligent rodem z ludu wyczuwa też najwidoczniej swoją we Fredrze glinę, Fredro jest mu miły i bliski.

Kto wie, czy z komedii Fredry nie promieniuje ten sam fluid, nad którym Fredro zastanawia się, gdy w „Trzy po trzy” przekazuje nam czar osobisty księcia Józefa, gdy pisze, że było w nim coś nieuchwytnego, „co Polaka zawsze zachwyca”, „uśmiech pełen duszy”. O „Ślubach panieńskich”, o pani Jowialskiej, o huzarach z „Dam i huzarów”, o Figaszewskiej z „Dwóch bliźni”, o Krupkowskim z „Przyjaciół”, o Benecie, o Jenialkiewiczu, zresztą nie przeliczyć by wszystkich – czy da się powiedzieć coś trafniejszego nad to, że tworzeni są uśmiechem pełnym *duszy*?

Czwarte, piąte pokolenie słucha już w teatrze komedii Fredry, a „uśmiech pełen duszy” nie przestał być środkiem porozumienia między autorem a audytorium.

3

Fredrzyści mało zazwyczaj zwracają uwagi na postać IP. Jacka Fredry, ojca autora „Pana Jowialskiego” – a szkoda! Szkoda, bo na świat wyobrażeń naszego komediopisarza nie mógł nie wywrzeć wpływu ojciec – i to ojciec tak umiłowany, jak o tym zaświadczy niejednen fragment pamiętników. „Powtarzam często niejedno jego zdanie, jego przestrożę, których słuchając, nie myślałem nawet, że je pamiętać będę”. Poza tym Jacek Fredro dla fredrystów i tym ważny, że „pan Aleksander” nie w jednym ojca przypominał. Szwagier autora „Dożywocia”, Ludwik Jabłonowski, w swoich o nim – nie dość zresztą mu przychylnych – uwagach notuje jego „kult gotowizny”, tak by to chyba trzeba nazwać. „A czy on ma jaki zaoszczędzony fundusz?” – miało to być podobno pierwsze pytanie, jakie stawiał o kimś dotychczas mu nie znanym, a o którym mu się opowiadało. Dotyczyłoby to oczywiście starego już Fredry, dobrze wiekiem oddalonego od młodzieńczych lekkomyślności lwowskich Olesia Fredry z lat 1815– 1820. Mam wrażenie, że słowo w słowo takimi samymi w stosunku do bliźnich kryteriami kierował się i Jacek „z Pleszewic” Fredro, założyciel rodowej fortuny i nabywca beńkowo-wisznieńskiego klucza. Skłonny jestem nawet przypuszczać, że owo pytanie o zaoszczędzony fundusz było nałogowym pytaniem Jacka, nie Aleksandra Fredry, a tylko znana złośliwość Ludwika Jabłonowskiego przypisała je naszemu komediopisarzowi.

„Ojciec mój – pisze autor „Trzy po trzy” – Polak z duszą, ciałem, nie pojmował nic wyższego nad dobro ojczyzny i zaszczyt jej służenia”. Fakty nie przeczą temu atestatowi, przynajmniej po synach Jackowych sądząc: który z nich mógł dźwignąć szablę, spieszył „pod Napoleona” wyrąbywać ojczyźnie niepodległość – z najszczerzą aprobatą ojca. Ale w tej właśnie sprawie zarysowywał się IPan Jacek. Najstarszy jego syn Maksymilian jako ochotnik zgłosił się dopiero po traktacie tyłżyckim, choć wiek pozwalał mu wstąpić już kilka lat wcześniej. Niemal że nie ma wątpliwości, iż ojciec mu przedtem wzbraniał – „stary” zgodził się i dał patriotyczne błogosławieństwo dopiero w roku 1807, gdy wydało mu się, że Napoleon dał *realny* dowód, iż dąży do niepodległości Polski, czyli – że już *warto* krew dla Napoleona przelewać. Realizm pana Jackowy odnajdujemy co krok w „Trzy po trzy”, w opiniach o ludziach, w opiniach o sprawach, w rozmyślaniach nad dziejami świata i nad sprężynami stosunków ludzkich, indywidualnych czy zbiorowych. Gorzkim, niemal dramatycznym wydźwiękiem zabrzmia jego arcyrealistyczne: „narody sumienia nie mają!” A

realizm jego komedii? Jego trzeźwość w wyszukiwaniu istotnych motywów działania danej postaci?

Realista, „całym sobą” realista, Jacek Fredro był też – jak to się znów w „Trzy po trzy” łatwo wyczytać daje – polskim pozytywistą *avant la lettre*. Rymuje się to z tym fredrowskim: „a czy on ma zaoszczędzony jaki fundusz?” Hasło: *enrichissez vous!* – stosował z wytrwałością i ze skutkiem. Na początku kariery mając tylko jedną wieś, Cisnę, w górskiej, a więc już mniej rentownej części Sanoczczyzny położoną, tak manewruje sprzedawaniem jednych, kupowaniem drugich, wydzierżawianiem trzecich majątków, tak je uprzemysławia, takie stawia browary i takie, np. w Ciśnie, hamernie, że koniec końców po kilkunastu latach może już władać Beńkową Wisznią, czyli pięknym dominium z kilkoma folwarkami na samborskim czarnoziemiu. Wszystko nam to w „Trzy po trzy” wyłożone – mówi nie tylko o aktywności, ale i o niemierniej inteligencji pana Jacka. „Rozum nie błyszczący świetnym ukształceniem, ale głęboki, logiczny” – mówi o ojcu nasz autor. Po wynikach sądząc, rozporządzał on też dużym talentem gospodarczym. W jego synu Aleksandrze talent przesunął się w dziedzinę artystyczną – dynamika *tworzenia* pozostała ta sama.

Czy Jacek Fredro był snobem? Czy piął się do arystokracji? – I tak, i nie. Organicznie oszczędny, na „szyki” pozwalał sobie zapewne o tyle, o ile to z mieszka zbyt wiele nie wyciągało dukatów. Zdaje się, że dość starannie dbał o to, by zbyt nie dąć w arystokratyczną dudkę. Potwierdzają nam to „Trzy po trzy”.

„Dom moich rodziców był to dom prawdziwy polsko-szlachecki (więc nie magnacki – przyp. nasz), zamożny bez zbytku, cichy a gościnny”.

Mamy zresztą w „Trzy po trzy” wnętrze tego domu:

„...gabinet (...), pokoik niebieski, zajęty prawie w połowie dwiema sofami w białe i karmazynowe atlasowe pasy, biureczko wysadzone naszej matki. Na jednej ścianie w mahoniowych ramach landszafty podług Ruisdała, na drugiej widoki Tivoli i fontanny Egerii. I ten kominek w kącie, dzieło architektury Aignera, którego gzymsy i gzymsiki stały się nigdy nie dościgniętym wzorem dla wszystkich kominków w sąsiedztwie. (...) Na szczycie tegoż (kominka – przyp. nasz) statua gipsowa Wenery de Medicis – niżej (...) na marmurowych podstawach brązowe popiersie Henryka IV i Sully'ego. Wazon porfirowy, świeczniki alabastrowe i tysiąc jeszcze fraszek”.

Landszafty więc, czyli reprodukcje zamiast obrazów oryginalnych, ale reprodukcje znakomitego malarstwa; gipsy zamiast marmurów, ale kopia rzeźbiarska arcydzieła. Sully i Henryk IV okazjnie zapewne nabyci, ale *summa summarum* nic nie grzeszyło przeciwko smakowi w tym polsko-szlacheckim domu; a z pewnych danych wnosić można, że w zakresie umysłowym żyło się tu potrzebą kultury. Zdaje się, że panowała tu jakaś „literackość”: „talent dramatyczny w naszym rodzie parł się w górę wszystkimi porami” – żartuje sobie Fredro w „Trzy po trzy”, wspominając dziecinną komedijkę swego brata Seweryna i swój własny „Strach nastraszony”. Wyrastało to w chłopakach niewątpliwie z atmosfery domowej.

Ale co do reklamowanej w „Trzy po trzy” prostoty polsko-szlacheckiej, to wciska nam się pewna wątpliwość, gdy czytamy opis wyjazdu Fredrów na nabożeństwa do Rudek. Mniejsza o karetę, bo i po szlakońskich majątkach nie bywała ona rzadkością, ale te „niby po angielsku”, okrągłe kapelusze na głowach stangreta i forysia, te łosiowe ich spodnie, ten stosowany kapelusz ze srebrnym galonem na głowie masztalerza i *wszystkich* lokajów. To już zalatuje beau mondem. Najwidoczniej niewiele te parady kosztowały, stąd zgoda pana Jackowa na nie. Wielkopańskościom przeczy znowu przyjazna zażyłość pana Jacka z pańszczyźnianym chłopem Kajetanem z Choczwi. No tak, przyjaciel Kajetan na bosaka chodzący, ale równocześnie syn Maksymilian wysłany na magnacki dwór Czartoryskich do Puław, gdzie się kształtował na „eleganta zawsze wypudrowanego, wystrojonego, pachnidłami tchnącego”, jak o tym brat Aleksander pisze w pamiętnikach. Na eleganta i arystokratę krojący – czy ku zgorszeniu ojca? Czy gorszyło pana Jacka, że wszystkich jego ¹

Tak mnie w rodzinnych stronach Fredry informowano. synalków ciągnęło do paniczystwa, jak to znowu mamy – nie bez uderzenia się w piersi – przedstawione w „Trzy po trzy”? Znakiem zapytania opatrzyłem: „czy ku zgorszeniu ojca”, bo wiadomą rzeczą przecież, że gdy Oleś w latach 1819 – 1820 zanadto na karnawałach lwowskich balował, ojciec rozprawił się z nim po swojemu: zamknął pugilares i na pokutę osadził w Jaćwięgach, by się nauczył pracować.

Do tego wszystkiego może warto dodać jeszcze, co następuje:

Gdym zwiedzał swojego czasu fredrowskie gniazdo, pokazywano mi w Beńkowej Wiszni zmurszały budynek (a może miejsce, gdzie stał budynek?), w którym za czasów Aleksandra Fredry mieściła się karczma. Najzwyczajniejsza karczma z Żydem karczmarzem. Legenda beńkowo-wisznińska głosi, że gdy do autora „Dam i huzarów” przyjechał kiedyś któryś z miłszych mu sąsiadów, by we dwójkę z dubeltówkami „wyjść w pole”, i gdy sukces polowania w dobry wprowadzał Fredrę nastrój, zapraszał on gościa do tej karczmy, by zaznać przyjemności wychylenia siwuchy nie ze srebrnych pałacowych czarek, lecz po chłopsku, „z półkwaterka”. To znowu dalekie od galonów, stosowanych kapeluszy, *wszystkich* lokajów i arystokratycznych wymysłów.

Tak czy owak – „daje nam szkołę” Fredro, gdy go sobie staramy odtworzyć...

Polsko-szlachecki dom... Biermy go teraz z pełnią dosłowności, jako budynek:

Jacka Fredrę stać było w Beńkowej Wiszni na wystawienie jeśli nie pałacu, to obszernego dworu. Nie postawił. Nie uległ żadnym tego rodzaju pokusom. Do końca życia siebie i liczną rodzinę gnieździł w skromnym, kilkoizbowym dworku. W 1921 czy 1922 roku oglądałem miejsce, na którym ten dworek stał, znaczyły się jeszcze węgly fundamentów, a więc można sobie było odtworzyć wymiary budynku. Zdumienie się budziło, jak się w tych szczupłych wnętrzach pomieścić mogło kilkanaścioro osób wraz: z kuchniami, spiżarniami i nieodzownymi pokojami reprezentacyjnymi, kiedy i „okolica” zjeżdżała się na imieninowe czy inne uroczystości.

Skoro o starym beńkowo-wisznińskim dworku mowa, to godzi się wspomnieć, że gdy autor „Ślubów panieńskich” ożenił się i z żoną tu osiadł, pani Zofia nie przestawała podobno suszyć mężowi głowy, by nareszcie postawił jakiś okazalszy dom. Przez kilkanaście lat było to jej wołaniem na puszczy¹, ale gdy córki zaczęły podraść i o balach dla nich myśleć należało, zgodził się Fredro na wybudowanie „pałacu” samborsko-włoską modłą pomyślanego. Dawny dworek zdegradowała pani Zofia na rodzaj oficyny czy lamusa. Nie przestał on jednak być dla Fredry magnesem:

„Kiedy teraz wstąpię – pisze w „Trzy po trzy” – do tej oficyny, gdzie rodzice mieszkali, gdzie teraz z bawialnego pokoju spiżarnia, ze sypialnego kuchnia – kiedy ujrzę gdzie jaki koniuszek arabesku, co się pod późniejszym obiciem przechował – kiedy spojrzę na ów piec, niegdyś w złożone rzeźby, dziś gliną polepiony, *serce mi się ściska* (podkr. nasze) (...). Szczęśliwy, kto zamieszka komnaty, co pierwszym jego były światem”.

Pani Aleksandrowa Skarbkowa, primo voto żona Andrzeja Fredry, a więc rodzzonego wnuka autora „Odludków i poety”, opowiadała mi, że dziadek nigdy się nie mógł zżyć z pałacem swojej żony, jak go nazywał – i zawsze się w nim czuł obco. Nie odpowiadał on jego pocuciem. Nie był on już „pierwszym jego światem”.

Szukajmy dalszych portretowych Fredry rysów:

Autor „Dwóch blizn” nie umiał znosić blizn, jakie w człowieku powstają po ranach zadanych jego miłości własnej. Nie tylko przecie fredrystom znana jest historia wyniosłego, a dla Fredry bolesnego zamilknięcia komediopisarskiego po krytykach zrazu niezupełnie dorzecznych, a potem i paskudnych, krytykach jego utworów. Krańcowa na nie reakcja była niewątpliwie owocem przewrażliwienia. Jakby znając tę swoją wadę, Fredro wszelką możliwą krytykę swojej osoby czy swoich czynów uprzedzał wyrazistą autokrytyką. W „Trzy po trzy” nieraz na nią natrafiamy. Łącznie z troską o to, by nigdy nie zdradzać swoich

¹ Tak mnie w rodzinnych stronach Fredry informowano.

rozrzuconych czy swoich entuzjasmów, by je pokrywać słowem możliwie trzeźwym, umiarkowanym, łącznie) z tą właściwością – autokrytycyzm Fredry nabiera w jego pamiętnikach oryginalnego akcentu.

Coś mi się widzi, że z tego to akcentu, a w każdym razie z potrzeby podrzucania z siebie powstały karty, na których przedstawić nam chce nieuctwo swych lat młodzieńczych, a swoich „preceptorów” jako karykatury. Nie byłby tak rasowym poetą sceny, jakim był, gdyby przeważająca liczba ludzi śmiesznych nie formowała mu się natychmiast w figurę komediową – a nie zapominajmy dodać, że dla kilkunastoletniego chłopaka każdy jego nauczyciel jest przede wszystkim śmieszny (o ile nie znienawidzony). Co zaś do owego nieuctwa, owych zbijanych bąków na wsi i we Lwowie, to nie bez ostrożności trzeba pełną temu dawać wiarę. Z serca co prawda wyrwane czujemy w „Trzy po trzy” pretensje, jakie autor zasyła pod adresem jegomości Płachetki, swego domowego nauczyciela, że nie zmuszał go, urwisza, do lekcji, ale przemawia tu bodaj rozżalone łakomstwo wiedzy, jakie w komediopisarzu rozbudziło się wraz z pasją twórczości. Jakim on tam był, ten Płachetka, takim był, ale jednak on to musiał naszego Fredrę nauczyć łaciny, bo inaczej wyleciałby z miłej posady, zważywszy sine qua non obowiązującą wówczas dla „szlacheckiego syna” znajomość tej mowy. Poza łaciną na pewno niejednego się jeszcze nauczył autor „Stracha nastraszonego”, czy to z dziedziny literatury, czy historii. Tylko z góry można przewidzieć: niczego więcej ponad to, czego się na ówczesnych salonach wymagało od „dobrze urodzonego” młodziana, chwała Bogu nie „sensata”, jak to się przezywało prawdziwie wykształconych ludzi. Takie, nie inne wymagania stawiał też synom swoim i stary Fredro.

Niektórzy poloniści dość surowo obwiniają pana Jacka, że nie zadbał o staranniejsze wykształcenie przyszłego komediopisarza. Bardzo by on się (p. Jacek) zdziwił tym naganom. Rozejrzyjmy się w składzie „ciała pedagogicznego”, zasiadającego przy obiadach w Beńkowej Wiszni: guwerner, nauczyciel muzyki, nauczyciel rysunków, metr tańca i fehmistrz. Jak widzimy, nie sknerzył Ojciec, gdy szło o koszty „nauki”. Ale nauki, jak ją pojmowano w Samborszczyźnie, w pierwszych latach XIX wieku. Tym większe autorowi „Trzy po trzy” należy się uznanie, że zdołał jednak – wolą i ambicją wyrosnąć w pisarza wcale nie tak domorosłego, za jakiego lubi nam się przedstawiać. Do końca życia brakło mu prawidłowego wyższego wykształcenia, obcą mu zapewne była filozofia czy humanistyka uniwersyteckiej klasy, ale – jak pozostało we wspomnieniach o nim – należał do wcale dobrze odczytanych ludzi w dziedzinie literatury, a zwłaszcza w dramatopisarstwie.

Wracajmy jednak do domu Jackostwa Fredrów. Z ich pojęć o należytej dla młodzieńca edukacji już z tego jednego czujemy, że żyło się tu w atmosferze XVIII wieku. Już nie saskiej, ale jeszcze nie tej, jaka na szerszym, europejskim świecie nastąpiła po rewolucji francuskiej. Atmosfera polska nawet nie w pełni stanisławowska, bo bez ideałów np. Komisji Edukacyjnej. Stanisławowska za to, jeżeli chodzi o pewien wolterianizm. Wolterianizm oczywiście z domieszką samborszczyzny. Dajemy głos autorowi „Trzy po trzy”:

„Co niedziela zajeżdżała ogromna poczwórna karetą (...), za kareta szedł kocz poczwórny równie ogromny (...), dla młodzieży konie i kuce (...), jechaliśmy na mszę do Rudek, ale czy my, chłopcy, umieliśmy pacierz, o to – ledwie do wiary – nikt nigdy się nie spytał. Drwiono sobie przy dzieciach z wszelkiej oznaki religijności. Nie być ésprit fort znaczyło tyle, co być głupcem na wielki kamień”.

Idźmy dalej za wiekiem XVIII, owym wychowawcą Fredry:

W ideale gentilhomme'a XVIII wieku mieścił się nieodzownie i kto wie, czy nie podstawowo, dogmat honoru. Nie był to już ten zewnętrzny, z temperamentu raczej rodzący się honor francuskiego zawadiaki sprzed Frondy, lecz już wewnętrzny, zasadami moralności nasiąkły honor odpowiedzialności, honor człowieczeństwa. Honor, który wyrazowi „noblesse” daje znaczenie nie tylko szlacheckości, ale i szlachetności. Tak pojęty honor stanowił też fundament pojęć i czynów Aleksandra Fredry. Otwórzmy omawiane tu

pamiętniki na karcie, gdzie opisuje, jak po upadku Napoleona car Aleksander w St. Denis osobiście przyjmował pod swą władzę wojsko Księstwa Warszawskiego i jak generał Krukowiecki krzyknął obowiązkowe w tym ceremoniale: „niech żyje cesarz!” – „Komu tylko prawe serce biło pod mundurem, ten musiał bolesnego doznać uczucia słysząc ten okrzyk, w którym szczerości, dzięki Bogu, być nie mogło; gdyby był szczery, byłby razem i podły!” Ile się tu zawarło głębokiej ulgi, że generał Polak uchronił się od podłości, a więc rzeczy gorszej od zbrodni w oczach ludzi typu Aleksandra Fredry. Na innych znowu stronicach niemal że nerwowo czujemy wstrząs jego odrazy do króla saskiego, za zdrażdzieckie odstąpienie Napoleona w trakcie bitwy pod Lipskiem. Zdradzić, nie dotrzymać słowa, zawieść czyjeś zaufanie – to dla Fredry największa, jaka może być, nikczemność. Dlatego tak zelżywie traktuje Bawarów za ich zdradę pod Hanau. Nie jedyne to fragmenty pamiętników, gdzie takiego Fredrę poznamy.

Po kampanii rosyjskiej 1812 roku, a zwłaszcza w czasie odwrotu francuskiego w 1813 roku – dla kapitana Aleksandra Fredry nie ma już wątpliwości, że służąc nadal Napoleonowi służy przegranej sprawie, mimo to służy dalej i z całą należną wiernością, bo tak mu każe honor.

Służy przegranej sprawie, ale służy. Nie na tym spoczywał kres jego ofiarności. Wcześniej niż dziesiątki tysięcy rodaków przejrzał Napoleona i nabrał przeświadczenia, że Polska niewiele ma dlań znaczenia. Niewiele albo nawet nic. W „Trzy po trzy” mamy opisane, jak oficerowie Polacy mniejszych, a nawet i większych rang (np. Antoni ks. Sułkowski) opuszczają Bonapartego, gdy sobie uświadamiają, że politycznie bezcelowy będzie dalszy ich udział pod sztandarami Wielkiej Armii. Fredro należy do tych, którzy zobowiązaniu wobec cesarza pozostają wierni aż do końca. Fredro pisał komedie, ale życia za komedię nie brał.

4

Liczyłem to kiedyś – z grubsza oczywiście – i okazało się, że w „Trzy po trzy” Fredro mówi o 350 osobach. Z tych, powiedzmy, pięćdziesiąt pozycji przypadnie na nazwiska znane z historii: królowie, mężowie stanu, sławni twórcy etc., pozostałe trzysta przypadnie na ludzi osobiście autorowi znanych. Rozsegregujmy teraz tych trzystu; koło dwustu to Fredry towarzysze broni, oficerowie wyższych czy niższych rang w „wielkiej armii”. Teraz to, co interesujące: z pozostałej setki cywilów – nie wiem, czy doliczylibyśmy się dwudziestu miejskich jego znajomych; wyłącznie niemal tylko „wieśniacy” przyłgnęli mocniej do jego pamięci. Może nawet sam nie zdawał sobie sprawy, do jakiego stopnia substancja wiejskości przeważa w nim nad resztą „cywilnego” świata.

To, że Fredro do szpiku kości był człowiekiem wsi, chyba nie wymaga udowodnień. Poza miejskimi „Mężem i żoną” i „Geldhabem”, poza „Dożywociem” (w Twardoszu, Łatce i Filipku), ze wsią się połączyły wszystkie jego arcydzieła i wszystkie celniejsze jego utwory: „Śluby panieńskie”, „Zemsta”, „Pan Jowialski”, „Wielki człowiek do małych interesów”, „Pan Benet”, „Dwie blizny”, „Damy i huzary”, „Ciotunia”, „Cudzoziemszczyzna”, „Przyjaciele”. Gdzież poza wsią mógł się urodzić Jowialski-ojciec i Jowialski-syn? Janusz z tegoż „Pana Jowialskiego”, świszczypała Gucio i safandulski jego stryj Radost? Gdzie, jeśli nie na polskiej wsi, gniazda szukać Jenialkiewiczowi? Gdy Fredro opuszcza wieś, gdy wkracza w mury miejskie, muza jego natychmiast zaczyna się chmurzyć, a humor swój często zabarwia ciemniejszymi akcentami. Tak się ma rzecz ze wszystkimi figurami „Męża i żony”, tak się ma rzecz z „produktami miasta”: Łatką, Filipkiem, Twardoszem i galerią wydrwigroszów w „Dożywociu”. Komuś chętnemu podsuwam tu temat podobieństwa pod tym względem Fredry z Lwem Tołstojem. Przypomnijmy sobie pierwszą kartę „Zmartwychwstania”, tę tak znamioną diatrybę na bruk miejski, dosłowny bruk.

Antygrodzkość Fredry nie ma tak programowego wyrazu, ale na jego usposobienie miasto i wieś działają tak, jak chłód i ciepło działają na termometr. Wiejskość i sympatii Fredry dla wsi nie tak zresztą nie ilustruje, jak jego ustosunkowanie się do dwóch jego arcyfigur: Milczka i Raptusiewicza w „Zemście”. Nie może on nie wiedzieć, że mimo swoje „zimne” wady Milczek i umysłowo, i społecznie więcej wart niż Cześnik, ale tę kwintesencję ziemiańskości – Raptusiewicza – mimo wszystko bliżej swego serca chowa niż przybysza z grodzkich sądów, kancelaryjnego szczura, Milczka.

Pozwólcie mi być sterneistą, pozwólcie mi na skok myślowy w bok:

W okresie międzywojennym, z Bydgoszczy zajeżdżając do Warszawy, najczęściej stawałem w hotelu Brühlowskim, na ulicy Fredry (właśnie Fredry! tak się dziwnie składa) – i tu miałem swój uprzywilejowany pokój na IV piętrze, na którym to piętrze generalnym numerowym był niejaki pan Antoni, wówczas jegomość sześćdziesięciokilkuletni. Pochodził z płockiej szlachty zagonowej. Jak mi to opowiedział, sześć lat miał, gdy go spod Ciechanowa zanosło do Warszawy – i stąd już nigdy na wieś nie wrócił. Przez sześćdziesiąt lat już wiódł byt miejski, nawet wielkomiejski, a gdy się rano u mnie zjawiał na obsługę, niezmiennie wszczynał rozmowę na takie oto tematy: „deszcz na dworze, proszę pana, ale się przyda na okopowizny”, „susza, a przed siewami przydałoby się trochę deszczu”. Rola, pole, wegetacja roślinna na nich, żyta, grochy, sianokosy, żniwa – nie przestawały być pierwszą potrzebą jego refleksji. Wieś dziedzicznie siedziała mu we krwi. Otóż wydaje mi się, że nieobojętny procent czytelników Fredry czy słuchaczy jego sztuk w teatrze pozostaje w pokrewieństwie duchowym z panem Antonim. Wieś siedzi w nas; szlachecko-ziemiańskim stylem siedziała w dawniejszej z XIX wieku warstwie inteligenckiej; siedzi do dziś dnia w niejednym z naszych rzemieślników czy robotników, a masowe wtargnięcie wsi do miast, jakie dało się zauważyć w latach obecnych, podtrzyma i na dalsze lata ten stan rzeczy, który jest i wodą na fredrowski młyn. Przybyła nowa warstwa, która w autorze „Zemsty” wyczuje swoją własną glinę².

Wyczuje ją i w „Trzy po trzy”. Ileż tu człowieka wsi! W języku, w porównaniach stylistycznych, w zainteresowaniach, w zmyśle gospodarskim (zatrzymajmy się chociaż na tych fragmentach, gdzie Fredro reformuje kowalstwo wojskowe). Co chwila znajdujemy tu – zwłaszcza w obrazowości językowej – jeśli już nie rolnika, to myśliwego, bywalca po kniejach czy po naddniestrzańskich błotach. „Wskoczyłem w nią jak młody sarniak na kwiecistą łąkę” – mówi o swoim udziale w kampanii 1809 roku; „chylcem, zygzakiem jak postrzelony lis leciał” – zauważy gdzie indziej; „jeżeli kto aby raz w życiu widział niedźwiedzia idącego w hurku, kiedy schwyci pod siebie jednego z kundli, a kiedy mu drugi tymczasem szarawary skubie, łatwo wystawi sobie walczącą grupę” – znowu po wiejsku, po łowiecku opisze walkę swego ordynansa osiłka z napastnikami Niemcami w Lipsku. „Potem nagle skręcam od prawego ku lewemu, jak gdybym *kosę w trawie zapuszczał* (podkr. moje), macham w półkola” – tak nam uzmysłowi swoje zabawy w ciuciubabkę. Ale po co wyłuskiwać szczegóły stylistyczne, mające świadczyć o wiejskim wnętrzu omawianych tu pamiętników? Czyż nie wystarczy wziąć „Trzy po trzy” jako całość? Czyż nie najistotniejszym ich wydźwiękiem jest, że można by powiedzieć: *słyszysz się je opowiadane*, jak to llo tempora bywało przy wiejskim kominie?

Z tych to uczuciowych złoży więcej może niż z wyrozumowania wyrastała polityczno-społeczna postawa Fredry. Dotykamy sprawy dość zawilej, jeśli chodzi o autora „Brytana Brysia”. Ale nie zawile, proste wszystko bywa tylko dla Kaspra z „Nikt mnie nie zna”, a tych

² Suplikuję o jedno: nie posądzajcie, bym immanentną wiejskość Fredry brał za jedyne wiązadło, które splata go z rzeszą jego miłośników. Autorem „Ślubów panieńskich” zachwycać się potrafią i ci, w których już nic nie pozostało z pana Antoniego z hotelu Brühlowskiego, zwłaszcza prawdziwi znawcy sztuki, którzy rozumieją wysoki artyzm prostoty fredrowskich komedii.

i w krytyce literackiej nie brak. Komedio pisarz zaś nasz, tak klarowny w swojej twórczości, złożoną był organizacją psychiczną, czasem nawet sumą psychicznych przeciwieństw. O tym będzie jeszcze mowa, teraz wracamy do tej jego postawy polityczno-socjalnej.

Jak w pierwszej swojej znaczniejszej komedii, w „Geldhabie”, ustami Lubomira wypowiedział, że ze wszystkich tytułów najcenniejszym mu tytuł „polskiego szlachcica”, tak temu odczuciu pozostał zapewne wierny do końca życia. Wyznanie to wyszło spod pióra przed 140 laty i wówczas miało wydźwięk demokratyczny, bo przeciwstawiało się, jak ze sztuki wynika, książęcej mitrze, arystokratycznym fumom. W „Trzy po trzy”, acz w humorystycznym współtekście, mówi nam Fredro, że nie uznaje kast. I na pewno tak było, na pewno żył taką zasadą. Inna to jednak rzecz zasady, a inna instynkty. W instynktach pozostawał duszą szlachecką. Można i należy być przekonanym, że w jego rozumieniu rzeczy nie był pełnym szlachcicem ten, kto nie był porządnym człowiekiem, może by więc pojęciem gentlemiana należało tu zastąpić pojęcie szlachcica, ale bez szlacheckości trudno by mu może było wyobrazić sobie gentlemiana. Ani wątpić, że kulturalnego, a do tego jeszcze etycznie godnego nie-szlachcica wyżej w poważaniu stawiał od szlachcica o „czerepie rubasznym” lub szlachcica łajdusa, ale nie wiadomo, czy bez oporów wewnętrznych wszedłby w powinowactwo z nie-szlachcicem.

Umiejący myśleć co się nazywa inteligentnie i umiejący myśl swoją przypierać do muru logiki, nie mógł sobie nie zdawać sprawy, że szlacheckość może być czymś życiowo konkretnym tylko w łączności z większą własnością ziemską. Inaczej jest tylko echem. Śmiesznym na pewno wydawał mu się ten, co echo bierze za żywy głos. Czy sercu Fredry – temu sercu, o którym będzie jeszcze mowa – odpowiadał ustrój pańszczyźniany? Za odpowiedź wystarczyć powinien ten fragment w „Trzy po trzy”, gdzie się po prostu przed nami kaja, że w czasie kampanii 1813 roku w jakimś gniewnym uniesieniu uderzył Onufrego, swego ordynansa, swego więc *podwładnego*. Dziś, zwłaszcza gdy już posiadamy pracę prof. Pigionia: „W pracowni Aleksandra Fredry”, wiadomą rzeczą jest, że nie tylko z uczuciowych, ale i z politycznych względów Fredro należał do bezwzględnych zwolenników zniesienia pańszczyzny. Mamy prawo przypuszczać, że odczuwał niewolę chłopską, może nawet ciążyła mu moralnie. „Trzy po trzy” pisał po roku 1846, więc po tzw. rabacji chłopskiej w Galicji Zachodniej; wydawałoby się, że krwawe te wydarzenia znajdą echo i surowy osąd Fredry w jego pamiętnikach, tymczasem – ani słowa. Nie taką to widocznie prostą było sprawą wydać bezstronny sąd o tym buncie chłopskim.

Zanadto był światłym człowiekiem i – co jeszcze ważniejsze – zanadto wrażliwe miał sumienie, by godzić się z pańszczyźnianym losem chłopca, ale też nietrudno domyślić się, że trafiała mu do przekonania dawniejsza ustawowa opieka dworu nad włościąństwem. Można być pewnym, że nie zachwycali go, a kto wie, czy i nie oburzali, tacy opiekunowie, jak Szambelan czy Janusz z „Pana Jowialskiego”, a może nawet Beneci, z przeciwnego zaś bieguny Raptusiewiczze. Ale powtarzam: domyślamy się tylko tego wszystkiego. Wyraźnych oświadczeń Fredry nie znamy, a komedie dotrzymują konspiracji. To niemal udokumentowane, zwłaszcza w badaniach prof. Pigionia, że pod starość zaczął Fredro patrzeć na lud jako na element politycznie ważny, a i sympatyczny dla autora „Brytana Brysia”. Śnić mu się zaczął sojusz ziemiańsko-chłopski, moc obronna przeciwko „miastu” jako symbolowi „wywrotu”.

Jeśli taki sojusz brać od strony uczuciowej, to nurtował on we Fredrze i wcześniej. Znamienny to przecie ustęp w „Trzy po trzy”, gdzie opisuje, jak go w 1809 roku na wojaczkę wiozł w bryczuszce chłop woźnica. „Cisza lasów” (...) „ululała” szesnastoletniego chłopaka w „głęboki sen”. Zasnął i woźnica:

„I kto wie, czy sny nasze (...) nie spływały w świecie uludy w jaki jeden wspólny zakres. Może mnie się śniło, że sparłem się na chłopku jak na bracie. Może on marzył, że jał mnie w objęcia jak brata, że z ufnością w łączne siły spoglądaliśmy spokojnie na jutrzeńkę, co (...)

ozłacała nowe, nowego kształtu budowy. Może to był sen, a może kiedyś stanie się rzeczywistością”.

Fredro niewątpliwie był konserwatystą. Z ryczałtowym potępieniem konserwatyzmu, zwłaszcza jako *pojęcia* konserwatyzmu, należy być ostrożnym. Nie ma takiego ustroju, w którym by się obeszło bez konserwatystów istniejącego czy zdobytego stanu rzeczy. Zachowawczość, można by powiedzieć, jest heglowską tezą obok antytezy: postępu. Dokładnym błędem konserwatyzm staje się dopiero wtedy, gdy w wieku na przykład XIX zachowuje cechy zachowawczości stuleci ubiegłych.

W tych kryteriach jak wyglądał konserwatyzm autora „Cudzoziemszczyzny”? Znowu sprawa nie prostolinijna – i sprawa, która niewątpliwie w pojęciach Fredry zmieniała się z biegiem lat i rozwoju.

Wyrastał w pojęciach wieku XVIII, pomnożonego przez deskami od świata zabita Samborszczyznę. Owszem, ale przez wojny miał sposobność świat poznać od Moskwy po Paryż, i to nie błyskawicznym przejazdem. Tak, ale poznawał ten świat z bitewnego konia i prawie bezustannie zasłonięty dymami armatnimi. Zbyt też był jeszcze młody, by na postojach czy w antraktach między kampaniami mogły go co zajmować sprawy polityczne, socjalne, ekonomiczne. Głowa jego pracowała – mamy na to dowody w „Trzy po trzy”, ale przyszłego komediopisarza przejmował przede wszystkim *człowiek*, jego indywidualność. Pod względem politycznym, w sprawach wagi publicznej – czy Fredro ze zbrojnego wojażu wrócił dojrzały od ideologii swoich najbliższych? Tak by się właściwie wydawało, ale właśnie w „Trzy po trzy” znajdziemy tu i ówdzie słowa, zwroty, zdania, które nam powiedzą, że wówczas, w latach epopei napoleońskiej, serce Fredry biło dla idei wolnościowych:

„Kiedy po skończonych wojnach wróciłem w domowe zacisze, (...) serce nie dozwalało pamięci rozpowiadać zdarzeń z onego czasu, w którym morze nadziei a sławy kropelka (...) czyniły nas ogniwem, aczkolwiek drobniejszym, niż myśl sobie wystawić może, ale jednak ogniwem łańcucha, który wzruszał zardzewiałe zapory świata”.

Morze nadziei i – po trzydziestu latach od końca tej epopei – nie bez dumy stwierdzone, że czymś się jednak przyczyniał do ścierania *rdzy* w historii, do rozrywania „zapór świata”.

Nad tym zeznaniem do porządku dziennego przejść nie można. Tak się z Fredrą działo czasu „morza nadziei”. A potem? Wrócił do Beńkowej Wiszni, pod Rudki, na samborskie blocka, rzucił się w ówczesne szaleństwo zabaw lwowskich. Zanurzył się w nie, ale nie aż po głowę. Głowa nie przestawała żyć krytycyzmem. Ale krytycyzm dotyczył spraw etycznych. Dowodem „Mąż i żona”. Nie dotyczył spraw socjologicznych czy gospodarczych.

Sprawy de publicis, sprawy obywatelskie zaczynają go obchodzić dopiero w wieku dojrzałym. Wiadomo, że teoretycznie i praktycznie zajmowało go i przejmowało dobro powszechne znacznie wcześniej, nim zasiadł do „Trzy po trzy”. Otóż w tych pamiętnikach nie sposób się doskrobać do jakiegoś uznania dla idei czy instytucji postępu, na które by się jego konserwatyzm mógł zgodzić. Wyjaśniać to faktem, że „Trzy po trzy” chcą być dziejami jego osobistego życia? Tyle się z nich mimo to wyrzywa spostrzeżeń i moralistycznych uogólnień spoza tematu! W sprawach nowo powstających przemian ekonomicznych, społecznych, ustrojowych, widzą „Trzy po trzy” raczej tylko ich cienie. Oto np. jakże posępne refleksje nad skutkami kapitalizmu w Europie:

„Pieniądz stał się wszystkim. (...) We Francji nawet, w owej Francji rycerskiej (...) znika poezja wszędzie i ze wszystkiego. Piśmiennictwo francuskie czuć rzemiosłem. Każdy teraz pisać będzie przeciw natchnieniu, przeciw przekonaniu, jeżeli tylko może wiele pieniędzy zyskać. Kto na zawadzie – nieprzyjaciół – żadna świętość cnoty i zasługi nie zasłoni (nie obroni przed tym nieprzyjacielem – przyp. nasz). Po sercach, po głowach w górę! w górę! pnie się tłum zimny, chciwy”...

Miedzy zachowawczością – wyraźnie zresztą humanitarną – Fredry a konserwatystami ówczesnymi na szerszym świecie taka zachodziła różnica, że gdy tamci byli konserwatystami

typu kapitalistycznego, autor „Dożywocia” pozostawał konserwatystą typu jeszcze feudalnego, w czym nie odbiegał od ogólnej linii polskiego ówczesnego konserwatyzmu.

Niech nas to zbytnio nie dziwi u człowieka urodzonego w XVIII wieku i ukształtowanego umysłowo w pojęciach możniejszego ziemiaństwa, niech nas to – zwłaszcza w Polsce – nie dziwi, skoro np, Dygasiński o pięćdziesiąt bez mała lat młodszy od Fredry, syn oficjalisty dworskiego, z przekonań pozytywista, postępowiec, bardzo wyraźny demokrat, bojowo względem wielkiej własności nastrojony – gdy pod koniec życia w nie dokończonych swoich „Dębach” rozpatruje istotę feudalizmu i kapitalizmu, to najwyraźniej pierwszy z nich wysoko wynosi nad drugi. Czym to wyjaśnić? Tym, że feudalizm to wieś; a pan Antoni z hotelu Brühla i w Dygasińskim twardo siedział.

Cienie postępu łatwiej Fredro dostrzegał niż postępu istotę. Przyczyny nietrudno dociec. O ile w komediach swoich nie dopuszczał do głosu moralistyki, o tyle w „Trzy po trzy” z etycznego przede wszystkim stanowiska osądza ludzi i życie. Stąd Fredry wrażliwość na ujemne skutki postępu. W tym punkcie moralistyczna skłonność Fredry schodziła się w jedno z jego konserwatyzmem.

Dobrze! – powiecie – ale dlaczego nie widział ciemnych stron ziemiańskiego ustroju? Przede wszystkim nie wiemy, czy nie widział, a jeżeli istotnie tak było, że nie widział, to działało prawo ewangelicznej belki w oku własnym.

Ludzkie, nie tylko fredrowskie.

5

Na początku naszych rozważań mówiliśmy o tej „glinie polskiej”, z której powstała duchowość Fredry, a która się tak przyczynia do jego popularności we wszystkich warstwach naszego społeczeństwa.

Składnik ten indywidualności naszego pisarza wrzątkiem paruje niemal ze wszystkiego, co napisał, ale paruje oczywiście jako temperament, jako gatunek upodobań wrodzonych, jako rodzaj humoru wreszcie. Takim „podglebkiem” mogłaby się wykazywać jakaś jednostka i „biologicznie tylko polska”, czyli jednostka o nikłych uczuciach narodowych, o miernej świadomości patriotycznej. Żadna z ważniejszych, a więc i szerzej znanych komedii Fredry nie spowiada nam się z tych uczuć i tej świadomości. Poza zapomnianym dla ogółu „Brytanem Brysiem”, w żadnym z jego utworów dramatycznych zagadnienie ojczyzny czy narodu nie stawało się ich tematem³. I dopiero tutaj, w „Trzy po trzy”, odsłania nam się pełnia polskiego serca.

Pamiętniki te napisać mógł tylko Polak, który najgorętszym uczuciem przeżywał dzieje bezpośrednio porozbiorowe, czas legionów, entuzjazm 1807 i 1809 roku, nadzieje wkładane w Napoleona, wreszcie tragedię utraconych nadziei po roku 1814.

Oczywiście mogę się mylić, ale wydaje mi się, że nie bez wewnętrznego przymusu „Trzy po trzy” rozpoczyna autor obrazem, który ma nas wprowadzić w przypomnienie o bitwie pod Montereau. Dla nas dziś to tylko termin geograficzny, czym innym było ono dla ludzi, którzy *przecierpieli* okres Berezyną rozpoczęty.

Jest rok 1813. „Bóg mi powierzył honor Polaków”. Lipsk. Klęska Napoleona, której się właściwie należało spodziewać, a która jednak na patriotów-Polaków spadła jak grom. Napoleon jeszcze od czasu do czasu zwycięża w odwrocie, ale musi się cofać a cofać. Ku Francji. Nieuleczalne optymizmy nie zamierają jednakowoż: niech tylko ON na swojej ziemi, na ziemi francuskiej, odniesie choćby jedną „wiktoria”, a spod ziemi wyrosną mu nowe armie, a nieustraszony duch starczy za uzbrojenie i amunicję. I oto Napoleon odnosi to

³ Warto może tu dodatkowo zaznaczyć, że autor „Brytana Brysia” czy to w pamfletach politycznych, czy w poezji swej patriotycznej nie dochodzi do wyższego szczebla swej twórczości.

utęsknione zwycięstwo nad rzeką Yonną pod Montereau. Opisują nam „Trzy po trzy”, jakim wzruszeniem przyjęto je we Francji. Oto przez swego dowódcę wysłany zawozi wieść o „wiktorii” m. in. merowi w Fontainebleau. Była już noc. Mer „zerwał się od żony szczękiem pałasza przestraszony (...), wyszedł do kancelarii, otworzył ekspedycję, którą mu wręczyłem, włożył okulary i cicho, a potem głośno przeczytał: *L'Ennemi a été culbuté... douze canons... mille prisonniers cinq etc.* O, czcigodny burmistrzu, jakże pięknym byłeś w tej chwili! Pamiętam twój nos, pamiętam kwiaty twego szlafroka. Widzę cię, kiedy sparty jedną ręką na urzędowym stole, spuściłeś drugą z listem aż do kolana i wzniosłszy oczy ponad okulary, zapłakałeś z radości”. Te łyzy bourgeois z Fontainebleau można brać za symbol uczuć bonapartystycznych po bitwie pod Montereau.

A Polacy z „wielkiej armii”? – a bonapartyści w Polsce, więc bez większej pomyłki powiedzieć można: cała Polska politycznie uświadomiona? Społeczeństwu naszemu nie pozostawało nic innego, jak ludzić się. Contra spem wierzyć. Ludzić się, wierzyć, że może Montereau przyniesie cud. Rzecz jasna, że ten, do pewnego stopnia przypadkowy, sukces Napoleona nie mógł za sobą pociągnąć ważniejszych skutków; Montereau pozostało tylko jako chwilowy błysk, po którym zmierzch szedł już przyspieszonymi krokami. „Porzuć nadzieję” – rozeszło się po duszach polskich. Po trzydziestu z górą latami ten „uraz Montereau” czuje w sobie Fredro tak dojmująco, jakby to było jego przeżycie z wczorajnia – i to Montereau niemal że automatycznie staje mu się wstępem do opowiedzenia dni swoich entuzjasmów i pogrzebu tych entuzjasmów⁴. Z tego „urazu Montereau” możemy poznać stopień jego patriotyzmu.

W pamiętnikach niniejszych niejedną znajdziemy kartę, na której patriotyzm Fredry w najróżnorodniejszej wypowie się postaci, a zawsze – mimo dyskrekcji słów – wymownie. O kimkolwiek tu może zaświadczyć, że był on prawym Polakiem, zaznaczy to jak najspieszniej, jako rzecz dla danej charakterystyki najważniejszą. Nie bez odczucia szczęścia notuje, że ojciec jego „jako człowiek i jako Polak był w całym znaczeniu wyrazu: *bez skazy*”.

Zacytujmy tu kartę, oddającą nam wrażenia oficerów polskich w czasie bitwy pod Lipskiem:

„Dziewiętnastego października (1814 r. – dopisek nasz) ostatniego dnia czterodniowej, najkrwawszej, jaka może kiedy była i będzie, walki pod Lipskiem, między dziesiątą godziną a południem staliśmy, oficerowie sztabu księcia Neufchatel, pod drzewami, które ulicą otaczają miasto. (...) Już wtenczas i szary koniec wiedział, jak rzeczy stoją. Z upadkiem potęgi francuskiej upadły i nadzieje Polaków. Ale mniemaliśmy, że dopiero pod Lipskiem tracimy powtórnie Ojczyznę, nie wiedzieliśmy, że Napoleon najłatwiej zawsze przyjmował warunek wrócenia jej w potrójne jarzmo niewoli. Piekielna obłudo! Szatańska polityko! (...) Biada człowiekowi, którego los zawisł od drugiego, ale dwakroć biada narodowi, co zawisł od interesu innego narodu. Narody sumienia nie mają”.

Ileż bólu zawarło się w oddaniu tych uczuć! „Piekielna obłudo! Szatańska polityko!” – nieczęsto taki krzyk znajdziemy w języku Fredry, w języku pisarza o takiej rezerwie wyrazu, tak stroniącego od patetyczności, człowieka z tak zdecydowaną potrzebą skrywania swoich wzruszeń!

Albo znowu scena przechodzenia w St. Denis wojsk Księstwa Warszawskiego pod władzę cara. Dawaliśmy już drobny z niej fragment w rozdziale poprzednim. Przytoczmy teraz inny jej ustęp.

„Kiedy cesarz Aleksander zjechał z Paryża do St. Denis, aby odbyć rewję, a raczej wziąć w faktyczne posiadanie wojsko reprezentujące Polskę, ubraną jeszcze w nazwę Księstwa

⁴ Ściśle rzecz biorąc, wygrana pod Montereau nie powinna była zbyt optymistycznie nastrajać Fredrę. Raz dlatego, że jako wojskowy, i do tego wojskowy o trzeźwej inteligencji, orientował się, że takie zwycięstwo to tylko epizod, po wtóre dlatego, że już utracił wiarę w dobrą w stosunku do Polski wolę Napoleona; ale czy wolno mu było nie ludzić się, gdy los obdarza okazją ludzenia się?

Warszawskiego, stanęliśmy w liniach cicho i ponuro. (...) Bo wychodząc z Fontainebleau kilkanaście dni temu, płakano, a gdzieś i głośno – w szeregach”...

W szeregach weteranów *płakano*. Ani jednym dalszym jakimś słówkiem nie uzupełnia Fredro tego faktu. I wie, że nie potrzeba. Ktokolwiek razem z nim stanowił część de la grande armée, temu jasne było, że coś strasznego w duszach dziać się musiało, skoro żołnierz, ŻOŁNIERZ płakał. Polski spod księcia Józefa żołnierz, który nawet wyrok śmierci przyjmować powinien był z niewzruszonym spokojem. Najoczywiściej więc czymś gorszym od śmierci było przejście pod rozkazy zaborcy. To, że tak się rzecz miała, nie zapomni Fredro zanotować po czterdziestu bez mała latach.

W wieku XIX, po 1831 roku, nielekko musiało być życie Fredry w polskiej rzeczywistości. Austrię, której był poddanym, pogardzał, na niepodległość – choć tej w rachunku możliwości historycznych nie wykreślał – w życiu swoim doczekać się nie liczył. Dopóki intensywniej oddawał się komediopisarstwu, demiurg tworzenia odpędzać mógł osętnienie narodowe. Później, po „złamaniu pióra”, odpadł i ten środek usypiający. Nielekko, powtórzmy, musiało być eks-kapitanowi strzelców konnych Księstwa Warszawskiego! Nielekko zwłaszcza w godzinach osamotnień i nieodpornych rozmyślań, wspominań. Jakże przejmująco brzmi jego wyznanie, że im więcej przybywa mu lat, tym „wiatr coraz chłodniejszy, niebo coraz ciemniejsze”. Niebo coraz *ciemniejsze* – wsłuchajmy się w to słowo... W brulionie pamiętników mamy westchnienie jeszcze smutniejsze: „szczęście domowe Polaka jest teraz oazą kwiecistą wśród pustyni Sahary”.

Nie ma takiej trawy po katastrofie statku krążącej po morzu, by ocalali na tej trawie rozbitkowie pod naporem instynktu samozachowawczego nie zaczęli jakoś organizować swego mizernego istnienia. Nie inaczej się działo i z patriotami polskimi po roku 1815, po roku 1831. Trzeba płynąć na tratwie, gdy statek zatonął, trzeba działać. Fredro po roku 1831 należy do energicznych aktywistów życia publicznego. Próbuje nie zniechęcać się, co mu niełatwo przychodzi (łatwo mu przychodziła tylko subordynacja wojskowa). „Trzy po trzy” dokumentują ponadto, że jego myśl wytrwale przetrawia wszelakie zagrożenia polskie:

„Zarzucają Polakom, że są niesforni, że trudno nimi rządzić. Mnie się zdaje, że bardzo łatwo, byle rządzić z konia i z szablą w rękę. Więcej natchnienia niż rozważli zwykliśmy słuchać. Zgromadzamy w jedną osobę wszystkie nasze wymagania, całe nadzieje nasze, w niej zamykamy całą sprawę – czynimy ją (tę osobę – przyp. nasz) poniekąd fatum naszym. (...) Kościuszko, Poniatowski (ks. Józef Poniatowski – przyp. nasz). (...) Dlatego to każdy upadek podobnej gwiazdy roztopia od razu łączący nas cement, ogół rozkłada się w cząstki, rozumowania wyradzają się w zatargi. (...) Nie mamy w sobie wielkiej wzajemnie przyciągającej się siły – przeciwnie, antylączne usposobienie jest główną naszą wadą”.

Nie wytrzęsę się z rękawa takich sformułowań. Z pewnej tylko nieustanności nad czymś rozmyślania można dojść do tak stężonego, a tak klarownego ujęcia rzeczy.

Ile tej nasilonej w Fredrze myśli obywatelskiej wsiąkało w jego komedie, czyli w rdzeń jego twórczości?

Jak wiadomo, na ten temat w okresie międzywojennym rozgorzały srogie między fredrologami boje. Jedna strona, z prof. Kucharskim na czele, wystąpiła z tezą, że tylko ze względu na cenzurę austriacką komedie takie, jak np. „Pan Jowialski”, nie przybierały jawnej patriotyczno-wychowawczej postaci. Po drugiej stronie barykady Boy zwalczał ten punkt widzenia.

Łatwo sobie wyobrazić, jak rzecz wyglądała, gdy Boy, ten atleta polemiczny, coś zwalczał. Zresztą można to sprawdzić w „Obrachunkach Fredrowskich”. To, że prof. Kucharski przesadził (poza analizą „Ciotuni” może) destrukcyjną rolę cenzury austriackiej w dziejach twórczości Fredry, że wbrew oczywistości chciałby w autorze „Zemsty” widzieć komediopisarza politycznego w rodzaju plus minus J. U. Niemcewicza („Powrót posła”), to rzecz niewątpliwa. Z jakąż jednak (zbędną w tym wypadku) furią wsiadł na niego Boy!

A czy sam nie dopuszcza się przesady?

Trafnie wyczuwa, że zagadnienie komediowości w komedii, szlif artystyczny i charakterystyki osobników interesowały Fredrę przede wszystkim. Ale Boy odrzuca to: „przede wszystkim”. Li tylko! – woła, nawet zanadto głośno. Tak się zacietrzewia, że pańską zabawę i nic więcej widzi w komediowych trudach autora „Ślubów panieńskich”. (Niechby kiedy był spróbował podobnej „zabawy”!) K'woli „obrony” Fredry przed „zarzutami” moralistyki z rozmachem, a i nie bez sui generis rozrzewnienia przedstawia nam „Męża i żonę” jako komediowy dytyramb na chwałę... libido. Gdyby kto inny to wymyślił, Boy by swoim ulubionym zwrotem powiedział: „tu się już co nieco załgał”.

W sporze między prof. Kucharskim a Boyem prawda leży zapewne na połowie drogi:

Boy dobrze wniknął w „fabrykację” komedii, o ile ona wychodzi z rąk tak integralnego komediopisarza, jakim był autor „Gwałtu, co się dzieje!”⁵ Kształtowanie figur i zdarzeń w ten swoisty twór, jakim jest dzieło sceniczne, mechanika akcji i nadawania geometrycznej niejako progresji następującym po sobie scenom, cała ta, słowem, inżynieria sztuki dramatycznej, nie mówiąc już o rozkoszy obcowania ze swoim światem figur – to rzecz istotnie tak pasjonująca, że ona przede wszystkim zaprzęta myśl i emocje autora.

Ale czy tak jest, jak chce Boy, że z żadnej innej, jak tylko z troski artystycznej powstawały te arcydzieła? Czy naprawdę Fredrę, jakiego w „Trzy po trzy” poznajemy, nic nie obchodziła „antyłączność usposobienia polskiego”, tak wyraziście ukazana w „Zemście”? Czy tylko go bawiła wegetatywność Jowialskich i Benetów? Czy nie zastraszali go Jenialkiewicze jako przywódcy ziemiańskiej warstwy? Czy przyklaskiwał klimatowi moralnemu, w jakim żyje stadło małżeńskie z „Męża i żony”? Przeczytajmy jeszcze raz, co w „Trzy po trzy” pisze o pieniądzu, i pomyślmy, czy tylko „sztuką dla sztuki” chciał mieć „Dożywocie”?

Zmysł dramatopisarski autora „Ślubów panieńskich” dobrze go pouczał, że „sens moralny” czy wypowiedź wychowawcza komedii nie może być elementem przyfastrygowanym do akcji, że musi ona wyrastać organicznie ze zdarzeń i zdarzeń tej akcji, ale nie znaczy to, by zaplecza jego komedii, oczywiście nie wszystkich, nie nasycali się w jakimś stopniu tym Fredrą, którego tu poznajemy w jego postawach etycznych, narodowych i społeczno-politycznych.

6

W poprzedniej mojej (z 1917 r.) przedmowie do „Trzy po trzy”, mniej więcej na tym, do którego teraz, dochodzimy, etapie, rozwiódłem się o wojskowych sentymentach autora „Dam i huzarów”. Fragment ten doprowadził Boya do złości, której świadectwem stał się ostatni jego rozdział w „Obrachunkach Fredrowskich” („Fredrowscy ułani”).

Przede wszystkim rozszkołyły go – domyślam się – pewne omyłki, przesady (jak np. o Fredrze jako typie Polaka z pospolitego ruszenia), wreszcie poetyzowania i frazeologia, to wszystko, co skośnymi przyczynami da się wytłumaczyć „powietrzem lat”, w jakich się tę przedmowę pisało: lata wielkiej wojny, natężonego do maksimum oczekiwania niepodległości, przewidywania, jaką rolę będzie w niej musiała odegrać wznowiona armia narodowa. Autor „Mózgu i płci” nie miał obowiązku uczuć moich z 1917 roku uwzględniać. Był więc w porządku, gdy go tonacja stylistyczna mojej przedmowy irytowała.

Mam przekonanie jednak, że gdybym był moje wywody o militarystyce Fredry napisał stylistycznie po myśli Boya, to i tak nie uniknąłbym jego ataku. Do pasji doprowadzałoby go już to, że ja Fredrze nie stawiam *zarzutu* za jego umiłowanie służby wojskowej.

⁵ Nie bez powodu wypłynął tu tytuł: „Gwałtu, co się dzieje”. Dużego doświadczenia i wybrednego smaku esteta Zygmunt Sarnecki wyznał raz pewnego: „latami nie widziałem na scenie «Gwałtu, co się dzieje!» i przez cały ten czas uważałem utwór za ramotę lichą zbudowaną. Nareszcie ujrzałem go grany – i po prostu doskonała farsa objawiła mi się”. Sekret integralnego komediopisarstwa.

Tu trzeba znowu Boya wyrozumieć:

Gdy w roku 1914 Austro-Węgry przystąpiły do wojny, Boya, jako wówczas lekarza, zmobilizowano i przydzielono do lazaretu na dworcu kolejowym w Krakowie. Z natury rzetelny humanitarysta, a przy tym czuła organizacja nerwowa – w tym to przybytku cierpienia tyle się napatrzył krwawych skutków wojny, tyle mu w oczy i mózg weszło ludzkich ropiejących ran, poobcinanych rąk i nóg, tyle beznadziejnych kalectw i straconego szczęścia, że natłok tych wizji skłębził mu się w potworną antypatię do wojny, do wojskowości, do oręża. Błagą mu się wydało pojęcie o heroizmie bitewnym. Już i przed wojną 1914– 1918 roku ani mundur, ani wojskowość nie były przedmiotem jego admiracji; już i przed wojną żywił np. jakąś dziecinną antypatię do postaci naszego Jana III, nie mogąc mu darować tytułu ani „zbawcy chrześcijaństwa”, ani „wielkiego wojownika”. Tak, ale bolesne doświadczenia chirurga z „punktu opatrunkowego” na dworcu krakowskim ugruntowały w nim totalny antymilitaryzm – działający i retrospektywnie. W połączeniu z jego potrzebą agresji powstał z niego Raptusiewicz z odrazą do „demeszki”. Dowodem tego jego „Ułani Fredrowscy”.

Cześnika w „Zemście”, gdy mu porwano Podstolinę, krew tak nie zalewa, jak zalała Boya przy pisaniu tego rozdziału „Obrachunków”. Indygnacja przede wszystkim na mnie. Ile posiadał werwy, ile drapieżnego dowcipu, ile kunsztu sztuczek polemicznych, tyle tego zużył na rozprawienie się ze mną. Nie można sobie wyobrazić większej żyłki do bijaczki, jak w wywodach tego antymilitarysty. Zostałem mianowany Papkinem, opatrzone mnie wszelakimi zgryźliwościami. W pewnej frazie użyłem wyrazu: „kroćset”, oczywiście w imieniu Fredry czy w imieniu napoleońskich oficerów w ogóle; Boy decyduje się być nieinteligentny i udać, że tej dubstytucji nie dostrzega, byleby tylko móc i z tej okazji „poznęcać się” nade mną. Trudno! skoro to miało mu sprawić przyjemność...

Gorsza sprawa, że przy tej sposobności dostało się i Fredrze. Zacznijmy od szczegółów raczej zabawnych: przecząc, jakoby jakaś rześka aura owiewała fredrowskie komedie, gdy postać wojskowego wkroczy na scenę, Boy w długim wywodzie stara się wykazać, że właśnie wojskowi są martwym elementem w tych komediach. Nie chce widzieć wigoru kapitana Barskiego z „Dwóch blizn”, przemilcza takie iście orzeźwiające widza postacie, jak Major czy Rotmistrz w „Damach i huzarach”, przemilcza istnienie kapelana z tejże komedii – a przecie wojskowa figura jest to arcydzieło epizodu scenicznego – skrywa przed nami jakże barwnych i właśnie rześkość w widza wprowadzających Grzesia i Rembę; zatrzymuje się na kilku figurach oficerów-amantów, ale do tych znowu ma pretensję, że w sprawach miłosnych byli safandułami. Innych, jak np. poruczników z „Lita et compagnie”, gromi znowu, że się łajdaczyli. Trudno „Obrachunkom Fredrowskim” dogodzić, gdy się jest wojskowym. Antypatia do munduru tak w nim nurtuje, że z Majora w „Geldhabie” potrafi zrobić szantażystę.

To drobne faramuszki, dotyczące figur Fredrowskich. Jak wygląda ich twórca w przedstawieniu Boya?

Nie mogąc zaprzeczyć, że autor „Trzy po trzy” kochał się w wojskowości, Boy stara się obniżyć wartość tego ukochania. Oto próbka tej degradacji:

„Jeżeli się pogodzimy z myślą, że porucznik Dorski (...) jest huzarem austriackim (...), zrozumiemy, że sentyment, jaki Fredro ma dla swoich kawalerzystów, był jeszcze bardziej koński niż narodowy”.

Wydało mu się jednak, że był w tym zwrocie zanadto grzeczny dla autora „Ślubów panieńskich”, więc pod koniec rozdziału wyraża przekonanie, że Fredro miał oczy „zapatrzzone w końskie zady”.

Szerzej się zająłem Boyem, ale nie bez powodu: „Obrachunki Fredrowskie” stały się przecie drogowskazem dla młodszego pokolenia fredrzystów i wedle „Obrachunków”

kształtuje się dzisiejsze patrzanie na Fredrę⁶. Z wielu względów zrozumiałe to i słuszne, bo książka zawarła w sobie niejedno cenne spostrzeżenie i wiele zabłądzeń skorygowała, ale jak każda rzecz ludzka musi mieć i omyłki, czego nie mógł uniknąć zwłaszcza tak porywczy temperament pisarski, jakim był Boy.

Jak się naprawdę rzecz miała z militarystycznymi sentymentami Fredry? Czym dla niego był mundur, szlify, szereg wojskowy, towarzysze broni?

Rozpocznę od przypowieści. Kolportowano mi ją w rodzie Fredrów. W jakimi stopniu autentyczna, za to by i moi informatorzy ręczyć zapewne nie mogli, ale – gdy chodzi o Fredrę, możliwa, nawet dla niego typowa:

W „Trzy po trzy” kilkakrotnie wspominany bywa ordynans Fredry z kampanii 1815 roku, ów Onufry, „ciura nad ciury”, peneter aprowizacyjny, żarłok i raczej pacyfista z upodobań. Pamiętacie zapewne, ile Fredro w swych pamiętnikach zaniósł skarg na tego antenata Szwejkowego, ile przeniósł przykrości, komicznych bo komicznych, ale w każdym razie przykrości, jak Fredrze założył za skórę ten Onufry. Ale nic na to nie poradzi: towarzysz broni. W tejże kampanii 1813 roku Onufry dostał się do niewoli rosyjskiej i zawędrował na Kaukaz. Przeszło kilka lat, nasz eks-kapitan przestał już szaleć na karnawałach lwowskich, odbył pokutną kwarantannę w Jaćwiegach, ożenił się, osiadł w Beńkowej Wiszni – i oto razu pewnego meldują mu, że przed gankiem stoi jakiś oberwaniec, który koniecznie się chce widzieć z „panem kapitanem”. Wyjrzał Fredro przez okno, wpatrzył się w przybysza: Onufry!! Postarzały od dni Lipska, wynędzniały, ale to samo drabisko. Co się okazało? Przetrzymywano go do tej pory na Kaukazie, nareszcie go zwolniono. Z Kaukazu dowędrował pieszo do Polski. Dowędrowawszy, dokądże się ma udać? Oczywiście że do swego z 1813 roku kapitana. Zameldować się. Jakimiś przemyślnościami wywiedziały się, gdzie ma Fredrę szukać, i znalazł Beńkową Wisznię.. „Zameldował się” i wyraził życzenie, by mógł być dalej ordynansem przy panu kapitanie. Fredrze żywo stanęły przed oczami wszystkie udręki, na jakie go narażał Onufry, no ale towarzysz broni...

Pozostał Onufry w Beńkowej Wiszni w charakterze nieokreślonym, co zresztą jego wrodzonemu nieróbstwu wcale dogadzało. Gdyby tylko szło o nieróbstwo, to by było pół biedy, ale Onufry za skórę „kapitanowi” zachodził swoją iście molierowską stupidité. Wy tłumaczono mu na przykład, że jeżeli pan hrabia pisze u siebie w gabinecie, to nie należy mu przeszkadzać, bo pan hrabia jest znakomitym pisarzem („ma talent” – wyjaśniał bliżej kamerdyner). Onufry postanowił zastosować się do nakazu, co mniej więcej tak wyglądało: Fredro pisze, może np. pierwszą wersję „Zemsty”, cały się zanurzył w war trudu, gdy drzwi się cichutko otwierają, kto? – oczywiście Onufry. Wszedł, ale daje znak, żeby sobie pan kapitan pracy nie przerywał, on, Onufry, może sobie przy drzwiach poczekać. „Ale z czym przyszedłeś do diabła” – pyta poeta już wściekły, że mu się urwał tok myśli. – „Przyszedłem coś ważnego powiedzieć, ale powiem później, bo nie chcę, żeby pan kapitan talent sobie przerywał, poczekam; jak pan kapitan skończy talent, to wtedy powiem, że na oborze padła ta chora krowa”. – Nieprzebranym zasobem takich historii Onufry doprowadzał Fredrę do desperacji, ale w Beńkowej Wiszni pozostawał, bo to „towarzysz broni”.

Nawet gdyby było wymysłem to wszystko, nie przeczy ono stosunkowi Fredry do jego przeżyć wojennych, do zagadnienia wojskowości i wojny.

Nie zachwycały go rzezie wojenne, to pewne. To tylko wtedy, gdy miał lat szesnaście, w nadzieję bohaterstw „wskoczył jak młody sarniuk na kwiecistą łąkę”. Tutaj – rzecz ciekawa – znowu analogia z Tolstojem: „sarniuk” Fredro jakże przypomina wspaniałe odczuta postać Pieti z „Wojny i pokoju”! Ale ad rem. Już rosyjska kampania 1812 roku umiała mu

⁶ W stosunku wielbicieli Boya np. do „Obrachunków Fredrowskich” jest coś z religijnej, można by powiedzieć, adoracji. Te czy owe zapatrywania przyjmuje się nie tyle z powodu, że są słuszne, ile z powodu, że tak utrzymuje Boy. W konsekwencji za słuszne uważa się i błędy Boya.

kwiecistość łąk przeistoczyć w wizje Gehenny. W „Trzy po trzy” opisy okropności odwrotu napoleońskiego mają siłę wstrząsającego przeżycia:

„Widziałem padających pod koła, a nikt nie pomyślał, aby koła zatrzymać, łamiących lody, tłukących się w otwartych toniach, a nikt ręki nie podał. Widziałem konie gryzące z bólu skamieniałą ziemię, którym jakiś Szylok nowy wykroił (żywemu – przyp. nasz) z uda parę funtów mięsa. (...) Widziałem rannych rzuconych na drogę, bo zdrowszy, silniejszy zapragnął jego szkapy i powózki”...

„Widziałem”, „widziałem”, a dodać by mógł: nie bez zgrozy widzę to i teraz, po tylu, tylu latach. Z praktyki wojennej wie, że klęska pociąga też za sobą upadek moralny żołnierza, wyciska z niego najgorsze pierwiastki charakteru, co we Fredrę bodaj najdotkliwiej uderza.

Tak, to wszystko prawda, ale mimo to wojskowość, a nawet... a nawet wojenność przyciąga go do siebie nieodparcie. Pod starość dni wspomnienia wojaczki słodzą mu gorzki żywot:

„Nieraz, kiedy wracam z polowania, a dojmujące zimno jesienne i dym ścielący się z kartoflanej naci biwak przypomni, zdaje mi się, że mam jeszcze pałasz przy boku, depeszę w zanadru. Mimo woli wyciągam szyję i śledzę okiem, czy droga wolna”.

Po trzydziestu, po trzydziestu kilku latach nie wyżył ze siebie emocji sztabowego kuriera wojennego, pędzącego z depeszami, nieraz po niebezpiecznych przesmykach, kiedy co chwila trzeba było mieć się na baczności, śledzić, czy na drodze nie ma nieprzyjacielskich pikiet. Ileż w „Trzy po trzy” kart poświęca tej kurierskiej służbie! Udaje, że wspomina przykrości, niezdolne niedospania, otłukiwania kości etc., a za ścianą tych słów czuje się, jaką mu radość sprawia, że te „niedole” może znowu pamięcią ożywić. Jak ta spowiadająca się staruszka z anegdotki, której było „miło wspomnieć”.

Oczywiście: gra tu okoliczność, że są to wspomnienia *młodości*, ale nie mniej mu ważne, że młodość ta była młodością żołnierza.

Poddaństwo i zarazem wielkość w służbie wojskowej widział Alfred de Vigny. Dokładnie te same odczucia żyły we Fredrze. Jarzmo drakońskie posłuchu, zupełne nieraz wyeliminowywanie swojego „ja”, tyranstwo władzy, jaką się ma nad sobą, wynagradzała mu z nawiązką wielkość zawodu orężnego. Takim żył dla niej kultem, że – jak w „Lita et compagnie” wyczytać możemy – nawet obcy (tu konkretnie: nawet mundur zaborczego państwa) jest czymś godniejszym od cywilnego ubrania, a „koszary lepsze od comptoiru”.

Nie da się zaprzeczyć, że zbyt łatwo nie przełkamy jego wyznania. Boy w „Obrachunkach Fredrowskich” wyzyskuje je dla nieco demagogicznych (pozornie nie dopowiedzianych) wniosków, ale nie da się zaprzeczyć, że apologia pruskiego munduru nie idzie nam w smak. Dziś zwłaszcza, kiedy hitleryzm takim był dla nas satanistycznym dalszym ciągiem hakatyzmu, a hakatyzm wypromieniowaniem pruskiego ducha. Z drugiej strony jednak nie można przeoczać, że czasu niewoli nie był Fredro odosobniony w swoim poglądzie, że pogląd ten podzielali wcale rozumni ludzie – i nie renegaci. Nie napędzano całego społeczeństwa pod sztandary rosyjskie czy inne, ale – słusznie czy niesłusznie, w każdym razie szczerze – pogląd ten łączono z politycznym programem, z potrzebą posiadania kadry Polaków oficerów na „wypadek” niepodległości polskiej. Nie wiadomo, czy i ten punkt widzenia nie zamknął się w wypowiedzi Fredry w „Lita et compagnie”.

Wypowiedź tę warto poznać w całości:

„O szczęśliwi wy w mundurach!” – do porucznika Polaka w pruskiej armii służącego mówi jego znajomy Polak „w cywilu”. Porucznik odpowiada: „tak, mundur byłby do zazdrości, gdyby był...” – „Rozumiem, rozumiem” – podejmuje „cywil” – „lepszy jednak pałasz niż pióro za uchem, lepsze koszary niż comptoir”.

Wystarczy sobie przypomnieć diatrybę Fredry o duchu kapitalizmu, o handlu etc., by zrozumieć, dlaczego właśnie comptoir wydał mu się czymś gorszym od służby w wojsku zaborczym. To jedno, na co trzeba było zwrócić uwagę. A następnie: niedomówienie, jakie

nastąpiło po słowach: „gdyby (mundur) był”, automatycznie chyba wypełnia się myślą: gdyby to był mundur polski. Czuć wyraźnie, że ten mundur obcy to jakby „zło nieuniknione” w pojęciach militarysty.

No, bo że prawdziwym dla Fredry wojskiem mogło być tylko wojsko polskie, to chyba jest pewnikiem. Wojsko polskie, wszystko jedno jakich epok wojsko, ale, rzecz jasna, szczytem wartości musiała mu być armia Księstwa Warszawskiego, J E G O armia. Niewiele w literaturze polskiej znajdziemy hołdów dla tej armii gorętszych nad ten, jaki w „Trzy po trzy” składa autor pułkowi polskich lansjerów gwardii:

„Jako świadek bezstronny, a świadek, co wiele widział i wiele myślał, mogę śmiało powiedzieć, że dużo, dużo czasu upłynie, nim taki pułk, jakim był pułk ułanów, czyli polskich lansjerów Gwardii Cesarskiej – pułk takich dzielnych żołnierzy, a jeszcze dzielniejszych oficerów, i w takich wojnach wyćwiczony – rozwinie swój sztandar w jakim bądź kraju”.

W jakim bądź kraju”. Nieprędko na świecie znajdzie się taki pułk, jak ten pułk *polski*! Ileż tu się już i narodowej, nie tylko wojskowej zawarło dumy!, „Trzy po trzy” raz po raz wypełniają się uwagami, wspomnieniami, hamowanymi wzruszeniami nad wspaniałością żołnierza polskiego, nad polską Księstwa Warszawskiego armią. Przejmuje Fredrę każdy często militarny szczegół, ale pamiętajmy i o tej scenie w St. Denis, kiedy weterani płakali, że muszą iść w służbę zaborcy. To już nie profesjonalny akcent. Nie profesjonalny też akcent, gdy nam opowiada o dramacie patriotyzmu, jaki oficerowie Polacy przeżywali podczas bitwy pod Lipskiem.

Oczywiście trzeba by niedowidzieć tekstu w „Trzy po trzy”, by nie dostrzec, że patriotyzm wojaka polskiego tym Fredrze miłszy, że to patriotyzm... żołnierski. Bije z kart „Trzy po trzy”, że służba wojskowa była ich autorowi najmiłszą, najbardziej zrozumiałą i najcenniejszą postacią służby dla kraju. Po wyszumieniu swej młodości oddawał się, i to gorliwie, pracom publicznym; gdy się je rozpatrzy, nie można się opędzić wrażeniu, że sprawował te funkcje dlatego, że nie mógł sprawować innych. Innych to znaczy – wojskowych. Z pałaszem przy boku, jak mu to się śniło czasem na jawie.

Jak mu drogą była służba wojskowa nie tylko w swoim wyrazie krańcowym, tj. w bitewności, w harcie, w waleczności, ale i w dniu militarnie powszednim, opowiedzą nam obszernie „Trzy po trzy”. Kulisy dramatu wojennego, dola i niedola żołnierskiej egzystencji, marginesy na karcie historii wojny, opowieść o rzemiośle wojaka czasów napoleońskich, setki drobnych szczegółów z tych zakresów notuje w swojej gawędzie; z tego punktu na utwór patrząc, można powiedzieć, że jest on bezcennym dopowiedzeniem tego, czym nie ma czasu zająć się historiografia wojen.

Rzecz to znamienita, że człowiek, który z powodu swojego uczestnictwa w „wielkiej armii” miał tyle sposobności poznania historycznych postaci i który je poznał, niewiele o nich pisze w „Trzy po trzy”, ale niech mu się tylko podwinie temat munduru, tej czy owej formacji, koloru tego munduru, kroju, wypustek, akselbandów, guzików, butów, galonów itd. – natychmiast się o tym rozpisuje długo i szeroko. Czuje się, jak do końca życia pozostał mu ważny każdy drobiazg dotyczący tego, kto wie, czy nie najwyższego jego umiłowania życiowego. Zestawmy odnośne wojenne fragmenty pamiętników z bąknięciami niejako o twórczości literackiej. Gdyby nie rozżalenie do krytyków, prawie żebyśmy się nie dowiedzieli, że był komediopisarzem.

To mając na uwadze, to bez trudu stwierdziwszy w „Trzy po trzy” – wyprosiwszy pozwolenie u „Obrachunków Fredrowskich” – musimy obstawać przy tezie, że świat wojskowych, oficerów czy szeregowców, ocieplał komedie Fredry. Amanci w mundurach? Amanci Fredrze udają się – i jak! – gdy dla nich pisze komedię, gdy miłość, nie inny motyw, jest decydującą akcją. Tam, gdzie dominował jakiś inny zamiar, więc np. w „Damach i huzarach” lub w „Geldhabie”, amant stawał się konwencjonalną koniecznością – i jeżeli w tych np. sztukach coś go ratuje, to właśnie barwność munduru. A gdy przestają być

komediowymi „formułami miłości”: świat huzarski w „Damach i huzarach”, kapitan Barski w „Dwóch bliźnach”, Pułkownik w „Panu Benecie”, Major w „Panu Geldhabie” – czy tak trudno dostrzec, ile serca ma dla nich Fredro, jak ich faworyzuje w porównaniu z cywilami? A nawet i w „Ciotuni” – czyż ten Edmund mimo wszystko nie góruje nad niewojсковymi? Czy można sobie wyobrazić, by Fredro mundurem obdarzył takie figury, jak Jaś Jowialski lub Janusz z tejże komedii? Czy mamy choć jedną wojсковą postać, która by w zrozumieniu Fredry nieuczciwie postępowała? „Obrachunki” zarzucają młodzieży fredrowskiej, młodym oficerom, że są birbantami. Komediopisarz-realista miałże ich czynić kamedułami? Dla Fredry ważne jedynie, czym poza tym byli: w polu i dla ojczyzny. Wierzy im, że tu go nie zawodzili. Nie każdy miał tak jak Boy bogobojną młodość, gdzie ani w myśli nie powstało grać w karty, popijać i hulać w najszczerzym słowa znaczeniu. Żart na stronę: w swoich uroczych wspomnieniach – „Znasz-li ten kraj” – Boy opowiada, jakim nieuleczalnym, zdawało się, graczem był za młodu, a że nie wylewał za kołnierz, że itd. – to mogę zaręczyć; nie przeszkadzało mu to pozostawać porządnym co się zowie człowiekiem i wyrosnąć w chlubę literatury swoich czasów. Może i porucznicy np. z „Lita et compagnie” nie zaprzeczają się moralnie.

7

Niemale zdumienie wywołał Anatol France, gdy wydał swoje wspomnienia z lat dziecińczych; zdumienie z rzewności, jaką ten zimny – wydawałoby się – ironista, a nawet szyderca owiał pamięć o swoim „kraju lat dziecińczych”. Niemniejszą niespodziankę sprawia nam Aleksander Fredro, ten „patentowany” wyśmiewnik komizmów szlacheckich, organiczny w piórze humorysta, gdy w „Trzy po trzy” zejdzie na temat swojego dzieciństwa, domu rodzicielskiego, „niebieskiego pokoiku”, w tym starym, niepokąznym beńkowowisznieńskim dworze, gdy wspomni zabawy z rodzeństwem, gdy wspomni choćby swoje chłopięce, niepowrotne istnienie. Ileż się w tym zamyka tkliwego, niewieściego wzruszenia, u rębacza spod Hanau wprost niewiarygodnego. W ślad za swoim gorczym z „Odludków i poety” Astolfem Fredro powtórzyć może: „I mnie w Arkadii pierwszy dzień zabłysnął” – i błogości tej Arkadii nigdy nie zapominał.

Czy nie bezpośrednio z tym odcinkiem uczuciowości łączy się we Fredrze, zwłaszcza we Fredrze-komediopisarzu, znamieny sentyment do starych ludzi, a do starych sług przede wszystkim? W ziemiańskich domach z epoki fredrowskiej, licznym napełnionych potomstwem, wychowanie bębów zdawane było niemal wyłącznie piastunkom. Wśród nich najcenniejszymi stawały się te istne laureatki konkursu cierpliwości, które potrafiły i drugą, a zdarzało się, że i trzecią generację w danym rodzie niańczyć. Mamy w „Trzy po trzy” z miłością sportretowaną taką postać, starą wychowawczynię dziewięciorga – zdaje się – Fredrzątek z Beńkowej Wiszni. Bodaj że utrafię w prawdę, gdy wyrażę przypuszczenie, że z jej to rysów i z jej serca powstała galeria „ciepłych” staruszek i starców w komediach Fredry: babunia Jowialska, panna Figaszewska, Dyndalski, Krupkowski z „Przyjaciół”, stary sługa z „Cudzoziemszczyzny” itd.

Nie powstanie w nas modlitewny, tak by to może trzeba nazwać, stosunek do „kraju lat dziecińczych”, jeśli nie jest on częścią ogólnego wysubtelnienia uczuć. Nie w jednym miejscu „Trzy po trzy” – i to wbrew intencjom autora – zaświadcza nam, jaka czułość, jaka wyostrzona wrażliwość kierowała emocjami Fredry. Wystarczy zapamiętać sobie, jak bolesnym – może dozgonnie bolesnym – urazem stała się dlań chwila, kiedy jako reporter sądu wojennego musiał pewnemu żołnierzowi zanieść wyrok śmierci. Cytowaliśmy w jednym z poprzednich rozdziałików, ile *wstydu*, ile *żału* żyło we Fredrze z tego powodu, że w czasie odwrotu 1813 roku w pasji uderzył swego ordynansa. Czy wielu było w tej czy w innej wojnie oficerów jakiegokolwiek armii, którzy by w ogóle pamiętali podobny swój uczynek?

Fredro nie tylko go ze skrucłą pamięcią, ale i po latach notuje: „Wierzcie mi, moi państwo, że tej czynności przebaczyć sobie nie mogę”. Albo znowu taka scena: Jest bitwa pod Hanau, jedna z bardziej zażartych w 1813 roku, Fredro ze sztabowej służby zdołał się włączyć w walczący szereg i rąbie się tak, że za tę „robotę” podają go do orderu. Na pewno nie miał wolnej głowy na nic, co nie było najważniejsze. I oto pocisk armatni trafia w jego wierzchołek, biedne zwierzę musi zginąć. „Dopiąłem mantelzak, wyjąłem pistolety, ściągnąłem munsztuk i, nie wstydzę się powiedzieć, że łzami w oczach objąłem i przycisnąłem do piersi ten łeb bułany, co się ku mnie zwracał, (...) oglądając się wzajemnie na siebie, rozstaliśmy się na zawsze”. Nawet krwawy odmet bitewny nie przygasił w nim tej wrodzonej potrzeby czułości. Pomyślcie, Czytelnicy, na jak kontrastowych podglebiach wyrastały wyśmiewność, komika, humor jego komedii.

Ta rzewność w usposobieniu sąsiadowała, niestety, z przeczuleniami. Kto go zna tylko z ostrości jego komedii, kto nie przeczytał „Trzy po trzy”, ten by może na słowo nie uwierzył, że autor „Gwałtu, co się dzieje”, „Jestem zabójcą” czy „Lita et compagnie”, autor takich hucznych fars, oddychał psychicznie smutkiem, melancholią, rozgoryczeniami – i to niemal wyłącznie bezpowodnymi. Zaznał co prawda w życiu ciężkiej krzywdy, jaką były słynne krytyki jego twórczości – najpierw surowa, ale stosunkowo przyzwoita krytyka Goszczyńskiego, a potem, owa bezimienna – nie krytyka już, lecz napaść piórem w poznańskim „Tygodniku”. Czy krzywda aż tak wielka, by po niej nie pozostawało nic innego, jak tylko „łamać pióro” i nic ze swojej twórczości nie ogłaszać do końca życia? A jednak Fredro tak właśnie postępuje. Za winę Goszczyńskiego i nieznanego pismaka nakłada karę na całe społeczeństwo. Jeżeli społeczeństwo chciał karać, to za co? Tu pozwolę sobie wysunąć hipotezę, może zresztą już i przede mną przez kogoś wysuniętą: gdy ta, zwłaszcza z „Tygodnika” poznańskiego nikczemna krytyka stała się znaną, Fredro mógł oczekiwać, że przecież znajdzie się ktoś, kto podejmie walkę z napastnikiem, kto upomni się o dobre imię artystyczne twórcy „Ślubów panińskich”. Czekał. Nie doczekał się. W całym społeczeństwie – ani jednego rodaka, którego oburzyłaby ta niebываła niesprawiedliwość, to „hultajstwo” tchórzliwego „kreta”?! Stąd porywczy wniosek rozboleiałych uczuć: czy warto tworzyć dla takiego społeczeństwa? Nie trudno się domyślić, ile razy później ponosiła go chęć, by przerwać milczenie, by dać teatrowi którąś z tych konspiracyjnie pisanych komedii, ale twardy „Milczek” zwyciężał siebie – trwał w uporze. Tak dramatycznie umiał się rozgoryczać.

No tak. Krytyki Goszczyńskiego i innych⁷ mógł mimo wszystko uważać za dramat swego życia. Ale poza tym?

Od losu w bezcennym darze dostał pamięć o zacnych i godnych kochania rodzicach, dostał w darze zdrowy organizm, inteligencję i błogo spędzone dzieciństwo. Dane mu było walczyć o niepodległość ojczyzny. Zyskał tyle mu drogą chwałę żołnierską. W dojrzałych latach sprawował obowiązki publiczne, które tylko wybranym powierzano. Cieszył się niezależnością majątkową. Mógł pracować w wybranym i umiłowanym kierunku twórczości. Obdarzano go szacunkiem i wyróżnieniami za działalność obywatelską, a w widowniach teatralnych gromkim uznaniem za twory jego pióra. Poślubił kobietę, którą kochał, przez którą był kochany. Otoczony był gronem uwielbiających go dzieci i wnuków. Tylko pławić się w szczęściu. A jednak?

Jednak wystarczy wynotowywać w „Trzy po trzy” ustępy, w których Fredro mówi o sobie i swoich stosunkach z ludźmi – a powstanie istna litania źle utajonych skarg, narzekañ, rozboleń, skrytego cierpienia. Spod warstwy humoru, spod warstwy ukochanych wspomnień, czy to z wojaczki, czy to z lat dzieciństwa – niemal że lejtmotywowe zachmurzenie,

⁷ Tu trzeba zwrócić uwagę, że niechęć krytyki literackiej do Fredry nie ograniczała się do niewątpliwych wypowiedzi Goszczyńskiego czy anonima z poznańskiego „Tygodnika”. Tak np. w ocenie w „Encyklopedii” Orgelbranda (rok 1875) Fredro ukazany jest jako komediopisarz miernej raczej klasy.

wyrywające się akcenty smutku nie dopowiedziane, ale dające się odcyfrować pretensje o jakieś duchowe nieporozumienia z bliźnimi, gorycz niezrozumienia, ból serca, które garnęło się do ludzi i było jakby odtrącone.

Rzecz jasna: nie znamy żywota Fredry na tyle, by *tak* czy *nie* móc powiedzieć na temat, czy istotnie zaznawał podobnych a bolesnych rozczarowań, ale właśnie z „Trzy po trzy” można wywnioskować, że w autorze „Odludków i poety” działało jakieś z pogranicza chorobliwości przeczulenie. Dowodów na to znajdziemy dość np. na kartach, gdzie opisuje dzieje swojej niewoli w 1812 roku w Wilnie. Ile tam słów poświęcono jakiemuś durniowi, który go nie dość uprzejmie przyjął. Skończywszy z nim, Fredro przytacza kilka, jeśli nie kilkanaście, nazwisk ludzi innych, którzy go otoczyli opieką, sercem, pomocą jak najdalej idącą; mnogość tych nazwisk nie pomaga: w pamięci Fredry pozostał tylko ten jeden negatyw i stąd wysnuwa generalizujące spostrzeżenia, jak wojskowy niczym się w oczach ludzkich staje, gdy zdejmie mundur (?). Bolesna pamięćliwość przeżyć przykrych. Niewątpliwie i przerost miłości własnej.

Tak czy owak, ten „automutyizm” psychiczny, ta skłonność do zadawania sobie ran moralnych w mizantropa przetworzyła dawnego wojaka i dawnego birbanta. W Beńkowej Wiszni pokazywano mi w parku *ustronne* miejsce, gdzie Fredro lubił przebywać godzinami sam ze swymi myślami, ze swą samotniczą filozofią. Tu go nie wolno było nachodzić. Otaczał się jakąś aurą obronną przed ludźmi. „Starym jeżem” nazywano go wśród bliższych znajomych. Że to usposobienie było cechą raczej wrodzoną niż nabytą, o tym świadczy to, o czym sam w „Trzy po trzy” wspomina, że w rodzeństwie swoim jako małe dziecko tak się wyróżniał jakąś powagą, jakimś brakiem rozbawienia, iż zyskał miano staruszka. Elektryczność młodości przewalczyła staruszkowatość dziecka, ale gdy młodość minęła, wrodzone skłonności doszły do głosu i obrosły kolcami.

Co jednak w tym wszystkim znamienne, to jakby niezależność jego twórczości od jego usposobienia. Nie mówię tu o okresie „Dam i huzarów” czy następnym okresie „Ślubów panińskich”, bo werwa ówczesnych jego komedii żyła z kapitału roztętnionej młodości, mówię natomiast o „Panu Benecie”, o „Dwóch bliźnach”, „Rewolwerze” czy „Wielkim człowieku do małych interesów”; pisał je Fredro w latach swego zachmurzenia, w latach swego sposepnienia. Czy z uciśnionej wegetatywności Beneta, czy z wodzostwa Jeniakiewicza, czy z farsowych perypetii „Rewolweru”, z przezabawnego „Florka”, z „Ożenić się nie mogę”, a zwłaszcza z wigoru kapitana Barskiego czy Zdzisława Beneta mógłby kto wyczytać pesymizmy autora powstające w nim natychmiast po odłożeniu pióra? I na odwrót: jaką że zagadkową władzą *odludek* staje się optymistycznym *poetą*, gdy pióro ujmie w rękę?

8

Zagadnieniem komediopisarskich właściwości Fredry zakończyliśmy rozważania nad jego wrażliwościami i przewrażliwieniem. Zagadnieniem komediopisarskim Fredry chcemy też zakończyć tę przedmowę. Chcemy się zająć problemem – co w „Trzy po trzy” da się wyczytać o komediach Fredry i jego talencie? Czyli: co się w „Trzy po trzy” da wyczytać o tym, czego on w nich nie porusza...

Przede wszystkim, ile tu można znaleźć surowca dla figur znanych nam z komedii naszego autora? Zdaje mi się, że nieoceniony Onufry wprost się prosi, by go widzieć w Kasprze z „Nikt mnie nie zna”; przecież ten Kasper takim samym staje się utrapieniem dla sławetnego pana Ziembę, jakim Onufry był dla Fredry na postojach i w marszu w czasie kampanii w 1813 roku. Dalej: owa panna Aniela Trembicka z salonu generałowej Kamienieckiej, znana „raporterowi wtórego sądu wojskowego” w Lublinie, niejakiemu Aleksandrowi Fredrze, tak lubo jeszcze po latach w tychże w „Trzy po trzy” wspomniana – to za mazury, to za urocz

ciuciubabki i inne towarzyskie gry – nie bez łączności chyba pozostaje z Anielą ze „Ślubów panińskich”, żyjącą i „ślubującą” w ziemiańskim dworze gdzieś bardzo blisko rzeczonoego Lublina. Obszernie w tych pamiętnikach opisana figura pieczeniara i blagiera Krzyżanowskiego dobrze się przysłużyła – to już we fredrologii zanotowane – przy tworzeniu Papkina z „Zemsty”. Warto by jednak zauważyć, co Fredrę nade wszystko w kłamstwach Krzyżanowskiego czy innych „koloryzatorów” uderzało, co mu te kłamstwa czyniło niejako dziełem sztuki? Oto *poezja* tych łgarstw, jak mówi, a więc prawdziwa twórczość, wiara kłamcy w swoją blagę. Zdaje mi się, że to powinno być wskazówką dla odtwórców Papkina na scenie.

Gdybym się nie bał, że otwieram kran, z którego może się polać woda w postaci „przyczynków” – „szlachcic Kitajgrodzki a Raptusiewicz”, zaryzykowałbym luźną uwagę, że gdyby nie pierwiastek „wścibstwa” w charakterze tego sanockiego awanturnika, to mógłby on przydawać się Fredrze przy tworzeniu Cześnika. Coś jest w tej figurze z gwałtowności bohatera „Zemsty”.

Od tego surowca w pamiętnikach zawartego, od tej prototypii Fredrowskich figur komediowych ważniejsze będzie: ile nam „Trzy po trzy” dają spostrzeżeń o talencie komediopisarским autora „Pana Jowialskiego”.

Nie znajdziemy tu, w pamiętniku, wirtuoza słowa. Przeciwnie, w wielu ustępach czuje się, że brak tu łatwości wysłowienia się. Niejedno powiedzenie prosiłoby się o jaśniejszy tok słów. Nie w stylistyce spoczywa artyzm „Trzech po trzy”, lecz w urzekającej prostocie, która jednak nigdy nie przechodzi ani w wulgarność, ani w bezkolorowość zdania.

To, na co przede wszystkim należy zwrócić uwagę, to umiar uczuciowy, jakim się wypowiadają oddawane tu emocje. Nie mówiąc już o emfazie, której śladów na próżno by szukać, nie natrafisz w „Trzy po trzy” na żadną gromkość słowa, na żadną jaskrawość obrazu. Fredro woli nie dopowiedzieć, niż podnieść głos. Nadaje to całości wspomnień urok bezcennej dyskrecji artystycznej. „Trzy po trzy” – prywatny margines wielkiej epopei – pilnie baczy, by żaden patos nie spłoszył mu czaru tej wielkości. Poprzez dyskrecję „Trzy po trzy” zrozumiemy niejeden akcent umiaru, ściszenia w komediach Fredry. Umiar i jeszcze jedno: organiczny zmysł komizmu.

Weźmy dla przykładu ową scenę, kiedy Fredro jako kurier zawozi merowi gminy Fontainebleau wieść o zwycięstwie pod Montereau. Następuje opis wzruszającej sceny, jak ten francuski bourgeois, od pół roku bez mała karmiony hiobowymi dla Francuza wieściami: Moskwa, Berezyna, Lipsk – dostaje nareszcie z rąk Fredry wiadomość o zwycięstwie pod Montereau; cytowaliśmy fragment tej scenki, przytoczmy ją w całości, bo właśnie całość nam będzie potrzebna:

„O, czcigodny burmistrzu! Jakże pięknym byłeś w tej chwili! Pamiętam twój nos, pamiętam kwiaty twego szlafroka. Widzę cię, kiedy sparty jedną ręką na urzędowym stole, spuściłeś drugą z listem aż do kolana i wzniosłszy oczy ponad okulary zapłakałeś z radości. Aktuariusz także zaczął mrugać, a czy tam czego nie wycisnie”...

Wniknijmy w kunszt kompozycyjny. Piękno uczuć patriotycznych tego pocziwca burmistrza jest oddane w obrazie jego łez, ale opisujący tę scenę nie chce, by piękno patriotyzmu przybrało barwę czy to ekliwości, czy patosu; więc jakże misternie wplatają się tu szczegóły humorystyczne: nos, niespodziewanie wyskakujący z uroczystego nastroju, ów kancelista, który czuje, że *powinien* płakać, *skoro przełożony płacze*, a łez znaleźć nie może. Urywek jakże świetnej sceny, gdzie rzewność miesza się z humorem! A równocześnie jakże znamienity tłumik nałożony na rwące się do głosu uczucia! Ile w tym wszystkim dyskrecji! Pozwolę sobie zauważyć: Jerzy Szaniawski w ziarnie. Oczywiście Jerzy Szaniawski na swojej ironicznej krawędzi. Ta jedna króciuteńka scena powiadamia, ile jeszcze innego rodzaju komediopisarstwa, nie tylko tego, które znamy, spoczywało w zapleczu „Zemsty” czy „Pana Jowialskiego”.

Ile przy tym wyteżonej spostrzegawczości i ile zdolności zapamiętywania szczegółów. W chwili doręczania owej depeszy burmistrzowi w Fontainebleau Fredro był tak śmiertelnie znużony, że ani się spostrzegł, kiedy zasnął w „wolterowskim fotelu”; a mimo to znużenie, zmysły jego, zwłaszcza wzrok, pracują z całą świeżością i zapisują w pamięci każdy szczegół, każdy ruch. Prawie zawsze zdolność ta przeistacza Fredrze obserwację w komizm. Oto opisuje, jak zasnął gdzieś na postoju – i teraz: co robić? Szkicuje samego siebie i swoją figurę w tej kłopotliwej chwili: „Podniósłszy głowę patrzyłem w górę jak gracz wistowy, który chce przypomnieć sobie, czy siódemka jest *carte-fort* albo nie”.

Kapitalne podpatrzenie wistowego gracza w chwilach „pracy mózgu”, a następnie, jaka świetna karykatura od ręki machnięta! Niemal że tę karykaturkę widzimy już narysowaną, niemal że ją widzimy na scenie zagraną! Tu się poznaje twórcę Papkina, twórcę Kaspra z „Nikt mnie nie zna”, Kapelana z „Dam i huzarów”, Albina ze „Ślubów pańskich”.

Czasem, jakby od niechcenia, rzekłbyś – wstawionym jakby umyślnie niepozornym słówkiem, wyciągnie humor sytuacji, jak np. w owym opisie, kiedy to adiutant Szumlański, obudzony, ujrzał niespodziewanie Fredrę: „Ziewnął i uściskał mnie”. To ziewnięcie przed potrzebą serca zrealizowane starczy dla brawa z sali widzów.

Jak skrzat między światem ludzkim, tak humor wije się w tych pamiętnikach między liryzmem, zadumą, smutkami i cieniami życia. Nie bez znaczenia będzie tu okoliczność, że najczęstszym przedmiotem drwiny Fredry staje się on sam, Fredro, zwłaszcza Fredro-wyrostek, Fredro-młodzieniec, Fredro-wojak w zabawnych sytuacjach. Zrozumiemy tu łatwiej Ludmira z „Pana Jowialskiego”, który groby by otwierał, gdyby miał nadzieję, że w grobach tych znajdzie ziarenko komizmu.

Nie aż grób, ale widmo dramatycznych przejść groziło kapitanowi Fredrze, gdy w roku 1813 w Dreźnie zaplątał się w historię, po której miałby nastąpić sąd wojenny – z nim, z kapitanem Fredro, jako podsądny. Pełen porządnego „pietra”, mocno struchlały, idzie po radę do życzliwego mu generała Bleszyńskiego. „Generał słuchał mnie i golił się razem”. I tu następuje scena, którą by należało scenicznie zredagować i grywać na wieczorach fredrowskich. Osoby działające: 1. golący się generał, 2. petent, będący zarazem materiałem na komediopisarza. Osoba nr 1 chciałaby jak najserdeczniej wysłuchać wynurzeń osoby nr 2 i nawet jakoś pomóc Jej, ale – lubi być dobrze wygolona, więc zmusza się do współczucia, jednak 99 procent uwagi poświęca balwierskiemu zadaniu; bąka, że źle może być z Fredrą i „podstruguje sobie wąsiki”; „źle! hm, hm... bardzo źle” i – „wypycha językiem górną wargę”, by brzytwie pracę ułatwić, „nie ma co żartować” i – „nadyma policzki wykrzywiając twarz”. Z tego zestawienia sprawy gardłowej, ale sprawy *cudzej*, i golenia policzka *własnego* – nawet średniej miary aktor potrafiłby zrobić scenkę „na brawo” – i na jakie brawo!

Nie mniej interesującą i z dalszymi perspektywami jest osobnik nr 2. Przyszedł do generała przejęty strachem, nie byłoby dziwne, gdyby to był strach co nieco onieprzytomniający, a w każdym razie strach, który każdemu innemu osobnikowi całość rzeczywistości koncentrowałby na tym jednym zagadnieniu: „co ze mną będzie?” Ale osobą nr 2 jest urodzony komediopisarz, więc poprzez wszystkie „spietrania”, strachy, niepokoje przedziera się nieposkromiona potrzeba nakarmienia się *humorystyką* sytuacji i dobrego zanotowywania sobie tego w pamięci.

*

Jeszcze tylko kilka zdań o „Trzy po trzy”, jako pozycji w literaturze polskiej. Swojego czasu uległem zapewnieniu Fredry, że pamiętniki te pisał bez intencji wydawania ich drukiem. Jeżeli nawet i tak było w miesiącach, kiedy je kreślił, to z biegiem lat zmienił zamiar, bo w propozycjach, jakie zostawił, dotyczących pośmiertnej edycji dzieł – figurują też i „Trzy po trzy”.

Gdy się po śmierci Fredry ukazały po raz pierwszy, w roku 1877 w „Gazecie Polskiej”, a w roku 1880 w książce, nie wywarły większego wrażenia ani w krytyce, ani u publiczności. Wrażliwość czytelnicza, przyzwyczajona wówczas do orkiestralnego raczej brzmienia wszelkich uczuć, nie umiała docenić uroku opowieści jakby półgłosem wypowiedanej, a zawód sprawiało niejako prywatne widzenie rzeczy historycznych.

Przewrót w ustosunkowaniu się do tej książki nastąpił dopiero, gdy w roku 1917, a potem w 1922 Gebethner i Wolff wznowili ją. Okazałość edycji, mnogość ilustracji, szata zewnętrzna, którą i wydanie obecne w całości powtarza, przyczyniło się na swój sposób do dobrego przyjęcia, ale ponad tę przyczynę decydująco wybijał się powód ważniejszy: zmiana smaku czytelnika polskiego.

Można by powiedzieć, że historia tego smaku szła u nas drogą Jana Kasprowicza: od *hymnów* do księgi *ubogich*. Od adoracji monumentu do rozmiłowania się w miniaturze. „Trzy po trzy” po pierwszej wielkiej wojnie doczekały się po prostu *swego czasu*. Czytelnik nie bez zdumienia stwierdził, że w połowie XIX wieku rzecz pisano zmysłem artystycznym wieku już XX. Stąd aż niespodziewana fala sukcesu, stąd w krytyce zarejestrowanie „Trzech po trzy” jako jednego z najcenniejszych dzieł w pamiętnikarstwie polskim.

Aleksander Fredro

TRZY PO TRZY

Ośmnastego lutego, roku 1814, jechał na białym koniu człowiek średniego wieku, nieco otyły, w sieraczkowym surducie pod szyję zapiętym, w kapeluszu stosowanym bez żadnego znaku prócz małej trójkolorowej kokardy. Za nim, w niejakiej odległości, drugi, znacznie młodszy, także w surducie, ale ciemnozielonym, także w kapeluszu bez znaków, także zgarbiony równie jak pierwszy, a może i lepiej – siedział na dereszowatym koniu. Koń biały, krwi orientalnej, był niewielki, niepokąźny, ale dzielny. Deresz zaś był... dereszowaty, trudno co o nim więcej powiedzieć; nie wstrzymywany ani sławą przodków, ani swoim własnym usposobieniem, potykał się często na drodze, którą mu los codziennie wyznaczał. Pierwszym z tych jeźdźców był Napoleon, drugim byłem ja. Między nami liczny sztab cesarski, gdzie ja niby na szarym końcu miejsce moje miałem, rozpuścił szeroko skrzydła na prawo i na lewo po śniegiem okrytym polu. Za nami postępowały służbowe szwadrony gwardii, a na samym końcu świergotliwa i niesforna czereda ciurów z powodnymi i jucznymi końmi sztabowych oficerów. Jechał więc Cesarz, jechali wszyscy, jechałem i ja. A ile w noc pogodną gwiazd na niebie, w tyle miejsc, stron, przedmiotów, nieodgadnionych labiryntów pędziły rozstrzelone myśli nasze – a każda z nich znowu, jak racy słup ognisty, składała się z milionów iskier, iskier wspomnienia lub nadziei. Te padały to na tronowe kobierce, to na murawę zagrody rodzinnej – mieszały się z jarzącym światłem uczty albo z mdłym promykiem nocnego kagańca przy łożu chorego. Niejedna przemknęła się po różanych ustach kochanki, niejedna spuściła się jak sen lekki po tak drogie w każdej porze życia błogosławieństwo matki. Były takie, co przebijały niebios sklepienia, i takie, co wnikały w zasute już groby. Wiele, wiele pięło się po szczeblach zaszczytów, bogactw, sławy, ale też i wiele spadało na kwiaty cichego domowego szczęścia. Słowem, przeszłość, obecność, przyszłość, świat, światy znane i nieznane były polem igrzysk naszych rozstrzelonych myśli, gdy nagle, w mgnieniu oka, wszystkie jedną siłą uderzone, w jeden zbiegły się punkt. Tym punktem był huk mocny i powtórzony w niezbyt dalekiej przed nami odległości. – Armaty! tak armaty, nie ma wątplenia, ryczą coraz lepiej jak na wyścigi, która głośniejsza... wkrótce i ogień karabinowy, jakby kto groch sypał na bęben, zapełnił przerwy grzmotu działowego. – Aha! – rzekł niejeden i zaglądnął do manierki, alias flaszki. – Aha – powiedział, ale nic nie wiedział, kto atakuje, kto odpiera, czy to korpus jaki, czy też armia cała taniec rozpoczyna, szary koniec nic nie wiedział. – Biją się... daj Boże szczęście, to *quotidianka* nasza, ale dlaczego tu – nie tam, dziś – nie jutro, nad tym nikt się nie zastanowił. Podówczas krytyczny rozbiór każdego rozkazu, każdej czynności przełożonego nie był koniecznym zadaniem podkomendnych. Wojsko nie sejmowało, ale się biło. Starszy zdawał sprawę tylko swojemu starszemu, a młodszy słuchał z ufnością i działał, jak mu kazano. Ale *tempora mutantur et nos mutamur in illis*. Może i to prawda, że kto siwieje, ten traci duszę, jakby mu ją kto łupał trzaska po trzasce, tak że na koniec zupełnie bez niej zostanie... może prawda, że rozważa tylko hamuje, doświadczenie tylko płacze niepotrzebnie... może prawda, że krew młodością wrząca jest jedną i jedyną dźwignią wszystkiego, co dobre i wielkie... może nareszcie i to prawda, że tylko głupcy, próchna, stare peruki i szlafmyce pytają, jaki czego koniec być może. – Tak jest, wszystko to mogą być prawdy, ale mnie wolno tym prawdom nie wierzyć. Lubom przeszedł pięćdziesiątkę, żał mi abdykować praw człowieka, już bym skłonił się raczej włosy sobie poczernić.

A więc, jak mówił Kiliński, nikt wkrótce nie wątpił, że bitwa przed nami, a my ku niej idziemy. Rzeczywistość, jak ów jesienny wietrzyk o wschodzie słońca, co to ożywia, ale i ćwiczy razem, odpędziła od nas chmurę marzeń, która zwykle osiada na jednostajnym ruchu

spokojnego marszu. Każdy wstrząsł się jak ze snu i pomyślał o sobie. Ten, co w troje zgarbiony dzwonił ostrogami po spuszczonej strzemionach, i ten, co chcąc odpocząć strudzonej części ciała, zsunął się na bok tak, że jedną nogą olstrów sięgał, a na drugiej stał prawie, poprawił się na kulbace, jak gdyby usłyszał komendę: Bacznosc! Ten ścisnął podpinkę czaka lub kapelusza, tamten cugle porządkował i szlufkę do grzywy przysunął, a każdy odkrył zasłoniętą płaszczem rękojeść pałasza, opatrzył ją, a potem wzniosłszy głowę, zdawał się wietrzyć, nim jeszcze zoczy, co go witać będzie.

Nareszcie pokazał nam się dym biały, a wkrótce postrzeegliśmy czarne linie piechoty. Długie, krótkie, naprzód wysunięte, w tył cofnięte, odbijały się od śnieżnego tła jak świeżo wysypane przekopy, tylko wkoło nich objawiało się życie nieustannym ruchem drobnych punkcików, jak mrówek koło mrowiska. Nikt tam pewnie nie drzymał, nikt nawet nie dumał – nigdy życie raźniej i jaskrawiej nie gore jak ze śmiercią oko w oko i częstokroć jego mocniejsze łyśnięcie bywa ostatnim.

Na pierwszy rzut oka można było poznać, że nie przybywamy na początek boju. Wiatr przeciwny czy ciężkie powietrze, czy też położenie kraju albo może i wszystko razem było przyczyną, dlaczegomy tak późno zasłyszeli huk dział. Była to niespodzianka... i dobrze!... we wszystkim trzeba odmiany i nowości, aby żyć wesoło.

Z lewego skrzydła wstępujemy do boju... *Vive l'Empereur!* Linie ściskają się w masy... działa schodzą z pozycji... ruch ku prawemu... potem kolumny rozwijają się znowu... baterie stają w oddziałach... strzelamy, atakujemy, zwyciężamy... Montereau w naszym ręku. Zwinęliśmy się gracko, nie ma co mówić, ale miał się też z pyszna pan marszałek Victor za to, że nas w tym dziele nie uprzedził. Powiedział mu Cesarz parę słów, które należałoby powtórzyć tak jak wszystko, co wyszło z ust tego wielkiego człowieka, bo każdy je słucha albo czyta chętnie, ale Cesarz, aczkolwiek cesarz, miewał czasami wyrazy dobitne wprawdzie i właściwe, i węzłowate, trudne jednak dla historyka do powtórzenia, a tym więcej do przetłumaczenia. Trzeba więc ograniczyć się w podobnym razie na wolnym naśladowaniu, tak też i ja uczynię mówiąc, że po bitwie pod Montereau Cesarz powiedział panu marszałkowi: Idź do diabła! – A po tej krótkiej przemowie powierzył komendę korpusu generałowi Gérard. Nim się to wszystko stało i nim ja się o tym dowiedziałem, bateria artylerii konnej gwardii z ogrodu pałacu Surville, dominującego miasteczko Montereau, równie jak i drogi, którym wypędzony cofał się nieprzyjaciół, zegnała go, jak mogła najlepiej. Wie każdy, że tam Napoleon sam wymierzył jedno działo, wie, że powiedział swoim gwardzistom: „Nie lękajcie się, jeszcze kula nie ulana, która mnie zabije”, ale nie wie pewnie, że o kilkadziesiąt kroków z tyłu stał deresz, a na deresz ja.

Chcąc wyrazić doskonałość jakowej czynności, mówią zwykle: Zrobił to lub owo jak król! Ale źle mówią ci, co tak mówić zwykli, bo nie tylko król, ale cesarz i król w jednej osobie wymierzył, strzelił i... chybił. Kula padła przed linią nieprzyjacielską. Utrzymują wprawdzie niektórzy, że dobrą dał dyрекcję... być może... ale ja, nie rezonując jako artylerzysta, powiadam *simpliciter*, com widział, że Jego Cesarska Mość spudłowała na piękne.

Po tej scenie nastąpiła druga. Oficer z pułku liniowego francuskiego, Polak, przyniósł zdobyty sztandar – dostał krzyż i czterdzieści napoleonów. Mało kto w życiu bywał tak mocno tureckim świętym jak ja, a jednak pieniądze jako część nagrody świetnego czynu, nie podobało mi się wcale – byłem jeszcze młody!

Mieć konia mniej roztargnionego jak mój deresz... mieć dobry płaszcz... (O mój płaszczu biały!) płaszcz przyjaciel w dzień, opiekun, dobrodziej w nocy, kiedy pniaczek za poduszkę, śnieg za materac służy... mieć nareszcie flaszeczkę zawsze napelnioną kroplami pociechy – są to rzeczy arcydobre, tego nikt nie zaprzeczy, równie jak i tego, że bez tych podłych pieniędzy miejsca mieć nie mogą. Wychodzisz spod dachu, gdzie wygodnie noc przespałeś... poranek letni... koń twój dobrze nakarmiony i wychędożony strzyże uchem, grzebie nogą... siedzisz na nim ledwie tknąwszy grzywy i strzemienia... Marsz! Wstępujesz do boju. Przed tobą rzeka, za

rzeką bateria sypie kartaczami. Za mną, dzieci! W Bogu wiara! Rzeka przepłyniona, działa zdobyte, zwycięstwo nasze! Czyn świetny, wart nagrody, ale ty rozwinąłeś tylko przy pomyślnej sposobności władze, które jeszcze nietknięte w tobie leżały. Padły na szalę z jednej strony obawa kalectwa lub śmierci, z drugiej męstwo rozgorzałe całym ogniem krwi, całym zdrowiem życia, musiała więc obawa ulecieć, nie objawiwszy się nawet. Ale patrz no na tego, co po kilkomiesięcznej, codziennej walce z głodem, zimnem i wrogiem odtrąca resztę skopciałego snopka spod pyska zgłodniałej szkapy... wznosi się na kulbakę, pod którą ścierva już nie ma... odwiją szczątki płaszcza... chwyta za rękojeść, którą deszcz zardzewił, szron posrebrzył... a jeżeli on zadziwi cię świetnym czynem, oddaj mu twój wieniec, bo go dwójako zasłużył. Jeżeli zaś dobrowolnie poświęcił się dla dobra ogólnego, uklękniij na jego mogile, godzien czołobitności. – Tak widzieliśmy saperów francuskich wstępujących w przełamane lody Berezyny. Oni, naprawiając załamane mosty, życie swoje za pomost kładli... dobrze o tym wiedzieli, a jednak nie cofnęli kroku. Nie mieli do wzniesienia swojej odwagi nawet oporu nieprzyjaciela... nie mieli na oku progów ojczystych, skądby pożegnanie towarzyszyło ich męczeństwu. Poginęli w śniegach litewskich lub więzieniach wileńskich. Niewdzięczna ojczyzna nie podała nawet ich imion potomności. Jeden z nich tylko wrócił do Francji i na własnej grzędzie pędził w niedostatku dnie starości i cierpienia. Napoleona już nie było.

Wszystko musi się skończyć, mawiał Ludwik XV, bodaj mu Bóg tego nie pamiętał – skończyła się więc i bitwa pod Montereau. Jeszcze na dobranoc dwie kule wirtemberskie przeleciały gdzieś wysoko ponad nasze głowy i jak słonki na wiosnę zapadły w grabowe szpalery. Wszystkie te kule puszczone *à toute volée* są zawsze pod adresem ciurów i bywały dla naszych jeszcze cięższą Boską plagą niż sam marszałek Lefèvre. Jeżeli gdzie w ciasnym miejscu lub na wąskim mostku przechód został zatamowany, a Lefèvre nadjechał – kropił bez litości ogromną trzcina z ogromnego skarogniadego hiszpańskiego ogiera *les vilains brosseurs* i kantynierki, którym także właściwych nazwisk nie szczędził. Znały go też ciury, znała niewieścia konnica. Na jego pierwsze *sacrr...* rozwijała się jakby z kłęбка splątana ciżba, której nieraz i czoło kolumny starej gwardii rozsunać nie zdołało.

Są wszędzie arcyksiężęta, arcybiskupi, w Galicji jest nawet arcystolnik, ale nigdzie nie ma arcyciury – a tym powinien być być *par droit de conquête et par droit de naissance* mój Onufry. Wysoki, pleczysty, chciwy łupu, skory do kieliszka równie jak i do bójki, kiedy odbierał rozkazy, wyprętał się jak struna, brzuch _w tył, pierś naprzód, stawał skosem jak Pizańska wieża. Odpowiedź jego była zawsze: „Słucham”. Bał się kozaków jak diabeł święconej wody. Wszystko to kazało wnosić z niejaką pewnością, że był kiedyś w rosyjskiej służbie i że nie dopełnił potrzebnych formalności przy podaniu swojej dymisji. Jeżeli kto schylony nad jakim hauptmanem lub praporszczykiem, co już nigdy nie ujrzy ojczystej zagrody, ściąga z niego to, czego ściągnąć własni nie zdołali koledzy, albo sylabizuje po szwach i zakładach najmniejszej odzieży, czy nie doczyta się gdzie zaszytego dukata lub talarka, to pewnie Onufry. Jeżeli kto szuka furazu nie w stajni, nie w stodole, ale po kufrach i szufladach, to pewnie Onufry. W Dreźnie przyjąłem go i tydzień nie minął, już stał się powodem niemałego dla mnie kłopotu.

Powiem, co się stało, bo też nie mam innego celu, pletąc trzy po trzy, jak tylko bawić się, niby dziecko wolantem, wspomnieniem lat przeszłych – przerzucać obrazki, których mniej więcej każdy nagromadzi w skarbonkę swojej pamięci. Ale chcąc śpiewać *Achilla gniew zgubny*, muszę zastanowić się pierwszej, czy mam przedstawić nagą prawdę czyli też, pożyczając jej tła, zarzucić ją kwiatami fantazji. Prawda w oczy kole, może ukłuć i w uszy, o tym każdy opowiadający pamiętać powinien; ale znowu, z drugiej strony, uganiać się zawsze za kwiatami i tylko za kwiatami, nimi tylko sypać, nimi zdobić i stroić, strach, by się nie zdarzyło, że ołtarz nie wart ozdoby albo ozdoba nie godna ołtarza. Prawda tylko piękna! Prawda, prawda – wielkie słowo. Ale z prawdą jak z ogniem, grzeje, ale i pali razem. Oby to chcieli poznać i pamiętać ci, co się weredykami lubią nazywać. Stąd szukają zalety i chluby.

Niejeden z nich chępliwie wywołuje: „Powiedziałem mu prawdę, aż mu w pięty poszła!” Brawo! Ciąłeś jak chirurg, wpuszczałeś sondę w ranę bez względu na boleść chorego. Ale czyż to cięcie było koniecznie potrzebne? Miałeś zaraz w drugim ręku gojący balsam? To pytanie... tak jest, wielkie pytanie, równie jak i to, czy ta prawda, którą wciskasz w głąb serca, którą macisz myśl swobodną, którą jak drugi los wytrącasz z dawnej, a rzucasz w nową kolej, którą zgniatasz czasem całe życie duszy, zgniatasz na miazgę jak ową jagodę, co ci padła pod stopę i której potem już jeden Bóg tylko może wrócić dawny kształt, dawne jądro, dawną barwę, czy ta prawda, mówię, jest istotną p r a w d ą? Czy nie jest owocem twojego tylko własnego rozumowania, rozumowania podległego błędom, bo lubo weredyk, nie jesteś niczym więcej jak człowiekiem. A jeżeli jeszcze twój wyrok ozłaczasz przyjaźnią, wzmacniasz ufnością w nią tego, co się wije pod twymi razami, jeżeli nie rozważyłeś wprzód, czy wyjawienie owej mniemanej a bolesnej prawdy jest nieodzownie potrzebne, czy nareszcie masz w ręku środki zaradcze – wtedy jesteś bez serca, bo się pastwisz bez rozumu, bo działasz bez celu. Po cóż pozbawiasz mnie ufności w siebie i ludzi, jeżeli nieufność nic naprawić nie zdoła? Po co mniesz, zrywasz moją ułudę, jeżeli nikomu szkodną nie była, a rzeczywistość ani mnie, ani komu bądź pomóc nie może? Dlaczego nie pozwalasz mi snu, gdy zadrzymię na szczątkach mego szczęścia lub nadziei moich, jeżeli mi dać lepszego posłania nie jesteś w stanie? Czemu gasisz pochodnię, co mi swoją łuną w daleką przyszłość świeciła, kiedy nie stać cię w twoim ubóstwie na jedną iskierkę? Dlaczego rachujesz mi w ucho wszystkie groty na mnie rzucone, kiedy od nich nie zasłaniasz, a ja uniknąć nie mogę? Po co? Czemu? Dlaczego? Tysiąc razy jeszcze mógłbym się zapytać, ale zawsze musiałbym odpowiedzieć: Dlatego, bo lubisz pluskać się, przeciągać, rozkoszować w ciepłej kąpiółce zadowolenia z własnej wyższości, bo lubisz mieć klęczących wkoło siebie, bo wtenczas tylko widzisz się wyższym.

Proszę mi przebaczyć ten, że się tak wyrażę, gwałtowny wybryk przeciw weredykom. Bo taki *weredyk stał się kiedyś na serce moje i zgniótł je raz na zawsze*. Przyjaciel stał się tłumaczem niby opinii powszechnej. Zapewnił mnie, że jestem nienawidzony. Za co? Nie wiedział, ale tak słyszał – zapewniał, że dążności dzieł moich są potępiane. Dążności? Jakie? Nie wiedział, ale tak słyszał. Zapewnił, że ogólnie ganią sposób, jakim dopiero myślę wychować syna, i wiele, wiele jeszcze podobnych zapewnień. Odurzony odkryciem z ust tego, którego przyjacielem być mniemałem, a zatem i o poprzednim zgłębieniu z jego strony wątpić nie mogłem, opuściłem ręce i przestałem żyć i pracować dla świata. Dziwna rzecz. Niech każdy człowiek w późniejszym wieku spojrzę w życie za siebie, niech dobrze śledzi powody, przyczyny ważniejszych swoich zdarzeń, a ujrzy pewnie jakąś osobistość, która zawsze w jego atmosferze jakby drabant obok niego grawitowała i która zawsze pośrednio albo bezpośrednio, z wiedzą lub bez wiedzy, wywierała swój wpływ na jego życie pomimo nawet częstokroć niższego stopnia wiadomości i ukształcenia albo i rozumu naturalnego. Nie jest wszakże myślą moją ganić rady lub przestrogi rzetelnej życzliwości, napomnienia macierzyńskie szczerzej przyjaźni – przeciwnie, szczęśliwym nazwę tego, który zawsze miał je przy sobie w podróży życia jak owe różdżki wrzosu wzdłuż przepaścistej ścieżki, co niby rękę podają podróżnemu, jeżeli mu się czasem noga z dobrej drogi zesunie. – Ale gdzież mnie, w jaki świat daleki odwiodło to słowo: P r a w d a. Spinałem się po szczeblach, co się za mną łamały, a teraz jakże wrócić na poziom? Skoczyć trzeba, nie ma innego sposobu. Skaczę więc równymi nogami do Onufrego, jego kłótni i bójki. Powiem prawdę, rzuciwszy wszakże na nią lekką gazę przyzwoitości, na jaką stać tylko może starego ułana.

Jednego wieczora, było to w Saksonii, w Dreźnie, w oberży pod Jeleniem, gdzie stałem kwaterą. Onufry poszedł do Rezli sztabmadli, i zawołał czystą niemiecczyzną: „Na – top!” – Dziewczyna rozśmiała się i przedrzeźniać zaczęła. – „Czego się śmiesz, mało? – krzyknął luzak po polsku – nie rozumiesz, co: Na – top?” – Od słowa do słowa, aż boli głowa, powiedziałby pan Jowialski, bo Onufry postąpił sobie nareszcie z Rezlą jak ów gminną

piosneczką wstawiony z Małgorzatą Grzegorz, ale Rezla miast zawołać: Czegóż? – walnęła go w łeb lichtarzem. Że zaś świeca w tym razie zgasnąć musiała, ciemnota pokryła tę część historii. Że jednak coś padło z jednej i drugiej strony, wątpić nie można.

Kiedy to wszystko działo się na dole, ja na drugim piętrze spokojnie kończyłem wieczerzę z kolegą kapitanem Maciejowskim. Rozmawiamy sobie o tym i o owym – wtem... otwierają się drzwi i Onufry wpada. Twarz zarydzona, nozdrza sapiące, kawał knota na czole powiadały nam wyraźnie, że walka była gdzieś stoczona i że spieszny odwrót ma miejsce. Nim jeszcze słowo mogło być wyrzeczone, wbiegł hausknecht ze świecą w rękę, a za nim sam pan gospodarz. – „Wo ist er? – „Da steht er!” I już luzak wziął w papę, aż nosem pociągnął. Wtenczas to wymknęło mi się, co się tak łatwo z ust polskich w podobnym razie wymyka: „A walże!” – Nie potrzeba było mówić dwa razy. – Onufry jak Niemca utnie... Ach, co za szkoda, że dla przyzwoitości stylu nie mogę powiedzieć: „jak utnie w pysk!” – bo w tym, acz gminnym, wyrazie leży tyle prawdy, tyle nawet naśladowczej harmonii – ale nie wypada, nie można, więc powiadam, Onufry jak utnie Niemca gdzieś między nosem a uchem... aż szyby brzękły – *Schön!* Niemiec zwinął się, zatoczył i chylcem, zygzakiem jak lis postrzelony leciał, leciał i aż w przeciwnym rogu padł na kanapę. A nim się zerwać zdołał, już Onufry leżał na nim. – Jeżeli kto aby raz w życiu widział niedźwiedzia idącego w hurku, kiedy schwyci pod siebie jednego z kundli, a kiedy mu drugi tymczasem szarawary skubie, łatwo wystawi sobie walczącą grupę. Hausknecht, krzycząc w niebogłose, usiłował ściągnąć ze swojego pana zajadłego nieprzyjaciela, ale jedną tylko ręką, bo w drugiej trzymał świecę, a świeca kosztuje *einen Groschen*... a on za świecę odpowiada... porządek przede wszystkim. Chwyciłem go nareszcie za kołnierz i nogą za drzwi pchnąłem, zostawiając wolny bieg sprawiedliwości. Wkrótce jednak zląkłem się, bo Sas już głosu nie puszczał – zląkłem się, czy przypadkiem za mocne uderzenie nie strąciło filigranowego niemieckiego karku. Zawołałem: „Dość tego!” – I w mgnieniu oka stał przede mną Onufry, brzuch w tył, pierś naprzód, skosem jak Pizańska wieża. Pan gospodarz podniósł się, kręcił się w kółko i byłby pewnie do drzwi nie trafił, gdybyśmy mu nie byli w tym względzie przyszli w pomoc. – Skończył się akt pierwszy. Ale cóż dalej? Otwierano i zamykano z trzaskiem i hałasem ledwie nie wszystkie drzwi w całym domu... biegano po schodach i gankach... Oczywiście chmura się zbierała. My zaś już wpół rozebrani wzięliśmy czym prędzej mundury na siebie, pałasze do boku, kapelusze na głowy. Nie można było bowiem ręczyć, czy lokatorowie, po większej części krajowcy, nie zechcą przekroczyć praw grzeczności, czy nie chwycą sposobności bicia albo i ubicia francuskich oficerów.

Sasi nas nie lubili i nie tylko że nie lubili, ale byliby chętnie całą naszą armię z Cesarzem na jej czele w łyżce wody utopili, gdyby tylko mogli byli taką łyżkę znaleźć. Nie ma się czemu dziwić. Ów ciągły menuet wojsk wszystkich narodów – od Portugalczyka do Czerkiesa, od Neapolitańczyka do Lapończyka – po całej pięknej Saksonii nie mógł ich ani bawić, ani uszczęśliwiać. Byliśmy w kraju arcynieprzyjacielskim, o tym trzeba było zawsze pamiętać i o tym nie zapomnieliśmy teraz, stojąc frontem ku drzwiom, za którymi coraz liczniejsze, coraz burzliwsze i coraz bliższe wznosiły się głosy. Niepewność często nieznosniejsza od złego. Otwieram więc drzwi i obraz godny pędzla Hogartha widzę przed sobą. Kilkanaście osób różnego wieku i różnej płci w nocnym stroju, czyli raczej rozstroju, w szlafmycach, pantoflach (szlafroków nie było), świeca w rękach, a gdzieś i kij, blade i drżące z gniewu i trwogi wlepiało we mnie wytrzeszczone oczy. Nie tracę czasu... korzystam z pomieszczenia i jak Bonaparte ośmnastego *Brumaire* do Rady Pięciuset, wstępuję do sieni. A żółty krawiec stojący na przedzie mógł być zawołać jak Arena: *Ici des sabres!* Wstępuję do sieni i odzywam się grzmiącym wprawdzie głosem, ale mało co lepszą niemiecczyzną jak przed chwilą mój Onufry: „Idę do komendanta placu oznajmić, że w tym domu napadnięto kwaterę oficerów sztabu cesarskiego”. Rzekłem, spuściłem pałasz po ostrogach... szeregi się rozstały... a ja z brzękiem i szczękiem triumfalnie zszedłem ze wschodów... W samej rzeczy

chciałem uprzedzić komendanta... nie zastałem go... czekałem... chodziłem, sam nie wiedząc, co robić... nareszcie po godzinie czasu wróciłem do domu – wszystko było cicho.

Nazajutrz postawiono nam kawę. Nie spieszyliśmy się do niej. Spojrzeliśmy po sobie. Jeden zagwizdał, drugi zaśpiewał – jeden powąchał, drugi skosztował... A ba!... wymówiliśmy razem i kawa spożyta została. Niespokojny jednak idę do generała Bleszyńskiego, adiutanta króla saskiego, dawnego znajomego, a niegdyś i sąsiada rodziców moich. Zwierzam mu całe zdarzenie i proszę o radę. Generał słuchał mnie i golił się razem, podstrugując sobie wąsiki z najsumienniejszą precyzją i podług potrzeby wykrzywiając twarz, nadymając policzki, albo wypychając językiem wierzchnią wargę, puszczał przez zęby przerywane słowa: „Źle!... hm, hm... bardzo źle... nie ma co żartować... skarga może łatwo dojść do króla... Król odda Cesarzowi... Cesarz jest dla króla nad miarę uprzejmy i gdzie idzie o karność wojska, dla winnych bez litości”. – „Ależ ja – rzekłem – nie wykroczyłem przeciw karności”. – „Hm – mówił dalej generał, macając sobie brodę, czy jeszcze gdzie nie zostawił siwego włoska – zapewne nie wykroczyłeś, ale ogólnie armii jest przykazane dobrze obchodzić się z mieszkańcami, a i sam przyznasz, że twój sługa...” – „Bronił się” – przerwałem. – „Tak, zapewne, bronił się – rzekł generał i złożył brzytwę – ale pod armatami nieprzyjacielskimi nie ma czasu procesu wytaczać... Dla przykładu wiele się czyni... Właśnie niedawno z powodu zażalenia poddanego na ręce króla, Cesarz kazał jednego oficera z kontroli wykreślić. Radzę ci zatem, załagodź tę sprawę”.

Tak, załagodź, rzekłem do siebie wychodząc mniej spokojny, niż byłem przychodząc. I jak załagodzić? Co ja mogę dać temu oberżyscie? Chyba buzi z jednej i drugiej strony. Pieniądzy nie mam. Komuż kiedy mogła przyjść myśl szukać u mnie pieniędzy?! Wziąłem wprawdzie na wstępie do sztabu 500 franków na ekwipowanie... z domu także trochę miałem, ale do domu przyszedłem z niewoli w sukmance, z domu jechałem pocztą, pocztą droga, przy tym kolasa Franciszka Skrzyńskiego czy Ludwika Porczyńskiego, z którymi jechałem, psuła się nieustannie – gdyby nie przedłużenie zawieszenia broni, bylibyśmy ugrzęźli w Pradze. W Dreźnie musiałem kupić trzy konie, kulbaki, juki, broń, sprawić mundur z haftowanym kołnierzem, musiałem i witać się z kolegami 11-go pułku ułanów i 5-go strzelców konnych, w których pułkach dawniej służyłem, a w pułkach oficerów niemało – słowem byłem w moim normalnym stanie, tj. w stanie golizny. Nareszcie, jak przystąpić do zgody z oberżystą? Na *Speiszetlu* jego pafla nie ma. Bóg wie, jakby ją taksował. Jednak nie ma co żartować, mówi generał... i prawda, w Saksonii do króla zawsze niedaleko, a królowi teraz do Cesarza nawet za blisko, jedno słowo i dosyć... Ja wiem, że Cesarz wymierzyć może karę jedynie przez uprzejmość dla króla, jedynie dla przykładu – ale diabli z tej uprzejmości, jeżeli ma być moim kosztem. I wszystko to przez to nieszczęsne:

„A walże!...” Ale jakże nie walić, Mościa Dobrodziejko! – Taka była treść moich monologów. Chciałem pójść za radą generała, ale po jakimś czasie mogłem o nim powiedzieć to, co Molière królowi o swoim doktorze mówił: „*Il m'ordonne des remèdes, je ne les prends point et je guéris*”. Alias: co padło, przepadło, a Niemiec mógł tylko w swoim dzienniku zapisać fakt, jako *casus belli*.

Jeżeli Onufry w Dreźnie stał się powodem niepokoju, który krótko opowiedziałem, a długo cierpiałem, to w Lipsku mógł być wtrącić mnie do niewoli, z której dopiero com się był otrząsł, albo mnie umieścić w lazarecie, albo i prosto w raju, gdzie nb. dostać się mam zawsze nadzieję, a przynajmniej skapać w Elsterze, bo jak wiadomo, most tam nie czekał na wszystkich. Tak jest, mógł być stać się tego wszystkiego przyczyną, gdyby nie ślepe fatum, co tak dziwnie igra w dymie wznoszącym się ponad pola bitwy.

Dziewiętnastego października, ostatniego dnia czterodniowej, najkrwawszej, jaka może kiedy była i będzie, walki pod Lipskiem, między dziesiątą godziną a południem, staliśmy, oficerowie sztabu księcia Neufchatel, pod drzewami, które ulicą otaczają miasto. Czekaliśmy rozkazów – słuchaliśmy nie wystrzałów, bo tych trudno już było rozróżniać, ale raczej

grzmotu mniej więcej ryczącego, który nas wokoło opływał. Już wtenczas i szary koniec wiedział, jak rzeczy stoją. Z upadkiem potęgi francuskiej upadły i nadzieje Polaków. Ale mniemaliśmy, że dopiero pod Lipskiem tracimy powtórnie Ojczyznę, nie wiedzieliśmy, że Napoleon najłatwiej zawsze przyjmował warunek wrócenia jej w potrójne jarzmo niewoli. Piekielna obłudo! Szatańska polityko! Tyle poświęcenia, tyle krwi przyjmować za nadzieje, których w głębi serca nie myśli się spełnić. Skrępował nas tym Księstwem Warszawskim, tym królem saskim i kiedy pozbawił wszelkiej samodzielności, jak martwą swoją własnością był zawsze gotów rozrządzić. Biada człowiekowi, którego los zawisł od drugiego, ale dwakroć biada narodowi, co zawisł od interesu innego narodu. Narody sumienia nie mają. Smutne rozmowy biednych nas, Polaków, w lipskich alejach przerwała kula armatnia, która zaszumiała, jak gdyby kto wentyl samego piekła uchylił, i potem ucięta kozła między nami. Wspomniawszy studenckie czasy, można było zawołać: Kasza, panowie, kasza! Była to w rzeczy samej kasza, ale już i ze Szwedami. Wtem Rejtan zawołał: „Cesarz wsiada na koń!” Ruszyliśmy i my, każdy do swojego, ale nasi służący wprowadzili je byli do bliskiego domu; tam biegniemy, a wstępując na dziedziniec widzimy znowu kaszę... tak jest: kaszę, nie w alegorycznej, ale w jej najnaturalniejszej postaci. Komu, komu innemu, jak tylko ciurom mogło przyjść na myśl dziewiętnastego października 1813 r. o dziesiątej rano w Lipsku gotować kaszę!? I ugotowali ją w istocie, ale diabeł zdawał się jakby na psotę dmuchać im ogniem w garnek, bo kasza nie stygła, a łyżka lubo ochuchana, odmuchana, jeżeli wjechała do zgłodniałej paszczy, jeszcze prędzej się cofała. Daremnie wołaliśmy, łajali. – „Zaraz, zaraz” – odpowiadały sparzone języki i bylibyśmy mostu pewnie już nie zastali, gdyby jeden z nas nie był wpadł na myśl szczęśliwą i nie był nogą w garnek uderzył. Kasza jak z bomby w tysiąc promieni bryznęła, a ciury boleśnie jęknęły, ale wkrótce były na koniach. Jeden tylko Onufry nie mógł dać sobie rady, a ja nie chcąc odstąpić koni, czekać musiałem. Miał on wprowadzić do czynienia z kłaczą szpakowatą, diabłem wcielonym, której nie w smak były juki, a jeszcze więcej dwie wiązki siana do przedniej kuli siodła przywiązane. Kupiłem ją był w Löbau od oficera polskich huzarów za czterdzieści dukatów. Wsiadałem, zsiadałem, próbowałem do woli, wszystko szło jak najlepiej; ale nazajutrz, gdy przyszło do kulbaczenia, kłacz gryzie i bije tyłem i przodem – a do wsiadania jeszcze gorzej. Wczoraj stała jak opoka, dziś tańczy jak Paraszka, boczkiem, boczkiem ode mnie, a ja za nią, za nią na jednej nodze – istna kołomyjka. Dosiadłszy zaś, trzymaj się zrazu choćby i grzywy, bo w okna pierwszego piętra zaglądać będziesz. Nareszcie żadna przemoc ani cierpliwość ludzka nie zdołała zniewolić jej przejść koło martwego konia. W wilią dnia, o którym mówię, pod Lipskiem będąc na służbie, przemierzyłem na niej nieraz całe pole bitwy w słotę, błoto i o głodzie, a jednak narowy jej nie zmniejszyły się wcale.

Po długich zatem korowodach wyjeżdżam na koniec z dziedzińca, za mną Onufry. Patrząc za kolegami – nie ma już żadnego. Przy sztabie koleżeństwo bez kleju, acz się niby zlepia, trzyma się nietęgo. Nie widać już nawet koni powodnych ostatniego szwadronu służbowego. Ale za to Berezyna stanęła mi przed oczy. Długa procesja, jakby z arki Noego wypuszczona, wolnym i co chwila wstrzymywanym postępowała krokiem. Ludzie i zwierzęta przy sobie, na sobie, pod sobą, jedną masą posuwały się razem, a co by z tych ostatnich nie stało, można było skompletować między ludźmi. – Tak był tam lew straszny i w odwrocie, tygrys rozjuszony, wół pracowity, pies wierny, kot fałszywy, kot saski – był tam i osioł, była i świnka, był i tchórz, Mości Dobrodzieju, a wszystko w ciżbie. Każdy o sobie, a Bóg o wszystkich! Spiałem konia ostrogą i pół siłą, pół zręcznością torowałem drogę sobie i moim koniom powodnym. Wyprzedzałem park artylerii po lewym boku, przesuwając się powoli, nareszcie naprzód już nie można, ale z drugiej strony widzę trochę wolnego miejsca. Można było po leżących postronkach na ziemi, między przednimi a dyszlowymi końmi zatrzymanej armaty przejechać, co też mi się udało szczęśliwie. Onufry, mniej głupi, a więcej zręczny, byłby mógł to samo uczynić, ale wjechawszy w ciasny przesmyk, zamiast długo puścić za

siebie juczego konia, wołał zrobić sobie więcej miejsca; uderzył przednie armatnie konie, te postąpiwszy, podniosły postronki, postronki zalechły klacz, klacz zaczęła gryźć, wierzgać, związała się i padła. Kłęb z ludzi i koni zrobił się w okamgnieniu. Ileż to czasu, ile cierpliwości trzeba było, aby go rozplątać, i jakiego szczęścia, aby po tym wszystkim z jaką taką całą głową i z wszystkimi końmi dostać się do Lindenau. Niechże się teraz kto dziwi, że ja strącony w Berezyne, mało w Lipsku nie roztratowany, a to jedynie z powodu ciżby, ciżby nienawidzę. Niech się dziwi, że dostanie ode mnie łokciem w brzuch albo nogą w łydkę, jak mnie w ciasnym miejscu zanadto przycisnie.

Napoleon miał gdzieś, kiedyś w gniewie wykrzyknąć: „Gdybym miał dwóch Vandammów, kazałbym jednego powiesić!” Ja toż samo ledwie nie codzień mogłem o moim Onufrym powiedzieć. Ale pod Montereau, gdy przyszło zsiąść z konia, nie tylko dwóch, ale i jednego nie było. Szukałem daremnie, nareszcie trzeba było konia uwiązać. Tymczasem batalion starej gwardii złożył broń w kozły, strażę otoczyły pałac. Cesarz tam nocować będzie. Poszedłem więc zobaczyć, gdzie nasz salon służbowy (*salon de service*).

Z tego wszystkiego, co miałem honor powiedzieć, Wać Pan Dobrodziej wnosisz zapewne, że byłem zawsze przy Cesarzu Napoleonie... I bardzo trafnie. Nie tylko w moim stanie służby jest wyraźnie, że znajdowałem się w ostatnich kampaniach we wszystkich bitwach, w których był sam Cesarz, ale i grzałem się z nim nieraz; przy jednym, ogniu... prawda, że się to nieczęsto zdarzało. Cesarz rzadko kiedy biwakował... prawda, że ogień dla Cesarza założony o wiele, wiele bywał większy, jak zwykle ognie biwakowe... prawda, że zawsze po tej stronie stawałem, na którą wiatr dym gonił, nawet najczęściej, mówiąc między nami, Cesarz był tyłem do ognia, a przeto i do mnie obrócony i do tego jeszcze rozkładał czasem poły, aby się wygrzać lepiej. W stosunkach obywatelskich można by to uważać za uchybienie z jego strony, ale w czasie wojny nie jest się tak dalece uważającym na etykietę i ja też urażać się nie widziałem powodu.

Przy jednym z takich biwaków, było to wieczór pierwszego dnia bitwy pod Lipskiem, piękny widok nam się przedstawił, który jako godny pędzla podaję malarzom do wiadomości. Cesarz Napoleon w swoim sieraczkowym surducie stał tyłem obrócony do obszernego ogniska. Ze strony dymu oficerowie różnej broni. Opodał, jakby na czterech rogach, strzelcy konnej gwardii pieszo z karabinkami na ramieniu utrzymywali jakby linię demarkacji cesarskiego biwaku. Ile razy Cesarz zsiadał z konia w polu czy w jakiej wiosce, zaraz czterech gwardzistów stawało na straży wokoło i posuwało się zawsze w równym oddaleniu w miarę ruchów Najjaśniejszego Pana. Stał więc Cesarz Napoleon tyłem do ognia i do mnie obrócony, przed nim o kilka kroków na prawo generał Merfeldt, ujęty w niewolę, w surducie sinym generalskim austriackim, w kapeluszu z galonem i zielonym pióropuszem. Między nim a Cesarzem generał Caulaincourt bez kapelusza, w suto złotym haftowanym mundurze, nalewał mu wina w srebrny kubek. W małym oddaleniu, w głębi, ale jeszcze w świetle ogniska, zsiadał z konia król neapolitański w swoim malowniczym, żeby nie powiedzieć teatralnym ubiorze. Miał on wówczas na sobie surducik krótki jasnoszafirowy, na piersiach suto złotym haftem okryty, równie jak i pas biały sukienny, na sześć cali albo i więcej szeroki, przy którym wisiał krótki oręż, niby kordelas, pantalony obszerne karmazynowe, w rękę trzcina, na głowie wysoki ugalonowany kapelusz ze strusim pióropuszem i czapłą kitką. Na krawędziach zaś ciemnego horyzontu łyskały jeszcze czasami wystrzały armatnie. Piękny to był obraz, ale wróćmy do naszego przedmiotu. Powiadam, że Wać Pan Dobrodziej bardzo trafnie wnosisz, iż byłem przy Cesarzu, ale jeżelibyś z tego wniosku drugi na pozór bardzo naturalny chciał wyciągnąć, że kto był przy Cesarzu, był przeto w sztabie cesarskim, omyliłbyś się zupełnie. Dlatego pozwolę sobie dać niektóre objaśnienia w nadziei, że jeżeli cię nie będą interesować, to zapewne będziesz dość grzeczny wysłuchać je cierpliwie.

Sztab Cesarza Napoleona... Co jest sztab, po francusku état major, wiadomo Wać Panu Dobrodziejowi bez wątpienia. Tym więcej, że z jego dużych wąsów, przechodzących

znacznie miarę wąsów obywatelskich, wnosić mogę, że służyłeś w wojsku?... W wojsku Rzeczypospolitej Krakowskiej. – Brawo! – A więc mówię dalej.

Sztab Cesarza Napoleona, nie licząc różnych biur towarzyszących mu wszędzie, był wcale nieliczny. Składali go: Berthier, książę de Neufchatel, *Major Général* alias Szef Sztabu – generałowie-adiutanci, których obecnych w saskiej i francuskiej kampanii było czterech, i z ośmiu *Officiers d'ordonnance*. Akselbandy przy szlifach generalskich oznaczały adiutantów. Oficerowie *d'ordonnance* mieli jasnoszafirowe mundurowe fraki suto srebrem haftowane, kamizelki z pętlcami, spodnie z galonami koloru fraka i węgierskie buty. Kapelusz z czarnym plumażem. Ten mundur zdawał się być więcej dworskim niż wojskowym. Przydzieleni do sztabu byli generał Pac i generał Kossakowski. Wąsowicz, szef szwadronu Lansjerów polskich starej gwardii, został podobno zaraz po powrocie z Moskwy oficerem *d'ordonnance*, nie zmienił jednak munduru. To był właściwy sztab cesarski, czynny, zawsze na koniu i z pałaszem w ręku. Bo lubo sekretarze, szambelanowie, pazie etc. etc. galopowali wraz z nami i musieli radzi nie radzi zakosztować czasem przysmaków wojennych, należeli oni nie do sztabu, ale do dworu. Nie mogę przypomnieć doktora Larrey de Tamor. Wielce on cenił ten w Egipcie otrzymany predykat i chętnie łączył go z swoim nazwiskiem. Powiadają, że raz wchodził wieczorem do jednego ze swoich pacjentów: ten zapytał z cicha:

„*Qui es là?*” – „*L'Arrêt de ta Mort*” (Larrey de Tamor) – odpowiedział doktor grubym swoim głosem. Na to chory westchnął: „*Oh, mon Dieu, ayez donc pitié de mon âme*”.

Sztab zaś księcia de Neufchatel, *l'Etat Major de la Grande Armée*, był bardzo liczny. Składali go znowu: szef sztabu generał Monthyon, nieźnośna, długa, dumna, nie lubiąca Polaków figura, pięciu pułkowników, *adjutants-commandants*, czterech adiutantów i przeszło trzydziestu oficerów sztabowych, *Officiers adjoints à l'Etat Major de; la Grande Armée*, różnego stopnia i broni. My, oficerowie polscy, wstępując do tego sztabu, dostaliśmy patentu na oficerów francuskich, nie wiem więc, dlaczego odsadzono nas jako cudzoziemców od pensji krzyża legii honorowej – może dlatego, że nikt się za nas nie upomniał.

Berthier, jako książę udzielną Neufchatelu, miał przy swojej osobie kompanię piechoty i kilkudziesięciu dragonów neufchatelskich. Piechota, w *chamois* mundurach z czerwonymi wyłogami, składała straż przy pomieszkaniu, a w marszu przy ekwipażach księcia. Dragony zaś w zielonych, z niebieskimi kołnierzami frakach, z białymi szlifami i akselbandami, w hełmach mosiężnych z futrem płowym niskiego włosa wkoło u dołu, a z tyłu ze spadającym końskim ogonem, jak miała cała ciężka jazda francuska. Nazywali się: *Les Guides* i byli konnymi ordynansami sztabu naszego. Adiutanci księcia odszczególniali się od innych adiutantów w armii pąsowymi rajtuzami z czarnym lampasem. My równie jak wszyscy oficerowie sztabowi mieliśmy haft złoty na kołnierzu – duże gałązki dębowe jedna nad drugą. Lubo znak widoczny i głównemu sztabowi tylko właściwy, był wielce pożytecznym, wioząc nieraz bardzo pilne i ważne rozkazy, jednak miewaliśmy do zwyciężenia niezmierzone trudności w mijaniu lub wyprzedzaniu maszerującego wojska. Po pierwszym działowym wystrzale, na linii bojowej pod Lipskiem marszałek Marmont, do którego byłem w nocy z misją przybył, rozkazał nam dwóm razem z powierzonymi listami pędzić do Cesarza co koń wystarczy – padnie jeden, dojedzie drugi. Już przy przedmieściu Lipska wpadamy na czwarty korpus tam wchodzący. Żaden rozkaz, choćby i własnoręczny Cesarza, nie byłby naszemu cwałowi drogi otworzył. Szczęście, że znalazł się tam sam komendant korpusu, generał Bertrand, który dając ustne zlecenie, sam nas przeprowadził. Jeżeli przyszło mijać park artylerii, to często, śmiało mogę zapewnić, z niebezpieczeństwem życia. Na ścisłym dopełnieniu rozkazów oficerów sztabowych cały ruch armii zawisł. Nikt z nas nie miał czasu patrzeć, co przed nim... tylko naprzód! naprzód! Co będzie, to będzie. Razu jednego znajduję się nagle obok armaty przy wstępie wysokiego i bez poręczy mostu. Chcę konia zatrzymać, ale os zadnia działa pcha go naprzód. Widzę przepaść, nie ma co myśleć... wolę konia stracić niż siebie zgubić... spuszczam strzemiona, wznoszę się na siodle i trzymany za kołnierz

pewnie przez jakiegoś świętego, do którego westchnąć musiałem, staję, zsunąwszy się po ogonie, na własnych nogach. Koń mój zaś ciągle pchany przeszedł także szczęśliwie, może dlatego, że był wolny, na drugą stronę, gdzie miał rozum, a raczej nie-rozum czekać na mnie.

Nie tak niebezpieczne, ale za to zdarzające się bardzo często i dosyć przykre były przeprawy z piechotą. Piechur nie lubi i wprawdzie nie ma co lubić, kiedy mu kto drogę przecina lub zboczyć przymusza, bo zatrzymany – musi potem spieszenie dopędzać kolumny. Ucinki, drwinki, mniej więcej grzeczne i dowcipne, leciały jak grad z pieszych szeregów na każdego, który siedząc na koniu do konnicy miał prawo być policzonym. Konnica śmiała się z tego i oddawała wet za wet, jak mogła najlepiej, ale pojedynczemu jeźdźcowi jakoś to nie uchodziło, a obojętne być nie mogło. Pomnażały się jeszcze dla nas w tym względzie nieprzyjemności z powodu mody, której niektórzy, naśladować Cesarza i księcia Berthier, ulegli, tj. nienoszenia znaków oficerskich u kapelusza. Ja byłem jednym z tych, ale przyznam się, że nie z innych przyczyn, jak tylko z oszczędności nie kupiłem w Dreźnie złotych kutasików i złotej plecionki do kokardy. Nieraz tego potem żałowałem. Jeżeli przy tym surdut, który w wojsku francuskim był zawsze cywilny, albo płaszcz zakrywał szlify, natenczas żarciki w klótnie łatwo przechodziły. Pod Hanau kula armatnia, z trzaskiem i łoskotem przetorowawszy sobie drogę przez gałęzie otaczających nas dębów, zaszumiała nad sztabem cesarskim. Miała do wyboru Cesarza, książąt, generałów albo i jakiego z dzielnych rumaków tych wysokich panów, a przecie wybrała sobie moją biedną szkapę... com miał najlepszego. Uderzona w prawą łopatkę, usiadła jak pies na zadzie. Odpiąłem mantelzak, wyjąłem pistolety, oddałem Rejtanowi, ściągnąłem munsztuk i, nie wstydząc się powiedzieć, że łzami w oczach objąłem i przycisnąłem do piersi ten łeb bułany, co się ku mnie zwracał, jak gdyby wzywał pomocy. – Żegnam cię – rzekłem – towarzyszek wierna – i oglądając się wzajemnie na siebie, rozstaliśmy się na zawsze. Z dwóch koni, które mi zostały, jeden był podbity, drugi gałgan. I kiedy nazajutrz przyszło ruszyć z miejsca, wsiałem na gałgana. Była to mała klacz kasztanowata. Wszystko, co z urodzenia mogła mieć dobrego, zostawiła w błocie pod Dreznem... na błocie nigdy nam nie brakło... a teraz dźwigała długiego Onufrego.

Jako przyjaciel prawdy, muszę wyznać, że wzięwszy razem mnie i kobyłkę, składaliśmy całość nietęgą. Kobyłka w skutku trudów wojennych nabyła nałogu uderzać hołubca zadnimi nogami, a potem na jednej tylko nodze kończyć taniec, co równie dla niej, jak dla jeźdźcy ani powabne, ani zaszczytne nie było. W takich okolicznościach na czele luzaków moich kolegów musiałem wyprzedzać kolumnę grenadierów starej gwardii. Wczoraj, kiedy szli do ognia, a jeden ze sztabowych oficerów odezwał się do nich; „*L'Empereur vous attend*” – kilku odrzekło, podrzucając karabiny lub opatrując skałki, jak myśliwi, co zasłyszeli goniące w kniei ogary: „*Il ne nous attendra pas longtemps!*” – wczoraj byłbym uściśkał każdego, a dziś byłbym chętnie z mojej kobyłki każdego chwycił za harcap i łbem jak na mszę dzwonił. Zawsze i wszędzie człowiek z własnego stanowiska sądzi o rzeczach. Nie było podobieństwa przecisnąć się na drugą stronę drogi, gdzie miejsce szersze dozwoliłoby pospieszyć. Nareszcie zniecierpliwiony wspomniałem, że należę do sztabu cesarskiego. – Biada! – „*Voyez donc l'Etat Major de l'Empereur!*” – krzyknął jeden. – *Place pour l'Etat Major de l'Empereur!*” – zawołał drugi... i śmiech ogólny. A biorąc mnie, który miałem surduta na mundurze, za jakiego urzędnika administracji, wołano: „*He! Monsieur Riz-painsel!*” – *Par ici Monsieur l'Employé au vinaigre!* – *Bon voyage Monsieur Du Molé... hop, hop, hop!*” – i tysiąc, tysiąc podobnych konceptów. W takim razie trzeba udawać głuchego albo śmiać się ze śmiejącymi, ale tak jedno, jak drugie rzadko kiedy dobrze się powiedzie. Minąłem nareszcie szydzącą kolumnę, tak jak mnie minęło przeszło lat trzydzieści od bitwy pod Hanau, jak ty minąłeś luby wieku młodości „*mit deinen Schmerzen, mit deinen Freuden*”. Im dalej od ciebie, tym jaskrawsze zdają mi się twoje; kwiaty, tym grubsza mgła zasłania pomniki smutku i cierpienia. Im dalej od ciebie, tym więcej wzrasta tęsknota za tobą, tak jak wzrasta cień nasz własny na ścianie,

gdy się od niej ku światłu cofamy – wzrasta, sięga stropu – na strop występuje i nareszcie opływa nas zupełnie. Gdzież jesteście, zwycięskie roty? Wodzowie? Gdzie jesteście, potęgo, dla której strumienie krwi lały się lat tyle? Zwycięzcy i Zwyciężeni – Upokorzeni i Triumfatory znikli jak słońce, co zaszło przed chwilą, jak zniknie świeca, co stoi przede mną. Cóżecie po sobie zostawili światu? – Niewiele, niewiele. – A mnie? – Co? – trochę wspomnień, dwa krzyżyki i podagrę. Ale, acz z podagrą, galopuję nie pomału z Lipska do Moskwy, z Moskwy do Montereau – trzydzieści lat w tył, trzydzieści naprzód – ze śmiechu do płaczu... bo na tym, niestety, Polak musi zawsze swoje wspomnienia zakończyć. Hola! więc ty, myślo! i ty łzo! Wracam do mego sztabu. Było nas tam, Polaków, już przy końcu, podobno dwunastu. Trzymaliśmy się parami, ażeby gdy jeden będzie na misji (tak nazywaliśmy posyłki), drugi miał opiekę nad ludźmi i końmi. Były to małżeństwa koleżeńskie i jak każde małżeństwo, miały swoje pogody, miały i burze. Tak zawsze widziałeś pod jednym dachem albo przy jednym ogniu Rejtana z Suchorzewskim, mnie z Henrykiem Milbergiem, Ludwika Jelskiego z Romanem Sołtykiem, a jak ten był wzięty w niewolę, z Niegolewskim, Grabowskiego Józefa ze Stoffiem Szwajcarem, pułkownikiem-adiutantem-komendantem, Kościelskiego z Krauzem. Kapitan Szercel, którego do Polaków liczę, bo z polskiego wojska, nie wiem, czy nie z legionów, trzymał się pojedynczo... To jest osobno, ale nie pojedynczo, bo miał przy sobie służącego, a ten służący – żonę. Służący zwał się Pular, przeto ona Pulardką. Hrabia Fiufiu mógł być zaśpiewać:

Że po polsku mówić twardo,
Przeto kurę zwa pulardą.

Wstydziliśmy się nieraz tego suplementu, ale kapitan Szercel był dla nas zanadto znaczącą osobą, abyśmy nie starali się utrzymywać z nim najprzyjaźniejszych stosunków. Raczył on czasem na usilne prośby wydobyć jakiego hiszpańskiego numizmata i łaskawie pożyczyć. On przyszedł mi w pomoc, kiedy w Metz, przymuszony słabością nie wychodzić z pokoju, nie miałem już za co kupić wiązki chrustu na komin ani dziesięć maronów na wieczerzę. Daj mu Boże zdrowie, jeżeli jeszcze żyje, a wieczny odpoczynek, jeżeli już rozstał się z tym światem i Pulardką swoją.

Nie mogę sobie przypomnieć, z jakiego powodu w St. Denis nie z Milbergiem, ale z Rejtanem mieszkalem za miastem u mielnika, którego wspominam dla dwóch osobliwości. Zwał się bowiem Meurt-de-froid, nie wiem, czy dobrze piszę, ale tak się wymawiało – i miał żonę, która raz na tydzień brodę sobie goliła. St. Denis – pamiętne miejsce.

Po rozwiązaniu jednego z największych, jeżeli nie największego dramatu historycznego w Fontainebleau, oficerowie sztabowi Polacy udali się z pułkiem polskich ułanów gwardii do St. Denis, gdzie i reszta naszego wojska zgromadziła się pod komendą generała Wincentego Krasieńskiego. Tam przeszliśmy z niewymownym wstrętem pod władzę rosyjską. Wielki Książę Konstanty objął naczelne dowództwo wojska polskiego.

Kiedy cesarz Aleksander zjechał z Paryża do St. Denis, aby odbyć rewie, a raczej wziąć w faktyczne posiadanie wojsko reprezentujące Polskę, ubraną jeszcze w nazwę Księstwa Warszawskiego, stanęliśmy w liniach cicho i ponuro. Na prawym skrzydle *Les Chevaux legers lanciers de la Garde Impériale*, o których można było powiedzieć, że ich łzy jeszcze nie oschły – tak jest, łzy. Bo wychodząc z Fontainebleau, kilkanaście dni temu, płakano, a gdzie indziej i głośno w szeregach tych weteranów, co od bitwy pod Sommo-Sierra aż do ostatniej pod Paryżem, *sans peur et sans reproche*, utrzymali wobec całego świata sławę polskiego żołnierza. Dalej brygada ułanów pod komendą generała Kurnatowskiego, piechota, artyleria i krakusy pułkownika Dwernickiego. Wielki Książę, stojący na czele, wysunął się menażowym galopkiem na spotkanie cesarza Aleksandra i z wszelką precyzją zatoczywszy koniem, wręczył mu raport. Na całej linii panowała głucha cisza, a kiedy później generał

Krukowiecki krzyknął: Niech żyje cesarz! – słabe tylko obudził echo. Komu tylko prawe serce biło tak pod polskim, jak i rosyjskim mundurem, ten musiał bolesnego doznać uczucia słysząc ten okrzyk, w którym szczerości, Bogu dzięki, być nie mogło. Gdyby był szczery, byłby razem i podły. Zrobiliśmy kilka obrotów. Dwernicki, także nie bardzo à propos, kazał obejść oddziałowi swoich krakusów i z okrzykiem natrzeć z tyłu. – Na kogo? – Niby na nieprzyjaciela, ale sztab rosyjski zanadto dobrze jeszcze go udawał, dlatego zdaje mi się, miarkując po twarzach, że ta niespodzianka nienajlepsze na wszystkich zrobiła wrażenie. Niejeden może spytał się w myśli: czy to żart, czy prawda? – Nareszcie ten niby napad był za wyraźnym naśladowaniem Kozaków i z tego także względu nie na swoim miejscu. Potem było śniadanie u generała Krasińskiego.

Duch wojska francuskiego, a zatem i naszego, tak był różny, nawet i w formach objawiania się, od rosyjskiego, że kiedy sobie przypomnę to śniadanie, teraz dopiero wystawiam sobie, jakie było cesarza Aleksandra, Wielkiego Księcia i ich świty zadziwienie, a może i skryte oburzenie na to obozowe brat za brat polskiej Wiary.

W niewielkim saloniku kwatery generała Krasińskiego siedział cesarz przy stole ze swoimi i polskimi generałami. Rozmowa, w której często generał Krukowiecki głos zabierał, zanadto wykraczała z dworskiej etykiety, aby podobać się mogła. Ale co gorzej, w drugim obok pokoju, gdzie bracia szlachta różnych stopni śniadała, nie było przyzwoitej ciszy. Nikt tam nie byłby dostrzegł czołobitnego uszanowania, które nam powinna była narzucić bliskość tak dostojnych osób. Wychylano kieliszki, aby zalewać niemiłe uczucie, co się z serca parło. Za liczbą kieliszków szła i głośniejsza rozmowa – nareszcie kto chciał, stawał we drzwiach i bez ceremonii przypatrywał się i przysłuchiwał, co się działo przy stole cesarskim.

W kilka dni potem Wielki Książę sprowadził kilka pułków jazdy rosyjskiej do St. Denis – wyraźnie więc dla pokazania tam konsystującemu wojsku polskiemu. Musieliśmy być przytomni manewrom, które miały nam powiedzieć: Patrzcie! to jest wojsko! Nie mogliśmy nie podziwiać postawy żołnierza po tak długiej kampanii, ale nie zmieniliśmy przekonania, że szczątki naszego wojska jako wojsko o wiele wyżej stały. W końcu ostatniej kampanii sam wybór tylko pozostał i nikt pewnie nie widział ułanów tak gwardii, jak i linii odpartych w ataku. Jako świadek bezstronny, a świadek, co wiele widział i wiele myślał, mogę śmiało powiedzieć, że dużo, dużo czasu upłynie, nim taki pułk, jakim był pułk ułanów, czyli polskich Lansjerów Gwardii Cesarskiej – pułk takich dzielnych żołnierzy, a jeszcze dzielniejszych oficerów, i w takich wojnach wyćwiczony – rozwinie swój sztandar w jakim bądź kraju. Mogłem być do niego należeć i teraz tym się poszczycić, bo w Dreźnie generał Krasiński ofiarował mi w nim miejsce, ale nie mogłbym być wstąpić jak tylko w stopniu porucznika. Z kapitana na porucznika, acz porucznika gwardii, zawsze to był krok wsteczny – dlatego nie przyjąłem i pozostałem w znienawidzonym mi sztabie, gdzie mnie Prôtot dręczył nie po trosze.

Pułkownik Prôtot, później generał, był na czele oficerów sztabu księcia de Neufchatel. Chudy, mały Francuz zadzierał głowy, a przeto i nosa dla nadania sobie większej powagi. Bywał często podobny do pedagoga jakiej wiejskiej szkółki... Ale i my, prawdę mówiąc, zakrawaliśmy czasem na swawolnych, a nawet i krnąbrnych studentów. Prôtot wymagał, aby nie tylko ci, co byli na służbie, ale i wszyscy oficerowie otaczali go zawsze w marszu, co było prawie niepodobieństwem. Cesarz jeździł zwykle jak cesarz, to jest, jak mu się podobało, konno lub kareta, ale zawsze prędko. Chcąc być zawsze ze służbowymi szwadronami, trzeba było konia nie żałować, konia, który jeszcze tej samej doby mógł być być skazany na kilkomiłową wędrowną. Nie można było także odstępować koni powodnych, bo gdzie ich potem szukać?! W czasie bitwy albo kiedyśmy się jej spodziewali, byliśmy wszyscy na rozkazy, jakby wszyscy na służbie, ale w marszu zwyczajnym ci, co nie byli na służbie, jechali sobie, jak im wypadło... naprzód, z tyłu, wolniej, prędzej, byle na czas stanąć na miejscu oznaczonym. Prôtot tego nie lubił – kręcił się jak mucha w ukropie, wołał, gniewał

się, oskarżał nawet, ale wszystko nadaremnie. Ciężko mu było oficerów liniowych przeistoczyć w nadskakujących sztabowców. Dobrze jednak ten z nas wyszedł, co się do dworowania dał nakłonić. Dwa razy pan Prôtot podwoił mi czas służby za karę, a to nie była fraszka dzień po dniu być na służbie. Zjadł on za to parę milionów polskich diabłów, ale jak pierwsze nie pomogło, tak drugie nie zaszkodziło.

Książę najczęściej stawał w jednym domu z Cesarzem, więc jeżeli tylko miejsce dozwalało, i nasz salon tam bywał. Zawsze jeden pułkownik, *Adiutant-Commandant*, był na służbie, a pod jego rozkazami dwóch, czterech oficerów sztabowych, czasem i więcej podług spodziewanego ruchu. On oznaczał z listy służbowej, który miał być: *premier à marcher*, *second*, *troisième* itd. Kiedy z misją już przedostatniego wyprawił, wysyłał razem i Guida po kilku innych oficerów, dając mu kartkę z nazwiskami powołanych. Oficer, jadący z misją, odbierał rozkaz otwarty, podobnej treści: „Kapitan R... uda się na F...G...N... do B... gdzie zastanie marszałka A... któremu wręczy załączoną ekspedycję”. Najczęściej sam książę oddawał tę ekspedycję, zwłaszcza kiedy potrzeba było jakiego objaśnienia. Czasem powierzano oficerowi wysłanemu treść listu, czasem wyprawiano dwóch i trzech w pół godziny jednego po drugim z ekspedycją jednej treści i w jedno miejsce, co miało znaczyć, że droga niepewna i że weźmie diabeł dwóch, a czy trzeci dojedzie? Jeżeli w otwartym rozkazie było wyraźnie, że oficer ma pocztą jechać, wtenczas udawał się on do kasjera, ten zaliczył pieniądze, z których wszakże za powrotem trzeba było się wyrachować, podając rachunek na drukowanej kartce wręczonej wraz z pieniędzmi. Pocztą można było jechać albo jednokonnym wózkiem, albo konno (*à franc étrier*). Wózki te pocztowe we Francji, na dwóch wysokich kołach, zwą gminnie, ale bardzo właściwie *Tapecul*. W St. Denis w owym czasie, kiedy pani Meurt de-froid brodę goliła, a Wielki Książę manewrował, karetki utrzymujące komunikację z Paryżem nazywano *Pot de Chambre*. Ci ugrzeczniejsi Francuzi mają często wyrazy, których my, barbarzyńcy, nie śmiemy i wymówić. Otóż tych *Tapecul* używaliśmy bardzo rzadko. Raz, że strudzonemu trudno nie zatrzymać się czasem, a wtenczas, gdyby koń idący między dwoma dyszlami upadł, czego się zawsze po koniu pocztowym spodziewać należy – można było łatwo sięść na niego, lecz *à la Franconi*, to jest głową na dół. Po wtóre, że tylko wtenczas można było puszczać się nimi, kiedy droga była dobra i wolna od maszerującego wojska. Inaczej jechałby kurier głównego sztabu wielkiej armii, jak jeździł czeski student wiedeńskim landkuczerem na koncepcistę do Lwowa. Zawsze więc prawie jeździło się konno. W początkach kampanii były na pocztach we Francji niezłe konie wierzchowe, zwane *bidets*, i z dobrym okubaczeniem, ale później łaska boska, jeżeli znalazło się na stacji niezbyt zmęczoną szkapę z wszystkimi czterema nogami. Postylion jechał naprzód, wytrząskiwał harapem albo jęczał i krzyczał, kiedy mu przyszło pędzić jak na złamanie karku, dzień czy noc, błoto czy lód.

Pierwszy raz w życiu odbyłem szlichtadę po gołoledzi na koniu okutym bez ocelów przy samym otwarciu kampanii 1814 roku z Châlons do wsi Islettes. Tam to jest owa sławna *position des Islettes*, gdzie nieszczęsny Dillon w pięć tysięcy zatrzymał 1792 r. całą armię księcia Brunszwickiego. Stamtąd dogoniłem sztab w Vitry. Te dwa dni zostaną wiecznie w mojej pamięci, lubo z podobnych nie były ostatnie. Noc ciemna powiększała i niebezpieczeństwo, i obawę. Mimo ostrego zimna pot kapał mi z czoła, a każde poślizgnięcie się tępych podków, grożące zdruzgotaniem ręki lub nogi, uderzało jakby siłą elektryczną mrozem i gorącem od stóp do głowy, od głowy do stóp. I cóż stąd za zaszczyt? – pytałem się nieraz, klnąc służbę sztabową. Linia nie lubi sztabu, zazdrości mu tego dachu, pod którym często nocuje, a nie wie, jak on gorzko, bo bez uznania zasługi, opłaca pozorne wygody.

Jeżeli postyliony we Francji, gdzie poczta zwykle szybko jeździ, gdzie i w czasie pokoju podróżować konno nie jest nowością, utyskiwały na nasze szalone wyścigi, cóż dopiero w Niemczech, a zwłaszcza w Saksonii. Od dzieciństwa słyszałem zawsze użalania się na niczym

nie wzruszoną flegmę saskich postylionów, dlatego następujące zdarzenie było dla mnie wielce uciészne.

Posłany byłem do generała Latour Mobourg. Wyjechałem kolasą, jakiej już w naszym kraju pod denominacją *Skarbnika* trudno gdzie znaleźć. Postylion dobrze wykarmiony, w żółtej kurcie, stosowanym kapeluszu, odpowiadając na wszystko: *Schön!* i jeszcze raz *Schön!* usiadł poważnie na koziołku, łokcie do siebie jakby do *steyera* zaokrąglił, batożek na bok spuścił, klasnął językiem i ruszył wolnym truchcikiem. Zadziwiło go, gdy mu kazał prędzej jechać, a jeszcze więcej, gdy zniecierpliwiony jego nieposłuszeństwem dałem mu do zrozumienia, aby robił, co każę, bo jego grzbiet blisko, a moje buty kończaste. Zamruczał i mruczał ciągle, ale jechał żwawo. Pod wieczór przyjeżdżamy do miasteczka, gdzie spodziewałem się zastać generała, ale zastałem tylko oficera, który mi oświadczył, że forpoczty swoje w ten moment ściągają na tę stronę miasta. Bliskość niespodziana nieprzyjaciela nie dozwalała mi podróżować kolasą, tym bardziej że trakt trzeba było opuścić i od wsi do wsi szukać tego, którego tu nie zastałem. Kazałem więc wyprząć konie, na jednego włożyć kulbakę, którą przezorny Niemiec miał w kolasie – na drugiego zaś wsiąść oklep Jego postylionńskiej Mości – i ruszyłem żwawo w stronę mi wskazaną. Póki jeszcze było dnia trochę, szło jako tako, ale wkrótce nadeszła noc ciemna, a z nią i wichur w same oczy. Wtenczas mój postylion zaczął powoli i z cicha, a potem coraz prędzej i coraz głośniej jęczeć i zapewne wzywać wszystkich świętych przez dzwoniące zęby. Prawdę mówiąc, nasze obie szkapy, wyniesione niespodzianie i bez najmniejszej kiedy bądź oświadczonej z ich strony pretensji na wierzchowców, trzęsły bez litości, jak gdyby chciały nas przekonać o niedorzeczności postępu naszego. Niejeden z naszych generałów był takim improwizowanym wierzchowcem – trząsł kaducznie, nareszcie potknął się i upadł. Nie tu wszakże koniec cierpień mojego towarzysza kurierowskiej pogoni. Zaczęły go wkrótce straszyć coraz częstsze: „*Qui vive!*” – których w szumie wiatru nie zawsze od razu można było dosłyszeć. Wiedział on zapewne, czym pachnie koniec pistoletu straży obozowej, bo usłyszawszy parę razy, że odpowiedziałem: „*France!*” – krzyczał potem ciągle: „*Franz! Franz!*” – czy się kto pytał, czy nie pytał. Nazajutrz wracaliśmy już powoli i w najlepszej komitywie. Ledwie jednak nie płakał, poprawiając się na *Schimlu* z boczek na boczek, że taka plaga, w analach saskich poczt nie zapisana, na niego nieszczęsnego paść musiała.

Czasem udało się odbyć dobę służby na miejscu, ale czasem wróciwszy z misji wcześniej, trzeba było i raz drugi ruszyć w drogę. I lubo przysłowie mówi: *bis repetita placet*, my nie byliśmy tego zdania, dlatego wracając zwłaszcza w nocy, a mając ustne jakieś zlecenie, choćby najmniejszej wagi, staraliśmy się mówić z samym księciem. Obudzony podniósł głowę kolorowym fularem obwiązaną, wysłuchał, potem zwykł mówić: „*C'est bien – allez Vous reposer*”. Ten rozkaz oznajmiwszy pułkownikowi służbowemu, wypełniło się zawsze z największym pośpiechem i wzorową akuracją.

Z miasta *Troyes*, które nie wiem czy po polsku można nazwać *Troją*, byłem wysłany do generała France. Zastałem go na probostwie. Gdy oddałem ekspedycję i powiedziałem, co miałem powiedzieć, napiłem się wina i usiadłem przy kominku. Wtenczas proboszcz staruszek odezwał się do mnie: – „Acian Dobrodzi jesteś Polak?” – Gdyby to nie z księdza, byłbym myślał, że diabeł z niego przemówił. Z dalszej rozmowy, po polsku, dowiedziałem się, że jako emigrant kilka lat przepędził, nie pamiętam w czyim domu, w Poznańskim. Spytałem go się, czy na takiej ustroni nie lęka się rabunku Kozaków? Z uśmiechem odpowiedział mi: – Nie boję się Kozaków, ja się z nimi rozmówię”. – Francuz zawsze Francuzem – że umiał kilka słów po polsku, zdawało mu się, że całą Słowiańszczyznę ma w kieszeni. Wkrótce byłem znowu w tej wiosce – z probostwa tylko dwa kominy stały. Nie wiem, dlaczego Kozaków wystawiają jako uosobienie rabunku. Bardzo mylnie, moim zdaniem. Kozak bierze tylko to, co mu się zdać może. Francuzi więcej jeszcze niszczą, niż biorą lub brać lubią. W domach tłuką, co mogą. W stodołach ogień zakładają. Gdzie łan

zboża, wjeżdżają w środek – więcej wytłuką, niż spasą, niepamiętni, że może za parę godzin ich własne wojsko furazę tam szukać będzie. Prusak znieważa osoby, jak tylko może to bezkarnie uczynić – zemsta w nim góruje. Prusacy są ludzie, o których mówią: *qu'ils crachent sur le cadavre*. Byłem w niewoli u Rosjan, i to w chwili, gdy do zemsty niemało mieli powodów. Moskwa spalona, część kraju w puszcę zamieniona – a wyjąwszy pierwszego zetknięcia się, na złe, ubliżające obchodzenie żalić się nie mogę. Słowianie pastwić się nie umiały, nie znają nieprzyjaciela jak tylko z bronią w ręku. Kozacy, zwłaszcza starsi, obdarłszy pierwsi, to się rozumie, i przeciągnawszy raz nahajem, byli potem dla jeńców z tym poszanowaniem, jakiego nieszczęście głośno się domaga, a którego Niemcy zupełnie nie rozumiały. Kozak uderzył i dwa razy nahajem, jeżeli zdobycz nie odpowiedziała jego nadziei. – Co ty za oficer, kiedy nie masz zegarka! – Ale bili bez litości, jeżeli przy wziętym w niewolę znaleźli co z cerkiewnych rzeczy.

W kilkanaście dni po mojej rozmowie z proboszczem, znowu w Troyes, kiedyśmy aż spod Bar-sur-Ornain forsownym marszem zwracali się ku Paryżowi, wszedłem do salonu służbowego, zrobiwszy jednym ciągiem mil dwanaście. Ledwie rozciągnąłem się i to, proszę wierzyć, nie na materacu, pułkownik zawołał: „*Premier Officier à marcher!*” – a nim był pan Fredro. Zerwał się więc pan Fredro, wszedł do drugiego pokoju i stanął przed księciem, Księżę, trzymając list w ręku, spojrzał na mnie i odezwał się jeszcze więcej przez nos niż kiedykolwiek: – „*Comment, Vous n'avez pas encore le ruban rouge?*” – „*Non Monseigneur.*” – „*C'est la seconde campagne, que je fais à l'Etat Major de Votre Altesse etc. etc... Eh bien je Vous la donne à présent*” – rzekł i zaczął dawać mi objaśnienia, gdzie, jak i do kogo mam jechać. Uradowany nie miałem przytomności zapytać się, czy mogę krzyż nosić albo do kogo mam się udać – później nie śmiałem się naprzykrzać, aż dopiero dany krzyż w Troyes otrzymałem w Fontainebleau. Jeszcze w pułku, a powtórnie w Moguncji, po bitwie pod Hanau, byłem do tego krzyża podany. O! źle wychodzi, kto się nie przypomina i nie upomina.

W głównej kwaterze były zawsze dwa stoły – stół *des grands officiers*, to jest sztabu i dworu cesarskiego, i stół 'księcia de Neufchatel. Do tego ci z nas siadali, którzy byli na służbie, szef sztabu, adiutanci, sekretarze i przybyli oficerowie w interesie do sztabu. Sam księżę jadał zawsze z cesarzem. Nie wszyscy i marszałkowie siadali do stołu ze swoim sztabem, ale ich adiutanci robili honory i przyjmowali nas zawsze uprzejmie i gościnnie. Niejedną dobrą chwilę mogę wspomnieć na tych mimowolnych odwiedzinach i nieproszonych obiadach. Przed samym rozpoczęciem kampanii jadę z Châlons do Brienne – zimno, gruda, noc nastaje, klęę po polsku i po francusku, a nawet podobno i po węgiersku, nareszcie przybywam i wręczam ekspedycję marszałkowi Mortier. Stół długi, dobrze oświetlony, zupa już rozdana, sam czas. Marszałek przeczytawszy siada do stołu; na jego zapraszające skinienie ruszyliśmy się wszyscy, każdy chwycił za najbliższe krzesło i w mgnieniu oka stół został jakby opasany wieńcem epolet, akselbandów, faworytów i wąsów. Milczenie spadło na towarzystwo, przerywała je tylko łyżka, co jak wiosło gondoliera na weneckich lagunach głaskała z lekkim pluśnięciem kurzącą się zupę. Gdzieniedzie zaszumiało studzące dmuchanie – albo i mniej przyzwoite głośnie wciąganie pożywnego płynu. Złe na świecie zdaje się być potrzebne, ażeby wartość dobra zrobić człowiekowi wydatniejszą. Cóż byłby ten talerz cienkiego rosółu nalanego na bułkę grubo pokrajaną, gdyby nie wiatr, co mnie ziębił dzień cały, gdyby nie gruda, co mi wszystkie zasoby wytrzęsła. Bądź co bądź ta czy owa przyczyna – zupa zniknęła, jak zniknęła poprzedzająca para. Nalano szklanki, postawiono *les boudins et le gigot de mouton aux haricots* (potrawy sine qua non) i rozmowa wzmacniać się zaczęła. Marszałek był w dobrym humorze, kazał dać szampana. Korek puknął z powszechnym zadowoleniem obecnych. Dowcip się roił, śmiech nie ustawał. Ja nawet zapomniałem, że wózek pocztowy czeka przed domem, że na nim resztę nocy będę mój obiad trawił, mój los roztrząsał, mój sen wojował.

Niewiele czasu upłynęło od tej poczty w Brienne, a inni tam znowu znaleźli się goście i inaczej byli częstowani. Potentaty ekskomptowali weksle, które po odtrąceniu namiętności i miłości własnej niewiele podobno korzyści światu przyniosły. Mógłbym wam, moi państwo, obszernie opowiedzieć bitwę pod Brienne, ale sumiennie wolę was odesłać do dzieła pana Thiers – lepiej bez wątpienia na tym wyjdziecie. Muszę bowiem przy tej sposobności ostrzec, że jeżeli jaki oficer subaltern zdaje sprawę z ogólnego ruchu jakiej batalii, jako naoczny świadek i sędzia, ten kłamie niezawodnie; – bo albo powiada to, co później z raportów wyczytał, albo też powtarza to, co mu się udało w górze zasłyszeć. Oficer subaltern liniowy może tylko widzieć, co się dzieje przed nim i na jego często bardzo ciasnym horyzoncie. Oficer nawet sztabowy, który z rozkazami przebiega pole boju w różnym kierunku, nie znając pierwotnej pozycji i szyku, o szczególnych tylko zdarzeniach może otrzymać własne naoczne przekonanie. Niech mi wolno jeszcze będzie wspomnieć, że niejednen z szanownych agronomów, słuchając o batalii, wystawia ją sobie najczęściej ściśniętą jakby na dziedzińcu albo na pastwisku za sadem. Zdaje mu się, że zawsze być musi jakiś punkt, z którego całą bitwę przejrzeć można, dłaczegóżby i Onufry, stojąc na takim punkcie, nie miał powiedzieć, co się działo. Ale jeżeli uwierzy, że linia bojowa czasem i na milę i więcej się rozciąga, wtenczas już wątpić nie będzie, że ten kłamie, co opisuje batalię podług tego, co niby sam widział i sam doświadczył.

Słuchacie mnie, a ja plecę trzy po trzy, zwyczajnie jak stary, ale jednak nie będę wam dzisiaj powtarzał, co wczoraj wyczytałem. Nie chcę także wyliczać wam wszystkie moje utarczki, ataki i odwroty – cięcia w prawo i w lewo, na koniu i pod koniem, muszę jednak wspomnieć dziwne jakby przeznaczenie, że z czterech razy, w których, o ile sobie przypomnieć mogę, śmierć najbliżej mi w oczy zaglądała, rozumie się od kuli armatniej, bo karabinowych któż spamięta, co brzęczą, gwizdzą, szumią jak chrząszcze na wiosnę, że z czterech razy, mówię, wszystkie miały miejsce nie dalej jak pięćdziesiąt kroków od Napoleona – a jednak w kampaniach 812, 813 i 814 na kulach, granatach, kartaczach nie zbywało wcale.

Pierwszy raz było to 16-go pod Lipskiem. Pędzącemu od marszałka Marmonta, generał Bertrand, jak wspomniałem, dał mi ustne zlecenie. Zastaję Cesarza chodzącego z w tył założonymi rękoma; opodal za nim stał batalion młodej gwardii, trochę dalej na prawo służbowe szwadrony. Zbliżyłem się do niego i powiedziałem, że mam rozkaz donieść mu, że czoło kolumny czwartego korpusu wchodzi do Lipska. „Czwartego?” – więcej powtórzył, niż zapytał. – „*Oui, Sire, du quatrième corps*”. – Chciałbym był przeciągnąć rozmowę, ale nie było podobieństwa, tym więcej, że Najjaśniejszy Pan raczył odwrócić się ode mnie. Wracałem więc do konia, którego puściłem za frontem wspomnianego batalionu, ale zaledwie obszedłem lewe skrzydło, kula armatnia kładzie trupem dwóch żołnierzy. Tak jak stali za sobą w drugim i trzecim szeregu, padli na wznak. Jeden krok dalej, a byłbym trzecim.

Następnego dnia staliśmy w miejscu. 18-go byłem znowu na służbie. Posłano mnie uwiadomić Króla Neapolitańskiego, że brygada młodej gwardii wzmocniła księcia Poniatowskiego. No, już to wyznać muszę szczerze, że kto w czasie boju szukał Murata, temu zimno być nie mogło. Ten człowiek lał w ogień i szukał guza *con amore*. Przejechałem poza front artylerii konnej gwardii i jeszcze jakiejś drugiej baterii; z pół godziny stałem przy królu, kul tam więc różnego rodzaju nie brakło, a jednak dopiero minąwszy Cesarza, stojącego koło wiatraku, i zwracając konia ku memu bratu Sewerynowi, który komenderował służbowymi szwadronami, mało co nie beknąłem. Kula armatnia obrzuciła mnie błotem. Od tego wiatraku do baterii gwardii, od której dopiero co byłem wrócił, był pewnie dobry wystrzał armatni; jakąż więc ogromną przestrzeń, ledwie do uwierzenia, kula ta przelecieć musiała, aby ze trzydziści kroków za Napoleonem, pana Fredrę tylko co nie sprzątnąć. Wyraźnie nie służyło mi sąsiedztwo Wielkiego Człowieka.

22-go we Frejbergu, gdzie mówiąc nawiasem, wsadziliśmy z Milbergiem na konia rannego generała Klickiego i z ciężką biedą przeprowadzili przez ciżbą zatarasowany most, co nieraz potem z wdzięcznością wspominał – we Frejbergu więc przeszedłszy *Unstrutt* cesarz zatrzymał się na małej polance, co od lasu ciągnęła się pochyłość na prawo aż w dół do rzeki, zatrzymał się i przez perspektywę obserwował nieprzyjaciela, który nas z boku. kanonowa!, z boku, z prawej strony dyrekcji naszego marszu. Nie byłem bardzo spokojny spostrzegłszy, że mój brat Seweryn ruszył ze swoim szwadronem służbowym za linię bojową. Góra poprzecinana winnicami, obsadzona na szczycie artylerią, niżej piechotą, nie obiecywała zwycięstwa kawalerii. Mówiono wtenczas, że był wysłany dla dostania języka i w samej rzeczy po kilkugodzinnej pukaninie przywiózł kilku jeńców. Zdaje się, że Cesarz był poznany, bo kule zaczęły gęsto padać koło niego, a kiedy zwrócił konia na lewo i jechał powoli, my, stojący pod lasem, uczyniliśmy to samo. Między drożyną popod las a polem była spadzistość niby wysoka miedza; pod tę więc miedzę w pół mego konia pada granat i zaraz pęka. Wiadomo każdemu, że granat padłszy, zakręciwszy się mniej więcej podskakuje i pryska promieniami w górę. Dlatego artylerzyści kładą się, jak padnie blisko, dlatego, im kto wyżej stoi, tym gorzej. W pozycji więc mojej ówczesnej nie dziesięć, ale sto przeciw jednemu – powinienem był ja albo mój koń zginąć. A jednak – ani jedno, ani drugie. O! los, Panie, to figlarz, nie można nigdy na niego rachować. Kilka chwil minęło, nim uwierzyłem, że jestem, nie mówię – żywy, ale cały. To był raz trzeci, a nareszcie czwarty, kiedy pod Hanau straciłem moją klacz bułaną. Cesarz wtedy był się zwrócił i jechał ku mnie, a minął mnie, nim mantelzak odpiąłem. Wyraźnie, wyraźnie sąsiedztwo Napoleona nie służyło mi wcale.

Kiedy po skończonych wojnach wróciłem w domowe zacisze, wielu, wielu razami uderzone serce, serce zakrwawione, zbolełe, nie dozwalało pamięci rozpowiadać zdarzeń z onego czasu, w którym morze nadziei a sławy kropelka czyniły życie istotnym życiem duszy – czyniły nas ogniwem, aczkolwiek drobniejszym, niż myśl sobie wystawić może, ale jednak ogniwem łańcucha, który wzruszał zardzewiałe zapory świata. Nieraz w rodzinnym kole stokrotne zapytania zbywałem krótką odpowiedzią. Chciałem jakby zamknąć już zapisaną pierwszą księgę mojej przeszłości, a zwracać tylko całą uwagę na tę drugą, co mi jeszcze białymi błyszczała stronicami. Przeciwnie zupełnie się dzieje po wielu upłynionych latach. Białych stronic niedużo, a zapisane ciągną ku sobie. W podróży życia bywa jak i w każdej innej podróży. Póki idzie się rażno, ochoczo, póty rzuca się okiem tylko przed siebie. Każdy przedmiot jest celem nowej dążności, zaledwie się go dojdzie, szuka się drugiego i tak dalej, dalej... *Naprzód* hasłem wędrowca. Ale kiedy siły osłabną, kiedy wyszedłszy na wzgórek odetchnąć trzeba... otrzeć znojone czoło, wtedy zwraca się oko na przestrzeń, którą już się przebyło. Odległość przed nami mierzymy podług tej, co za nami. A owe cieniste gaje, wonne łąki, srebrzyste potoki, których nie uważaliśmy w naszym biegu, jakże są piękne, jak lubie w pamięci naszej wtenczas, kiedy droga coraz ostrzejsza, wiatr coraz chłodniejszy, niebo coraz ciemniejsze. Teraz, zasiadłszy przy kominku, chętnie gwarzę o Cesarzu Napoleonie. Młode pokolenie słucha, jak o Stefanie Batorym albo Janie Sobieskim, bo przeszłość, której pamięć nie sięga, wąskie ma przedziały, stulecia ledwie czasem komat dzieli. *Alles zerschmilzt in grosse Massen*. Słuchają mnie młodzi, a ja gawędzę i pierwszej drugich niż siebie utrudzę. Nieraz, kiedy wracam z polowania, a dojmujące zimno jesienne i dym ścielący się z kartoflanej naci biwak przypomni – zdaje mi się, że mam jeszcze pałasz przy boku, depeszę w zanadrzu. Mimo woli wyciągam szyję i śledzę okiem, czy droga wolna. Wtenczas władza wspomnienia samą nawet dolegliwość nie tylko znosi, ale i przyjemną robi. Może w części i dlatego, że myślę sobie: Jeszcze to zdołam, com zdołał przed laty trzydziestu. Najmilsze jednak budzi wspomnienie obiad późny, myśliwski. Wszystko jak dawniej, tylko że zamiast marszałka siedzi żona, zamiast oficerów sąsiedzi. Gwar jak tam, tak i tu, ale jeżeli mowa o strzałach, to z dubeltówki, jeżeli o zabitych, to o lisach i zającach. A co najlepsze, że na

koniec zamiast wózka pocztowego czeka dobre łóżko, łóżko, którego wartość uczyłem się oceniać i za wcześniej, i za długo.

Nie wszystko jednak w przeszłości da się wspomnieć z przyjemnością, a nawet i obojętnie. Bolesne jest wspomnienie nieszczęścia, nie tego, co nas jak rozburzona fala porywa, skręca i o skałę uderza (myśl przebytego niebezpieczeństwa staje się poniekąd pociechą), ale nieszczęścia, co jak stojąca, zatęchła, zielona woda kałuży podtapia powoli. A takim nieszczęściem jest niewola – to nagłe strącenie z wyższego stanowiska, to zerwanie nadziei, to upokorzenie, to nareszcie położenie nowe, nieznane, nie przeczute. Nie pierwsze to chwile niewoli wojennej, aczkolwiek najniebezpieczniejsze bywają najprzykrzejsze. Jeżeli w pojedynczej walce zostałem pokonany, zwycięzca staje się moim opiekunem. Jeżeli w szeregu z innymi byłem przemocną siłą ujęty, jestem zawsze samym sobą – - jestem wojskiem, któremu tylko broni nie staje, nareszcie mam z żołnierzem do czynienia, a to wiele znaczy. Ale kiedy zapędzony gdzie w głąb obcego kraju, oddany dowolności lada urzędnictwa, zmuszony jestem przyjmować kawałek chleba rzucony jak jałmużnę nawet od tych, którymi gardzę – albo jeżeli w długim przeciągu czasu starła się wszelka powierzchowna cecha wojskowości, a dziwaczny jaki tandetny strój zbiedzoną okryje postać. O! wtenczas jeniec wojenny staje się niewolnikiem. Tego doświadczyłem w Wilnie, tego niejednen z wojska polskiego doświadczył 1831 r. w Galicji, tego, niestety, doświadcza jeszcze po największej części emigracja nasza we Francji.

Jeżeli wyszedł z wilgotnego pomieszkania, gdzie przez całą noc szczury skakały mi po głowie, jeżeli wstał od stołu, gdzie się pożywiłem ze wstrętem prawie, jeżeli mam na sobie jaką starą kapotę, nie w mój stan skrojoną, i buty, które zwycięzca nie uznał za godne zająć miejsca w snopku swoich wawrzynów – jeżeli więc w takich okolicznościach wejdę w progi domu, gdzie może niedawno w świetnym mundurze, w odblasku zwycięskiej broni, ufny w niej jakie zalety, co mnie nad poziom społeczeństwa nieco wznosiły, gościłem – już tam teraz tym nie jestem, czym byłem. I ten, co mnie tam przyjmuje, mój równy w każdym względzie, nie jest już dla mnie tym, czym był. Wstaje z krzesła, w którego miękkich ramionach czytał romans nowy, i po krótkiej gonitwie za szarlotem, co przy kominku wygrzany, rozgniewał się na figurę, która przyniosła z sobą trochę zimnego powietrza, bo przyszła piechotą, w mróz, bez płaszcza. I po krótkiej, mówię, gonitwie, wita mnie serdecznie, sadza na sofie, której poduszki zagięły się więcej niż zwykle pod dotknięciem egzotycznej kapoty. Sam podaje cygaro, sam nawet zapala, ale on już nie jest dla mnie tym, czym był dawniej. Jego dobre, najlepsze chęci przybierają niejako *vernix* opiekuńczej wyższości. W jego zdaniu jest jakaś oględność, w żartach wstrzemięźliwość, w grzeczności zbytek. Ja to czuję i coraz więcej cofam się w siebie jak ślimak w swoją skorupę za pierwszym dotknięciem. Rozmowa między nami idzie na szczudłach. Obydwom nam ciasno, bo jakaś, że się tak wyrażę, obcość zaległa największą część przestworza. Na koniec, uściskawszy się po przyjacielsku, rozstajemy się i wolniej oddychamy, on w gabinecie, ja na schodach. Odzież, wydatna część powierzchowności, pociąga gwałtem do stosowniejszego sobie świata, jeżeli w dół, to w dole, w obcym żywiole władze umysłowe drętwią powoli. Doświadczyłem tego na małą skalę, ale zdaje mi się, że nędza, a do tego w niewoli, jest rdzą zjadliwą, która najczystsza stal koniec końców zeżreć musi.

Los jeńców wojennych za Niemnem w 1812 r. był wyjątkowy. Niewola nie była internowaniem rozbrojonych, ale była nędzą głodu, zimna i choroby, posuniętą, szczególnie w Wilnie, do najokropniejszej ostateczności. Tam odegrała się ostatnia scena długiego i bezprzykładnego dramatu.

Zaczawszy od Mało-Jarosławca aż do Berezyny odwrót nasz był odwrotem wojska, otoczonego wprawdzie zbytnią masą pociągów, rannych i *trainerów*, ale ta niesforna masa, acz zatrzymywana, spierająca się, nawet tratująca się w każdym ciaśniejszym przejściu, miała jednak przed sobą długą, wolną przestrzeń, którą upływała powoli. Ale Berezyna wszystko to

skoncentrowała, co się na cztery, sześć, a może i więcej mil szczegółowo rozciągało. Od Berezyny ku Wilnu coraz bardziej szeregi szczuplały, a liczba bezbronnych, samopas idących wzrastała. Na kilka mil długa ciągnęła się czarna wstęga po śnieżnej przestrzeni. Nie było może tyle spierania się na mostach, jak z tamtej strony Smoleńska, bo ubyłoby wiele artylerii, wozów i wózków, ale za to widziałeś kilkadziesiąt tysięcy ludzi nie chcących, nie mogących już innego j pojmować wroga, jak głód i zimno. Zimno: wzrastające do dwudziestu stopni nie tylko wytrącało z ręki karabin, ale uderzało już przedśmiertnym uderzeniem. Nie tylko bowiem trzeba było cały dzień maszerować w mundurze okrytym surdudem bez podszewki, ale trzeba było gdzieś i spocząć, zatrzymać się choćby na chwilę. Biada tym, co za wiele zaufali zaświeconemu ognisku. Ogień często gasł, a z nim i życie. Okropnie tam było, okropnie, moi Państwo! Widziałem padających pod koła, a nikt nie pomyślał, aby koła zatrzymać, łamiących lody, tłukących się w otwartych toniach, a nikt ręki nie podał. Widziałem konie gryzące z bólu skamieniałą ziemię, którym jakiś Szylok nowy wykroił z uda parę funtów mięsa – skąpił jednego uderzenia nożem i to właśnie wtenczas, kiedy dobrodziejstwem było. Widziałem, jak uporczywie broniono przystępu do ognia, nie temu, co wpół zmarznięty chciał ogrzać się na chwilę... to się rozumie samo przez się... ogień tam był życiem... życiem nikt się nie dzieli, ale broniono zebrzącemu odrobinę płomienia, który by swoją słomą przeniósł do własnego barłogu. Niejeden na oświeconym tylko śniegu wlepił oczy w ciepło, do którego nie śmiał się zbliżyć, a poranek zastał go bryłą lodu. Widziałem rannych rzuconych na drogę, bo zdrowszy, silniejszy zapragnął jego szkapę i powózki. Widziałem jeńców strzelanych, jeżeli który osłabł i dalej iść nie mógł. Widziałem budynki podpalone ze złości i zawiści, że inni w nich pierwsi znaleźli przytułek. Widziałem... tak widziałem siebie, kiedy kolega, niby przyjaciel, sprzedał futro ze mnie, które mi był pożyczył, bo ich dwa zdobył w Moskwie. I ja głupi myślałem, że cudze oddać trzeba, nie napiętnowałem go przynajmniej hańbą, zmuszając, aby mnie własną obnażył ręką. I teraz nie rzucę jego nazwiska wzgardzie pocciwych ludzi. Nie był zły. Nie wiedział, co czyni. Umarł – niech mu Bóg przebaczy, jak ja mu przebaczam – *jak przebaczam z duszy serca i innym, co mnie odstąpili w ciężkiej potrzebie*.

Gdyby ta ogromna masa ludu, bo nie powiem – wojska, nie była w swojej drodze trafiła na rozległe miasto, byłaby przynajmniej w połowie przeszła Niemen, a z tej połowy byłaby może odżyła połowa. Ale wszedłszy do Wilna każdy cisnął się w ogrzane izby, zgłodniały napychał żołądek, a co gorzej – zanadto trunkiem się zasilał. Ci ludzie z rozmarznięciem swoim, że się tak wyrażę, stracili resztę sił swoich. Co się działo w Wilnie w pierwszych kilku tygodniach po 10 grudnia 1812 roku, łatwiej powiedzieć niż uwierzyć, a i powiedzieć trudno.

Jeńcy, spędzeni po największej części do pustych gmachów, marzli dziesiątkami. Mówią, ale ja tego nie widziałem, że przy każdym rozdawaniu żywności, to jest rzucaniu w ciżbę trochę sucharów, kilku zduszonych zawsze bywało – trupy wyrzucano przez okna, czasem jeszcze nie doduszone. Szczególnie w jednym klasztorze okrucieństwo miało być bez granic. Ku wiośnie stos trupów sięgał pierwszego piętra. Żydzi wyszczególniali się srogością, właściwą tylko tchórzom i podłym, wyrzucali chorych na ulicę albo ich zabijali bez wielkiego zachodu, jeżeli spodziewali się jakiej zdobyczy w pieniądzach lub w jakim kosztowniejszym mundurze. Wpół martwe, poczerniałe mumie snuły się po ulicach od domu do domu – obdarzane czasem kawałkiem chleba, ale najczęściej wytrącane bez litości... bo też prawdę mówiąc, każdy swego mieszkania bronić musiał – ale niejeden z zebrzących za gwałtownie pchnięty padał i konał u progu. Do tego wkrótce tyfus zaczął wielką śmiertelność szerzyć i pomiędzy mieszkańcami – palono gnoje po ulicach – a z dymem zdawało się każdemu, że połyka cząstki zarazy. Nie było kupy śniegu lub stosu śmieci, żeby z niej nie sterczały nogi lub ręce – umundurowane – nikt już i nie obdzierał. Po wąskich ulicach (zaułkami w Wilnie zwanych) przez całą zimę można było widzieć po kilka trupów o ścianę opartych, którym

sztyderstwo nie szczędziło różnych dodatków. Ten miał wiecheć, niby bukiet, ten w ręku drag, niby karabin, a tamten w zębach przełamany patyk, niby fajkę. Stali, jak na targach w zimie stoi zamarzła zwierzyna. Na wiosnę dopiero zbierano i wywożono trupy drabiniastymi wozami. Mówiono, co mi się zdaje przesadzone, że w samej guberni wileńskiej pochowano czterdzieści tysięcy.

La vengeance est un morceau de roi, mówią Francuzi. Trzeba przyznać, że spory jej kawał miała Rosja w 1812 r. Ale go też drogo okupiła. Dziwna rzecz, że po skończonych wojnach więcej było chępliwości i przechwałek, i triumfatorskiej fumi w niemieckim niż w rosyjskim wojsku. Austria zerwała przymierze – dobrze, wydała wojnę – dobrze. Ale inne państwa niemieckie podle, skrytobójczo zdradzały. Zdrada stała się ich siłą i zaletą. Sasy nie tylko że odstępują śród boju, ale i zwracają broń na ufnych w rycerskie słowo wczorajszych swoich towarzyszy. Bawaria ledwie jeszcze nie podlej. Pod Lipskiem szło jeszcze o pokonanie wroga, w bliskości Renu już on był wpół pokonany. Zastąpienie więc drogi pod Hanau można nazwać: *Le coup de pied de l'âne*. Szczęściem, że w zapędzie padło bydło, padło splugawione, a po nim przeszło wojsko wierne sztandarom, których bronić przysięgło.

Spodziewacie się może, że wam teraz powiem coś o sobie – ale nie, to przechodzi moje siły. Węzeł splątany z tysiąca nitek cierpienia i boleści rośnie, rośnie przede mną, jak widmo maligny, ile razy chcę wątek uchwycić – każde szarpnięcie boli aż w sercu. I na cóż zresztą tych wspomnień? Strumyk zamacony przy źródle płynie mętny aż do ujścia w inny strumień, w inne życie.

Wspomnieć tylko muszę, że dużo dobrych ludzi znalazłem w Wilnie. Wspomnienia moje składałem jak wianki na ich grobach – grobach, bo o wiele byli starsi ode mnie. Wspomnę ich w porządku chronologicznym moich z nimi stosunków.

Właściciel traktierni, S. (ledwie czasem pierwszą literę nazwisk zapamiętam), ofiarował mi stół bezpłatnie. Nie nadużywałem, Bóg widzi, nieograniczonego kredytu do jego kuchni. Gorzki chleb łaski.

Doktor M. dźwignął mnie z ciężkiej choroby. Mówił, że lekarstwa nic nie kosztują, bo doktorom aptekarze darmo je dają. Tak kłamać wolno. Szczęściem, że z takiego kłamstwa serce umie wybrać zdrowe ziarno.

Prezes Łapa zbierał składki i ubrał wszystkich Polaków będących w niewoli w Wilnie.

Jędrzej Szumlański, który jechał za armią rosyjską podobno jako urzędnik administracji, przysłał potem po mnie powóz aż z Czarnokoniec z Tarnopolskiego Obwodu. Nie mogę przypomnieć sobie, dlaczego nie korzystałem wtenczas z podanej i łatwej sposobności ujścia z niewoli.

Głowiński czy Gołowiński, dymisjonowany generał rosyjski, był długi czas opiekunem moim. Umieścił mnie w lazarecie Sióstr Miłosierdzia przy ulicy Sawicz. A te Siostry pocziwe! Antoninę i Elżbietę dobrze pamiętam, dziś bym jeszcze poznał, gdyby można cofnąć się w czas ubiegły. Bóg z Wami, anioły cichego poświęcenia się cierpiącej ludzkości!

Michał Mineyko, który mnie pokochał miłością ojcowską. Ileż dowodów troskliwej przyjaźni otrzymałem od niego! On skłonił mnie do ucieczki i wyprawił mnie z Wincentym Makomaskim, kapitanem 6-go pułku piechoty, do swojej majątności nad Niemnem. Dał mi na drogę zegarek srebrny. Ceniłem go jak relikwię, ale służący w Bautzen zatracił. Miał Mineyko wówczas dziesięcioletniego syna. Może kiedyś do niego dojdzie mój głos wdzięczności. Do ojca pisałem później, dowiadywałem się o niego, ale nigdy żadnej nie otrzymałem wiadomości.

W mojej zaś ucieczce z niewoli na Augustów, Siedlce, Puławy, Tarnogród do Galicji, wśród zamieci, nowych cierpień i niebezpieczeństw, świeci mi tylko jedna gwiazdka. Godny, pocziwy, gościnny szambelan Kujawski, obywatel pod Augustowem. Ach, Polak też to był z duszą i ciałem – polski był i jego dom, jakich już teraz rzadko widzieć. Dom, o którym Pol tak cudnie powiada, że się zdawał rozszerzać w miarę przybywających gości. Cały tydzień

tam wypoczywałem, tam rozstałem się z Makomaskim, któremu jako rannemu odstąpiłem miejsca w powozie czy za powozem, bo przybrał tytuł kucharza pułkownika B. jadącego do Warszawy, gdzie i szczęśliwie zajeżdżał. Ja zaś puściłem się już s a m w dalszą podróż... Dajmy temu pokój... Ósmego lipca przebyłem granicę – kląkłem, ucałowałem ziemię, na której poczułem się wolnym. Wolnym!... to jest oswobodzonym z więzów niewoli. Wędrując w sukmanie granatowej i słomianym kapeluszu, spotkałem w Przemyślu Ignacego Konarskiego, przyjaciela z lat dziecinnych... Ale kogo wspomnę, już nie żyje... Ot, chodźmy spać – Dobranoc.

Byliśmy podobno wczoraj w Montereau. W Montereau więc, a raczej na dziedzińcu pałacu Surville, uwiązawszy konia, wszedłem, sam nie wiem po co, przez jakąś bramę do jakiegoś parku, czyli sadu, gdzie zgromadzono jeńców, po największej części Austriaków. Od czasu jak doświadczyłem, co to niewola, został w moim sercu udział dla tych, których później zdarzyło mi się spotkać w podobnym położeniu. Pieniądzy nie miałem, aby nimi wesprzeć, ale kawał chleba, łyk z flaszki, a czasem tylko i dobre słowo, którego wartość ten tylko cenić może, co je kiedyś otrzymał, niosłem zawsze tym, których los zdradził. Egoizm Francuzów nie dozwala im czynnego udziału. Żaden nigdy nie znieważy jeńca, ale gotów dać mu umrzeć z głodu. Polacy jedni posuwają dawną szlachetność rycerską ledwie nie do zbytku. W ostatnim naszym powstaniu narodowym pamiętano nieraz kosztem własnego wojska o zwyciężonym nieprzyjacielu. Dla Polaka zwyciężony i bezbronny jest świętą, nietykalną osobą. Zaledwie pierwszy zapal ostygnie, dzieli się żywnością, odzieżą, pieniędzmi, wypiłby z nim „kochajmy się”, byle było czym. Pod Vitry ułany polskie z komendy Tomickiego, dawniej mego szefa szwadronu w 11 pułku, zabrali cały podjazd pruski. W mgnieniu oka złożyliśmy kilkadziesiąt franków. Oficer przyjął je z większym zadziwieniem niż wdzięcznością. Prusak na taką czynność nie ma pojęcia. Ja sam, nie chwając się, dałem w Berg-au-bac majorowi rosyjskich huzarów Gagarin (którego nie wiem dlaczego Fain wspomina) moją czarną, jedwabną szlafmycę – wprowadzie nieco podszarzaną, ale on nie miał co włożyć na głowę. Dałem wspaniałe, lubo moja garderoba i ruchomości nie zalecały się wielkimi zasobami, lubo długo potem w nieustannych kursach musiałem mój kapelusz na bakier nasuwać na to ucho, w które wichler gorliwie szeptał.

Kiedy wchodziłem do pałacu w Surville, spotkałem na schodach nowoprzybyłego adiutanta księcia, kapitana Bauffremont, w którym poznałem owego porucznika huzarów, co gdzieś między Freibergiem a Altenburgiem, na rozkaz generała Belliard, szefa sztabu Króla Neapolitańskiego, dał mi białą szkapę spod trębacza, bo przybyłem pieszo z pilną depeszą. Dlaczego pieszo? Bo konia nie miałem – rzecz jasna. Zastałem tam Suchorzewskiego, który mnie uwiadomił o klęsce i wzięciu Vandamma pod Kulmem.

Biały koń trębaki zakrawał na kulawego. Gdyby nie jego wiek sędziwy, myślałbym był, że figle, kiedy nie potknąwszy się wywrócił się pode mną jak długi. Nie zeskoczyłem ja wprowadzie, nawet koń już stał, a ja jeszcze w dół głową wisiałem. Ostrogą krzywą zaczępiłem jakby haczykiem za ramię mantelzaka. Szczęściem, że Tezeusz nie wezwał Neptuna i Neptun nie podgonił, bo byłbym niezawodnie zginął jak Hipolit, lubo równie niewinny jak i on. Przy Królu Neapolitańskim trzeba było mieć dobrego konia, bo kiedy kolumna jazdy jak potok sunęła się drogą, on przenosił się czwałem z pagórka na pagórek. Obserwował, *pozował* chętnie, a czasem i nacierał na czele swojej świty na nieprzyjacielskie forpoczty. Nie mogłem w tych okolicznościach jak tylko być jednym z ostatnich. Wtem głos podany z ust do ust aż do mnie dochodzi: „*Le Roi demande l'Officier du Prince de Neufchatel*”. – Spiąłem konia ostrogą – wyraźnie był kulawy – i zbliżyłem się do Króla. Spytał mi się, czy marszałek Marmont jest w N. N. – Nie wiem, odpowiedziałem, bo nie byłem w N. N. – Odpowiedź arcylogiczna, logiczniejsza jak tego Żyda, który zapytany, dlaczego białego psa nazwał Krukiem, odrzekł: „Bo jego ojciec był kasztan. – Na silną moją odpowiedź Król odezwał się: A!... A! – i nic więcej, nic, ani słowa. Cóż u diabła za

przeznaczenie, że z żadnym monarchą pogadanki zawiązać nie mogłem. Ale tym razem dobrze się stało, bo byłbym niezawodnie jakie głupstwo powiedział. Jest albowiem rzeczą dowiedzioną, że nikt z kulawego konia nie mądrego powiedzieć, tak jak złym piórem nic dobrego napisać nie może. Niemniej bolał mnie jednak ten brak szczęścia do królów, a nawet do królewien, tak, do królewien, a przynajmniej do jednej, królowej saskiej. Było to w onym czasie, kiedy ktoś w transparencie napisał: „O Sasie, w dobrym czasie, drugi raz walisz, przez Kalisz”. W onym czasie, kiedy król saski jako Wielki Książę Warszawski jechał z Krakowa do Warszawy. Diabli wiedzą, na co był księciem warszawskim i po co jechał z Krakowa do Warszawy, ale tak było. Jazda nasza, wzdłuż drogi plutonami rozstawiona, eskortowała królewskie powozy. Na mnie padł ten zaszczyt w Lublinie. Pułkownik jechał przy karecie króla, ja przy królowej. Król i królowa zwykli byli rozmawiać z eskortującymi oficerami. Oborski powiadał, że galopując ciągle zażywał tabaki z papierka w nadziei, że król to spostrzeże i że daruje mu tabakierkę, a tabakierka królewska zawsze złota. Ledwie za miastem królowa wychyla się... ja się nachylam, a wtem bałwan kurzu uderza między nas. Królowa cofnęła się, podniosła tafłę, a ja przygotowane na języku „*Oui, Madame*”, wypaliłem w powietrze. Ale aczkolwiek rozmowa moja z królowną w ciaśniejszej granicy została niż z Królem Neapolitańskim, jednak w czapce ułańskiej, na dzielnym kasztanie, któregoś był przepłacił memu kapitanowi Sulimierskiemu, lepszą miałem minę niż na trębackim koniu, w stosowanym kapeluszu. Co prawda, to prawda.

Powiedziałem, że pod Altenburgiem przybyłem pieszo z depeszą dlatego, że konia nie miałem, argument silny. Ale dlaczego nie miałem konia, to potrzebuje objaśnienia. Wyjechałem z Drezna na własnym koniu, przyjechałem pocztowym w nocy do Freiberga. W Freibergu na poczcie nie mogli mi dać tylko wóz chłopski parą ciężkimi końmi. Nad ranem jeden ustał. Wsiadłem na drugiego i tym razem bez wszelkiego przyrzędu. Mogłem służyć za model do jakiego posągu. Posąg zawsze oklep siedzi. Różnica tylko byłaby taka, że rycerz brązowy zawsze w płaszczu i bez spodni, a ja bez płaszcza, ale w spodniach, Bogu dzięki. Ale i drugi koń zaczął folgować tak dalece, że chwyciłem heroiczne przedsięwzięcie kontynuować *per pedes Apostolorum* moje poselstwo do Najjaśniejszego Pana.

Oficer sztabowy, *le Juif errant de l'Armée*, musiał strzec się nie tylko nieprzyjaciela, ale, zwłaszcza w saskiej kampanii, i aliantów niemieckich, którzy ulegając swojemu *Heimweh* porzucali nasze szereg i wędrując lasami zabijali, kogo mogli, nie z patriotyzmu, ale *der Reisegelder wegen*.

Jednakże małe to jeszcze były przykrości, to jest przykrości samotnych wędrówek w porównaniu nieustających utarczek na każdym noclegu po wsiach. Z maruderami ciągle walka. Ale kiedy już przyszło do starcia się na piękne, pałaszem tylko albo drągiem można było działać. Francuza dobitnym razem trzeba zbić z terminu. Wtenczas dopiero powie „*Tiens!*” i ustąpi z placu – rozumie się w niesłusznej napaści. Ale i linia, nawet gwardia napadała jak szarańcza domy, przed którymi warty nie było. Z bronią w ręku trzeba było bronić swego schronienia wtenczas, kiedy czas było spocząć. Inaczej wyjęli drzwi, okna, gotowi pałace się polana wyciągnąć spod kociołka, a snopek słomy spod ciebie. Cały dom gotowi byli rozebrać, gdyby to tyle pracy nie kosztowało.

Pierwszy marsz z Drezna do Seerhausen; przychodzimy późno – deszcz leje. Na Rejtana kolej odbierać furaz – ale dystrybucji nie ma. Jazda gwardii przybyła wraz z nami. Trzeba szturmem zdobywać. Każda sterta najeżona ludźmi, zdaje się ogromnym rozbitym mrowiskiem. Snopy bieleją się w środku, jak mrówcze jaja sprzątane przez strwożone matki. Ten ciągnie, ten wyrывa tamtemu, ten pada pod ciężarem, a tamten go unosi. Ruch, ścisk, cały kopiec żyje. Do tego dołącz żołnierską wrzawę, ludzką kłótnię, krople deszczowe, kurz zbożowy, a obraz będzie dokładny. Nareszcie Rejtan przybywa; niosą za nim siano i słomę, ale je prawdziwie wywalczył, bo nazajutrz rąbie się z francuskim oficerem.

My tymczasem umieściliśmy się dobrze nad wszelkie spodziewanie. Spoczywaliśmy pod sklepieniem mirtów, granatów i pomarańcz. Śnieżny kwiat padał na kulbaki. Woń godna bogów walczyła zwycięsko z różnorodnym zapachem biwaku. Byliśmy w obszernej oranżerii. Ale niedługa rozkosz, a sen jeszcze krótszy. Piesza gwardia nadeszła. Wyjmują okna, nie ma co mówić, my mamy dach, słusznie, aby oni mieli okna. Ale od łyeczka do rzemyczka. Wyjawszy okna, ciągną ze środka jakąś mogą tarcicę, jakiś kawał drzewa. Jeszcze nic. Ale nareszcie zaczynają zbijać obręcze z wazonów, wazony brać na opał. Padają oleandry, aloesy, kaktusy i agapantusy. Bierz je lichy – nigdy nie byłem miłośnikiem botaniki, a tym mniej wtenczas, ale można jakim wykorzenionym kaktusem albo cyprysem w łeb dostać. Ziemia się sypie, rusztowania trzeszczą. Koniec końców trzeba było zrejterować się w jeden kąt i tego jeszcze do białego dnia bronić od zupełnego zniszczenia.

Podobne, lecz śmieszne dla nas mieliśmy zdarzenie w Perthie, dużej wsi między Vitry a St. Dizier. W nocy otwierają się drzwi z trzaskiem, hałasem. Jeden z kolegów, co zawsze odosabniać się lubił i nad wygodami przemyślał, wpada do naszej izby. Spodnie pod pachą, buty w jednym, pałasz w drugim ręku. Cóż się stało? Co się dzieje? Kozaki czy ogień? – Wcale nie. Nasz kolega wybrał sobie kwatery na piecu piekarskim, które to piece we Francji opodal od domu przykryte bywają płaskim daszkiem, jak u nas piwnice. Zasnął smacznie, a wtem... trzask! prask! gonty się łamią, krokiew pęka i piechur na kark mu spada. *Excusez!* Dach rozbierają. Ledwie wyszedł cały, a my musieliśmy pospieszyć, aby resztę rzeczy wyratować z tej zburzonej Troi.

W tej wsi Perthie usłyszałem miejscową anegdotkę, którą pozwolę sobie Państwu powtórzyć. Żył tam przed laty pleban, który tylko wierszami mówił. Razu jednego między nim a biskupem taka nastąpiła rozmowa:

– Vous êtes le Curé de Perth?

– Certes.

– Le fameux rimeur?

– Oui, Monseigneur.

– Descendez de cheval.

– Vous dites mal.

– Comment?

– C'est une jument.

... I mruga! piękna to piosneczka, niedługa.

Przykre bywały te utarczki z rzeszą obozową dla oficerów sztabowych, którzy zmęczeni zawsze jak psy gończe, co dzień cały po trzcinach starego lisa goniły, potrzebowali tak dla siebie, jak i dla koni kilka godzin odpoczynku – odpoczynku, którego każdy inny w jakim takim, ale niekontestowanym biwaku mniej więcej używał. Biwakować zaś także trudno nam było. Jeżeli to czasem się trafiło, leżeliśmy na kwiecistym kobiercu ziemi pod gwieździstym namiotem nieba. Bo nie było komu spać jaką taką barakę, przynieść drzewa, słomy, wody. W pułku jedni drugim pomagają, jedni zostają przy koniach, drudzy przy kociołku, a inni idą na łówkę. Ale oficer sztabowy ze swoim służącym nie rozbierze dachu ani też wyjmować będzie okien z oranżerii. Na to trzeba stowarzyszenia nie przez akcje, ale przez pięści. Sama epoleta za słaba w tym razie. Nie mniej przykrymi bywały te noclegi, gdzie gwardia dostawała rozkaz *de se loger militairement*, to jest – jak kto może. Kilku nas ze swoimi i tych kolegów, którzy się na misji znajdowali, służącymi i końmi zajmujemy jakiś domek. W parę godzin kłapanie tysiąca trzewików oznajmia, że piechota przybywa. Wkrótce potwierdza to mniemanie dwukrotne uderzenie kolbą w drzwi – podpira, kto może – rozmowa przez deski – czasem uda się odwrócić ten pierwszy napad – ale nieza długo nastaje drugi, trzeci, a im późniejszy, tym upartszy, bo to ogon kolumny, ten nie ma wyboru ani czasu do stracenia. Drzwi trzeszczą, kapitulować trzeba. – Wielu was? – Trzech. – Dobrze, trzech przyjmujemy. – Otwierasz, wchodzi sześciu. „*Pardon Messieurs! mais que voulez-vous...*” „*Il faut bien...* etc.

etc...” Dobrze, dobrze, tylko cicho – wy tam, a my tu. Ale zaledwie utasowano się jako tako, nowy szturm. – „*Briquet! Est-tu par là?*” – „*Ah! C'est toi Colicaut!*” – „*Allons sacrrr!... Vous allez faire entrer toute une compagnie!... Dutout!... dutout... un seul, pas plus, natre camarade... Voyons*” – I wchodzi jeden, za nim wciska się znowu jeden i niby nie puszczany przez tego, co drzwi uchylił, jeszcze jeden. – „*Fermez donc, sacrrr!...*” – *Oui, Messieurs.* Ale już obrócić się trudno. Otóż to nocleg sztabowych oficerów.

Raz wróciwszy z misji, strudzony, zziębnięty, oddaję konia, wchodzę do wskazanej mi izdebki i rzucam się na łóżko bez wszelkiej przemowy. Zasnąłem twardo jak panna po balu albo wikary po stypie. Nad ranem, jeszcze ciemno było, wstaję – potykam się na czemsiś... chwytam się czegoś drugiego... upadam na coś trzeciego... Słowa zagrzmiały, słowa się krzyżują, słowa, których nie ma ani w dykcjonarzu, ani w encyklopedii i których powtórzyć nie mogę. Cóż się to stało w mojej samotnej izdebce podczas mego snu? Oto grenadiery gwardii zaległy ją pokotem. Dziwna rzecz, że żaden nie położył się na mnie. Ale Francuzi tak grzeczni!

W owych szturmach, obronach, walkach o trochę słomy albo kawałek poddasza kto był Ajaxem? Kto Hektorem? Mój Onufry. To przyznać trzeba. O! jak piękny był, kiedy zwabieni hałasem na podwórze, ujrzeliśmy go nad leżącym pod wozem *Garde d'honneur'em*, z ogromnym drągiem w ręku. Stał jak ów, słynnego dłuta Canovy, Tezeusz nad Minotaurem. *Garde d'honneur* krzyczał i, nieufny zapewne w siłę pałasza, parował obu nogami grożące mu razy. Wiązka siana obok walczących świadczyła, o co poszło. Krzyknąłem – drąg się spuścił – *Garde d'honneur* wstał – zdjął czako z ziemi mruczając: „*Est-il mal-appris, celuil là!*” I obcierał sobie mundur... nie na piersiach zwalany.

Pułk huzarów w zielonych dolmanach z białymi sznurami i w pąsowych rajtuzach, nazwany *Gardes d'honneur*, był to pułk świeżo uformowany po największej części z dzieci paryskich. Bili się z honorem i męstwem, tak jak się Francuzi bić zwykli, ale niemało bawili starszych żołnierzy swoją powierzchownością, również jak i swoim zachowaniem w różnych obozowych okolicznościach. Jeden z francuskich generałów powiedział: Nie ma się co dziwić, że Polacy są dobrymi lansjerami, bo Polak jeszcze dzieckiem już z lancą w ręku bydło pasie. – Lubo Francuzi zawsze wszystko najlepiej wiedzą – teraz nawet w Algierii Arabów uczą po arabsku – ja prawdy twierdzeniu szanownego generała przyznać nie mogę. Powiem jednak, że nam, Słowianom, łatwiej niż Francuzom złożyć dobrą jazdę lansjerów czy nie lansjerów, a zwłaszcza złożyć naprędce. U nas chłopak wzrasta między końmi – dosiada szkapę, pędzi po pastwisku, przepływa rzeki, wtenczas kiedy jeszcze po płocie wydrapał się na nią, kiedy między nim a jej grzbietem płótna nawet nie ma. Nie będzie on zapewne od razu zgrabnym kawalerzystą, ale z koniem poradzi sobie zawsze, a do koczowania nawykł od dzieciństwa. Każdy nowy kawalerzysta wzbudza śmiech starego żołnierza, a coś dopiero Francuz prosto od *Comptoir*a kawiarni albo od perukarskiego warsztatu na francuskiego konia wsadzony. Proszę mu się przypatrzeć. Najprzód jego punkt dotknięcia z kulbaką jest w ciągłej z nią niezgodzie... zdaje się, że jakaś odpychająca siła zmusza je do oddzielnej grawitacji. Jego łokcie odparte od ciała jak skrzydła młodego gołąbka, co chciałby, a boi się pierwszy lot z gniazda przedsięwziąć. Jego głowa w tył zadarta, a pierś nachylona jak u naszego popa, kiedy o prezentę prosi – brzuch wypięty jak u spazzonego karczmarza. W jego ruchach, od pięty aż do czubka paryskiego, zgniecione teraz rycerskim przykryciem, jest coś nerwowego, coś ostrokatnego, co go czyni podobnym do telegrafu, nie elektrycznego, ale tego, co za naszych czasów z wieży do wieży łamańce wyprawiał. Bądź przy tym pewny, że oba strzemiączka, a przynajmniej jedno urwane – rajtuzy w górę skurczone odkrywają cholewę nie poczernioną albo część płóciennego ubioru, który nigdy słońca widzieć nie powinien. Ostroga młodego rycerza na dół zgięta nadwreżyła obcas; to na pierwszych schodach, z których zstępował jako obrońca ojczyzny, stać się musiało niezawodnie. Czako przestronne ociera uszy albo za ciasne natęża podpinkę, która koniec końców urwana igrać

będzie z wiatrem wzdłuż policzków. Cugle długo trzymane zdają się być lejcamy czterech koni w ręku stangreta rozpartego na koźle. Nareszcie zawsze coś niepotrzebnego, rzemyk, tasiemka, sznurek wygląda, skąd mu wyglądać nie wolno. Ileż to razy jaki stary wiarus rozkuł w nocy konia *Garde d'honneur*owi, potrzebując podkowy. Ileż to razy wiozącemu furaz wymknęły się źle związane snopki, a nim konia zatrzymał, nim zlął z niego, już snopków nie było. Jeżeli zaś nauczony w tym względzie doświadczeniem wziął cugle w zęby, a wiązki pod pachę, wtenczas tracił łatwo równowagę i zsuwał się z kulbaki, a nim się z siana wydobył, koń już kawał uszedł. Ileż razy nie śmieliśmy się, patrząc na biednego Paryżanina, jak nie mogąc dać sobie rady w trudnej sztuce przypięcia sobie mantelzaka, siadał twarzą do ogona i tak szamotał się z krnąbrnym rzemieniem i zuchwałą sprzączką. Notabene w okularach na nosie często, a z kroplą u nosa zawsze. Ta kropla, aczkolwiek mniej ważna niż owa, o której Alba wspomniał Don Karlosowi (z wielkim zgorszeniem ultra-klasyków), godna jednak wspomnienia. Zdaje się nie podpadać wątpliwości, że nosy francuskie drażliwsze od nosów innych narodów, bo zacząwszy, nie od Cesarza, u którego nie zdarzyło mi się nigdy ujrzeć owej perełki, ale zacząwszy od mojego szefa generalnego, majora Księcia Neufchatelskiego, aż do porucznika Pascalis, którego (*par parenthèse*) nazywaliśmy *Tête de veau bouillée*, wszyscy Francuzi, gdy chłodny wietrzyk przeciągał, mieli kropelkę u nosa; niebytność tejże była cechą niemyślną obcego Gallom szczepu.

Czasem trafiało się, że w miasteczku, gdzie stanęła główna kwatera, a z nią gwardia, miejsca dla wszystkich nie było, natenczas część sztabu zostawała umieszczoną w bliskiej jakiej włości. Mocnymi marszami dążymy ku zagrożonemu Paryżowi. Ostatniego marca przybywamy do Pont-sur-Yonne. Kwatera nasza o ćwierć mili na prawo w dużej wsi zwanej (czego do śmierci nie zapomnę) Michery. Poprawiliśmy się na kulbakach i dalej, panie koniu, dalej! do stajni jeszcze kawał drogi. To, co w zmroku wieczornym widać jak czarną plamę, jest Michery. Dalej, naprzód! Już się ściemniło, ba, ciemno było, jak to mówią „oko wykol” albo vulgo „w pysk daj”, kiedyśmy dojechali światelka, co z okienka krajnej chaty od dawna mrugało na nas uprzejmie. Ile razy zdarzyło mi się przejeżdżać przed porządną chatą, gdzie ogień w kominie jarzący muskał zarazem światłem białe ściany i niski strop, z którego święcone wianki zdają się wieńczyć zgromadzoną rodzinę, zawsze doznawałem jakiegoś błęgiego uczucia. Zdawało mi się, że szczęście widzę. Myślałem sobie: Jak im tam dobrze, jak spokojnie, jak mało trzeba! Nigdy pałac oświetlony nie wzbudzał we mnie zazdrości – chatka z dobrym ogrodzeniem, ze swoim nieodzownym Kruczkim albo Biłkiem, zawsze prawie. Raz nawet, na kilkudniowym polowaniu w lasach lubartowskich, nocując w domku leśniczego tak byłem zachwycony widokiem rodzinnego, cichego, skromnego życia, że zachwiało się we mnie młodzieńcze przedsięwzięcie wojowania aż do śmierci. Takiego, rzekłem, chcę ustronia... prawda, że wtenczas kochałem się po raz pierwszy... nie, po raz drugi. Prawda, że później poznałem, że nie wszystko grzeje, co się świeci, a jednak wrażenie z wiosny mego życia rozciąga swoją bladą lunę i na jesień, co już niejednym żółtym rzuciła mi listkiem. Dwa małe okienka, ale czyste i proste, spod grubej strzechy świecące w noc daleką, przemawiają jeszcze do serca mojego.

Nie tak przyjemne wspomnienie o chatkach i światelkach zachował zapewne jeden z moich kolegów. Jechaliśmy przy sobie na czele kompanii przez jakąś nędzną wioskę; było to jeszcze w czasie pokoju, ale w noc diablo czarną. Wiatr dał i ryczał, niby gniewał się jak demagog, że nie może wszystkiego obalić, co nad poziom wyższe. Fajka w takich chwilach niby rozwesela, niby rozgrzewa. Mój kolega (Boże mi odpuść, nie pamiętam, jak się zowie, czyli jak się zwał) chciał ognia, ale w bliskich rotach nikt nie miał. W chatach ciemno. Na koniec w ostatniej, opodał od drogi, migało światelko, słabe, blade, więcej podobne do promyka księżycy niż do płomienia kagańca albo łuczywa. Tam zatem konia skreślił. Pięć minut zaledwie uszło – słyszę cwał – kolega mnie dopędza, przegania – biały płaszcz wzdęty wichrem, wznosi się, płacze, układa różne kształty – raz jeździec zdaje się bez głowy, raz w

olbrzyma rośnie, raz zdaje się trzymać w objęciu wiarołomną Leonorę, hop! hop! hop! Puszczam konia za nim. – Hola! hej! stój! gdzie pędzisz? – Wstrzymał się nareszcie, spojrzał na mnie, odetchnął i zawołał: – Mnie się zdaje, że zwariowałem. – Nie spodziewam się – odpowiedziałem – ale w świecie wszystko jest podobne. – Nie żartuj – rzekł dalej – bo mnie w samej rzeczy kręci się w głowie. Zrównał swego konia z moim i ujechawszy kawałek, krzyknął: – I fajkę palę! – To wykrzyknięcie przeraziło mnie cokolwiek, bo zacząłem myśleć, że jego rozum w istocie koziołka wywrócił. Spojrzałem na niego z ukosa, ale prócz dymu puszczonego wielkim kłębem, nic więcej nie dojrzałem. – I fajkę palę – powtórzył jakby do siebie, a potem zwracając się ku mnie, rzekł, zaśmiaawszy się niby: – To jest rzecz dziwna. Wstydzę się trochę, ale powiem. Kiedy zwróciłem konia ku chatce, musiałem go spinać ostrogami, bo szedł trwożnie i z oporem. Zniecierpliwiony zsiadłem z niego i znalazłszy jakiś kół, ostatni zapewne w wyłamanym płocie, zarzuciłem nań cugle i wszedłem do chaty. W sieni ciemno. Macam po ścianie, nareszcie natrafiam na sznurek u drzwi, ciągnę, otwieram i w pierwszym kroku znajduję się przy twarzy, tuż przy twarzy... umarłego. Leżał białym płótnem przykryty – jedna świeczka przy nim świeciła. Jakaś okropność mnie chwyciła – jakiś mróz przejął – martwym wydałem się sam sobie. A wtem... coś się ruszyło – wszystko i nic... Nic, bo tam prócz umarłego nikogo nie było – wszystko, bo nigdzie jednego stałego punktu oko moje znaleźć nie mogło. Nawet ściany nagie przebiegało coś, co ni cień, ni światło. Co się ze mną dalej stało, nie pamiętam. Musiałem fajkę zapalić, bo palę... – i dmuchnął, aż cały nabój tysiącami iskier wyleciał w górę i spadł potem na grzywę. – Jak wyszedłem, nie wiem... jak się znalazłem na kulbace, nie wiem... jak tu przyjechałem, nie wiem. Twój głos mnie obudził. Powiedz mi, czy nie zwariowałem, bo już ci trupa się nie boję. – I znowu zaczął opowiadać od początku do końca, a gdyśmy się spać pokładli, jeszcze raz powtórzył: – To światelko ciągle świeci mi w oczach. Śmieję się sam z siebie, ale światelko świeci przecie.

Kiedy byłem poetą, a byłem nim niegdyś, bo pamiętam jeszcze gwiazdy, co mi wtenczas świeciły, głosy, co mi śpiewały, mgły, co swoją wonną gazą łączyły niebo z ziemią, w których pomroku oko gubiło się tak chętnie. Tak jest, pamiętam, byłem poetą, wtenczas więc, kiedy myśl obfita przelewać się zdawała, jak woda przez krawędzie przepelnionej czary, obstawiałem się zwykle krzesłami, ażebym chcąc wstać od stolika trącił się o nie i był zmuszony usiąść znowu nad papierem przed kałamarzem. Inaczej zrywałem się jak osą ucięty, chodziłem wzdłuż i wszerz pokoju, prędko, coraz prędzej... a myśl ze mną, przede mną, prędko, coraz prędzej, aż na koniec zadychany usiąść musiałem, aż nareszcie myśl zapędzona gdzieś w manowce, jary, szczyty, nie wiedziała, jak trafić do swojego gniazda i czarną łzą zawisła na ostrzu pióra. Otóż tak należałoby postąpić przy opowiadaniu moim. Należałoby otoczyć mnie jakową poręczą, bo mam brzydki nałóg, a co gorzej, wątpię, abym się kiedy poprawił, zbaczać nieustannie z mojej ścieżki za łada bławatkiem, co gdzie zaświeci. Wjeżdżałem do Michery i już ci skoczyłem trzy lata w bok, sześć lat w tył, jak zając, kiedy na ponowie zrzuca przed psami. Nieraz psy rączo goniąc...

„Ale Michery! Michery!”... Prawda, Michery. Wjeżdżamy więc w uliczkę wąską, jedziemy nią dość długo, potem wyjeżdżamy na plac, potem znowu wjeżdżamy w uliczkę, a przejechawszy tak wzdłuż całą wieś, którą u nas nazwano by dobrym miasteczkiem, skręcamy na prawo i stajemy u bramy przeznaczonej nam kwatery. Był to domek niewielki, murowany, okna kratami opatrzone, drzwi były wąskie i jedno tylko, właśnie prosto bramy, i furtki, które także były jedynym otworem w murze wysokim, otaczającym pomieszkaniem i stajnię razem, co o kilkadziesiąt kroków na lewym skrzydle formowała z domem kąt prosty. Z tego krótkiego opisu łatwo pojąć, że kto był panem furtki (brama bowiem była zamknięta), był oraz i panem placu. Nie tylko mógł wzbronić wyjścia z dziedzińca, ale nawet i z domu, przecinał przy tym komunikację ze stajnią. Ci zaś, co byli w domie, stajni lub na dziedzińcu, mieli wysokim murem cały świat zasłonięty.

Zsiedliśmy z koni. W dużej izbie prosto z dworu przywitał nas dobry ogień na kominie, nad ogniem wisiał kociołek, a na stole stał już dzbanek pełny. Wieczór przeszedł wesoło, nareszcie masztalerze poszli do stajni, a my rozłożyliśmy się w alkierzu. Nie wiem, dlaczego tej nocy byliśmy mniej ostrożni niż kiedykolwiek. Rozebraliśmy się zupełnie i położyli się spać z wszelką spokojnością umysłu, tak jak się kładzie w Rudkach na noclegu szlachcic z Sanockiego jadący do Lwowa na kontrakty.

Spaliśmy dłużej niż zwykle, a obudziwszy się, wstawaliśmy leniwo. Milberg ubrał się najpierwszy i zrzędził, że się nie zbieramy. Suchorzewski poszedł ze swoim koniem do kowala. Grabowski zaczął się ubierać. Rejtan jeszcze drzymał. Ja przy stoliku w oknie, z którego widziałem bramę i furtkę, przypinałem sobie torbeczkę skórzaną, którą pod mundurem na piersiach nosiłem i w którą chowałem tak własne ważniejsze papiery, jak i powierzone mi depesze. Taki był stan rzeczy, kiedy Stefan, służący Rejtana, wpada błady jak kreda, trzęsący się jak febra *in persona* i cichym, gasnącym prawie głosem woła: „Kozaki!... Jak Boga kocham, Kozaki!” Jakkolwiek cicho i niekoniecznie wyraźnie wymówił te słowa, głośno wszakże zagrzmiały w uszach naszych. Obudził się, kto drzymał, zerwał się, kto leżał, kto stał, podskoczył. Nie trzeba było pytać: gdzie? jak? co? Bo rzuciwszy okiem w okno, ujrzeliśmy u furtki z tamtej strony muru część zielonego płaszcza, połowę białej juki, łeb koński, a nad nim kozacką brodę. Niebawem ukazała się i druga. Kozak wszedł na dziedziniec; czy to pierwszy, czy dziesiąty, nie wiemy. Co się dzieje w stajni, trudno zgadnąć. Bierzymy odzież, chwytny za broń, ale przy moim boku szpada, pałasz u Onufrego, pistolety, jeżeli który nabity, spoczywają w olstrach, olstra przy siodłach, siodła w stajni. Kiedy w naszym alkierzu alarm, w stajni tymczasem ludzie nasi spokojnie jedni konie chędożą, drudzy kulbaczą, pomimo że Kozak we drzwiach, ten, którego widzieliśmy wstępującego na dziedziniec.

Zdaje się, że św. Balbina, patronka dnia tego, opiekuje się głupimi, bo trudno wierzyć, aby tyle głupstwa, ile wówczas w Michery, mogło skoncentrować się w jeden punkt i w jedną godzinę. Kozak widzi w stajni ze dwadzieścia koni – nie dostrzega popłochu – przemawia kilka słów i cofa się za furtkę. Kozacy pamiętni zawsze przysłowia: *Quis scit co za górą wyje* – kto wie, co w domu? co za domem? Między murami kulka z bliska uderza, – lepiej postępować powoli a bezpiecznie. Oni przynajmniej rezonowali... ale my!... Proszę tylko słuchać.

Za Kozakiem na próg furtki wstępuje Milberg. Jeszcze widzę jego mundur, epolety, krzyże odsłonięte, szpadę w pochwie, kapelusz na głowie, fajkę w ręku. Staje przed Kozakiem i mówi do nich z ruska po polsku: „Co wy tu robicie? Tu dużo Francuzów”. A na to Kozak trzymając pistolet w jednym ręku, uchyla drugą ręką kaszkiet i z wszelką uprzejmością odpowiada: „My Hrancuzów ne boim sia”. Postrzegłem tę scenę z okna. To uszanowanie Kozaka odkrywa mi nagle, co się dzieje za murem. Nie ma ich wiele. ...Boją się nas... pomyślałem, a po łysnięciu tej myśli uderza piorun czynu. Chwytny jakiś pałasz leżący na stole jeszcze pendentem obwinięty i wypadam z domu krzycząc: „Hurra!” – „Hurra” – powtórzyli nasi z wszystkich kątów... Kozaki w nogi. Grabowski wpół ubrany dopadł przecie pistoletu, strzelił za nimi, kulka świsnęła, Kozunie jeszcze lepiej...” tak dalece, że jeden pikę swoją upuścił. Suchorzewski także narobił hałasu. Uderzono w dzwon (*le tocsin*), kilku chłopów wybiegło z widłami. Kozaki zaś zebrawszy się, uformowali się za wsią o wystrzał armatni na pagórku i w nieczynnej stali obserwacji. Od naszej furtki widać ich było, a przez to samo i oni widzieli punkt, przez który trzeba nam było defilować wychodząc z opiekuńczych murów. Ośmielony pomyślnym skutkiem mojej wycieczki, wpadłem w błąd, który zwykle za szczęściem krok w krok idzie. Zostałem zuchwałym, zarozumiałym, zdało mi się, że ja tu działać muszę, że tylko taktyczna zręczność wyprowadzić nas z niebezpiecznego położenia. Włożywszy zatem kapelusz à la Napoleon, to jest rogami nad uszy, rekognoskowałem nieprzyjaciela (nie mając perspektywy) gołym okiem i tak zacząłem

rezonować: Jeżeli wyjedziemy z bramy w nieładzie, odsłoniemy nasze słabe siły i zamiar ucieczki. Potrzeba zatem, rezonowałem dalej, zrobić demonstrację, która by nieprzyjaciela w błąd wprowadziła, że my jesteśmy tylko częścią większego oddziału, rozłożonego po wsi, że nie uciekamy, ale że udajemy się spiesznie na plac zbioru, że nareszcie zebrawszy się, nie myślimy ustąpić z naszego stanowiska. Aby więc dopiąć tego celu, zdawało mi się być najstosowniejszym krokiem posunąć naprzód korpus obserwacyjny. Że zaś zawsze podług stawu grobla, więc i nasz korpus obserwacyjny musiał objawić się tylko pod postacią skromnej wedety. Udzieliłem mego planu kolegom i nie czekając ich przyzwolenia, siadłem na konia, wziąłem pałasz w rękę i ruszyłem ku Kozakom w zamiarze zatrzymania się i pozostania na brzegu wsi póty, póki w tyle nie uporządkują się rozstrzelone nasze siły. Ruszyłem, stanąłem... dotąd wszystko pięknie, bo w samej rzeczy zdaje się, iż ukazanie się moje na linii bojowej zajęło uwagę Kozaków i pozbawiło ich przez to potrzebnego, czasu do obejścia wsi i przecięcia nam powrotu do Pont-sur-Yonne, dokąd dążność nasza nie mogła być wątpliwą i z najgłupszych najgłupszemu. Ale stanąwszy na miejscu postrzegam, że droga zaczyna być wąwozem i że wzdłuż tejże po lewej stronie ciągnie się murek na paręset kroków. Skręcam więc konia na prawo z drogi, aby odsunąć się na plac otwarty, bo bliskość murów, płotów lub zarośla zawsze kawalerzyście jest niemiła, oraz aby osiągnąć wyższą pozycję. Tam zacząłem toczyć koniem, jak to zwykle robi się na harcu.

Wtenczas to zapewne duch jakiegoś doświadczonego wojownika, którymi w onym czasie zapępiały się obficie wyższe sfery, zawieszony gdzieś, na jakiej chmurze, roześmiał się z mojego przemądrego obrotu. Przez oddalenie się od drogi traciłem możliwość schronienia się między domy – bo już ci o tyle ja tylko byłem tam groźny, o ile moja szarlataneria czyniła mnie strasznym. Mogła ona łatwo stracić swój urok, a wtedy jedynie ucieczka ratować mnie mogła. Ale razem, a to najgorzej, pozbawiłem się widoku za siebie ku bramie. Bądź co bądź, mądrze czy głupio, harcowałem śmiało. Jeden tylko Kozak, w którym po zielonym płaszczu poznałem Barbarosę od furtki, wyjeżdżał ze swego hufca, złożonego mniej więcej z trzydziestu koni i strzelał do mnie... to jest chciał strzelać, ale ognia mu brakowało, kłapał ciągle. Może ów duch ze swojej chmury, litując się nade mną, plunął mu na panewkę.

Nareszcie wytrzymałszy czas jakiś, który zdawał mi się dostatecznym, rozpocząłem odwrót. Przybywam do bramy – dziedziniec pusty jak wymiótł. Koledzy nie opuścili mnie, wiem, z kim mam do czynienia, ale zapewne nie dosłyszeli, nie zrozumieli... niemniej przeto uczułem za nimi głęboką tęsknotę. Nadziei jednak nie tracę. – Na placu – rzekłem – czekają mnie pewnie, organizują obronę. Jadę więc wolno aż do zakrętu ulicy, stamtąd rzuciwszy okiem na hufiec nieprzyjacielski posuwam się jeszcze parę kroków... i nuż w konia!... Rejteruję się w porządku, ale spiesznie. Czoło mojej kolumny debuszuje na plac pożądaný... żywej duszy!... A do stu diabłów!... (tu kłąć wolno). To. nie przelewki, ale planu mego odwrotu nie widzę potrzeby zmieniać... Marsz! marsz! pędzę cwałem... za mną się kurzy, a ja pędzę, pędzę przez wieś, przez pole... widzę grenadiera prowadzonego przez dwóch Kozaków... Bywaj zdrow! o mojej przyjaźni dobrze mów!... Ja pędzę dalej, aż nareszcie postrzegam oddział naszej jazdy spieszący nam z miasta na pomoc. Odetchnęła moja szkapa, odetchnąłem i ja. I jakkolwiek teraz ten popłoch godniejszy śmiechu niż politowania, ja honorem ręczę, że dla mnie był arcynieprzyjemnym. Dobrze wyciągał się koń pode mną, ale myśl moja jeszcze lepiej. Przebiegła całą nędzę i cierpienie niewoli, z której otrząsłem się zaledwie, a potem prawdę mówiąc, być raz w niewoli jest dla człowieka wiele, nawet bardzo wiele, ale dwa razy, raz po raz, to przesłoby miarę... to już zbytek, a moje żądania były zawsze nader skromne.

Nic nie straciliśmy w tej dziwnej przeprawie, w tym szczególnym *Prima Aprilis*. Ale w Pont-sur-Yonne czekało nas drugie, boleśniejsze, niszczące całą przyszłość, zabijające wszystkie nadzieje nasze. Paryż kapitulował.

Teraz pozwól, szanowny Obywatelu, zapytać się, czy stałeś kiedy dzień cały w polu na wietrze zimowym bez delii, lisiurki albo i płaszczka? – Nie. Tym lepiej dla ciebie, a gorzej dla mnie, bo nie pojmujesz dobroczynnego uczucia, z którym w Montereau, tysiąc ośmset czternastego po narodzeniu Jezusa Chrystusa, koło szóstej wieczór odpiąłem pałasz, zdjąłem mundur i zasiadłem, gdzie potężny ogień strzelał węglem i lizał płomieniem szerokie podniebienie komina. Już patelnia zaczęła swoją służbę. Już omlet na niej kozła wywracał, tak jest, kozła – i w tym cała sztuka – a ta sztuka właśnie była niedościgniętym dla mnie zadaniem. Kiedy omlet zajmujący całe dno patelni przysmaży się już dostatecznie z jednej strony, trzeba go w górę podrzucić i gdy robi *salto mortale* podłożyć zręcznie patelnię, aby drugim bokiem: upadł na skwierczące masło. Ileż to ja omletów nie popsulem! Ileż za to gorzkich nie nasłuchałem się wyrzutów! Mój omlet, niezgrabnie zawsze podrzucony, albo spadał na ogień i konał w płomieniach, jak wdowa Malabaru, albo w pół schwycony związał się w haniebną trąbkę. Dlatego pomimo wszelkich z mojej strony reklamacji (bo człowiek najgorliwiej chce to robić, co najmniej umie) zostałem *unanimiter* od patelni odsądzony. Mściłem się krytykując – bo krytykować łatwo, a mścić się przyjemnie – bo zemsta niezdolności bliska krewniaczka.

Podjadłszy nieco i napiwszy się jakiegoś kwaśno-cierpkiego czerwieniaka, rozciągnąłem się na słomie i twardo zasnąłem. Jak długo spałem, nie wiem. Pukanie w okno budzi mnie pierwszego.

– Qui vive? – Guide. – Zjedźże diabła! – Podniosły się głowy spod płaszców jak kacze łebki na jezioru, kiedy bliski szmer zasłyszają. Biorę złowieszczą kartkę, trącam nogą przygasłą kłodę, a dobywszy z niej trochę blasku, schylam się, by odczytać nazwiska powołanych na służbę. Jedno z pierwszych: Capitaine Fredro. – C'est bien – rzekłem do Guida po francusku, a po polsku dodałem: Niech cię piorun trzaśnie! – Trzaśnie czy nie trzaśnie i zapewne nie trzaśnie, bo to luty, ale zbierać się trzeba. Nigdy zając albo jarząbek na czwartkowym obiedzie u króla Poniatowskiego nie był tak młodą słoniną naszpikowany, jak był diabłami mój monolog ostatniej nocy. Zakończyłem go wykrzyknikiem: Wolałbym być Kundlem, Brysiem albo Kurtą przy młynie albo karczmie gdzie na Podolu, jak oficerem sztabowym. Miałbym albo mniej trudu, albo więcej zasługi.

Przychodzę do salonu służbowego, melduję się adiutantowi komendantowi, przewracam nie tracąc czasu krzesło, tak aby poręcz mogła mi służyć za poduszkę... i obróciwszy się w kółko jak pies, co sobie legowisko wytłacza w barłogu, kładę się jak długi. – *Streckt die Glieder und legt siech nieder*. Ale wkrótce drzwi się otwierają: – *Premier Officier à marcher!* – *Me voilà*. – Wchodzę do gabinetu. Stół długi na środku – na jednym końcu rozłożona mapa, przy drugim sekretarz Dupuis pisze, Salomon pieczętuje listy. Książę Jegomość rozłożywszy poły grzeje się przy kominku, a zobaczywszy mnie, powiada przez nos, jak gdyby mu go trzy par babskich okularów ścisnęło: – *Ah! c'est Vous!* – Ale gdybym był go się zapytał, kto jest ten *Vous*, byłby odpowiedział niezawodnie: Siukoroski – co miało znaczyć Suchorzewski. Nauczył się tego trudnego nazwiska, a raz zrobiwszy *ce tour de force*, chrzczył nim potem wszystkich polskich oficerów, będących przy jego sztabie.

Książę przystąpił do stołu i pokazując palcem na mapie rzekł do mnie: – Tu jesteśmy: Montereau – tu jest Moret – a tu Fontainebleau. Weźmiesz Waćpan trzy ekspedycje. Jedną oddasz generałowi A*** w Moret, drugą generałowi C*** w Fontainebleau, trzecią także *mairowi* alias burmistrzowi. Ale ponieważ lewy brzeg Sekwany między Montereau a Moret jest jeszcze zajęty przez nieprzyjaciela, zatem popłyniesz Waćpan czółnem aż poniżej Moret. Tam doszedłszy, generał A*** ułatwi Waćpanu sposób dostania się dalej. Ten jegomość będzie Waćpanu przewodniczył. – Rzuciłem okiem w stronę wskazaną i zobaczyłem człowieka wysokiego, grubego, w którym po jego siwym ubiorze łatwo mielnika poznałem. Skłonił on się nisko, nie wiem, czy indeksowi książęcemu, czy mojemu badawczemu

wejrzeniu. – Rozumiesz Waćpan – mówił dalej Księżę do mnie. – Rozumiem. – Powtórz więc, co powiedziałem. – A gdy powtórzyłem: – C'est bien, partez! – Nie ma lepszej rękojmi, że rozkaz został zrozumiany, jak powtórzenie go dosłownie przez odbierającą osobę. Księżę miał ten chwalebny zwyczaj, zachowywał go święcie, zwłaszcza w czasie boju dając ustne zlecenia. Teraz, w czasach, kiedy plotę moje trzy po trzy, mój dojeżdżacz powtarza zawsze rozkaz, skąd ma psy puścić i którędy podkładać, a ja mu powiadam: – C'est bien, partez!

Nie wyszło kwadransa, już kładłem się wzdłuż czołna na skąpo rozścielonej słomie. – Etes Vous bien, mon Officier? zapytał grubulo. – Parfaitement – odpowiedziałem. – Allons! Vogue la galère! – Noc była ciemna, zefir chłodny, sparłem głowę na kułaku, pałaszem się przykryłem, a kapelusz wziętem w rękę... kapelusz stosowany, piękny wynalazek!... szczególnie do nocy i na czołno! O czemuż ciebie nie miałem w objęciu, mój ty płaszczu biały! Treny nad utratą twoją przeszlę kiedyś potomności trzynastosylabowym wierszem! Oby mogły dojść drugiego pokolenia! Mniej żaden poeta nie żąda. Mój przewodnik usiadł w moich nogach – a dwieście pewnie funtów dobrej wagi zachwiało czołnem, ale stało się dla mnie dostatecznym parapetem przeciw frontowemu ewentualnie natarciu. Na samym zaś przedzie ukląkł majtek, czyli rybak, czy jak tam nazwać indywiduum dzierżące wiosło.

Odepchnął łódkę, puścił z biegiem wody
Rybak młody etc.

Płynęliśmy. Z mojego stanowiska, a raczej położenia, bo nie stałem, ale leżałem do góry brzuchem, mogłem do woli robić astronomiczne postrzeżenia. Patrzałem na gwiazdy. Mrugały. Nie wiem, czy przez to chciały powiedzieć: Ah! c'est Vous, Siukoroski! czyli też może z utrudzenia, że zawsze muszą patrzeć, a nigdy na coś dobrego. Albo też mrugały jak człowiek, który postrzegłszy coś niespodziewanego nie dowierza oczom swoim. Tak jest, gwiazdy moje, zawołałem w myśli, ja to jestem przy głównym sztabie Wielkiej Armii, ja, który zawsze stroniłem od sztabów, ugrzązłem w najnieznośniejszym. Przy każdym sztabie mniej więcej trzeba nadskakiwać, dworować, czapką i papką ujmować, a czasem, Mospanie, i buty uszyć komu. Trzeba swoje zalety kłaść w każde ucho, jakie się nastreczy, duże czy małe, pod hełmem czy pod kornetem – a uszy podadzą pamięci, pamięć rozumowi i rozum uwierzy, bo powie: Vox populi, Vox Dei. Ja tego wszystkiego nigdy nie umiałem. Moje miejsce było w linii. Los mnie czasem naprzód wypchnął, a jeden Bóg tylko wie, do ilu cierpień duszy bywało nieraz powodem to, co gmin szczęściem nazywał, czego mi nieraz zazdrościł. Ile to goryczy nie wlało w serce moje. I tak wcześnie! I tak późno!

Zostaw, Panie Szlachcicu, twoje czoło na domowym zapiecku, kup sobie wstępując w świat inne, miedziane, dobrze wytarte...

Wierz mi, nieźle na tym wyjdiesz. *Wiem*, wielkie słowo, powtarzaj śmiało. Mądry ci uwierzy, bo u niego wiedza nic dziwnego. Głupi nie zaprzeczy, bo sam nic nie wie. A nim okoliczności obnażą cię z cudzych piórek, już wtenczas stać będziesz tak wysoko, że od twojej nagości oczy tylko odwracać będą. Jedni ze wstydu, iż się na niej wcześniej nie poznali, drudzy, że z niej korzystać zechcą, a reszta, że się lękać będzie Akteona losu. Możliwemu na psich pyskach nigdy nie braknie.

Ale prawda przed wszystkim, moi Państwo, a prawda nie szkodząca nikomu. Nie wszystko ja co do słowa myślałem w czołnie, co teraz przy stoliku. Przebaczcie mi te anachronizmy. Trudno przepiłować się na dwoje i dwie ze siebie zrobić połowy, jedną, jakim się było, a drugą, jakim się jest. Nie ma jednak wątpliwości co do treści rzeczy, że sztabowej służby nienawidziłem, że jej wówczas złorzeczyłem i że mi kaducznie zimno było.

Po kiegoż diabła wlałeś Pan do niej?... Ach, mój Mości Księżę Proboszczu! Nie zawsze tam się wchodzi, gdzie się chce, ani też nie zawsze się nie wchodzi tam, gdzie się nie chce.

Na wiosnę 1812 r. los wysunął mnie naprzód. Miałem lat ośmnaście. Zostałem kapitanem adiutantem majorem w 5-tym pułku strzelców konnych. Nie dość więc, że awansowałem, nie dość, że mnie zdolnym uznano pełnić obowiązki adiutanta pułkowego, co większej czynności i większej znajomości służby wymagało niż dowództwo kompanii, ale jeszcze do tego awansowałem z nowego do starego pułku. Tu potrzeba małego objaśnienia. Muszę nawet dotknąć trochę, bardzo niewiele i polityki, nie rezonując, broń Boże, albo powtarzając, co mądrzy ludzie napisali, aby oświecić przyczyny wówczasowego naszego położenia.

Kiedy stanęło zawieszenie broni w Wiedniu 1809 r., Napoleon nie był zdecydowany, co robić z zawojowaną przez Wojska Polskie pod dowództwem Księcia Poniatowskiego częścią Galicji. Niewiele on dbał o nią, wołał był z Niemiec szarpać. Austria zaś wołałaby dać więcej z Galicji jak z Niemiec. Napoleon długo nie objawiał swojej woli ze względu na Rosję, która protestowała przeciw powiększeniu Księstwa Warszawskiego, widząc w nim zamaskowaną tylko do pewnego czasu Polskę.

Dlatego podczas wojny zawieszono Orły polskie, formowano Wojsko Polskie⁸⁸; po zawieszeniu broni zdejmowaliśmy w zawojowanym, czyli raczej odebranym przez nas kraju Orły nasze, a zawieszali francuskie.

Pozwólcie mi, moi Państwo, przerwać opowiadanie i wspomnieć małe, dość śmieszne zdarzenie, którego byłem świadkiem. Pułkownik Adam Potocki, na czele całego swego sztabu i pierwszej kompanii 11-go pułku (który wtenczas, jeżeli się nie mylę, miał numer 5-ty) wyruszył, skąd nie pamiętam, do Sokala, aby tam solennie zawiesić Orły francuskie. Zastaliśmy już przed urzędem owalną tarczę z wymalowanym na niej dziwotworem koloru żółtego, ceglatego. Te Orły francuskie były niemalym kłopotem dla parafialnych malarzy. W białym polskim Orle, aczkolwiek częstokroć objawiającym się na tarczy w postaci tucznej gęsi, nie można było jednak przy trochę dobrej woli nie odgadnąć orła. Ale co do francuskich, rzecz miała się inaczej – tylko podpis mógł oświecić, co to za dziwotwór, niby kogut, niby sowa. Ale mniejsza z tym. Kazano wierzyć, że to orzeł, i nikt z nas pewnie nie śmiałby powątpiewać. Trzeba było, podług przyjętego zwyczaju, zacząć od nabożeństwa. Wchodzimy więc do kościoła (zsiadłszy pierwsi z koni, rozumie się), szeregi rozstępują się... w prawo, w lewo front!... I śliczny szpaler proporców rozciągnął się od drzwi aż do wielkiego ołtarza. Pułkownik poprawia sobie okulary i epolety, uszczęśliwiony tą pierwszą paradą swojego pułku. Po długim oczekiwaniu odezwał się nareszcie dzwon przy drzwiach zakrystii i ksiądz wyszedł ze mszą, ale mija wielki ołtarz i do bocznej udaje się kaplicy. Zdziwienie, oburzenie całego sztabu i całej zbrojnej siły, a nawet i cywilnej władzy – ale z księdzem, i to jeszcze z księdzem w ornacie, trudna sprawa – zagrzało więc znowu kościelne sklepienie donośną komendą. Manewrujemy i na koniec jakie takie stosowne zajęliśmy stanowisko. Cóż za powód tego nieprzyzwoitego i zuchwałego wystąpienia proboszcza sokalskiego przeciw woli Napoleona Wielkiego i wojsku galicyjsko-francuskiemu? Oto ten, mały, ale ważny: proboszcz sokalski był kiedyś na probostwie w dobrach Adama Potockiego. Tam, wskutek różnych zatargów i kłótni, szwagier pana Adama, pan Jan Rostworowski, obraził go fizycznie, i to nawet podobno w pewnej liczbie paragrafów. Stąd wynikły proces zmusił był Rostworowskiego kraj opuścić, ale przeto nie odjął księdzu pamięci otrzymanej zniewagi. Teraz zemścił się, jak mógł – ale czy w takim usposobieniu duszy powinien był do ołtarza przystępować, to pytanie, na które nie ułanowi odpowiedzieć wypada. Koniec końców śmiał się długo pułk 11-ty z tego niespodziewanego spotkania. A teraz wracam do wojska galicyjsko-francuskiego w roku 1809.

Wojsko nowoformujące się wzięło kokardy trójkolorowe i nazwę wojska francusko-galicyskiego, czyli (bo już nie pamiętam) galicyjsko-francuskiego. Zostawało wprawdzie pod dowództwem księcia Józefa, ale nominacje na oficerów do nowych pułków, które

⁸⁸ W nominacjach oficerów do nowoformujących się pułków unikano wyrazu Wojska Polskiego. Na dowód przytaczam moje nominacje:

podczas wojny zaczęto wydawać, wstrzymano. Największa część nowych oficerów nosiła epoletę tylko na mocy podania pułkowników. Byli więc i nie byli oficerami. Dopiero po zawarciu pokoju, nie domyślając się ani będąc w stanie wierzyć, jak nas i nasze zasługi Wielki Napoleon mało cenił, zostaliśmy znowu wojskiem polskim, a część zajętej Galicji została dołączona do Księstwa Warszawskiego, wyjąwszy Obwodu Tarnopolskiego, który ofiarowano Rosji, jako *douceur*, mało od niej ceniony i z widocznym niezadowoleniem przyjęty. Po złączeniu zaś finalnym wojska polskiego pod jedno orły i jedno dowództwo armia dzieliła się *in petto* na stare i nowe pułki. Stare, które się uformowały od 1807 do 1809 i odbyły dopiero ukończoną kampanię, nowe zaś, które powstawały już po owej krótkiej, świetnej kampanii 1809 r., więcej w Galicji do triumfalnego marszu niż do wojny podobnej. Jeden zwyciężał dziesięciu. Kampanii przypominającej owe wyprawy z czasów Ludwika XIV, gdzie panowie w dworskich plumażach pędzili pocztą na żniwo chlubnych wawrzynów. Ta różnica w armii, którą wkrótce zniszczyło kilka wystrzałów armat rosyjskich, była wówczas wielkiej wagi. Dęli i zadzierali nosa oficerowie starych pułków, z wyjątkiem legionistów, weterany dwuletnie. Lekceważyli i nie szczędzili ucinków równym sobie w randze, a nie znającym jeszcze zapachu prochu.

Żyłem z oficerami z czasów kościuszkowskich. Zacząłem służyć w 1809 r. Byłem świadkiem powstania 1830 r. i muszę wyznać, że w tych trzech epokach, z małą różnicą, formacje wojska tą samą szły drogą i tym samym podlegały błędom. Zamiast żeby istniejące już pułki rozdymały się i w sobie nowy żywioł umieszczały, o ile tego możnaść dozwalała, nowe pułki zawiązywały się oddzielnie, ledwie po kilku oficerów dawniejszych przyjmując w swoje szeregi. Nieledwie każdy powiat w pierwszym uniesieniu podejmował się wystawić pułk, a czasem i dwa – jak to w Żółkwi – jeden konny, drugi pieszy. Nie chciano wierzyć wielkości podobnego przedsięwzięcia, nikło też niczym nie zapewnione w samym związku. Byli tacy, których znaczny majątek czynił deklarację z ich strony wystawienia pułku do prawdy podobną. Ale dając im epolety pułkownikowskie nie żądano od nich złożenia, a przynajmniej zapewnienia potrzebnych funduszy. Dlatego niejeden z nas pytał się potem, dlaczego ten lub ów bez żadnej zasługi, często bez żadnej zdatności, otrzymał od razu tak wysoką rangę. Pytał się i nie mógł innej wydobyć odpowiedzi: bo miał bezczelność jej żądać. Stąd to mnożyły się owe fragmenta pułków, a każdy z kompletem oficerów, stąd mały przybytek na linii bojowej, stąd czas stracony na krawieckich manipulacjach, wydatek pieniędzy na niepotrzebne ozdoby i nareszcie brak jednności... Ale potem o tym... a zwłaszcza i szczególnie o roku 1809, o tym ostatnim połysku gasnącej narodowości w Galicji.

A teraz wracani do mego awansu. Zazdroszczono mi go, a jednak to mniemane szczęście stało się dla mnie źródłem niezliczonych przykrości, zahamowało mnie, a potem strąciło z murowanej, prostej drogi, którą sobie zamierzyłem i którą tak raźnie zrazu posunąłem się naprzód. W ówczesnej francuskiej organizacji wojska major (Gros Major) był niby drugim pułkownikiem, naczelnikiem administracji pułkowej, ale pułkownicy niechętnie dopuszczali tego podziału swojej władzy. Stąd wieczna wojna. Dążność do samowładztwa – z jednej, opozycja z drugiej strony. Kiedy zakłady dwunastu pułków jazdy pod dowództwem majorów stały w Poznaniu, nazwano ten czas panowaniem Dwunastu Majorów. Teraz, kiedy powiem, że mój brat Maksymilian był majorem w pułku, w którym zostałem adiutantem majorem, więc poniekąd i adiutantem pułkownika, łatwo można pojąć, że byłem palcem między drzwiami. Brat mój był najlepszym, najuprzejmiejszym towarzyszem, zawsze starającym się komuś pomóc, usłużyć, ale z pułkownikiem Kurnatowskim trudno było żyć w zgodzie. Człowiek godny, żołnierz dobry, ale despota z podwładnymi, a niechętny przełożonym. Ciężka praca zachwiała niedościgłe jeszcze moje siły młodzińcze. Przykrości, zmartwienia, sącząc się kropla po kropli, zaćmiły nareszcie ów świeży połysk duszy, w którym świat odbija się tak pięknie, a tak nietrwale. W każdym pułku jazdy było dwóch adiutantów majorów, jeden niby do pióra, a drugi do korda; do tego dwóch albo czasem trzech adiutantów

podoficerów. Ja byłem sam jeden. Zaraz na początku kampanii mój kolega, kapitan Mieroszewski, był wzięty w niewolę. Adiutanta podoficera miałem tylko jednego, i to pół Niemca. Służba zaś adiutanta majora jest tak rozciągła i tak rozmaita, że trzeba się dziwić, jeżeli kto jej wydołał przez kilka miesięcy wojny. Adiutant major komenderuje; całą służbą wewnętrznego porządku i zewnętrznego bezpieczeństwa obozu, stawia placówki, wyprawia patrole, dowodzi często flankierami, rozdziela furaz i żywność, a – co najnieznośniejsze – pisze codzienny apel, czyli stan pułku, raporty piętnastodniowe i miesięczne, na koniec wszelkie ekspedycje. Prawdę mówiąc, niedoświadczenie podwajało mi każdą pracę, nade wszystko piśmienną. Całą noc przed dniem bitwy pod Możajskiem (którą Francuzi zowią de la Moscowa, a Rosjanie – pod Borodino) staliśmy w przedniej straży, cugle w rękę – równo za dniem wstąpiliśmy do boju – słońce zachodziło, kiedy cisnąc się krzakami uderzyliśmy na lewe skrzydło nieprzyjaciela – a ciemno już było, kiedy wróciwszy na plac bitwy, zsiadliśmy z koni. Zaświeciły się ognie pomiędzy ciepłymi jeszcze trupami. Spoczął każdy, ja tylko przy świeczce trzymanej pod płaszczem kreśliłem moje raporta. Wtenczas ślubowałem na odległą przyszłość, że wystąpiwszy ze służby przybiję na drzwiach raport i od czasu do czasu strzelać będę do niego, i że pióra nigdy w rękę nie wezmę. Nie dotrzymałem i Bóg widzi, że na tym dobrze nie wyszedł.

Uszedłszy z niewoli przybyłem do Drezna. Nie chciałem wrócić do pułku, gdzie mnie czekało adiutantostwo, pomimo że zastałem krzyż wojskowy *Virtuti Militari* dany mi przez Komisję na wniosek pułkownika i pomimo że mój brat już był awansował i wziął dowództwo 9 pułku Lansjerów francuskich. Staralem się w innym jakim pułku umieścić, choćby jako nadliczbowy, ale Wojsko Polskie, znacznie zmniejszone, miało o wiele więcej oficerów niż potrzeba wymagała. Zgromadzono więc oficerów zbywających w jeden oddział pod komendą generała *** i generała Niesiołowskiego. Nie wiem, dlaczego ten oddział ochrzczono nazwą Garde d'honneur. Staliśmy, mówiąc nawiasem, w miasteczku w okolicy Görlitz, którego mieszkańców nazywano *Gelbfüssler*, z powodu, jak niesie ludowe podanie, że niegdyś, dawnymi czasy, gmina owego miasteczka uradziła dać cesarzowi podarunek. Dać, dobrze, ale co? Wielki kłopot! Rada w radę zgodzono się na beczkę jaj. Jak przyszło do pakowania, gorliwi cesarscy stronnicy, chcąc się okazać szczodrymi, nogami tłoczyli jaja w beczkę, przy czym oczywiście poźółcili sobie nogi. Dlatego nazwano ich żółtonogami (*Gelbfüsslerami*). Nie mniej ciekawą jest tradycja z tychże okolic tycząca się wojska saskiego. W roku 1806 jednego dnia na jednym polu padło sześć tysięcy... nie Sasów, ale sześć tysięcy saskich harcapów – niby zadatek przymierza z Francuzami. Był to dzień sądny, jak mówi tradycja.

Kampania 1813 i 1814 r. nie wyczerpała tego zasobu polskich oficerów. Znaczna ich liczba udała się potem do Sedan, tam pozostała do końca wojny i dopiero po abdykacji cesarza Napoleona złączyła się ze szczupłym czynnym polskim wojskiem w St. Denis.

Wcielony 14 sierpnia w Zittau do tej szczególnej gwardii, podróżującej po największej części wozami, bo oficerów piechoty było najwięcej, dostałem 20-go rozkaz udania się do sztabu Księcia de Neufchatel, a 22-go w Löwenberg wszedłem w czynną służbę *d'Officier Adjoint à l'Etat Major de la Grande Armée*. Francuz mówi: *Le mieux est souvent l'ennemi du bien*. Doświadczyłem tego, niestety. Unikając adiutantostwa pułkowego, wpadłem do Sztabu Głównego, jak z deszczu pod rynnę. Otóż to, moi Państwo, przyczyny, dla których po bitwie pod Montereau, zamiast dowództwa szwadronu, co byłbym osiągnął niezawodnie, leżałem jak długi w czółnie, lubo nigdy najmniejszej ani chęci, ani zdatności do marynarki nie miałem.

Płynęliśmy z nurtem Sekwany, którą zwaliśmy zwykle po francusku *Seine*, co w błąd wprowadzało niejednego z naszych wiarusów od Przemyśla, że to ten sam *San*, co niegdyś z Nielipkowic nosił polską pszenicę do polskiego Gdańska. Służący pana K., który źle służył, ale pisał dziennik podróży, przyjechawszy do Paryża wciągnął w swoją księgę: „Paryż duże miasto, środkiem płynie San”. Pan K. przeczytawszy to, napisał na marginesie: „*Seine*,

durniu, nie San”. Przepraszam za wyraz, ale historyczny – styl zaś zwiastował już grzeczność teraźniejszych recenzentów. Płynęliśmy więc nie Sanem, ale Sekwaną. Przebiegłem myślą, co tylko można było za sobą i przed sobą. Nucilem (w myśli rozumie się) ulubione wówczas piosnki, jako to krakowiak, który wtedy robił furorę w 11-ym pułku i który pozwolę sobie powtórzyć:

Jeden mówił z drugim, a jam podsłuchiła:
Żeniłbym się z kozą, gdyby posag miała.
– A ja podsłuchiłem, żeś rzekła do swaty:
Poszłabym za capa, byle był bogaty.

Równie jak ten drugi, zawistny miłostek i sławy żołnierskiej:

Płynie łódka, płynie, po głębokiej strudze,
Ożenię się z tobą, jak z wojny powrócę.
– Nie będę ja czekać, bo kto z wojny wraca,
– Nie zawżdy wszystkiego w sobie się domaca.

—

Wszystkie te wspomnienia niewiele pomagały, zacząłem słabnąć widocznie w walce z snem, co mnie oskrzydlał coraz, coraz ciśniej. Daremnie głowę podnosiłem, oczy otwierałem, głowa spadała, oczy się zamykały. Gwiazdy to mi gasły, to mi błyskały, a zawsze dalej, coraz dalej, coraz ciemniej. Wtem lekkie wstrząśnienie mojej nogi i przeciągnięcie: Pst!... wraca mnie w świat, z któregoś się był już na pół wysliznął. Podnoszę głowę. Mój przewodnik wyciągnął rękę na lewo, trochę przed siebie, ale milczał jak kamień. Pojął on, w ciemność nie bity, że milczenie nam jak kamedułow do zbawienia było koniecznie potrzebne. Nie mógł zapomnieć i o swoim brzuchu: ten niewiele miejsca zajmował, aby mógł być zupełnie bezpieczny w razie, gdyby jaki szelest ściągnął strzały w naszą stronę. Prawda, że w nocy trudno trafić, ale diabeł nie śpi i chybnej kuli można w drogę wjechać. Spojrzałem w stronę wskazaną i postrzegłem w znacznym jeszcze oddaleniu ognie biwaków. Co chwila zmieniał się ich położenie względem nas. To nam się zdawało, że są na lewym, to, że na prawym brzegu, to, że prosto w sam ich środek płyniemy, to znowu, że nas nie powinny niepokoić, bo to jakiś obóz daleki od naszych brzegów... że nawet już niby za nami. Potem czas jakiś – wszystko znikło, ciemno – aż nareszcie skracając nagle ujrzeliśmy rzekę niby słup przed sobą. Lewy brzeg oświetlony, a prawy czarny leżał przed nami, jak dzień i noc, jak życie i śmierć. Niektóre ognie nie były daleko od wody, bo ich odbłask padał na rzekę jak poprzeczne szczęble, co się kurczyły albo przeciągały, w miarę jak się płomień wznosił albo opadał. Zbliżyliśmy się jeszcze więcej do prawego brzegu. Wiosła spoczęły. Prąd nas posuwał. Słyszałem oddech grubuła. Nie było wprawdzie podobieństwa, aby nas zasłyszano – tym więcej, że ognie jeszcze świeże, cienie przesuwające się poprzecznymi, pluśnięcia wody, nareszcie i szmer dochodzący na nasze spotkanie, wszystko kazało wnosić, że obóz był w pierwszych chwilach roztasowania, a wtenczas każdy jak w młynie własnego głosu nie słyszy. Zbliżaliśmy się – zrównali – w obozie coraz głośniej – w czołnie coraz ciszej. Że zaś obóz stał, a my płynęli, musieliśmy najnaturalniejszym sposobem minąć go na koniec. Niknęły za nami powoli światełka, jak owe iskry ze spalonego papieru, na które mówiono mi w dzieciństwie, że to zakonnice spać idą. Kręcą się... biegną... jedna po drugiej gasną... wszystkie zgasły... śpią wszystkie. Ileż to drogich iskierek już nam nie zgasło!... sercu tylko świecą, świecić nie przestaną.

Noc znowu czarna zaległa świat nad nami i przed nami. Cośmy widzieli, snem się zdało. Mój urzędnik pyłta zaczął głośniej sapać, przemówił nawet parę razy, ale jeszcze szepcząc, zapewne przez uszanowanie dla niedawnej przeszłości. Podobny w tym do dworaka, co za

zamkniętymi już drzwiami jeszcze się kłania albo co uśmiech fałszywy aż do domu przynosi. – Jestżeś Waćpan pewny – zapytałem go stawiając nogę na lądzie – żeśmy Moret nie minęli? – *Ah, par exemple!* – odrzekł. – No, kiedy: *par exemple*, idźmy dalej. – Szliśmy obydwa, on naprzód, a ja za nim, nie bardzo spieszenie, bo ślisko i ciemno. Nareszcie światło z okna i chrapliwe: – „Qui vive?” – uderzyło nas razem w oczy i uszy.

Dla oficera sztabowego, pędzonego ciągle jakby złym duchem po drogach, ścieżkach, manowcach, dniem i nocą, zapytanie: „Qui vive?” – jest z nadto wielkiej wagi, aby mógł nie znać wszystkich tegoż odcieni. Pędząc z nocnym wichrem jak *Der wilde Jäger*, częstokroć przez nie wychłódlę jeszcze pola bitwy, woła: „Qui vive?” – do konia, co się o trzech nogach dowlókl do drogi, woła do drzewa, co się opodał czerni, woła czasem do niczego. Ciekawość nieustanna, ale do przebaczenia – i lis po kniei goniony pytałby się: „Qui vive?” niezawodnie, gdyby mógł przemówić. Jeżeli nawet wjedzie (oficer rozumie się) na nieprzyjacielską placówkę, jego „Qui vive!” staje mu się chwilową tarczą. Alarmuje nim drugich, kiedy sam tymczasem cofa się podług metody zwanej: „W nogi!” Dlatego „Qui vive” zawsze ma na języku, dlatego i sposób, w jakim je usłyszysz, odkrywa mu wyraźnie, z kim ma do czynienia. I tak: „Qui vive!” głośnie, przeciągle, jakby echa wyzywające, oznacza dobrego żołnierza – zdaje się mówić: „Stój, bo ci w łeb strzelę”. Wrzaskliwe, ale prędko, krótko wyrzucone zdradza rekruta – mówi: „Odpowiadaj czym prędzej, bo mnie tu samemu długo stać nie miło” – albo też: „Uciekaj! bo ja ucieknę!” Chrapliwe nareszcie, a grubym głosem wyrzeczone, znamionuje indywiduum, które niespodziewanymi okolicznościami zostało pchnięte w zawód rycerski, podobne jest do śpiewu dziecka, kiedy musi przez ciemny pokój przechodzić. Na „Qui vive!” pierwszej kategorii, nim odpowiesz, możesz zażyć tabaki. Na drugiej zaś i trzeciej odpowiadaj jak najspieszniej, bo gdzie dusza na ramieniu, tam palec na cynglu. Krzyknąłem też: „France!” – aż się wzdrygnął, aż się straż cofnęła. Otwieram drzwi, wchodzę do małej, słabo oświetlonej izdebki i obraz nieraz dawniej na płótnie widziany, przedstawiający jaką scenę z rewolucji francuskiej, stanął mi żywy przed oczy. Kilkunastu chłopów w bluzach, sabotach, ładownice przez plecy, karabiny w rękach składało malownicze grupy. Gdzieś i kapelusz stosowany odznaczał się powagą wieku i ogromną trójkolorową kokardą. Nie dostawało tam tylko wyrazu w uśmiech: *Citoyen* i napisu na drzwiach: *Ici on se tutoye. – Fermez, s'il Vous plait*. Pikieta czerwieniła się w szklankach i na nosach, a język jak w pantoflach skłonnieszym zdawał się wymówić: *Vive la République!* jak: *Vive l'Empereur!* Omyłka wszakże, którą w onym czasie można było drogo przepłacić. Może i nieszczęsny *Gonaut* omylił się krzycząc w Troyes: *Vive le Roi!* a jednak rozstrzelano go na piękne. To było za ostro, wyznać trzeba, bo jużć każdemu wolno życzyć zdrowia, komu się podoba, kichnie czy nie kichnie. Jeżeli za słowo zabijać będziemy, jakąż karą za czyn pozostanie? Ten, co zabił, i ten, co o tym wiedział, nie są przecie równo karani... dlaczegoż?... Ja tego zrozumieć nie mogę... bo to podobno polityka.

Po krótkiej rozmowie ze siłą zbrojną, pożegnałem mego przewodnika i eskortowany przez kilku podpitych obywateli, przeszedłem wkrótce warownie i obudziłem generała komenderującego w Moret. Jeszcze komunikacja między Moret a Fontainebleau nie była pewną, dlatego generał uznał potrzebę dać mi pół kompanii piechoty, a na moje zapewnienie, że nigdy w piechocie nie służyłem i że pieszo podróżować ani umiem, ani chcę, konia spod żandarma. Cofnąłem się dwa kroki w tył zobaczywszy przed frontem mojego oddziału dromadera raczej niż konia przeznaczonego dla mnie, którego żandarm, na drugim podobnym siedzący, płaszczem granatowym wyżej nosa obwinięty, trzymał za cugle. – *Quelle diable de rosse me donnez-vous là?* – zawołałem rozniewany. – *C'est ce qu'il y a de mieux, mon Officier* – odpowiedział żandarm. Stałem nie wiedząc, co począć. Ale prędko trzeba działać, gdzie nie ma czasu do namysłu. Westchnąwszy zatem głęboko i wypuściwszy parę słów, które tylko życie obozowe uniewinnić może, rzuciłem się na kulbakę. Obadwa niekontenci z naszego wzajemnego stosunku, nie spieszyliśmy się rozpocząć ruchu nic nam dobrego nie

wróżącego i kiedy oficer dowodzący oddziałem piechoty spytał mi się, czy można ruszać, kiwnąłem tylko głową z wysokości mojej, jak komandor, kiedy przyjmuje zaproszenie Don Juana. Mój towarzysz podrzędny przyjął pierwszą odezwę mojej ostrogi z wszelką obojętnością. Ale ledwie kilka kroków uszedł, już pot na mnie uderzył. Zdrajca! podkowy miał scheltane albo może od urodzenia bez ocylów...

Dziwna rzecz, że tak wiele myślą o sposobach niszczenia sił nieprzyjacielskich, a tak mało o zachowaniu swoich własnych; nie mówię w boju, ale w wojnie, i szczególnie co do kawalerii. Dla pułkownika jazdy wszystko jedno stracić człowieka czy konia – strata tak jednego, jak drugiego uszczupla szeregi. Człowiek z koniem, niby centaur, jest dopiero jednostką w kawalerii. Konie, moim zdaniem, nie dosyć doznają starania i opieki. Więcej koni ginie w czasie wojny z powodu okulbaczenia i okucia niż od kuli. Jak są rezerwy i lazarety dla ludzi, tak powinny być i dla koni. Koń uszkodzony jakim bądź sposobem z powodu okucia, mógłby ozdrowieć w kilku, a odsedniony w kilkunastu dniach. Zaniedbany zaś, nie usunięty z pracy, musi wkrótce stać się nieużytecznym i później marnie zginąć. Po kilku miesiącach kampanii zgroza zajrzeć pod kulbaki. Smród z jątrzących się pod nieustającym naciskiem ran ciągnie się wzdłuż maszerującej kolumny. Trzeba się tylko dziwić, jak zwierzę może znosić, i to czas długi, takie męczarnie. Ale wszystko ma swoje granice – koń cierpi, chudnie, słabnie i koniec końców ginie. Dostarczają amunicji, dlategoż nie dostarczają od czasu do czasu derek i kulbak na miejsce zużytych i popsutych? Trafia się niedbały żołnierz i nie wie, że terlica pękła, a przeto konia naciska. Terlice powinny być ze stosownego i suchego materiału, równie jak i umiejętnie zrobione. Przy nowych formacjach, gdzie dawnych terlic magazyny dostarczyć nie mogą, lepsze są siodła. Oficerowie mało zwracają uwagi na okulbaczenie. W wojsku polskim w 1812 r. było niedobre. Nie mniej ważną jest rzeczą okucie. Im więcej koń strudzony, tym lepszego wymaga okucia. Im słabszy, tym łatwiej się ślizga, tym ciężiej upada. Widziałem konie Grenadierów Konnych Gwardii Cesarskiej, karmione lepiej i więcej szanowane niż konie jazdy liniowej, które padłszy, jakby piorunem uderzone, już więcej nie wstały. Podkowy z hufnalami powinny by mieć swój osobny wóz, zawsze być pod ręką. Prócz tego każdy żołnierz jedną podkowę w torbie trzeba, aby zawsze miał. Każdy powinien umieć przymocować podkowę. W czasie pokoju byłoby bardzo łatwo pomnożyć liczbę, nie mówię dobrych kowali, ale umiających w potrzebie róg wybrać i podkowę przybić. Doświadczaliśmy, jaki był zawsze ścisk przed miejscowymi, równie jak i wojskowymi kuźniami. Złotem trzeba było czasem opłacić podkowę, która naprędce sklejoną, naprędce przybita długo trwać nie mogła, a zwłaszcza wtenczas, kiedy była najpotrzebniejsza, bo na kamienistej albo grudzistej drodze. Parę dni przed bitwą pod Hanau jestem posłany do generała Bertrand. Dojeżdżam do ariergardy, do ostatnich jej tyralierów, nikt o nim nic nie wie. Znaleźć go nie mogę. Nareszcie po całodziennym gonitwie za ładą białym dymem wracam na kulawej klaczy; podkowę zgubiła. Nie dość, okuć nie mogę aż w Frankfurcie. Róg obłamany kowal zagwałdza. W kilka tygodni później, wychodząc z Moguncji, musiałem tę klacz, ową szpakowatą chimeryczkę, ale zresztą bardzo dobrą, zostawić w opiece oficera Polaka będącego przy sztabie marszałka Kellermana. Tyle też widziałem moją klacz i mego kolegę.

Wszystkie te uwagi na moim, żandarmskim dromaderze niewiele mi pomagały. Jak na łyżwach wsuwałem się coraz głębiej w rozciągły bór między Moret a Fontainebleau. Wiatr grał po żebrach, a zęby dzwoniły. Ani pomyślałem, gdzie byłem. Szum drzew nie przynosił fantazji mojej ani lubieżnych westchnień dworzanek królów francuskich, ani odgłosu myśliwskiego rogu, ani radosnego Halali, którymi niegdyś żyły te sławne lasy, miejsca ulubione królewskich łowów. Kłąłem tylko i nie ma się czemu dziwić. Wojna czyni prozaicznym. Przeszłość jest to pole, po którym żołnierz nie lubi harcować, i przyszłość – prawdę mówiąc – niechętnie zmierza: kurtyna za blisko, jutro nie jego – trzeba się czasem i z diabłem podzielić. Czas więc obecny żywiołem żołnierza – jak ryba, co się w ziemię nie

spuszcza ani wznosi w powietrze, ale płasza po wodzie, w nim on się zwija i w nim żyje. Co mam, trzymam, czego nie mam, biorę – co było, to było – co będzie, to będzie... A ty ruszaj, szkapo, bo mi zimno kaducznie, bo już noc na schyłku, bo już widzę i cel mojej podróży.

Generał komenderujący już nie spał – może wyszedł ze szkoły mojego niegdyś pułkownika Kurnatowskiego, który mi mawiał: Ech! adiutant-major nigdy spać nie powinien. – Przyjął mnie uprzejmie, poczęstował winem i prędko wyprawił. Potem obudziłem burmistrza. Zerwał się od żony szczękiem pałasza przestraszony, a mnie niegodne uczucie głasnęło po sercu, że mogłem kogo z wygodnego wyciągnąć łóżka. Wyszedł do kancelarii, otworzył ekspedycję, którą mu wręczyłem, włożył okulary i cicho, a potem głośno przeczytał: L'Ennemi a été culbuté... douze canons... cinq mille prisonniers... etc. etc... O, czcigodny burmistrzu! Jak pięknym byłeś w tej chwili! Pamiętam twój nos, pamiętam kwiaty twego szlafroka. Widzę cię, kiedy sparty jedną ręką na urzędowym stole, spuściłeś drugą z listem aż do kolana i wzniosłszy oczy ponad okulary zapłakałeś z radości. Aktuariusz także zaczął mrugać, a czy tam czego nie wycisnie – a ja, rozparty w wolterowskim krześle, twardo zasnąłem.

Już to zapewne domyśliliście się, łaskawi moi słuchacze, z niejednego miejsca mego opowiadania, że spać lubiłem. Tak jest, nie zaprzeczam, lubiłem. Głód i pragnienie były dla mnie mniej przykre jak bezsenność. Proszę jednak nie wnosić z tego, że byłem ospały – wcale nie. Ja byłem w tym względzie podobny do pijaka, co lubi pić dużo, ale się nie zapija. Dwa razy tylko przekroczyłem granice i ciężko skarany zostałem. Pierwszy raz, kiedy straciłem mój płaszcz biały, o którym już wspominałem i którego utrata ściągnęła na mnie najdotkliwsze cierpienia, cierpienia zimna. Drugi raz (który właściwie powinien bym nazwać pierwszym, bo ma chronologiczne pierwszeństwo), kiedy w samych początkach mojej służby wojskowej jechałem kurierem z Krystynopola do głównej kwatery Księcia Poniatowskiego.

O płaszczu muszę zacząć z samego początku, podobnie jak się zaczyna śpiew o Krzywoustym: *Jeszcze Bolesław był małym dziecięciem...* Ale nie Bolesław ani też płaszcz, ale ja byłem jeszcze dziecięciem, kiedy do mojej ciotki Ruckiej, mieszkającej w *Mały*, przyjechał pan Bogusz, gwardzista galicyjski, będący na urlopie w sąsiedztwie. Przyjechał konno w stosowanym kapeluszu z kitką i w kolistym płaszczu. Od tego czasu kapelusz z kitką i płaszcz kolisty uczepiły się mojej głowy i stały się celem gorących życzeń. Po wszystkich kopertach i na każdym świstku rysowałem siebie jako wojskowego, ale czy to atakującego, czy triumfującego – zawsze z kitką, zawsze w płaszczu. Z dzieciństwa więc uniosłem miłość do kolistego płaszcza i zachowałem ją po części i w późniejszym wieku. Zbliżyłem się wprawdzie do ideału mego, wstępując do 5-go pułku Strzelców konnych, ale przecie nie osiągnąłem. Przyniosłem ze sobą z pułku ułanów płaszcz granatowy z długim kołnierzem, który przemienić na biały kolisty stan finansów nie dozwolił. Dopiero wróciwszy z niewoli sprawiłem sobie we Lwowie płaszcz biały, kolisty, z zielonym stojącym kołnierzem i pomarańczową podszewką z przodu. Został on dla mnie zupełnie niestosownym, kiedy przeszedłem do sztabu, ale nie miałem serca rozstać się z nim, tak był ciepły, tak wygodny. A teraz katastrofa. W odwrocie wojsk francuskich po bitwie pod Lipskiem przybywamy do Gotha. Jestem na służbie, zdejmuję płaszcz, składam w salonie służbowym i idę zobaczyć, co się dzieje z moimi końmi, gdzie umieszczone i czy mają wygodę. Wracając spotykam kapitana Jankowskiego ze szwadronu służbowego Chevauxlegerów gwardii, komenderowanego przez mego brata Seweryna.

Jankowski był wówczas (lubo to nic nie ma do rzeczy, ale o Jankowskim przemilczeć nie mogę) jednym z najdzielniejszych subalternów pułku. Przy końcu ostatniej kampanii 1814 r. został szefem szwadronu razem z Zielonką w uformowanym polskim pułku pod nazwiskiem Eclaireurs de la Vieille Garde. Po abdykacji cesarza Napoleona i kiedy szczątki wojska polskiego pod opieką cesarza Aleksandra odeszły z Francji, Jankowski pozostał w Paryżu, aby wszystkich Polaków rozrzuconych po pułkach i lazaretach francuskich zebrać i do kraju

odprowadzić. Powrót Napoleona z Elby przerwał to zlecenie i jak nie miał przerwać, kiedy i Kongres Wiedeński placu nie dotrzymał. Polacy ubóstwiali Napoleona. Żaden nie pomyślał nawet, aby można nie wstąpić w nowozbierające się hufce pod odrodzonym cesarskim orłem, orłem, do którego zawsze mieli tyle pociągu, ile wstępu do moskiewskiej opieki. Jankowski jeden wymawiał się słowem danym cesarzowi Aleksandrowi i sam żądał paszportu do Polski. Nie odmówił mu go Napoleon, ale mniemał, że może zaufać oficerowi swojej gwardii i Polakowi – powierzył mu więc list do Marii Ludwiki. Jankowski przyjął list i oddał... cesarzowi Aleksandrowi. Czy to prawda, ręczyć nie mogę, ale takie było wówczas ogólne mniemanie. Założył sobie tym czynem silny szczebel do przyszłych awansów. Dostał wkrótce pułk jazdy, ale stracił w szacunku współkolegów. Wojna powstania narodowego 1831 r. zastała go generałem brygady. Osłabiony jego stan zdrowia, a może niezdolność do znacznieszego dowództwa spowodowały błędy, które zniweczyły wyprawę przeciw Rydygerowi, a które, niesłusznie za zdradę poczytane, stały się przyczyną okropnej jego śmierci z rąk rozuzdanego motłochu 15 sierpnia w Warszawie.

Nim więc Napoleon abdykował, nim monarchowie dernęli z Kongresu, nim Jankowski umęczony skonał, spotkałem go w Gotha na ulicy i taka rozmowa wszczała się między nami: – Jak się masz? – Jak się masz. – Dziwne też to polskie powitanie, złożone z dwóch pytań, a żadnej odpowiedzi. Jest ono podobne do rozmowy na królewskich pokojach. Najjaśniejszy Pan robi parę kroć sto tysięcy zapytań nie dbając i o jedną odpowiedź. A jednak lud polski tak pięknie ma wyrażenie przy powitaniu: Daj Wam Boże dobry dzień; albo: Bóg z Wami. I czyż może być piękniejsze, czyliż nie zawiera w sobie wszystkiego, czego życzyć można? Ale my wolimy formę bez duszy – poczwarkę z motyla albo cudzoziemskie *Bonjour*. Po przywitaniu się z Jankowskim mówiliśmy dalej. – Gdzie idziesz, zapytał. – Na służbę – odrzekłem – a ty? – Ja do obozu, ale twój brat – mówił – lepszej niż my użyje wygody – rozciągnął się jak połoźnica pod zieloną kotarą na szerokim łożu. – Westchnąłem głęboko na ten obraz, a on, jakby zły duch kusiciel wstąpił w niego, wskazał mi bliski dom i dodał: – Jest tam i drugie łóżko, jakby dla ciebie. – Pójdę przynajmniej popatrzeć się – rzekłem. – Bądź zdrow. – W istocie poszedłem, pomacałem posłanie, tak jak głodny, kiedy pieczeń wacha, i nie mogąc oprzeć się pokusie, biegnę czym prędzej do salonu, melduję adiutantowi komenderującemu, że mi koń uciekł, że go szukać muszę, i idę, lecz nie szukać, bo znalazłem, i nie konia, ale łóżko takie, jakiego od kilku tygodni nawet widzieć mi się nie zdarzyło. Zanurzyłem się wkrótce w puchu, nos mi tylko spłynął. Śpij zdrow, panie kapitanie, a my tymczasem powiemy, jaką była pod ten czas ogólna postać rzeczy.

Zgon księcia Poniatowskiego pod Lipskiem osierocił wojsko polskie w całym znaczeniu tego słowa. Zarzucają Polakom, że są niesforni, że trudno nimi rządzić. Mnie się zdaje, że bardzo łatwo, byle rządzić z konia i z szablą w ręku. Więcej natchnienia niż rozważań zwykliśmy słuchać. Zgromadzamy w jedną osobę wszystkie nasze wymagania, całe nadzieje nasze, w niej zamykamy całą sprawę – czynimy ją poniekąd fatum naszym. Nim był Kościuszko, Poniatowski i charakteru tylko Chłopickiemu, a talentu Skrzyneckiemu niedostawało, aby się utrzymać na szczycie, na który ich barkami narodu parło przeznaczenie. Dlatego to każdy upadek podobnej gwiazdy roztopia do razu łączący nas cement, ogół rozkłada się w cząstki, rozumowania wyradzają się w zatargi i trwają, póki jaka nowa iskra nowego entuzjazmu nie zapali i na nowo nie zacznie lutować. Nie mamy w sobie wielkiej wzajemnie przyciągającej się siły – przeciwnie, antylączne usposobienie jest główną naszą wadą. Każdy chce robić swoją głowę – pracuje często w krwawym pocie czoła, ale póki sam. Zaledwie jaka zawiąże się asocjacja, już więdną w zawiązku. Jeden spuszcza się na drugiego, a co więcej, jego zapal stygnie w miarę wzmagającej się gorliwości drugiego. Dlatego gwałtowny tylko wir może łączyć rozstrzelone siły. Ale natenczas neutralizuje się indywidualna działalność, energia. Duch władzy ubóstwionej porywa nas, ale nas nie przenika wskroś, stoi poniekąd zawsze osobno. Raz w prądzie, niech nas prąd niesie, my ręce

zakładamy. Nie przegrana pod Maciejowicami, ale wzięcie Kościuszki, pomimo że on nie miał znakomitych zdolności wodza, zadało śmiertelny cios ówczesnej sprawie. Książę Józef byłby na koniec świata szedł za Napoleonem, a wojsko polskie za nim. Zginął, a z nim i duch jego. Każdy wrócił do siebie samego i nie mógł się zrozumieć. W ostatniej walce niepodległości narodowej zamknęliśmy cały byt Ojczyzny w Warszawie. Warszawa upadła, a wojsko niezwyciężone rozchodzić się zaczęło. Bo nie z własnego przekonania przedziemy istotę rzeczy, ducha sprawy – ale przyjmujemy go za pomocą chwilowego uniesienia, za pomocą jednej indywidualności albo przedmiotu, którym to uniesienie zaufać kazało.

Książę Antoni Sułkowski objął tymczasowo dowództwo wojska polskiego. Nie posiadał on ani ufności, ani przywiązania podkomendnych. Nie miał przymiotów ani na wodza, ani na Naczelnika Narodu. Te dwie władze zlewały się już bowiem po trosze w jedne. Na ostrzu szabli unosili już wtenczas Polacy po raz drugi byt swojej Ojczyzny. W roku 1806 został Sułkowski pułkownikiem 9-go pułku piechoty, czyli raczej dozwolono mu go formować, bo się nazywał Sułkowski, tak jak adiutant Napoleona, poległy w Egipcie. Pod Ocaud w Hiszpanii, kiedy przełamane linie francuskie ustępowały w nieładzie, młody Sułkowski chwycił sztandar 4-go pułku polskiej piechoty, zawołał: „Kto Polak, za mną!” I tak dzielnie natarł na czele zgromadzonego oddziału, że odzyskał stracone stanowisko i w bitwie tego dnia wyjednał zwycięstwo. Opromieniony sławą tego świetnego czynu, dostał w 1812 r. dowództwo brygady jazdy, złożonej z 5-go pułku Strzelców konnych Kurnatowskiego i 13-go Huzarów Tolińskiego. Ta brygada z drugą pod komendą generała Tyszkiewicza złożoną z 4-go Strzelców konnych Dulfusa i 12-go Ułanów Rzysszczewskiego składały dywizję jazdy 5-go korpusu. Komenderował nią z początku generał Kamiński, później generał Sebastiani, a na koniec generał Lefèbvre-Desnouettes.

Sułkowski, jakkolwiek uprzejmy, pełen honoru, odznaczającej się odwagi, nie umiał pozyskać ufności podwładnych jako dowódca brygady. Oficer piechoty zapominał często, że jazdą dowodzi. Nieraz płaciliśmy krwawo infanteryjskie jego obroty. Kiedy zaś, już generałem dywizji, otrzymał tymczasowo dowództwo szczątków ósmego korpusu z ubliżeniem starszeństwa wielu generałów, nie pojął, jak świetną drogę szczęście mu otwierało. Cement w szeregach topił się coraz to bardziej. Wojsko sejmikować zaczęło... Gdzie idziemy? Po co? król saski jest naszym księciem, któż nas upoważnił iść z Francuzami, z Francuzami, którzy wtenczas jeszcze, kiedy mogli, okazali się tak skąpymi nawet w udzielaniu nadziei Polsce?... Czy znowu będziemy formować legiony, aby potem od ręki do ręki jak najemnicy przechodzić? Czy znowu w St. Domingo szukać będziemy Ojczyzny naszej? Zawsze opuszczani przez Francuzów, zawsze jednak ciśniemy się do nich. Księstwo nasze istnieć przestanie samo przez się, jeżeli jego wojsko pod obcym niebem, za obcą sprawę wyginie do szczytu. Takie były zdania, rezonowania, a wielu nie czekając, na co się ogół zgodzi, zostawało po drodze... dali się brać w niewolę.

Najboleśniej razem dla dobrze myślących, a najgorszym przykładem dla chwiejących się było rozejście się (by właściwiej nie powiedzieć) batalionu piechoty, który w Dreźnie z wojska polskiego wybrany, został wcielony do Starej Gwardii. Komenderował nim pułkownik Kurcysz i jeden z pierwszych z adiutantem batalionu Łęckim czy Łackim *dostali się w niewolę*. W 1811 r. Kurcysz był szefem batalionu 3-go pułku piechoty Żółtowskiego, a Łacki ze złamanym nosem – adiutantem Stasia Potockiego. Sułkowski, chcąc, jak się zdaje, powściągnąć częściowe uszczuplanie się szeregów, zachęcał jeszcze do wytrwałości przyrzekając, że za Ren nie przejdzie i w samej rzeczy podali dymisję i został w Gotha. Co Sułkowski chciał osiągnąć tym swoim czynem, trudno zgadnąć, ale można z pewnością powiedzieć, że jeżeli zbłądził, to pewnie nie z osobistego interesu. Mówiono nam, że miał pierwszej długą rozmowę z Cesarzem i że Cesarz, zniecierpliwiony niewczesnymi uwagami, pożegnał go słowami, za które i ukłon był zbytkiem grzeczności. Po rozmowie ze Sułkowskim Napoleon zgromadził oficerów korpusu polskiego i następującej mniej więcej

treści miał do nich przemowę: „Nie idzie mi o waszą pomoc. Kilka tysięcy Polaków nie przeważą szali losów. Nie myślcie, że sprawa Francji stracona. Fortuna jest to frajerka... dziś temu, jutro tamtemu użycza swoich pieszczot. Czy mnie widzicie zmienionego? Czy nie jestem mężczyzną? Jeżeli mnie odstąpicie, rozwiążecie przez to od razu sprawę Polski, i może na zawsze. Jeżeli zaś zostanieie wierni orłom francuskim, natenczas przy zawieraniu pokoju obecność wasza zmuszać będzie, aby was nie zapomniano”.

Jakkolwiek dla wojska polskiego rzadkim było zjawieniem przemowa ubóstwianego bohatera, trzeba przyznać, że tym razem przyjęta została dość ozięble. Może dlatego, że Napoleon używał wyrazów wylęgłych w najbrudniejszej kordegardzie. Zdawało się, jak gdyby chciał zniżyć do najgłębszego poziomu, aby być zrozumianym. Dlatego nie zostaliśmy ani zaszczyceni, ani rozweseleni i nie bardzo przekonani, ale po największej części upokorzeni. Cesarz nie mówił do wojska, ale do narodu, o tym zapomniał. Nie porywcze więc zapewnienie Sułkowskiego, które wszakże za poświęcenie się policzyć mu trzeba, ani też Napoleona arcyrubaszna mowa, ale li instynkt honoru wkorzeniony w serce polskie nie dozwalał opuszczać sprzymierzeńców w złej dobie i utrzymał pod sztandarem szczątki naszego wojska.

Książę Józef Poniatowski nie miał wprawdzie znamienitych zdolności jako wódz – wiedzieliśmy o tym, a jednak pociągał ku sobie silnie serce żołnierza. Może w części i dlatego, że to, co Polaka zawsze zachwyci: odwaga, postawa, ruch, sposób wyrażania się – były czysto narodowe, przeciągnięte wszakże połyskiem zachodniego rycerstwa. Na dzielnym koniu, dzielny jeździec, nieugiętego męstwa, świetnego honoru, pięknej postaci, wąs czarny, czapka na bakier, był ideałem polskiego wodza. Gdyby był nad brzegiem piekła krzyknął: za mną dzieci! w piekło skoczono by za nim. W innych zaś chwilach życia urzeczywistniał wyobrażenie wyniosłych, czystych i pięknych cnót rycerstwa. Kwileckiemu, który paszkwil napisał na całe towarzystwo warszawskie, rzekł: „Masz szczęście, żeś mnie w nim umieścił, bo bym tej niegodnej czynności pewnie nie przebaczył”. Wejrzenie jego było nad wszelkie pojęcie ujmujące, głos przyjemny, uśmiech pełen duszy, pełen wymowy – ten, kogo nim obdarzył, zdawał się słyszeć słowa pociechy i zachęty: Znam cię... dobrze, bracie... Honor i Ojczyzna! – Poznałem go w Trześni pod Sandomierzem.

Granatowy półfraczek na jeden rząd płaskimi metalowymi guzikami zapięty. Pałasz na czarnym rzemieniu przez plecy przewieszony. Łeb rudy, a na łbie kapelusz stosowany składany, zwany *Claque*, z ogromną białą kokardą... Takim byłem, tak mnie maluj, kiedy 1809 r. pierwszych dni czerwca wysłano mnie ze Lwowa, abym zamawiał konie dla deputacji galicyjskiej jadącej do Księcia Józefa, którego główna kwatera była podówczas w Trześni pod Sandomierzem. Figura moja musiała być ucieszną, trudno temu zaprzeczyć, zwłaszcza ten przeklęty kapelusz balowy dotychczas jak zgryzota sumienia męci sny moje swobodne. Z tym wszystkim, honorem mogę zaręczyć, że z wielu kurierów, posłów, ambasadorów, których w późniejszym życiu widzieć mi się zdarzyło, żaden nie miał tak buńczucznej, tak szeroko triumfalnej miny, jak ja, aspirant podporucznikostwa na chłopskim wózku rozparty. Żaden nie gromił wejrzeniem wszystkiego, co niemiecczyzną trąciło. Żaden tak głośno jak ja nie przemawiał, powtarzając co mil kilka rozkaz, aby dwanaście koni stało w pogotowiu dla deputacji galicyjskiej... Pod karą śmierci... rozumie się... (formułka naonczas w modzie). Wój ci, burmistrze, ekonomowie słuchali w pokorze, ale nie wszyscy dany rozkaz wykonali, a przez to żyli potem długie lata, mieli dużo dzieci i dobrze im się działo.

Było też to wtenczas i z czego rosnać... czym puszyć. Była to wiosna roku, wiosna mego życia, wiosna chlubnego zawodu, wiosna odradzającej się Ojczyzny. Jechałem po trzaskach dwułbistych Orłów. W Jarosławiu nawet ujrzałem już nad odwachem naprędce wymalowanego Orła białego. Mógł być wprawdzie i za geś być wziętym – ale któż na to zważa. Sercem, a nie oczyma patrzyłem na ten obraz droższy, miłszy niż wszystkie dzieła Rafaela. Jechałem, wszędzie szlachta patriotyzmem rozgorzała. Żydzi: Wiwat! krzyczący –

spodziewali się świeczkowego nie płacić. Chłopstwo obojętne. Wszędzie Niemcy pochowali czerwone krymki i po polsku witali, po polsku żegnali, a co trzecie słowo: „Moczi Doprodżeju”. W żadnym wieku Germany tyle słów słowiańskich nie wyekspensowali, ile w kilku miesiącach 1809 roku. Polacy byli za szczęśliwi, aby mogli myśleć o zemście, lubo nie brakło powodów za doznane uciski i zniewagi. Najwięcej, jeżeli który kazał Szwabowi kańczug powąchać. Tylko Szumlański, były major polski, kazał w Tarnopolu wykroić z tarcic konia i na grzbiet dwucalowy wsadzał urzędników cyrkularnych, a Żydzi zbiegali się z sianem „dla kobyłki pana Kreiskomisera, aby pan Kreiskomiser zdrów jechał”.

Za przywróceniem rządów austriackich Niemcy galicyjscy domagali się zemsty. Między innymi niejaki Weinroter krzyczał na sesji gubernialnej, aby dla przykładu choć jednego Polaka powieszono. A na zapytanie, kogo wybrać z tylu winnych – Den Ersten Besten – rzekł. – Zum Beispiel... I wzniosłszy się na krzesło, spojrzął w okno... – Zum Beispiel den Antoniewicz – bo właśnie Antoniewicz poprzed okna przechodził.

Nie mścili się Polacy, bo byli wówczas szczęśliwi obecnością, a nadzieją bogaci. Nie mścili się, bo dla Polaka nieprzyjaciel zwyciężony, rozbrojony, bezsilny, przestaje być nieprzyjacielem. Nie mścili się i Niemcy galicyjscy...

Nota: Niemiec galicyjski zajmuje wprawdzie w historii naturalnej miejsce jak wyłączna rasa, czyli zawód, jak to na przykład rasa pudłów albo tybetańskich capów, ale właściwie jest to rasa zwiedziona. Nienawiść do Słowiańszczyzny, do krajów, których sokami żyją, daje prędzyszy bieg ich krwi i przemienia Ur-flegmę teutońską w innego rodzaju męty. Koniec Noty.

Nie mścili się, mówię, i Niemcy galicyjscy, bo wiedeńscy stali jeszcze pod wpływem europejskiego Oberprofesora i Arcybatożnika. Austriacy nie lubili i nie lubią Francuzów... bo za cóż by ich lubili? Boją ich się i bardzo słusznie, a jednak ich narodowość przyjęła odcisk znieawidzonej francuszczyzny. Mieszczanie uczą dzieci po francusku, mody francuskie wyrugowały *die goldene Haube*. Co francuskie, to dobre, to piękne, to poszukiwane tak od wyższych, jak i średnich klas towarzystwa. Po szynkach wiedeńskich tańczą kadryle francuskie, teatru przedstawiają najczęściej powykrzywane francuskie wodewile..

Kiedy w pięć lat po ostatnich odwiedzinach Francuzów jechałem przez Austrię, spytałem postyliona, dlaczego nie trąbi. Odpowiedział: Die Franzosen haben es nicht gerne. – I teraz zwłaszcza w Styrii trzaskanie z biczów zastąpiło urzędowe trąbienie z niemalą dolegliwością podróżnych. Na koźle trudno usiedzieć i ledwie z pistoletem w ręku trzeba bronić twarzy od francuskiej, a niezgrabnie naśladowanej trzaskomanii.

Bali się Austriacy Francuzów, ale zdaje mi się, że nie tyle, ile się teraz Moskali boją – a co najgorzej, że najwięcej boi się wojsko.

Burza 1809 roku przeszła Galicję bez wielkiego wstrząśnienia dawnego stanu rzeczy. Kilka tylko krwawych śladów zostawiła po sobie. Siedliski, obywatel w Przemyślu, chciał w swoim domu stawić odpór wracającemu nieprzyjacielowi. Zamknął bramę, spoza płotu strzelił do huzarów. Ale że brama zamknięta nie zmienia, dlatego iż w Polsce zwykle bywa otwarta, domek szlachecki w nieprzystępny Gibraltar... że jeden wystrzał choćby z kremlńskiego moździerza, w którym sypiali francuscy grenadierowie z bronią, bermycą i harcapiem razem, nie może zabić i pogrzebać wszystkich nieprzyjaciół, otworzono bramę i zbyt zuchwałego patriotę rozsiekano na miejscu. Na Podolu zaś Kopystyński, brat Wincentego, tłumacza Fedry i Andromaki, wzięty z bronią w ręku, jako dawniejszy oficer w służbie austriackiej został przez sąd wojenny skazany i rozstrzelany. Oficerowie bowiem austriaccy występując ze służby podpisują zobowiązanie się, że nigdy przeciw Austrii służyć nie będą. Te więzy dożywotnie włożone na człowieka za to, że z własnej woli wstąpiwszy w szeregi, zasłużył stopień oficera, są nie do pojęcia. Jest to nawet bezskutecznym nadużyciem władzy.

Był także na śmierć skazany Kajetan Horodyski, otrzymał jednak ulaskawienie, ale na miejscu egzekucji. Wzruszenie jednak doznane spowodowało później oblężenie, w którym

życia dokonał. Żona jego, z domu Krasińska, zaślubiła potem mego brata Juliana i wkrótce owdowiała powtórnie. Dziwnym na tym świecie zjawiskiem, jej dusza, w którą los przez pół wieku sączył najzjadliwsze gorycze, nie zachowała ich ani kropli. Żyje tylko dla drugih, niezmordowana w udzielaniu pomocy, nie pojmuje nawet, aby to mogło być zaletą. Za tyle cnoty, a tak skromnej, a tak cichej, tak pełnej, Bóg tylko jeden może mieć w ręku stosowną nagrodę.

Co spotkało Horodyskiego, mogło było i mnie spotkać w moim balowym kapeluszu, wszystkich nas bowiem łączących się z wojskiem polskim uważano za powstańców i jako takich karać miano przedsięwzięcie. Ale któż o tym myślał?! A ja najmniej między Rozwadowem a Sandomierzem.

Jednego poranku *nie pił Zefir rosę z rumianku*, jak powiada Pajgert, ale ja, pan Fredro, strudzony pierwszą bezsenną nocą na wózku, folgowałem w obrazach bojów, sławy, wolności i niepodległości Ojczyzny, które myśl wywijała z nieskończonego kłębka. Cisza lasów otaczająca mnie wkoło i ruch kurierskiego pośpiechu dwóch szkap brnących w piasku uluwały nareszcie wrzące moje nadzieje w spokojny i głęboki sen szesnastoletniego młodzieńca. Sparłem głowę na półdrabku, a nogi, zbrojne w srebrne przypinane ostrogi, wzięte z Beńkowo-Wiszniańskiego lamusu i które pewnie zdobiły niegdyś szeroką piętę jakiego rotmistrza kawalerii narodowej, wyglądały spod łokci mojego woźnicy. Spałem, spaliśmy nawet oba, jak się później wykazało. I kto wie, czy sny nasze wyparte z przeciwnego, a przynajmniej z nierównego usposobienia duszy, z tak odległych od siebie uczuć nie spływały w świecie uludy w jaki jeden wspólny zakres. Może mnie się śniło, że sparłem się na chłopku jak na bracie. Może on marzył, że jał mnie w objęcia jak brata, że z ufnością w łączne siły spoglądaliśmy spokojnie na jutrzeńkę, co ponad odłogi, zwaliska, cmentarze ozlacała nowe, nowego kształtu budowy. Może to był sen, a może kiedyś stanie się rzeczywistością, a ja tymczasem jak dziecko, gdy piastunka zadrzymie i kolebka stanie jak mielnik, kiedy pytel zamilczy, przebudziłem się nagle ustaniem wszelkiego ruchu. Otworzyłem jedno, potem drugie oko, wyciągnąłem w górę prawicę z moim ukokardowanym kapeluszem, jak gdybym chciał krzyknąć: „Wiwat!” i spojrzałem po sobie i wkoło siebie. Mój auriga leżał na moich kolanach wygodniej niż ja na półdrabku. Szkap w kurierskiej pogoni zeszły z prawej drogi i nim losy Ojczyzny rozstrzygną się pod Sandomierzem, pasły się spokojnie nad rowem.

– A no! – krzyknąłem ja. – Wio! – krzyknął on i ruszyliśmy, nie powiem z kopyta, ale rozsądnym truchtem.

Jedziemy, jedziemy... Wtem dalekie armat wystrzały szybko powtórzone i po kilku minutach ciszy znowu powtórzone... i znowu, i znowu, obwionęły mnie jakby świeżym życiem.

Jakie ten odgłos sprawił na mnie wrażenie, jakie obudził uczucia, trudno lepiej jak gminnym wyrazem wysłować, to jest, że urosłem na trzy piędzi. Jakkolwiek strzały głos mi tylko przesyłały, były to jednak strzały śmierć niosące i jako takie pierwszy raz przeze mnie słyszane. Stawały się poniekąd pierwszym chrztem studenta na żołnierza. Wkrótce i białe bałwany dymu pod miastem, w którym łatwo było odgadnąć Sandomierz, powtórzyły oczom, co już słuch wiedział: *Jestem na wojnie!*

Wojnę więc mając przed sobą, trochę na prawo dojechałem do Trześni i stanąłem tam, gdzie prosto wyrżnięta droga w prawo pod pagórek wiodła ze sandomierskiego gościńca do niewielkiego, białego, dużymi drzewami otoczonego dworka. Na dziedzińcu koczował pułk drugi piechoty Stasia Potockiego.

Stanisław Potocki, starościc halicki, w młodości swojej stał się wzorem Bogusławskiemu do Studenta w *Krakowiakach*. Nie był inaczej znanym w Warszawie jak pod nazwiskiem Stasia. Dobry Polak, dobry żołnierz, dobry kolega był powszechnie lubiany. Śmierć jego 29 listopada 1830 r., okropna, bo z rąk tych, których od lat tylu zwykł swymi dziećmi nazywać, jeśli była koniecznością, to nie mniej bolesno dotknęła jego kolegów. Był wzrostu małego,

trochę łysy, twarzy ładnej, a zwłaszcza bardzo przyjemnej. Ostatni raz widząc się ze mną w Warszawie, mówił: „Mam honory, krzyże, pieniądze, ale diabli z tego, kiedy już stary”.

Dzień był pogodny. Strój grenadierów świeży i czysty. Ich rozmowy, śpiewki, nawet swawolne gonitwy, czyniły obraz tak wesołym, tak powabnym, że trzeba było widoku kilkunastu jeńców z piechoty węgierskiej, na których twarzach krew ledwie w ranach zaskrzepła, aby mieć przekonanie, że jestem na wojnie. Wskoczyłem w nią jak młody sarniuk na kwiecistą łąkę.

Cała kampania 1809 roku w porównaniu z późniejszymi była kwiecistą, była triumfalną przechadzką dzieci wracających w rodzinne zagrody. Była łatwym żniwem wawrzynów, epolet i krzyżów.

Pułk 2-gi piechoty należał do dywizji Księcia Józefa, miał przeto u granatowych mundurów pasowe kołnierze, a żółte wyłogi. Dywizja zaś Dąbrowskiego miała amarantowe, a Zajączka kołnierze amarantowe, a wyłogi białe. Polska armia wówczas składała się z trzech rzeczonych dywizji, razem z 8 pułków piechoty, a siedmiu jazdy. Moi bracia zaczęli służbę swoją w tym 2-gim pułku piechoty.

Pamiętam dobrze, późna jesień była (1806). W niebieskim gabinecie ogień szemrał na kominku. Mój ojciec i Biegański grali w lombra, Ludwisia haftowała. Ja jako najstarszy, już nie dziecko, jeszcze nie młokos, komenderowałem, w sali zielonej zabawą młodszego rodzeństwa, Cesi, Julcia, Henryczka i Edwardka... Wtem drzwi otwierają się nagle i wchodzi Józef Szumlański z moimi braćmi Maksymilianem i Sewerynem. Pierwszy od dawna bawił w Puławach, drugi od śmierci naszej matki, więc jeszcze niespełna roku. Maksymilian oddał list ojcu. Starsi długo półgłosem rozmawiali. Dzieci poszły spać. Nazajutrz zaprzągnięto do brodzkiej bryki cztery konie srokate, Szumlański kupił od słowa, a w południe już naszych gości nie było. Znowu cisza osiadła na jednostajnych dniach, na wlokących się jesiennych wieczorach. Nikt w domu nie zgadywał przyczyny tych krótkich odwiedzin. Dopiero w kilka miesięcy powierzono mi w największym sekrecie, że bracia są w Warszawie... w polskim wojsku... oficerami...

Maksymilian, równie jak i Seweryn zaczęli służyć w 2-gim pułku piechoty Stasia Potockiego. Seweryn przeszedł wkrótce do pułku Gwardii Cesarskiej – pułku des Chevaux-legers, formującego się pod dowództwem Wincentego Krasieńskiego. W tym pułku dosłużył się stopnia szefa szwadronu⁹ i trzech krzyżów. Odbił wszystkie ówczesne kampanie hiszpańskie i niemieckie. Wystąpił ze służby w 1814 roku. Wielce ceniony jako oficer, kochany jako kolega.

Maksymilian został adiutantem Księcia Józefa. Będąc potem szefem szwadronu 2-go pułku ułanów Tyszkiewicza, robił kampanię 1809 r. Później został majorem (Gros-Major) w 5-tym pułku Strzelców konnych Kurnatowskiego. Że zaś ja awansowałem na kapitana adiutanta majora do tegoż samego pułku, odbyliśmy razem obok siebie kampanię 1812 r.

W 1813 roku dano Maksymilianowi 9-ty pułk lansjerów francuskich. Pod Kulmen kilka razy ranny dostał się do rosyjskiej niewoli. Po skończonych wojnach został fliegel-adiutantem cesarza Aleksandra, potem generałem majorem przy głównym sztabie. 1824 r. wystąpił ze służby. W 1807 ozdobiony krzyżem kawalerskim Virtuti Militari, pod Smoleńskiem krzyżem Legii honorowej, w 1820 r. wielką wstęgą Ś-go Stanisława.

Uciekwszy z Wilna z niewoli, przybyłem 10 sierpnia 1813 r. do Drezna, zostałem, jak to już wspomniałem, przyłączony do głównego sztabu Wielkiej Armii. Że zaś mój brat Seweryn komenderował służbowymi szwadronami, odbyłem z nim razem, tak jak z Maksymilianem 1812-go, kampanię 1813 r. Pod Peterswaldem na czele swego szwadronu rozbił pułk jazdy pruskiej i swoją ręką schwycił dowódcę, syna generała Blüchera.

⁹ Stopień szefa szwadronu, czyli majora w Gwardii cesarza Napoleona odpowiadał randze pułkownika w linii. (Przypisek autora).

O, bracia moi! Maksymilianie, opiekunie pierwszych w świat kroków moich – towarzyszu broni – kolego na tym krótkim i wąskim polu autorstwa, któreśmy bez zawiści przebiegli razem... I ty, Sewerynie, z którym uczyłem się, kolegowałem i nareszcie w sąsiedztwie przeszło lat trzydzieści nieodstępnie prawie przeżyłem, jakże mi Was niedostaje!... Jak trudno samemu w przeszłość spoglądać... Nie mam już do kogo powiedzieć: *Te souviens-tu?* Bo większa część przeszłości była wyłącznie naszą, obcą młodszemu rodzeństwu. Kiedy Was wspomniałem, pytam się sam siebie, po co puszczam pióro za błakającą się pamięcią. Na co rozpowiadam o sobie, o stosunkach rodzinnych? O osobach, co nas otaczały w dzieciństwie? Osoby, co nic po sobie nie zostawiły prócz mego wspomnienia, jak kwiaty rozwinięte na wiosnę, a rozwiane bez śladu wiatrem jesiennym! Po co?... Na co?... Dla kogo? – Zacząłem pisać myśląc, że się kiedyś zejdziemy, że wam czytać będę, co dobrze wiecie, tak jak to zwykło się mówić: *Pamiętasz?*... A dawno znajomy dobrze pamięta, jednak słucha chętnie jakie wspomnienie z lat młodych, z lat dalekich, słucha jakby własnego serca.

Kiedy teraz wstąpię do tej oficyny, gdzie rodzice mieszkali, gdzie teraz z bawialnego pokoju spiżarnia, ze sypialnego kuchnia – kiedy ujrzę gdzie jaki koniuszek arabesku, co się pod późniejszym obiciem przechował – kiedy spojrzę na ów piec, niegdyś w złożone rzeźby, dziś gliną polepiony, serce mi się ściska. Obok obrazu przeszłości widzę razem jej oddalenie... Czas ubiegły objawia mi się zniszczeniem. Szczęśliwy, kto zamieszka komnaty, co - pierwszym jego były światem, gdzie te same obicia, malowidła, sprzęty, a nade wszystko ciemne zakątki, co to się tak silnie wyciskają w umyśle dziecinny. Gdzie jednym słowem wszystko zatrzymało jeszcze jakby dotknięcie kochanych Rodziców, jakby część ich drogiego życia. Wtenczas zdaje nam się, że wszystko niedawno. Nie ma szorstkiego przedziału między tym, co było, a tym, co jest. Gdybym do Was mówił, bracia moi, nie potrzebowałbym objaśniać każdego szczegółu. Jeżelibym wspomniał gabinet, stanąłby Warn zaraz przed oczy pokój niebieski, zajęty prawie w połowie dwiema sofami w białe i karmazynowe atlasowe pasy – biurczko wysadzane naszej matki. Na jednej ścianie w mahoniowych ramach landszafty podług Ruisdala – na drugiej widoki Tivoli i fontanny Egerii. I ten kominek w kącie, dzieło architektury Aignera, którego gzymsy i gzymsiki stały się nigdy nie dościgniętym wzorem dla wszystkich kominków w sąsiedztwie. Spostrzeżlibyście zaraz na szczycie tegoż statuę gipsową Wenery de Medicis – niżej między złożonymi filizankami na marmurowych podstawach brązowe popiersie Henryka IV i Sullego. Wazon porfirowy, świeczniki alabastrowe i tysiąc jeszcze fraszek, które byłyby dla mnie dzisiaj nieoszacowanym skarbem, a które może leżą gdzie na strychu jako staroświeckie graty. Gdybym Wam wspomniał altankę, nazwaną Szopką, uczulibyście zapach róż i nasturcji, co się wiły po brzoźowych ganeczkach aż pod strzechę. A taż oficynka, której ja już jeden podobno tylko miejsce pamiętam (tam, gdzie teraz skrzydło pałacu), gdzieśmy nad książką lby smażyli, ale, niestety, nie dosmażyli, gdzieśmy się wyśmiali na całe życie, i tak szczerze, i tak bez końca, i tak sztucznie, aby pan Trawiński z drugiego nie zasłyszał pokoju. A owe zwaliska pałacu, wybudowanego, podług powieści starego Jakuba mularza, przez referendarza Siemieńskiego, z ich czarnymi sterczącymi i wśród południa straszącymi kominami – z ich piwnicami, skarbcem, lamusem, gdzie echo po sklepieniach bręczące biło. Wszystko, wszystko przypominalibyście sobie, bracia moi – przypomnieli z rozkoszą... Ale Was już nie ma, a ja nie mam do kogo powiedzieć: *Czy pamiętasz?*

Dam więc spokój tym wspomnieniom... Wróćmy do Trześni. I tam nie wiem po co... ale kto siwieje, bajdurzy chętnie.

Wszedłem na dziedziniec... Wszak prawda? A że szedłem, przeszedłem go prędko i znalazłem się u progu dworka między kilkunastoma oficerami w zielonych frakach mundurowych z pasowymi kołnierzami, złotymi szlifami i akselbandami, w bermycach na głowie. Były to Guidy. Oddział formujący się, niby przybocznej straży naczelnego dowódcy.

Każdy miał rangę podporucznika i w tej po skończonej kampanii wszyscy zostali umieszczeni w nowych pułkach.

Spytalem się o Józefa Szumlańskiego, adiutanta Księcia. Obudzono go śpiącego w sieni. Wyciągnął się, ziewnął, uściśkał mnie i wziął pod swoją opiekę, tak że wkrótce, jakby w kole krewnych lub sąsiadów, odpowiadałem na tysiączne zapytania o tym, co się dzieje we Lwowie.

Zdaje mi się, że w dniach, o których tu wspominam, Sandomierz był w naszym ręku. Wystrzały, które rano słyszałem, musiały być do nieprzyjacielskiego rozpoznania (*reconnaissance*), bo ledwie siedliśmy do stołu, przybył generał Sokolnicki komenderujący na linii bojowej i Żółtowski, pułkownik 3-go pułku piechoty.

Wieczorem nadjechała zwyż wspomniana Deputacja Galicyjska: Ludwik książę Jabłonowski, którego jedynym wysokiem patriotyzmu, i to nb. mimowolnym, było to poselstwo. Nielepiej mu się i na późniejszych powiodło. – Adam Potocki, który starał się o pozwolenie formowania pułku – i Kajetan Uruski, który... który miał pieniądze i nos duży, ale i odrętwiałe serce w sprawie Ojczyzny. I ranga bez zasługi, i nos duży – wszystko to są boskie dary i muszą mieć swoją przyczynę. Wiara w konieczność przyczyny jest to jedna z najmocniejszych podpór w podróży życia.

Deputacja złożyła Księciu mnóstwo komplementów i kilka tureckich sztandarów znalezionych w arsenale lwowskim...

Przed stodółką, koło mostu na rzeczce płynącej do Wisły, stał wóz długi przykryty, zielono malowany, z dużym wzdłuż wieka napisem: Furgon 2-go pułku piechoty. Furgon w obozie jest zawsze celem zazdrości, bo staje się domem, pałacem. Pod nim między kołami obszerna sypialnia, bezpieczna od słoty i gorąca – przy boku sala jadalna, ale że z nią razem i kuchnia, przeto raz z jednej, a raz z drugiej strony, podług wiatru. Z tyłu lada derka w górze wiekiem przyciśnięta, a w dole dwoma patykami podparta wygodną staje się komnata. Pod dyszlem zaś, ile na nim rozwieszonych płaszców i koców, tyle gabinetów, w których siodła, juki, sakwy służą za stoły, sofy i wezgłowia. O kilka kroków naprzód, przed karabinami złożonymi w kozły, grenadier na straży brał za broń przed przechodzącymi oficerami albo sparty na niej odzywał się do rozmowy przerywanej głośnym śmiechem, co się dobywała z różnych punktów furgonu, jakby z trojańskiego konia.

W tej stodole była kwatera pułkownika Stasia Potockiego. Tam w kole wojskowych, z których każdego uważałem za Wice-Napoleona, słuchałem całą duszą świetnych czynów naszej armii. Słuchałem i różnych dykteryjek garnizonowych i obozowych zupełnie dla mnie nowej treści, a jeszcze nowszego sposobu wysłowienia. Słuchałem z wielkim upodobaniem, jak gdybym pisał noty w pamięci: *Do naśladowania. Do powtórzenia. Do przerobienia.*

Nie spuszczałem przy tym z oka Artura Potockiego. Artur był to człowiek pełen honoru, dowcipu i dobroci – a przy tym zajmującej piękności. Ale dość było spojrzeć na jego rozpięty mundur, chustkę lekko zawiązaną, ładownicę przekreconą, pendent nie na miejscu, aby w nim poznać popsute dziecko towarzystwa warszawskiego, a razem i armii, bo Wódz naczelny był członkiem tego towarzystwa. Zachował on był w postawie i ruchu ową anglomanię, co wówczas ustępowała przed rubaszością obozową. 1809 roku był adiutantem Roźnieckiego. W 1812 szefem saperów – w 1813 adiutantem Księcia Józefa. Parę godzin przed tegoż zgonem wysłany do Cesarza, uniknął podobnego losu. Nareszcie z moim bratem Maksymilianem był fliegel-adiutantem cesarza Aleksandra. Nie spuszczałem, powiadam, z oka Artura, który, dla nieznośnego upału, rozciągnął się jak długi na wiązce słomy, ale całkiem nagi.

Wzgarda wszelkiej osłony, tak w czynnościach, jak i mowie, tam nawet, gdzie ta zdawała się być nieoddzielną częścią samej rzeczy – jakiś, by się tak wyrazić, cynizm fizyczny, były *Conditio sine qua non* do osiągnięcia nazwy: *Birbanta*. Kto nim nie był w istocie, musiał udawać, inaczej tracił *Cywilistą*. Taki mógł być wprawdzie szanowany, ale nigdy lubiany.

Patrzałem więc z zadziwieniem na te *Sans-façons* Artura wobec nawet całej Deputacji Galicyjskiej i zapisałem w notach do *naśladowania*. Ten strój Ojca Adama, bez liścia figowego, nb. nazwaliśmy potem szlafrokiem i często w upały po mustrze był w używaniu.

Wszedł do stodółki wysoki, piękny mężczyzna, szef szwadronu 2-go pułku ułanów. Mundur granatowy, kołnierz pąsowy, wyłogi żółte. Na głowie kołpak z czarnego baranka, w górze szerszy, z tyłu jak cholewa palonego buta wykrojony, z pąsowym płomieniem naprzód wywieszonym i złotym kordonem przyciśniętym, oznaczał, że był szefem pierwszego szwadronu, a przeto i kompanii wyborczej, czyli Grenadierów.

Kompania pierwsza od prawego w każdym pułku jazdy, a w każdym batalionie piechoty była kompanią wyborczą, odznaczała się pąsowymi szlifami i niedźwiedziami lub innego rodzaju kołpakami od innych kompanii.

Wszedł więc szef szwadronu, a wszystkie oczy zwróciły się od niego na mnie i wykrzykniki z różnych stron zdawały się chcieć obudzić naszą wzajemną uwagę. Bracia stali przed sobą nie poznając się wcale. Ja od trzech lat urosłem – Maksymiliana zaś, eleganta puławskiego, zawsze wypudrowanego, wystrojonego, pachnidłami tchnącego, nie mogłem odgadnąć w tej opalanej twarzy, zakrytej do połowy rudymi wąsami i faworytami... w tej postawie żołnierskiej, okrytej znojem i kurzem bojowym.

Maksymilian chciał mnie przedstawić Księżu, poszliśmy więc do białego dworku. Na dziedzińcu, w sieni, w pierwszych pokojach prezentował mnie w prawo i lewo. Szastałem się jak cywilista, dzwoniłem ostrogami jak rycerz, byłem grzeczny i wspaniały. Tam poznałem żółtego Rautenstraucha w żółtej peruce. Trudno być szpetniejszym. Był to człowiek wielkich biurowych zdolności. Sługa każdej władzy, skończył na komendzie warszawskiego baletu. Był on synem garbarza, dlatego Kwilecki w paszkwilowym swoim katalogu napisał był: „L'Etat-Major, relié en maroquin jaune par Mr. Rautenstrauch”. Poznałem generała Fiszerę, byłego adiutanta Kościuszki, teraz szefa sztabu. Był on osobistym przyjacielem i prawą ręką Księcia Józefa. Naśladował Księcia jak Berthier Napoleona. Mały, ułomny, w czapce ułańskiej, z krótką fajką w ustach, na dużej bułanej kobyle, był zanadto dziwaczną kopią obok pięknego oryginału, aby nie wzbudzał często szyderskiego śmiechu. Zginął pod Tarutinem w 1812 r.

Nareszcie weszliśmy do Księcia. Siedział sam na ganeczku, z którego widok na Sandomierz, i palił tytoń ze stambułki oprawionej na krótkim prostym bukszpanowym cybuszku. Miał na sobie kurtkę granatową z wyłogami tegoż koloru, z francuska na przedzie wyciętą – haft generalski u kołnierza. Na piersiach gwiazda krzyża wojskowego polskiego i krzyż Legii honorowej (jej Wielką Wstęgę otrzymał dopiero po kampanii 1809 r.). Chustka czarna, grubo na szyi zawiązana, z białą wypustką – kamizelka biała – spodnie granatowe opięte i buty węgierskie z czarnymi kutasikami i srebrnymi ostrogami uzupełniały strój, który zarywał trochę mundur ułanów austriackich z czasów, kiedy Księżę u nich, Bóg wie po co, służył, który przechodził nieco w francuszczyznę i który teraz niezawodnie wydałby się arcyśmiesznym.

Widywałem później w 1812 roku Księcia Józefa czasem w mundurowym fraku, ale zawsze w czapce ułańskiej. Frak z czapką nie bardzo się zgadzał i w całej armii on jeden i drugi Fiszer pozwalał sobie tego stroju. Wielki zaś mundur generalski był: ułańskim krojem granatowa kurtka, amarantowe wyłogi i rajtuzy – srebrny haft, szlify i lampasy.

Wojsko polskie Księstwa Warszawskiego od 1806 do 1812 r. było w ciągłej formacji. Na oficerów przybywała ciągle młodzież majątna. Dlatego oficerowie, acz nie płatni po kilka miesięcy, zbytkowali nie tylko w przepisowych mundurach, ale i w fantazyjnych półmundurach, których sobie każdy pułk jazdy mnożył bez liku. Tak na przykład weźmy pułk 2-gi ułanów. Pierwsze ubranie: wielki mundur, kurtka granatowa, kołnierz pąsowy, żółte wyłogi, rajtuzy granatowe obcisłe z żółtym podwójnym lampasem. Drugie ubranie: taż sama kurtka z zapiętymi wyłogami, rajtuzy szerokie sieraczkowe ze skórą. Trzecie ubranie: kurtka

z wyłogami granatowymi, z francuska z przodu wykrojona do białej kamizelki. Czwarte ubranie: frak granatowy albo z francuska jak powyż wspomniana kurtka do kamizelki wykrojony, albo na jeden rząd guzików zapinany, spodnie opięte granatowe, buty węgierskie ze złotym u góry obszyciem i złotym kutasikiem. Do tego ubrania stosowany kapelusz.

Na jednym balu w Warszawie widziałem pułkownika Tyszkiewicza i mego brata w granatowych frakach z żółtymi wypustkami z francuska wyciętych – kamizelka żółta pokryta pętlcami złotymi, spodnie opięte pasowe suto z huzarska szamerowane, buty kozłowe.

W pułku 11-ym ułanów oficer musiał mieć kurtkę granatową z amarantowym kołnierzem i białymi wyłogami, u kołnierza biała, a u wyłogów amarantowa wypustka. Kurtkę z granatowymi wyłogami tylko z wypustką albo Spencer – frak – czamarkę – kurtkę balową na przedzie wyciętą do amarantowej złotymi pętlcami okrytej kamizelki, Rajtuzy granatowe obcisłe z białym podwójnym lampasem, granatowe i sieraczkowe szersze z jednym amarantowym lampasem. Sieraczkowe rajtuzy z guzikami półokrągłymi od dołu do góry – sieraczkowe szerokie ze skórą – spodnie granatowe do fraka – białe ze złotym galonem do balowej kurtki. Buty węgierskie ze złotym obszyciem i kutasikiem, a do balowego stroju czerwone. W zimie, kogo stać było, surdut z wykładem siwych baranków, na piersiach w zioberka ze złotego galonu. Tak czasem przesadzano galonami, że Oborski o kapitanie Bie... powiedział: „Bie... ma i w kieszeni parę sztuczek galonu”. Do tego wszystkiego i cywilny frak, a przynajmniej surdut był ledwie nieodzownie potrzebny, zwłaszcza dla oficerów garnizonujących po większych miastach. Brano do cywilnego fraka wojskowe spodnie, kamizelkę, buty, czapeczkę lub kapelusz stosowany. Ten strój semicywilny uwalniał od pałasza i upoważniał poniekąd do wejścia tam, gdzie mundurowi nie zawsze przystoi.

Co kraj, to obyczaj, mówią, ale gdyby nie rym, częściej jeszcze można by powtarzać: *co czas, to obyczaj*. A nowszy zawsze piękniejszy, zawsze mędrzy, ale za to dawne czasy były od początku świata zawsze wiekiem złotym, wiekiem prostoty i cnoty. I ja teraz muszę powiedzieć: był to wiek złoty ten czas, kiedy byłem młody, kiedy stanąłem przed Księciem Józefem w trzeciej pozycji, jak do menueta albo raczej do matelota, tańca, którym robiłem zaszczyt memu nauczycielowi Kurcowi, a Kurc był z baletu króla Stanisława, a król Stanisław znał się lepiej na tańcu niż na sztuce rządzenia. Księżę przyjął mnie uprzejmie. Rozmawialiśmy pięknie a niedługo. Nazajutrz, 8-go czerwca, dostałem nominację na podporucznika.

Jedynie zapewne przez grzeczność nie pytacie mi się, Szanowni Państwo, za co zostałem oficerem. A ja na to odpowiem, niech Was to nie dziwi, bo nowe formując pułki, niedostatek oficerów przymusza nominować i nowo w szeregi przybyłych, odznaczających się trochę lepszym wychowaniem. W owym czasie wyrastały podporuczniki jak grzyby i nie do jednego można było powiedzieć z Plautem: *A więc, panie oficerze, co nie jesteś żołnierzem etc.*

Nie to było moim szczęściem, że zostałem podporucznikiem, ale to, że miałem w ręku nominację. Moje słowa trącą niby zagadką, sam to wiem... zatem, aby być zrozumianym, muszę trochę obszerniej opowiedzieć, co się działo w Galicji 1809 roku.

Byłbym wprawdzie uniknął wielu niezrozumiałości, gdybym był zaczął, jak Bóg przykazał, od początku. Na przykład: Był to Pan i Pani... mieli syna, nazwali go Aleksandrem... Albo też urodziłem się w Surochowie w Ziemi Przemyskiej, z Jacka z Pleszowic i Marii z Dembińskich Fredrów małżonków – Kiedy? – Nie wiem dokładnie, bo w owym czasie proboszcze na mokro oficjowali, a na sucho pisali. Metryki więc odszukać nie mogłem, może i dlatego, że plebania w Jarosławiu zgorzała. Uczyłem się krótko i nietęgo, a w szesnastym roku życia, podług rachuby mojej piastunki, wstąpiłem do wojska etc. etc. etc...

Tak pewnie byłoby było najlepiej, ale tak się nie stało, czego bardzo żałuję. Aby więc trafić jako tako do końca, pozwólcie, bym pierw sakończył, com już zaczął, abym mówiąc kwiecistym stylem gubernialnym, wyrobił moje restancje – a potem wrócimy do pamiętnego roku 1809.

Byłem więc, *nisi fallor*, w Lipsku – nie, myślę się, dalej, w Moguncji, i to nie, bo bliżej, w Gotha. Tak jest, w Gotha byłem na służbie w niemieckim zanurzony łożu. Budzimy się, dzień jasny! Seweryn woła... (a jak Seweryn wołał, szyby brzęczały) ordynans się zrywa, wychodzi, wraca i przestrasza nas nie po trosze wiadomością, że Cesarz już dawno wyjechał, że już nikogo z naszych w mieście nie widać.

Proszę teraz przypomnieć sobie, jaki był stan rzeczy, jak niektórzy oficerowie, zostając po drodze, dali się brać w niewolę, proszę przypomnieć sobie (bo ja nie powtórzę) i wystawić sobie razem, jaką szef szwadronu, komenderujący szwadronem służbowym niczym dotąd nie zachwianego korpusu, byłby na siebie, a nawet na pułk cały ściągnął płamę, gdyby był wpadł w ręce nieprzyjaciela. A że to z winy ordynansa, który zbudzony przez podoficera wysłanego ze szwadronu zasnął sobie był na nowo – któż byłby dał wiarę? Któż by kiedy chciał i wysłuchać uniewinnienia?... Kto mógł zawyrokować? Zerwaliśmy się, jak to mówią, ptaszkiem. Seweryn dopadł konia i cwałem pogonił. Ja zaś jako indywiduum nic nie znaczące w europejskiej równowadze, uważałem zdarzenie z własnego tylko stanowiska, a którym tym razem było błoto przed progiem zakłętego domu o zielonych kotarach, błoto sięgające wyżej ostróg. Myślałem, co począć, bo jak nie myśleć, i podniósłszy głowę patrzyłem w górę jak gracz wistowy, który chce przypomnieć sobie, czy siódemka jest *Carte-fortą* albo nie. A że ile razy spojrzę w niebo, tyle razy kichnąć muszę, więc kichnąłem raz jeden i drugi i wpadając w odwrotną ostateczność wlepiłem oczy w ziemię... Nie powiem, jak gdybym chciał ziarnka piasku przeliczyć, bo było błoto, ale raczej jak gdybym, niby ów Narcyz zakochany w sobie, przeglądać się w kałuży. Wtem połysk nadziei budzi mnie z odrętwienia: Może Onufry czeka z końmi! Pędzę szukać koni i tym razem naprawdę... O jakże bolesna, i bliska kara za moje kłamstwo!... Szukam i nie znajduję... nie było się więc dłużej czego wahać – przechodzę bez zwłoki i awansu do piechoty i ruszam w drogę.

Kto by mnie był widział, jak pałasz pod lewym ramieniem, kapelusz na bakier, skakałem zrazu z kamyka na kamyk, byłby mógł myśleć, że ja w Lublinie idę na wieczór do generałowej Kamienieckiej, gdzie mnie czekał przyjazny uśmiech panny Anieli i pantofel... Nie pantofel turecki, a mniej jeszcze żydowski ani też figurycznie wzięty jako matrymonialne jarzmo, ale pantofel – gra w karty, niezbyt dowcipna, ale nieoceniona dla zakochanych, lepsza nawet niż mruček, ba i talarek. U nas, w Samborskiem, między Gródkiem a Rudkami, zwano dawniej tę grę Gapiem albo Kasztelanem, co było niezawodnie dla kasztelanów arcyubliżające i zapewne senat postanowił niewinną nazwę *Pantofel*.

Były to dobre czasy w tym Lublinie. Generał Kamieniecki komenderował dywizją – miał miłą, godną żonę i miłe, lube pasierbice, pannę Pelagię i pannę Anielę Trębickie. Pułkownik Nowicki, który potem został zastrzelony w karecie owej pamiętnej nocy 29-go listopada w Warszawie. Jakał on się. Będąc zatrzymany niewyraźnie wymówił swoje nazwisko, usłyszano zamiast Nowicki – Lewicki i tak zginął niewinnie za znienawidzonego komendanta miasta, Lewickiego. Pułkownik więc Nowicki, szef sztabu, przyjaciel domu i wesołego życia, nominował do sądów wojskowych po największej części oficerów, których towarzystwo mogło warszawiankom znośnymi uczynić zimowe lubelskie wieczory. Zostałem reporterem sądu wtórego, bo dobrze tańcowałem. Bardzo dobrze. Później mazurem podbiłem serce panny Benigny, ale to inna historia. Nie śmieJCie się, moje panny, patrząc na moje sukienne buty. Gdybym był i najstarszym z galicyjskich Landstandów, młodość kiedyś miałem, tak jak Wy, drogie kwiateczki, starość mieć będziecie. Dzieci najczęściej nie słuchają rozsądku rodziców, bo mówią: to starych widzimi się, a zapominają, że ten rozsądek zebrany z doświadczenia wieku młodego. Zdaje im się, że ojciec zawsze był siwy i pochylony, dlatego dobrze, aby każdy miał swój portret malowany w wiosennych chwilach życia, wtenczas będzie mógł powiedzieć: Oto ten młody człowiek przez moje usta daje wam przestrogi.

Zostałem więc reporterem, ale w sądzie wtórym, zatem w jedynej sprawie, którą sąd po karnawale osądził, powtarzałem tylko pytania sądu pierwszego. Może ktoś mędrszy byłby

umiał dać inny obrót rzeczy, ale jeżeli nie byłem mądry, mniej jeszcze bez wątpienia był nim ten, co siedemnastoletniego chłopca nominował reporterem. Prawda, że zasięgnąłem rady, ale to wszystko było małej wartości. Nasze sądy w owym czasie były prawdziwie zgrozą. Prawa francuskie wykute dla długimi wojnami rozhukanego żołnierstwa nie mogły być stosowne dla młodej, na paskach jeszcze prawie postępującej armii.

Był w 11-ym pułku jazdy, w samych początkach formacji tegoż, jakiś, jeżeli się nie mylę, pan Imański. Więcej zarywał na syndyka niż na ułana. Śpiewał tenorem i lubił kminkówkę. Kiedy mu kazano jechać na placówkę, krzyknął: Ja przyszedłem bronić Ojczyzny, a nie na placówki jeździć! Pan Imański nie był więc ani bardzo posłusznym, ani miłym kolegą. Razu jednego rozciągnął się w stajni na derce, głowę przykrył czerwoną chustką w kraty i zasnął twardo, jak to się śpi w upał po obiedzie. Sierżant budzi go raz i drugi, nareszcie zniecierpliwiony uderza nogą tam, gdzie się zwykle nogą bije – pozycja tylko stosowna mogła go do tego gwałtownego aktu pociągnąć. Pan Imański zaś, jak ów sztuczny diabełek w tabakierce, jednym szusem stał na derce. Zbudzony nagle ze snu, który go może na sto koni wsadzał, zapomniawszy Ojczyznę, ułaństwo i artykuły trzykroć mu czytane, pamiętny tylko klejnotu swego szlachectwa i bolącej części swojej osoby... odwinął się... machnął... klasło! Sierżant dostał policzka... Zbrodnia!... A więc i sąd niezwłoczny. Pan Adam Potocki, nowy pułkownik nowego pułku, poprawia sobie to szlify, to okulary, co u niego było oznaką nadzwyczajnego wzruszenia... Nie wiedzieć jednak, czy się smuci zgorszeniem, czy się cieszy wyprawieniem solennego aktu, który powiększy anale i pułku, i jego dowództwa. – Nota. Pan Adam Potocki był szlafmycą. Koniec noty. – Sąd zwołany – ale co tu sądzić – przestępstwo jawne – prawo jasne: „Za targnięcie się na przełożonego kara śmierci”. Piszą dekret... Imańsiu, oddaj się Bogu! Działo się to w Tyszowcach... Znacie, Państwo, Tyszowce?... Nie... I lepiej! Jest to ni duże, ni piękne miasteczko w Bełzkim. Cały pułk występuje, ale dla równości pieszo, bo tylko jedna kompania miała konie – z lancami, bo pałaszy niedostawało. Na prawym skrzydle stanęła kompania wyborcza w szlifach i akselbandach pąsowych, a przy niej, w drugiej kompanii, nazwanej ptaszników, w drugim szeregu wielu było i bez ostróg, bo butów nie miało. Ta druga kompania była złożona z samych dzieci lwowskich, po największej części latarników. Starsi żołnierze, nie służbą, ale wiekiem, przezwali ich ptasznikami co później dziennym rozkazem zostało zakazane. Dalej stały kompanie rekrutów, czapeczki tylko granatowe z paskiem pąsowym świadczyły, że będą kiedyś wojskiem. Przed frontem stał jako pryncypalny aktor kapitan Żurowski z komendą swoją, to jest z kilkunastoma tak zwanymi żandarmami samborskimi czy sanockimi, w zielonych mundurach z czarnymi wyłogami. Karabiny nabite (przynajmniej powinny były być nabite). Wyprowadzono delikwenta i gdy mu dekret przeczytano, gdy się jeszcze ceremoniował zająć miejsce honorowe... wypada spoza stodoły niby zadychany adiutant... kiwa chustką... woła, krzyczy: Pardon! pardon! Ile sobie przypominam, pan Imański, miarkując z jego twarzy, nie zdawał się wierzyć w prawdę tej sceny, jednak wkrótce potem wystąpił z wojska.

W rok później sądziliśmy podobnie jakieś wojskowe przestępstwo w Krasnymstawie. Pułk już był starszy, miał kilku dawniejszych oficerów – jednym słowem był już pułkiem. Szef szwadronu, Tomicki, prezydował. Między innymi zasiadał kapitan Orzelski, legionista. Dopiero co był przyjechał ze starą żoną i dwoma mułami, co było zjawiskiem uciesznym wówczas dla wszystkich, tak w Krasnymstawie, jak i w całej Lubelskiej Ziemi. Zasiadł także pięćdziesięciokilkoletni Brzozowski, porucznik Kościuszkowski; tego nie zdołał zmusić pułkownik z całą radą gospodarczą do podcięcia pół kurtki i do podniesienia stanu. Zamiast pasa z klamrą, ledwie nie pod pachą, jakieśmy wtenczas nosili, nosił go niżej brzucha... zamiast pałasza spuszczanego aż do kolana nosił swój tak krótko, że w tył podany ledwie ostróg sięgał. Przedrwiwano z Kościuszkowskich, że się nie dość francuszczyli, przedrwiwano później Napoleończyków, że nie mieli dość Konstantynowskiej lalkowatości – *mutantur tempora etc.*

Feliks Boznański był reporterem, a kiedy Orzelski na swojej karteczce, skurczywszy indeks na piórze, jak Turek nogę na kulbace, zaczął pisać z zadziwieniem i rozweseleniem razem czytających mu przez ramię: *Kara śmierci*, Boznański zwrócił ku niemu krucyfiks i rzekł: „Na rany tego, pisz lepiej!” Wtenczas powstał śmiech, jak pewnie nigdy w żadnym sądzie nie słyszano, a winowajcy nie otrzymali i połowy kary, na którą zasłużyli.

Nie tak ucieszenie skończyła się sprawa w Lublinie, o której moim zwyczajem zacząłem mówić i nie skończyłem.

Jako reporter nie wetowałem w sądzie, Bogu dzięki, a jednak przykre to dla mnie przypomnienie.

Kapral 13 pułku piechoty stojącego w Zamościu wyszedł w nocy z ośmiu żołnierzami na łówkę kartofli. Wracając koło karczmy, pociągnięci wonią anyżu, pukają do drzwi, a gdy Żyd niegłupi otworzyć nie chciał, odbijają okiennicę siekierą, włożą przez okno, piją do woli, a na końcu (tu sęk!) żądają pieniędzy. Dostało się każdemu, dobrze pamiętam, po 5 zł gr kilka.

Oskarżeni o kradzież z wyłamaniem zamknięcia, czyli mówiąc po polsku, o rabunek, stanęli przed sądem. Winę kaprała powiększała ta okoliczność, że był zbiegiem rosyjskim, nie można go było za nowego żołnierza uważać, że podkomendnych namówił do marudy, że nareszcie postawił jednego na straży, nim się do karczmy zbliżył, co dowodziło wcześniej z namysłem chwycone przedsięwzięcie. Na jego zaś uniewinnienie można było powiedzieć, że wyszedł z wojska rosyjskiego, gdzie złodziejstwo jest piątym żywiołem, że był przesiąknięty, żeby się tak wyrazić, innym pojęciem cudzej własności, zwłaszcza kartofli, niż to, jakiego teraz od niego wymagano, że nareszcie on, kapral, pamiętny słów Hipolita do Tezeusza: *Ainsi que la Vertu le Crime a ses degrès* (co par parenthèse, z przeproszeniem pana Rasyna, jest nonsensem, bo występki kroczy po szczeblach, ale nie cnota), mógł być wnioskować z niej jaką pewnością, że i kara *a ses degrès*, a nie widząc w wojsku polskim pałek, nie mógł wierzyć słuchając o karze śmierci. *Que la Charte soit une vérité*.

Mniej jeszcze winnymi byli współoskarżeni, młodzi ludzie, nowi żołnierze, z równie pustym najczęściej żołądkiem, jak i kieszenią, bo płaca rzadko kiedy kapnęła. Dlatego też nielegalne wycieczki za żywnością bywały karane tylko na zaskarżenie uszkodzonego. Patrzano przez szpary, a każdy, jak ów dzban, nosił wodę, póki ucha stało.

Książe Józef potwierdził wyrok pierwszego i wtórego sądu. Miał on wiele powodów do rozwinięcia całej surowości prawa. Wojskowość panowała w Księstwie Warszawskim żelaznym berłem. Mało znaczył obywatel, a jego własność jeszcze mniej. Pod rządem militarnym, jeżeli obywatel więcej znaczy od konia szeregowego, za to o wiele mniej od każdego szeregowca. Nie dość kwaterunek napełniający dwory i zajezdne domy nieproszonymi gośćmi – nie dość rekwizycje otwierające spichlerze, a czasem obory i stajnie, jeszcze nikt nie był w stanie ustrzec od napaści swoich owoców w sadzie, swoich stert w polu. Do wszystkiego współka, częstokroć nawet i do... Pani zgadujesz, więc zamilczę. Po wsiach oficerowie, chcąc koncentrować swoje oddziały, wyłamywać kazali ściany, przerabiali na stajnie chłopskie stodoły. Ja sam w Sołeckiej Woli cieszyłem się z moich rozporządzeń i przeistoczeń, nie pomyślawszy ani razu, czy nie niszczyć gospodarza zajmując całe jego obejście. Wina to była właściwie starszych. Żołnierz rolnikowi zaglądał głęboko do garnka i do brogu, a wszelki opór pociągał za sobą niebezpieczeństwo osobiste. Ekscesa żołnierskie powtarzały się często, coraz częściej. W Hrubieszowie obywatel z sąsiedztwa, Guzowski, dostał od ułanów obszerną etymologię swojego nazwiska... Natenczas pan Guzowski jak ów leśniczy... ale to inna historia... że zaś niedługa, więc powiem.

Oto tak było: Pewien leśniczy, przedwczesnym pochwycony patriotyzmem, w zielonej kurcie z siwymi barankami i w czapce z kutasem dosiadł żrebnej kobyły i widząc harcujących ułanów 3-go pułku przyłączył się do nich. Kiedy się zwijał, jak mógł najlepiej, jeden z wiarusów, czy krótkiego wzroku, czy podpity, czy nie mogąc wstrzymać zamachu, czyli też nareszcie biorąc patriotę w nieznanym stroju za jakiego wice-huzara, wałnął go w łeb

drzewcem, a grotem... w udo ugodził... Wtenczas leśniczy, z tym uczuciem, z jakim Brutus pod Filipami wyrzekł; „Cnoto, jesteś niczym!” – zawołał chwytając się za część uszkodzoną: „A niech diabli biorą z taką Ojczyzną!...”

Otóż i pan Guzowski mógł być wykrzyknąć toż samo... i pewnie wykrzyknął, kiedy ściągnięty z bryczki wziął w skórę za to, że przed paru dniami złapał w swoim grochu kilku żołnierzy. Okropna zniewaga, straszna swawola, a jednak prawdę mówiąc, lubo winni zostali ukarani, nie wzbudzał ich występki między oficerami należytego oburzenia.

Pod Warszawą zaś Kuszell, kapitan huzarów, pijany, przeczuł metodę Prischnitza, kiedy szlachcica jadącego w dzień ciepły w futrze, kazał z futrem wciągnąć do Wisły, aby się z nim razem kąpał. W Chełmie wobec oficera, a co więcej jednego z mnichów, kapral Czerkieski kapralowi Bilińskiemu dał ślub w zakrystii.

Inni pułkownicy, żyjąc w przyjaznych stosunkach z obywatelami, przytłumiali na miejscu zdarzające się wybryki swoich podkomendnych, ale pan Adam Potocki, jak to wyżej w historycznej nocy miałem honor powiedzieć, był szlafmycą. Miał żonę, a żona siostry... *suprême bon ton!* Elegancja wielka, fuma wielka, większe nawet niż dochody. Te damy, otoczone najświetniejszą młodzieżą ich towarzystwa lwowskiego przemienioną nagle w korpus oficerów 11-go pułku, nie dbały o parafiańskie znajomości. Traktowały z góry i cięły bez litości, co się nawinięło, do czego im nie brakło na ostrych żadełkach. Obywatelki zatem, jeżeli lubiły korpus oficerów, nie lubiły sztabu, obywatele zaś nie lubili ani sztabu, ani zbyt czasem grzecznych oficerów. Każda więc skarga szła prosto do ministra wojny, księcia Józefa. W kilka dni po zawieszeniu broni, oddawszy depezę generałowi Fiszer w Krakowie, usłyszałem od niego ogromną burę. Łajał we mnie, skromnym podporuczniku, pułkownika i pułk cały. Ślusarz przewinił, a kowala powieszono. Zbity z terminu niespodziewaną, a mniej jeszcze zasłużoną naganą, zostałem potem wniwecz obrócony przycinkami oficerów w głównej kwaterze względem mniemanego dowództwa pani pułkownikowej, tak dalece, że już wtenczas chciałem z pułku wystąpić. Za wstawieniem się mego brata, którego zastałem w Krakowie, ofiarowano mi miejsce w mającym formować się pułku kirasjerów Stanisława Małachowskiego, ale wróciwszy do pułku, zakochałem się i zostałem na miejscu. Przestałem już jednak lubić swój mundur, co jest bardzo źle, i dlatego też później przeszedłem chętnie do 5-go pułku strzelców konnych.

Idąc po nitce do kłębka, owa bura Fiszera była więc pierwszym powodem wszystkich nieprzyjemności, a raczej przykrości, których w dalszej mojej służbie wojskowej doznałem, a przeto i powodem do tej goryczy, co tak wcześniej zaczęła wsiąkać w duszę moją.

Prawdę mówiąc, nie brakło w naszym pułkowym sztabie dworujących intrygantów i kobiecego wpływu, ale by miała pani Adamowa rządzić pułkiem samowładnie, aby wydawała bony na poziomki, kurczęta albo śmietankę, to bajki wierutne, bezczelne. A jednak te bajki obiegały całą armię i pułk 11-ty, po części może przez zawiść, bo żaden pułk tak świetnego nie miał korpusu oficerów, był powszechnie nielubiony¹⁰.

Wojsko polskie wówczas było piękne, świetne, pełne honoru i odwagi, ale jego życie młode, za obfite, za wiele fermentujących części zawierające, występowało często z krawędzi obywatelskiego porządku. Nie brakło praw surowych, nie brakło i na zastosowaniu tychże, ale brakowało, że się tak wyrażę, policyjnej karności w szwadronach (zbyt trudnej wprawdzie, gdzie żołnierz niepłatny). Nie było szczebli kary i szczebli zastosowanych do

¹⁰ Oficerowie pułku 11-go: pułkownik Adam Potocki, major Tański. Szefowie: książę Wincenty Woroniecki i Tomicki. Kapitanowie: Starzeński, Wesołowski, Komorowski Franciszek, Korn, Sulimierski Anastazy, Kraśnicki. Porucznicy i podporucznicy: Aleksander Stadnicki z Boratyna, Jan i Seweryn Drohojowscy z Krukienic, Józef Baworowski z Smolanki, Modest Dulski, Ignacy Szumlański, Roman Załuski, Potulicki, Mossakowski, Boznańscy, Pietruski Józef, Henryk Zielonka, Maksymilian Chojewski, Augustyn Drohojewski, Dąbrowski, Zagórski, Wincenty Nowicki, Jan Boski, Czarnek, Koźmiński, Kapitan-adiutant major Twardowski, a po nim Smoliński. Kapitan-płatnik Zwierzyński. Z samego początku Szef Adam Bierzynski. Kapitan Aleksander Błędowski. (*Przypisek autora*).

ówczasowych okoliczności. Kara ociągała się często, aby w końcu uderzyć surowo, nad miarę. Bądź co bądź, przykład stawał się potrzebnym. Książę Józef potwierdził wyrok sądów wojskowych lubelskich w sprawie żołnierzy 13-go pułku piechoty.

Nie spałem noc całą, trawiony dreszczem i gorączką na przemian. Rano wziąłem na siebie wielki mundur, na głowę czapkę z kitą i udałem się z wyrokiem do uwięzionych winowajców.

Więzienie, gdzie musiałem wstąpić, było takie, jakie sobie młodzież czytająca romanse zwykle wystawia. W części zachowanej opustoszałego jezuickiego klasztoru, po ciemnych schodach, a raczej szczątkach schodów, między murami czarnymi wiekiem a mokrymi wilgocią, wszedłem do korytarza, gdzie ni okien, ni stropu, a światło wciskało się tylko dziurami o dwa piętra wyższego dachu. W głębi korytarza w izbie sklepionej, silnymi kratami opatrzonej, stał na środku stół, na stole krucyfiks. Przy drzwiach dwóch grenadierów cicho usunęło w krzyż sparte karabiny, bo i ja cicho postępowałem ku nim, jak gdybym się bał kogo obudzić, jak gdybym chciał stłumić złowieszczy odgłos mych kroków. W alkierzu na lewo pacierze mówiono.

Dopiero po przeczytaniu wyroku przeprowadzają więźnia w inne miejsce i księdza przywołują. Ja jednak tak zastałem, jak powiadam. Może z niedoświadczenia uchybiono zwykłym formalnościom.

W alkierzu na tapczanie siedział więzień, głowa na piersi zwieszona, ręce na kolanach złożone, obok niego kapucyn. Wstali obadwa. Mnie głosu zabrakło – ale i w całym gmachu jakby wszelki ruch zastygł – życie cofnęło się w serca – postawy były jak z kamienia. – „Przynoszę ci wyrok sądu” – odezwałem się nareszcie i lubo cicho przemówiłem, głos mój tak przykro się rozległ, że groźnie wkoło spojrzałem, jak gdybym chciał milczenie nakazać. „Przynoszę ci wyrok sądu” – powtórzyłem. – „Wiem, wiem, panie poruczniku... ale cóż ja tak wielkiego zrobiłem. Zlituj się nade mną. Ratuj mnie”. – Ukląkł, objął moje kolano i zaczął głośno płakać. – „Nie lękaj się – rzekłem – wiem, że dostaniesz pardon na placu... Jesteś na śmierć skazany”. – Potem rozwinąłem długi wyrok i tylko potwierdzenie ministra wojny przeczytałem. Bo każdy podobny słuchacz może powiedzieć jak Książę Moskwy: *„Na co tych frazesów, Michał Ney i garść prochu”*. Przeczytałem więc prędko i kazałem mu przynieść wódki. Stamtąd poszedłem do wąskiej, długiej izby na drugim końcu korytarza, gdzie od kilku miesięcy reszta winowajców czekała wyroku. Tam z wybladłych i zarośniętych twarzy wytrzeszczone oczy wlepiły się we mnie, jakby własny słuch wyprzedzić chciały. Przeczytałem: *Ośm lat więzienia w kajdanach*. Jeden tylko jęk odpowiedział, jęk głęboki, przeciągły, którego nie zapomnę, póki żyć będę.

Nazajutrz na placu przed Kapucynami, tam gdzie teraz pałac komisji wojewódzkiej, czyli raczej, niestety, guberskiej, odczytałem raz jeszcze wyrok z konia wobec oddziałów z różnych pułków zgromadzonych na tę okropną uroczystość. A gdy konia zwróciłem, huknęły wystrzały jakby jeden. Wyrok został spełniony.

Głodny za kartofle... biedny za pięć złotych!... Śmierć! Więzienie!... Konieczność! Konieczność konieczna wyparta zbiegiem okoliczności. Okoliczności zatem jak kostki... jak padną, taka liczba... Ale kostkami gracz ciska, a okolicznościami niewidoma ręka... i dopiero wtedy dowiadujemy się o grze, kiedy już za nią płacić trzeba.

Drugiego dnia po tej przeprawie byłem blady, nic nie jadłem... trzeciego byłem smutny, nic nie jadłem, a czwartego wieczór grałem u generałowej Kamienieckiej w Pantofla, Jakubka i Ciuciubabkę.

Ach, Ciuciubabka! Któż z nas nie grał w Ciuciubabkę? Bo któż nie był młodym? Ileż to w niej wspomnień, od kolebki prawie, swawoli, guzów, śmiechu i płaczu! W Ciuciubabce byłem biegłyjszy niż niegdyś w gramatyce, niż potem w reporterstwie... i to o bardzo wiele. Ale ta biegłość wzbudzała oklaski, oklaski miłość własną, miłość własna zuchwalstwo, a zuchwalstwo ściągnęło katastrofę, o której przemilczeć nie mogę.

Co prawda, to prawda, byłem wspaniały, kiedy na środku salonu, z zawiązanymi oczyma, rozciągnąłem ramiona jak orzeł zawieszony w powietrzu, nim na poziome ptactwo uderzy... Cisza wokoło... ani mru mru... puszczam się nareszcie jak z procy... Szmer, krzyk, pisk przede mną i za mną – krzesła się wała, a ja pędzę, gonię i chwytam... piec. Nic nie szkodzi – śmiejecie się!... Zwracam się niby na łyżwach, posuwisto, pochyło a szeroko ruszam w inną stronę. – Okno! – krzyczą... ja na prawo. – Świece! – wołają... ja na lewo. Potem nagle, niespodzianie, bo w tym sztuka, skręcam od prawego ku lewemu i jak gdybym kosę w trawie zapuszczał, macham w półkola, garnę spłoszoną zgraję... od kąta, do kąta... bliżej, coraz bliżej... aż nareszcie uchwycę w objęciu jaką kitajeczkę, jaki muszlinek – uchwycę i uścisknę – im słabsze, tym silniej...

Ale nie tu jeszcze mój triumf. Ściganym będąc wyzywać, dopuścić niebezpieczeństwo do samej ostateczności, a dopiero wtedy śmiałym skokiem albo zwrotem wymknąć się gładko, to było moim zadaniem, to zaletą posuniętą oklaskami, a nade wszystko uśmiechem panny Anieli, do najwyższego szczytu chwały.

Widok pomyślności jest przyjemny, pomaga do strawności, jeżeli zawieść nie zawieje. Widok walki człowieka z przeciwnościami, czyli, jak mówią poeci, z nieprzyjawnym losem, jest podług tychże widokiem godnym bogów. Byłem tym widokiem, jeśli nie bogów godnym, to godnym generała Kamienieckiego w peruce i nieco kulejącego i nieco jękającego się szefa sztabu. Ale każda walka ma, jak kij, dwa końce. Ślisko zawsze pod nogami. Im wyżej się stoi, tym ciężiej się pada. Tak się ze mną stało.

Razu jednego ścigany od zawziętego przeciwnika, mego rywala, któremu nos ogromny wznosił na oczach przepaskę, byłem przyciśnięty, zamknięty w kacie, jak księżna Berry w kominie. Już czuję nie dym, lecz oddech wroga na mojej twarzy... Już poddać się trzeba... Ale nie... Schylam się, zginam w kłębek i horyzontalny ponad ziemię biorąc zapęd szalony, wysuwam się na środek. Brawo! brawo! – zagrzmiało wkoło, ale jeszcze nie przegrzmiało, kiedy tracąc równowagę... nie powiem: padam... bo to wyraz za słaby, ale rzucam, ciskam sobą pod fortepian aż mi sto świeczek zaświeciło! Leżę jak długi... leżę i nie wstaję... bo czuję, że na lewym kolanie nie ciało, nie kość, ale sukno pękło.

W istocie rzeczy przypadek ten względem świata był mało znaczący i nie krzywdzący mnie bynajmniej... i Salomon, jeżeli go nigdy nie doświadczył, to nie dlatego, że był mądry, ale dlatego, że spodni nie nosił. Nie nosił pewnie i znane przysłowie jest jednym z najzuchwalszych anachronizmów. Względem świata nic nie szkodziło, ale względem mojej osoby nad miarę wiele, bo to były moje jedne i jedyne spodnie do wice-munduru, to jest do fraka.

Powinien bym może przeprosić, że używam wyrazu będącego pod klątwą w naszych salonach, jednak nie przeproszę, bo kasty uważam za śmieszność wszędzie, a tym bardziej w odzieży. Dlaczego suknie wierzchnie mają być coś szlachetniejszego od sukni spodnich? Dlaczego w rodzinie tych ostatnich rodzaj żeński cały honor pod siebie garnie? Mówię o spódnicach. Dlaczego nazwę jednej najpotrzebniejszej rzeczy wypędzać z języka, a w koniecznym razie szukać figur bez sensu, aby ją oznaczyć. Jak gdyby nazwa zmieniała istotę wspomnianego przedmiotu, jak gdyby na migi nie można wskazać coś nieprzyzwoitego. Zapewne, spodni nie wezmę za przedmiot ballady ani też je, jak Napoleon swoje N, wcielę w porządek architektoniczny, ani je umieszczę w pierścionku lub medalionie z napisem: *Souvenir*, ale mówiąc z francuskim satyrykiem:

Je ne puis rien nommer si ce n'est par son nom,

J'appelle un chat, un chat et Rolet im fripon.

A zatem spodnie nazywać będę: spodnie... Ach! fi! Nieprzyzwoitość – krzykną kongregantki, za którymi wszelkie wspomnienie daleko już leży. Ależ, moje Szanowne Panie, chciejcie się zastanowić, że tam, gdzie absencja jest nieprzyzwoitością, tam obecność musi być przyzwoitością i nazwać ją – hańbą być nie może.

Po tej krótkiej rozprawie, która aczkolwiek za rozprawami Towarzystwa Rolniczego Lwowskiego i trzewików nosić niegodna, ma jednak swoją zaletę, bo oczyścić usiłuje język z niepotrzebnych minoderii, wracam do mojej szkody.

Naprawił ją wprawdzie misternym ścięciem krawiec Majorko tak dalece, że strój rzeczony służył mi jeszcze czas jakiś na wieczory niezbyt jaskrawo oświecone, zwłaszcza że mój giermek zawsze świeżo atramentem bliznę zapuszczał, że pamiętałem pałasz trzymać wzdłuż nogi i że zawsze tyłem do światła starałem się stawać, ale rozerwane a sklezione nie trzyma się długo... nawet małżeństwo, a cóż dopiero...! Folgować więc zaczęły, na piękne, tak że koniec końców, obliczywszy i długi, musiałem konia sprzedać... bo łatwiej się obejść bez jednego konia, jak bez jednych spodni, a nie wiem, czy już powiedziałem, że byłem zawsze goły jak święty turecki.

W pułku jazdy zbyt ubranym, a rzadko kiedy płatnym, miałem z domu wszystkiego sto dwadzieścia dukatów rocznie. Kiedy nadeszła półroczna rata, spłaciwszy z niej długi, pożyczwszy nieco kolegom i potraktowawszy trochę, niewiele się zostawało. Było to właściwością owych czasów prawdziwego koleżeństwa, że nikt się nie troszczył, jeżeli grosza nie miał w kieszeni. Nikomu na myśl nie przyszło odmówić koledze obiadu, sukni, nawet butów w nagłej potrzebie.

O dwóch złotych przyjechałem do Lublina jako członek sądu wtórego, ale ledwie wyszedł na miasto, spotkałem kolegę, który po zwykłym przywitaniu zaraz zapytał: „A ty pewnie goły?” — „A jużci”, odpowiedziałem. — „Przychodźże do mnie na obiad”. — „Dobrze”. — Tym kolegą był Franciszek Komorowski, najlepszy człowiek, ale najgorszy żołnierz. Będąc wujem pani Adamowej, został kapitanem od razu w pułku jej męża. Kiedy się rozgniewał na żołnierza, co się rzadko zdarzało, nazywał go Gamułą, nazwano go też i jego samego Gamułą. Żadnej komendy nigdy nie mógł pojąć. Stojąc odwrócony do frontu swojej kompanii, komenderował podług swojej ręki w prawo albo w lewo, dlatego kiedy zwrócił konia, kompania maszerowała prosto na dom, a on drogą w przeciwną stronę. Śmiano się z Gamuły, ale go lubiono, bo wszystkim się podzielił. Daj ci Boże niebo, pocziwy Komorowski, za twoje dobre serce, za twój barszcz i pieczeń, które lepiej smakowały niż później przysmaki Verego albo Beauvillego. Ale i Gamuła nie spoczywał na pieniądzach i był znacznie niższy ode mnie, nie mógł więc pokryć mego deficytu. Zatem, obliczywszy nieodzowne potrzeby, konia trzeba było sprzedać.

Kapitan Lemański z 3-go pułku piechoty dobijał targu u Kowalewskiej, przy kielbaskach z kwaśnym sosem. Chytry piechur czytał w mojej myśli, a raczej kieszeni, bo zaciął się w cenie, jak się w mowie zacinał, i kupił tanio. Wątpię jednak, aby miał pociechę, bo to był koń dziwnego charakteru. Szpakowaty, duży, niezgrabny, szedł zwykle jako tako, ale czasem, kiedy, jak mówi Rusin, *prystupowało do neho*, zadzierał głowę, jakby chciał gwiazdy na niebie liczyć śród południa, i z największą flegmą kroczył przed siebie, niebacznym na wszelkie szarpanie albo razy swojego jeźdźcy, szedł stępem póty, póki nie wałnął łbem w mur lub jakie drzewo, albo póki się nie potknął na rowie lub płocie i pyskiem ziemi nie uderzył. Znałem ja i ludzi podobnego charakteru. Nie zbłąkani ani pędzeni namiętnością, ale z wszelką zimną krwią, rozumując jak najpiękniej, a działając inaczej, idą pomimo napomnień przyjaciół drogą niewłaściwą, aż póki kozła nie wywrócą. Trzeba przyznać, że mnóstwo skłonności i narowów końskich napotykały w ludziach. Nie jestże ten podobny do płochliwego konia, zwanego po niemiecku *Bodenscheu*? Wszystkiego się lęka, własnego cienia, ciągle w zimnym pocie trwogi, rzuca się często w bok z dobrej ścieżki w kałużę i nie dość, że sam się zabłoci, jeszcze drugich obryzga. Albo ten, co jak narowista szkap nie chce z miejsca kroku zrobić, sam nie wie dlaczego. Albo ten, co zbyt drażliwy na najmniejsze dotknięcie, cofa się, cofa i cofa, choćby za nim i przepaść była. Ten, co wierzga i gryzie dlatego tylko, aby gryzł i wierzgał, więcej wprawdzie do osła albo do muła niż do konia podobny. Ten, co ledwie uczuje łagodną rękę, już ci na kiel bierze. Ten, który póty dobry, póki batog nad nim. Albo nareszcie i ten, co

nie hamując swoich dobrych chęci potrzebną rozważą, ciągnie, dźwiga ciężar nad siły, co się nie ogląda na drugich, bo nie zgaduje, nie pojmuje innej natury, jak tę, którą czuje w sobie. Szlachetny szaleńcze! Smutny twój zawód, smutny koniec! Idącego naprzód ścigać będą kamienie zawiści, ustającego drwiny schłoszczą, upadłego oszczerstwo pogrzebie.

Ale kiedy mowa o koniach, powiedz, Księżę Proboszczu, albo ty, kochany Doktorze, czy nosił was kiedy wierzchowiec, wziąwszy na kiel? Nie tak jak ów szpakowaty kapitana Lemańskiego, ale na piękne, co się zowie, cwałem, co może wyskoczyć? – Nie – nigdy? – Szkoda, bo przyznałibyście mi niezawodnie, że gdyby najgenialniejszy człowiek dawniejszych albo nowszych czasów, Aleksander Wielki czy Napoleon, Mojżesz czy Marcin Luter siedział na unoszącym koniu, musiałby mieć arcygłupią minę, tak jak ja nieraz miałem, a szczególnie razu jednego w Warszawie. A to tak się stało:

Księżna Generalowa Czartoryska wyjeżdżała z Warszawy do Puław. Całe jej towarzystwo odprowadzało ją do Wilanowa. Mężczyźni, po największej części wojskowi, konno. Staś i Artur Potoccy, Franciszek Morawski, Skrzynecki, Krukowiecki, książę Konstanty Czartoryski, Raczyński Edward i Atanazy, Kicki, książę Sułkowski, Roźniecki, mój brat Maksymilian i wielu innych. Byłem wówczas w Warszawie na urlopie, swoich koni nie miałem. Maksymilian dał mi więc swoją klacz angielską – bodajby była nigdy polskiego owsa nie jadła! Nim jeszcze pojazdy ruszyły, ja, a raczej klacz moja już wpadła między przekupki pod Świętym Krzyżem. Gracko rozbiłem babski czworobok, nie ma co mówić. Krzyk, gwałt, kozły na prawo i na lewo, ale byłbym w końcu i siebie rozbił, gdyby jakiś przechodzący ułan nie był wariatką zatrzymał. Złowieszczy był to znak, trzeba było w domu zostać, jednak pojechałem. Przez Łazienki aż do Szolca szło nie bardzo gładko, ale przynajmniej uczciwie. Mojej angelki grzbiet zgarbiony, uszy po sobie położone, szyja ciągle pracująca, jak gdyby przedłużyć się chciała, oznajmiały niejaką wewnętrzną niespokojność, która powoli i mnie udzielać się zaczęła. A wtem... ni z tego, ni z owego, jak się nie kopnie!... Strzała, wiatr! Pędzi jak gdyby zły duch prezydujący na wszystkich łamikarkach angielskich ćwiczył jej boki. Trzymam, ciągnę, szarpie, a widząc, że wszystko nadaremnie, pochylam się naprzód i puszczam jej cugle. Udaję, że to nic... że ja tak chcę... że się spieszę. Ale próżne udawanie! Nikt, kogo koń unosi, nie zwiedzie drugich, że dobrowolnie pędzi. Jenó się spojrzysz na jego w tył podaną głowę – w tył podane łokcie – ruch ciała nierówny – oczy ciekawie patrzące, co tam będzie na drodze, czego spodziewać się należy, skoku albo dwakroć niebezpieczniejszego zatrzymania w miejscu – jenó się spojrzysz, mówię, a łatwo poznasz, że bezwładne indywiduum jest igrzyskiem szalonego losu alias szkapę. Poznano pewnie i moje mimowolne wyścigi – ale cóż robić... Pędzę, Farys nowy... Konnica z drogi... karety z drogi... a kiedy już wyminąłem wszystko, co się ruszało, moja Lady zatrzymała się i ja na niej. Jechałem kawał drogi naprzód całego konwoju, jak kozak, co niegdyś w niebieskim kontusiku przodował sześciokonnej karecie Siemianowskiego, starosty korabiowskiego z Koniuszek na sumę do Rudek. Jechałem powoli i po trosze kłąłem, a po trosze poprawiałem, co mi się naruszyło w mym nagłym marszu. Ale nie tu koniec. Ledwie pierwszy pojazd równał się ze mną, moja angelka znowu w nogi i znowu stanęła. Tak pędząc i stając, jakby przy Kalwaryjskich Stacjach, dojechałem przecie Wilanowa, gdzie zsiadłem czym prędzej, aby do Puław nie zajechać. Generał Roźniecki, inspektor kawalerii, którego baliśmy się podówczas, jak się później bano Wielkiego Księcia albo jak się boi diabeł święconej wody, zbliżył się do mnie i zapytał: „Cóż to Wać Pan za sztuki pokazywałeś?” – „Nie mogłem konia zatrzymać” – odrzekłem cienkim głosem. – „Nie trzeba tego mówić – zawołał generał i postawił marsa, w którym był mocniejszy niż w czymkolwiek innym – oficer kawalerii powinien być zawsze panem swego konia – inaczej koń oficerem, a oficer staje się koniem”. – Na ten komplement pomyślałem sobie i niejedno, ale nic nie powiedziałem. *Bo inne myśleć, a inne mówić*, rzekłby ś. p. Wojewoda Podolski, mój antenat.

Rożniecki był generałem inspektorem kawalerii, która tylko tradycyjny miała regulamin. Zachodziły więc czasem małe różnice między pułkami, tak w komendzie, jak i pomniejszych obrotach. Miał zatem zawsze pan inspektor, sam doskonały kawalerzysta, obszerne pole do poprawy i do nagany. Sadził się on na koncepta, z których nieraz i ten, co był napominany, musiał się roześmiać.

Najwięcej to się zdarzało, kiedy kazał wystąpić oficerom w szereg do pokonnych obrotów. Konie dzielne, przyzwyczajone do ostrego zażycia, nie zawsze odpowiadały wymaganej dokładności. Powtarzane więc były w całej kawalerii koncepta Rożnieckiego i niemało śmiechu wzbudzały, bo przyznać trzeba, że były równie trafne, jak dowcipne, a wyrzeczone zawsze z najsurowszym marsem na czole. Nikt pewnie w armii nie byłby wówczas przeczuł jego haniebnego końca.

Wróciłem do Warszawy z dłuższym nosem, niż wyjechałem. – Dlaczego? – Bo mnie koń nosił. Ach jakżeby mi się zdała owa twardousta angielfka między Gotha i Eisenach! Niechby przydrwiwano, niechby jaki Rożniecki i przyciął dowcipnie, ja nie brodziłbym po błocie, bo między Gotha i Eisenach w czasie odwrotu wojska francuskiego spod Lipska było błoto. Strudzony już nie skakałem z kamyka na kamyk, jak zrazu, ale szedłem środkiem drogi obok markietanki, z której rąk skromne łyknąłem śniadanie. Szedłem ze wstydem w hurmie trainardów, których rój zwykły bezpośrednio poprzedzać ariergardę. Ich pstra, swarliwa, rozwlekła kolumna rozszerza się i niknie prawie wstępując do wsi, jeżeli się jaka trafi na samej drodze. Każdy jak pszczoła, a raczej jak szerszeń, szuka, gdzieby mógł jeszcze swój dziób zapuścić, aby czego zaczerpnąć, a za zbliżeniem się bębnow albo wystrzałów kolumna wysuwa się ze wsi kończato i znowu jak leniwy strumień płynie dalej drogą.

Kiedy tak idziemy, *moitié promenant, moitié chassant*, jakiś szmer, jakieś poruszenie od czoła wzdłuż przechodzi. Słowo elektrycznej siły budzi i kurczy kolumnę w jedną dziesiątą część jej pierwotnej rozciągłości – tym słowem było: *Cosaques!* A raczej podług wymowy konskrypcjonistów francuskich – *Cousaques!*

Żołnierz francuski, dzielny w boju, rzadko kiedy wypełnia rozkazy jako ślepa część całości, ale zawsze jak myślące indywiduum. Nikt nie zgadnie, w ilu francuskich tornistrach leży patent na pułkownika, generała albo i marszałka. W armii francuskiej nie ma żołnierza, który by tak jak w rosyjskiej lub austriackiej uważał rangę oficerską za niepodobną do osiągnięcia. Ale ta sama indywidualność chwalebna w boju, gdzie zwykle więcej dusza niż ręka zwycięża, staje się w obozie i w marszu, a zwłaszcza odwrotnym, trudną do ujęcia w karby dyscypliny, zapewniającej trwałość szeregom. Wojsko francuskie trzeba aby szło z boju w bój, inaczej rozplywa się, niknie, nie tyle w ogniu, ile przez ciągłe odstępowanie sztandaru w celu osobistej korzyści. Póki armia posuwa się naprzód, wlecze się za nią na parę mil wszere chmura maruderów i trainardów, najwięcej demontowanych kawalerzystów na krajowych szkapach, wózkami albo i pieszo. Od czasu do czasu, przy przejściu jakiego miasta lub rzeki, wysłani oficerowie sztabowi zatrzymują taką kolumnę, porządkują i odsyłają do właściwych pułków. W Saksonii byłem świadkiem, jak sam Cesarz tym się zajął i przy sobie kazał z furgonów nową broń bezbronnym rozdawać.

W odwrocie armii maruderzy, to jest żołnierze, którzy oddalają się bez pozwolenia, wpadają po największej części w ręce nieprzyjaciela. W Starej Gwardii maruda była karana przewróceniem munduru do góry podszewką. Przy końcu, gdy już wszystko rozprzegać się zaczęło, widziałem ariergardę pułkową, jak strzelała do oddalających się grenadierów.

Dla Francuza Kozak jest najnieznośniejszy. Francuz mówi do Kozaka: „Daj mi zgotować moją zupę, bo bez zupy obejść się nie mogę, a potem bić się z tobą będę, póki zechcesz”. Kozak zaś odpowiada: „Bić się nie lubię i nie będę, ale nie dam ci ani jeść, ani spać, póty, póki strudzonego nie schwycę bez niebezpieczeństwa”. Francuz lekkomyślny, Kozak roztropny. Francuz nie dba i o życie, jeżeli je ciągłą strażą i ciągłym postem chronić trzeba. Kozak i trzy dni jeść nie będzie. Byłe miał kawał chleba, nie stoi o gotowaną strawę,

wszystko zniesie, byle niebezpieczeństwa uniknąć. Francuz porzuca swoją kolumnę, idzie sam nie wie gdzie, ni którędy powróci. Kozak ma niepojęty talent orientowania się; nigdy nie zapuści się tam, skąd cofnąć się nie można. Uchodzącego trudno dogonić, bo pierwszej wyrachował, jak dalece zbliżyć się można. Nie przetrniesz mu drogi, nie wpędzisz na bagna, bo choćby pierwszy raz był w jakim kraju, zgaduje ledwie nie psim instynktem ścieżki i przesmyki, których trzymać się należy. Śpiącego nikt nie zeszedł. Czujny jak żuraw. Nie ma on szlachetnej odwagi, nie ma wstydu tchórzostwa. Nie uderzy na nieprzyjaciela, jak tylko trzech na jednego. Na lufkę nie natrze za nic w świecie. Za pierwszym armaty wystrzałem niknie jak kamfora. Kozacy są niestrudzeni – na lekkich, wytrwałych, mało paszy i spoczynku potrzebujących koniach przenoszą się z wielką szybkością z miejsca na miejsce, aby się skupić i uderzyć niespodzianie na nieprzyjaciela, a zawsze w przeważającej liczbie. Pod Mirem 1812 r. sześć pułków ułanów, 6 000 koni, jak las proporców, zostało rozbitych przez Kozaków. Roźniecki chciał zrobić jakąś demonstrację większych sił, rozciągnął linię, a Kozacy wpadli z wszystkich stron, złamali, zwinęli w kłęb cały szyk przemądry, ścigali i brali, co chcieli. Generał Dwernicki powiadał mi, że raz na manewrach pod Warszawą Wielki Książę mówił do niego: „Żeby był Roźniecki tak manewrował pod Mirem, nie byłby, dureń, wziął w skórę”. Ledwie odjechał, przypada Roźniecki i pyta, co mówił Wielki Książę? Dwernicki powtórzył z opuszczeniem, rozumie się, epitetu. A na to Roźniecki: „Ten dureń rozumie, że w batalii to jak na manewrach”. – I ten miał rację, i tamten także. Pod Romanowem 1-szy pułk Strzelców konnych Przebendowskiego, jeden z najtęższych, obskoczony przez przemagającą liczbę Kozaków, stracił połowę ludzi. Nieszczęsny to był wstęp kampanii.

I przy wielkiej armii służba jazdy małymi oddziałami stawała się niemożliwą. Wszędzie hurma Kozaków. Dziesięciu na jednego. A cóż dopiero za Moskwą, gdzie pułki jazdy i po dwieście ludzi w szeregu ledwie liczyły, gdzie przy drodze żdźbła paszy nie było, gdzie o milę w bok, a czasem i więcej trzeba było wysłać, nie po siano, bo tego rzadko kto znalazł, ale po słomę, i to nieraz ze strzechy zdartą. Szła trzecia część pułku za furazem; z tej trzeciej części połowa tylko mogła go brać, bo druga połowa ucierała się z Kozakami. Częstokroć zatem oddział po furaz wysłany wracał z próżnymi rękoma, o kilku ludzi mniejszy, a zawsze słabszy w koniach. Dodawano później furazerom oddział piechoty.

Kawaleria francuska zawsze niepokojona, zawsze trafiająca na przeważające siły, musiała uwierzyć w nieprzebraną liczbę Kozaków, tak że na końcu w jednym dziesięciu widziała, że nazwisko *Kozaki* stało się wyobrażeniem nigdy nie osiągniętej i z wszystkich stron niespodziewanie, jakby z ziemi wyrastającej przemagającej siły. Dlatego z czasem Kozak stał się powszechnym straszidłem. W pamiętnym odwrocie z Moskwy Kozacy na lekkich koniach, nawykłych wraz z nimi do zimna i głodu, do śniegów i lodów, łatwą mieli sprawę z Francuzami rozłazącymi się swoim zwyczajem na wszystkie strony właśnie wtenczas, kiedy skoncentrowane tylko siły mogły odpierać większe niepokojenie niż nacisk nieprzyjaciela, a przeto czynić bezpieczniejszym i wygodniejszym marsz dzienny i nocny spoczynek.

W armii francuskiej, ze względu na jej własność i usposobienie, podzieliłbym kawalerię na trzy rodzaje. Kawaleria przedniej straży na wzór Kozaków, nic w niczym nie zmieniając, kawaleria liniowa i kawaleria tylnej straży, która by zbierała odłączających albo z tyłu wlekących się żołnierzy i formowała ich w oddziały. Te oddziały, nim by sposobność dozwoliła zwrócić je pułkom, robiłyby użyteczną służbę przy lazaretach i konwojach, a żołnierz wiedząc, że nie będzie mógł samopas wędrować, trzymałby się ściślej swojego szeregu. Ile to trudu i szkody nie wyrządziło czasem pojawienie się kilku Kozaków między powózkami wlokącymi się za armią. Takie oddziały demontowanych kawalerzystów i pieszych maruderów czyniłyby podobne napaści zupełnie bezskutecznymi.

Wojsko francuskie, nieustraszone w boju, lękało się napaści kozackiej. Ta bojaźń, przechodząca czasem w paniczną trwogę, rozciągnęła się z 1812 r. i na późniejsze lata tej

wojny. Okrzyk: Nieprzyjacieł! znaczył tyle co: Do broni! Naprzód! – Okrzyk: *Cousaques!* tyle co: W nogi, kto może!

Widziano jednego wpół zgłodniałego i chorego konskrypcjonistę francuskiego, na takiej samej jak on szkapie, kiedy wszelkich sił i sposobów używał, aby ją skłonić do prędszego chodu, bo miał do tego ważne powody. Tłukł wpół złamanymi ostrogami i pałaszem płazował i sam posuwał się na kulbace, jak gdyby sobą chciał naprzód popchnąć i kłął płaczliwie: *Sacrrr... sacrrrée rosse!*... Ale to wszystko nadaremnie. Truchcika tylko mógł wydusić, a z tyłu za nim wrzawa coraz głośniejsza, bieda coraz bliższa. Nareszcie nieborak udaje się do ostatniego środka, do tego, który na nim największe robił wrażenie, chce nim konia zelektryzować – schyla się na kark, przybliża usta do ucha końskiego i krzyczy grubym głosem: *Cousaques! Cousaques!*... Ale koń zamiast dernąć, nie czując już ostróg, stanął nagle, a Francuz przez łeb zleciał. Co się dalej stało, nie wiem.

Wszystko to, co miałem honor powiedzieć, tłumaczy, dlaczego między Gotha a Eisenach słowo *Cousaques!* wyrzeczone na czele, a dwakroć powtórzone z tyłu, skurczyło nagle, jak mówiłem, kolumnę trainardów, czyli po polsku mówiąc włóczęgów. Na górze po prawej stronie, blisko wierzchołka, stał w samej rzeczy oddział może dwudziestu Kozaków i patrzył na nas, jak patrzy kot ze strzechy na wróble, czekając sposobności rzucenia się na nie. Ale w naszej kolumnie były karabiny tu i ówdzie, a karabina Kozak zdecydowanie nie lubi – było nas i za wiele, gra niepewna. Ograniczyli się więc na obserwacji, konwojując nas wzdłuż drogi, a zawsze dalej, jak wystrzał mógł sięgnąć. Że zaś nikt nie mógł zgadnąć, czy za każdym pagórkem nie ma ich więcej, podróż nasza straciła wszelką swobodność. Nareszcie, kto idzie, dojść musi, jeżeli nie zagrzejnie jak Skrzynecki, a więc i ja doszedłem do Eisenach, spocony, zabłocony, w wykrzywionych butach i o jednej ostrodze. Biegnę czym prędzej do salonu służbowego. – „Mój płaszcz? Mój płaszcz biały?” – pytam, wołam – nikt nie widział, nikt nie słyszał. Płaszcz przepadł na hańbę rycerstwa sztabowego, a utrapienie moje.

Zdaje się, że w odwrocie z Moskwy powinienem był wykupić się hojnie od wszelkiego zimna na całe życie. Ale nie. Przeznaczenie jednych kwiatami, a mnie szronem obsypało. Mróz był zawsze prześladowcą moim, nieraz ścinał mi słodki napój, którym młodość częstowała. Nawet w moich dniach pięknych, nie w Aranjuez, ale w Lublinie, marzłem na kwaterze „pod Białym Koniem”. Smutne tam przebudzenie, gdzie arabeski po szybach, a sople u drzwi, smutne przebudzenie, przykra toaleta, a cóż dopiero jaka bądź praca!? Francuzi pletą o poetach, co gdzieś pod strychem grzali się własną fantazją. Ja takim zjawiskom nie wierzę. Zimno chwyta duszę pierwej niż ciało. W zimnej izbie nie ma mędrca.

Później w Wilnie w dużych pokojach pustych, gdzie mnie ukrył pocziwy Michał Minejko, i swędu nie było. Długie tam były dnie i nocy moje. A teraz, w Eisenach, tracę płaszcz i znowu staję oko w oko z moim wrogiem, z zimnem.

Można sobie wystawić, w jakim humorze wyszedłem ze salonu, i kiedy klnę różnymi językami, spotykam Onufrego. Wtedy, wyznaję ze wstydem, wyznaję ze szczerym żalem, uderzyłem niewinnego, uderzyłem mocno pomimo przekonania, że on nie mógł czekać na mnie z końmi w Gotha, że nie on winien, iż zasnąłem w niemieckich puchach, że pieszo podróżowałem i że płaszcz straciłem. Trzeba było zemścić się, zemściłem się na niewinnym. Wiercie mi, moi Państwo, że tej czynności przebaczyć sobie nie mogę.

Zła to zawsze sprawa słabszego z mocniejszym. I nie każdy mocniejszy, tak jak ja w tym razie, wyrzuca sobie popełnioną niesprawiedliwość. A choćby ją sobie i wyrzucał, czyliż jego żal, jego zgryzota sumienia zagoi ranę, którą w drugim sercu wyżarła zjadliwa trucizna-niesprawiedliwość. Przejdźmy myślą nasze życie; wszystkie w nim zawarte cierpienia przeszły w mniej więcej żałosne wspomnienia, ale niesprawiedliwość doznana choćby to w dzieciennym wieku, choćby za fraszkę, pozostaje zawsze świeżą boleścią, zawsze zarodem goryczy, która się rozlewa przy każdej sposobności. Jest ona w duszy jak owa plama wilgoci na murze, trwa ciągle, lubo nikt nie wie, kiedy i skąd uzbierały się krople, co ją utworzyły. Są

niesprawiedliwości, które na nas spadają jak piorun, jak owe uderzenie Onufrego, od osoby do osoby, ale są i niesprawiedliwości ciągle, powoli nas otaczające, niesprawiedliwości, które jakiś fatalizm zamknięty w naszej indywidualności zdaje się ściągać na nas.

Ileż to razy dysekowałem moralnie sam siebie, porównywałem z innymi, starałem się dociec, dlaczego zawsze od wszystkich prawie źle byłem rozumiany. Każde moje słowo najprostsze, najwyraźniejsze w najobojętniejszej rozmowie, przybierało w drugiego pojęciu znaczenie inne, jak miało w istocie, a zawsze cierpkie, zawsze uciążliwe. Listy moje, zwykle niedbale pisane, stawały się dla mnie powodem niejednej głębokiej bóli, bo podpadały rozbiornikowi jakby jakie enigmatyczne zadania, tłumaczono je, a zawsze na złe, nigdy na dobre. A jednak wadą moją jest i było, że głośno myślę, że zdanie moje otwarcie powiadam, ale zawsze więcej, by je poddać dyskusji, niż żeby nim wyrokować. Otwartości świat nie pojmuję, tylko u głupiego, u rozumnego zaś bierze zawsze za dobrze wyrachowaną larwę. Wyrzec się wdzięczności można, każdy rozsądny człowiek powinien jej nawet unikać. Urazę przebaczyć można, nawet zapomnieć. Ale zawsze, nieustannie, najczystsze zamiary, najgorliwsze usługi, najniewinniejsze słowa widzieć przekręcone, w truciznę zmienione, i nie być w stanie wyszukać w sobie przyczyny, to musi koniec końców obudzić wiarę w jakiś niezłomny fatalizm. To może odrzucić od tego świata, który mnie nie chce. Mało, mało trzech murów między mną a ludźmi, abym mógł używać tej spokojności, która jest jedynym moim celem, tego szczęścia, którym mnie Bóg w domowym zakresie obdarzył. Połamałem moje pióro autorskie nie, jak mniemano, dla równie złego jak głupiego artykułu *bezimiennie* ogłoszonego, bo autor sprzedał się obcej nieprzyjaźni, i to nieprzyjaźni za przyjaźń, za ważną nawet usługę. Porzuciłem urząd, gdzie moja miłość własna mogła być ulec chęci ścigania za popularnością. Starałem się, jednym słowem, zostać i zostałem głupim dla świata. Ukryłem się w cieniu głupoty przed cięciem, a jeszcze nieznośniejszym brzękiem człowieczych komarów, trutniów i baków – a jednak i w tym gęstym cieniu nie mogę uniknąć zetknięcia się ze światem, które staje się zawsze dotknięciem elektrycznego druta – przykrym, a często i bolesnym. Oskarżać świat cały – szaleństwo, oskarżać siebie – niesłuszność. Dalej więc milcząc i nie myśląc, dalej po ostrej drodze, wypchnięty pielgrzymie! Każdy dojdzie kiedyś do swego Eisenach, ale czy płaszcz znajdzie, to wielkie pytanie.

Skończyłem smutną historię mojego białego płaszcza. A teraz powiem, jak podobnoś przyrzekłem, co się działo w Galicji 1809 r.

Znał kto z Waćpaństwa Dobrodziejstwa pana Stecewicza? – Nie? – Szkoda... Był to dobry człowiek, miał wzrost ogromny, nos duży, rzadkiej wielkości nogi, koszulę zawsze brudną i część ubioru nieodzownie potrzebną zawsze podartą. Dlatego zapinał surdut aż pod szyję i siadał wąsko. Był on dyrektorem alias pedagogiem moich młodszych braci. Teraz już dyrektorów nie ma, sami guwernerowie, ale onego czasu pan Stecewicz był dyrektorem, guwernerem zaś pan Płachetko, na drugi zawód w domu naszym. Dwie osobliwości łączył on w sobie, pierwsza, że był guwernerem Polakiem w owym czasie zatapiającej nas francuszczyzny, a druga, że brodę golił bez zwierciadła. Poważna to była figura pan Płachetko, ale można było o nim powiedzieć, przekręcając znane przysłowie: *Nie tak mądry, jak się zdaje*. Boską to były plagą owe guwernerery, chodzące Wszechnice. Guwerner dawniej brał obowiązek kształcenia duszy i ciała. Uczenia przy tym kilku języków, *wszystkich wiadomości i niektórych innych*. Udzielał często nauki muzyki i rysunku, a co najdziwniejsza, że czasem sam mało co umiał. Z rozbiorem Ojczyzny zamknęły się narodowi polskiemu właściwe mu rodzinne szkoły. Powstały obcym językiem uczące obczyzny. Kto tylko był w stanie, wychowywał dzieci w domu, do czego stali się wielce pomocnymi emigranci francuscy. Ale ci emigranci, nieszczęściem jedynie w pedagogów zmienieni, niewiele więcej uczyć mogli jak własnego języka. Niereligijność, która kraj nasz zawiała od zachodu, wychowaniu w duchownych zakładach zrobiła koniec. Pod edukacyjnym panowaniem francuskich guwernerów nie tylko że się gruntowna a do potrzeb kraju stosowna oświata

cofnęła, ale, co gorzej, wychowanie młodzieży i nadal fałszywy wzięło kierunek. Najbardziej szkodliwe, moim zdaniem, stało się zaszczerpiecie możności domowego wychowania, które dotąd silne jeszcze, niestety, rozkłada konary. Nauczyciele owi cudzoziemcy uczyli, co umieli i czego nie umieli, ale bez żadnego systemu. Dlatego każda zmiana guwernera była zmianą sposobu i porządku w naukach. Każde nowe ich absolutne panowanie zaczynało się od najłatwiejszego, to jest od potępienia wszystkiego, co jego poprzednik założył.

Moim pierwszym autokratą umysłowym był Hekel, Szwajcar o łbie kędzierzawym i kabłąkowych nogach. Szlufował kamienie, łapał ptaszki, nietęgo uczył, ale tęgo ciągnął za uszy. Lubo często nazywał mnie Sztokfiszem, powiem, niepomny urazy, że o ile sobie przypominam, był to człowiek światły, przy tym i muzyk niezły. Po nim nastąpił pan Płachetko, o tym już wyżej. Na koniec, trochę już za późno, zwrócono się do trybu szkolnego i berło przeszło w ręce pana Trawińskiego. Obfita w zdarzenia i przemiany, acz, niestety, krótka jego historia. Z pedagoga, w całym znaczeniu tego słowa, stał się nagle dziwaczno wykwinnym elegantem. Z eleganta został żołnierzem w wojsku polskim 1807 r. Przeszedł z pułku Chevauxlegerów Gwardii do 7-go podobno pułku Legii Nadwiślańskiej, będącego wówczas w Hiszpanii. Tam awansował na kapitana i zebrał sobie nieco pieniędzy. Ostatni raz widziałem go w Paryżu po abdykacji cesarza Napoleona. Dał nam śniadanie *au Rocher de Cancale* i pożyczył pieniędzy. Wróciwszy do kraju, wziął dzierżawę pod Tarnowem. Tam został od swoich służących zamordowany, tak jak król angielski.

Za młodym jeszcze byłem, abym był mógł z Maksymilianem, Sewerynem i Trawińskim umknąć do Warszawy, przeszedłem więc z młodszymi braćmi, Julianem, Henrykiem i Edwardem, pod powtórne panowanie pana Płachetki jako guwernera i dyrektora pana Stecewicza. Pierwszy miał uczyć po francusku, muzyki, przyzwoitości, obyczajności etc. etc. Drugi zaś kontynuować rozpoczęte przez pana Trawińskiego nauki szkolnym trybem prywatnie, których egzamina w domu zawsze kosztowały parę fasek masła. O Płachetko! niech ci Bóg, przed którym już stoisz, przebaczy, ale ja nie mogę, żeś mój czas najpiękniejszy od 1807 do 1809 zabił, zamordował bez litości. Książki w rękę nie wziąłem. Jeżelim czytał, to romanse. Mój ojciec zajęty interesami, a szczególnie fabryką żelaza, którą założył w Ciśnie, rzadko bawił w domu. Nie mógł więcej dla dzieci zrobić, jak do ogólnego dozoru wziąć guwernera, a do szkolnych nauk dyrektora. Odpowiedzialność więc cała ciążyła na panu Płachetce. Pan Płachetko nic nie robił, nie robiłem i ja nic. Polowałem, jeździłem konno. Wtem nagle, nie pamiętam z jakich powodów, chwyciłem pióro i... napisałem komedię pod tytułem: *Strach przestraszony*.

Jeżeliby kto znalazł książkę in 8-vo, w skórkę oprawną, w której pierwsza połowa wycięta, bo ta książka była kiedyś rejestrem, a druga zachwyca oczy tytułem: „Strach przestraszony, komedia w jednym akcie” – niech ją wróci memu potomstwu, bo to jest moje dzieło. Ale daremne wezwanie! Próżne nadzieje! Przepadł drogi rękopis, jak przepada skarb niejeden w wirze ludzkiej ciemnoty.

Nie mogę wstrzymać się i muszę wam, kochani, a zwłaszcza cierpliwi moi słuchacze, opowiedzieć treść tej krótkiej, ale pięknej komedii. Aby jednak stała się zrozumiałą, należy cofnąć się nieco i rzucić okiem w nasze zwyczaje domowe.

Był więc zwyczaj, że co niedzieli dzieci wyprawiały bal, tak zwał się bankiet, na który otrzymywały prócz codziennych jabłek trochę suszonych śliwek i wiszni, trochę rodzenków i migdałów i kawałek cukru. Mój brat Seweryn, szef szwadronu gwardii (nie wówczas, ale później) jako najstarszy¹¹ przywłaszczył sobie *jure fortioris* zazdroszczony urząd kuchmistrza. On siekał, skrobał, nadziewał śliwki rodzenkami, a rodzenki migdałami, kiedy tymczasem młodsze rodzeństwo, obsiadłszy mały stoliczek zastawiony cynowymi talerzykami, czekało niecierpliwie pierwszego dania. Nareszcie, gdy nadeszła chwila pożądana, półmiski wypróżniały się w mgnieniu oka, nie bez zatargów i nie bez

¹¹ Maksymilian bawił wówczas w Puławach. (Przypisek autora).

pokrzywdzenia najmłodszych, pomimo reklamacji piastunek. Często też kończyło się na płaczu i dopiero cała śliwka wpakowana w gębę wzięła z sobą ostatnią łzę sunącą się po nosie. Czasem i bunt powstał; rzucano się na surowe kuchenne materiały – a gdy kuchmistrz nie mógł ich już obronić, rozdawał szturchańce i ciągnął za nosy, ale rodzenki osładzały wszystko.

Mój brat Seweryn, o cztery lata starszy ode mnie, był do swoich lat trzynastu dokładnym egzemplarzem (tak we Lwowie nazwanego) lamparta. Swawolny, nieposłuszny, zawsze w' zdeptanych trzewikach i podartej czapce, którą uczył psy aportować, był dla guwenera prawdziwą plagą. Szczególne miał upodobanie szczuć świnie psami i nieraz Cusin, ówczesny guwerner, Francuz, przyprowadzał go za ucho z tego polowania do lekcji i za karę przywiązywał sznurem do stołu. Z tego powodu napisał Seweryn komedię, której osoby były: Cusin, Sewercio, Burda (kundys) i Świnia. Tak to talent dramatyczny w naszym rodzie parł się w górę wszystkimi porami. Seweryn uczył się lepiej ode mnie, ale ja byłem poważniejszy... nigdy nie byłem dzieckiem. Dlatego mnie zwano *Staruszkciem*. Ale któż by mógł później odgadnąć tego swawolnego Sewercia w naszym pocziwym, kochanym Sewerynie, grubym, poważnym obywatelu, zawołanym gospodarzu, a którego humor skłonniejszy był do smutku niż do wesołości.

Otóż wracając do rzeczy taki bał dziecinny był treścią mojej sztuki. Osoby były: Pan... zapewne Cnotliwski, ale nie pamiętam, równie jak nazwiska synka i córeczki pana Cnotliwskiego – Michał lokaj – i Szafarka. Rzecz się zaczyna: Pana nie ma w domu, dzieci narzekają, że niedziela przejdzie bez balu. Michał obiecuje im dostać śliwek, rodzenków itd. Ubiera się w prześcieradło, jak to zwykle wystawiają duchów, i idzie do spiżarni straszyć szafarkę. Szafarka przestraszona kryje głowę w beczkę z mąką, Michał ładuje kieszenie nie tyle dla dzieci, ile właściwie dla siebie. A wtem... otwierają się drzwi... wchodzi Pan... Kolej na Stracha przestraszyć się... Michał kryje głowę w drugą beczkę. Rozwiązanie następuje prędkie i jasne, zamknięte nareszcie sensem moralnym.

Widzicie więc, moi Państwo, że komedia nie była bez planu i pewnie byłaby i nie bez efektu scenicznego, gdyby była przedstawiona w teatrze. – Szkoda!

Był w naszym domu nauczyciel muzyki, Mikołaj Matłowski... pocziwy, dobry Matłowski... Dziwną miał zaletę, mógł kilka godzin siedzieć wyprostowany na jednym miejscu i nic nie mówić i nic nie robić, jak tylko od czasu do czasu zażyć tabaki i utrzyć nosa w kraciatą chustkę z wymaganym rozgłosem. Jego wybrałem na słuchacza tym śmielej, że obawa, która mnie w ciągu całego życia nie odstępowała, abym kogo nie znudził, nie mogła względem niego mieć miejsca, bo w niczym nie naruszałem jego moralnej i fizycznej nieruchomości. Pocziwy Matłowski uśmieł się serdecznie z conceptów Michała. Pokochałem go za to jeszcze więcej, niż go kochałem, i odwiedzając jego pochwały przestałem brać od niego lekcje na fortepianie. Niemały z niego zdjąłem ciężar. Cztery lata uczyłem się i nigdy zrozumieć nie mogłem, czego właściwie żądają ode mnie. Przy lekcjach zawsze nogami dzwoniłem, oczywiście nie w takt i nieustannie wciągałem nosem, vulgo siąkałem, co jest niezawodną oznaką słabego usposobienia ucznia i powinno zwracać uwagę rodziców. Jeżeli podrostek mocno siąka przy muzyce – nie tracić czasu. Czasem zły muzyk bywa dobrym jurystą. Jeżeli zaś siąka i nad kodeksem, czym prędzej dajcie mu ołówki, może będzie malarzem. Ale jeżeli zawsze i przy każdej nauce siąka i siąka – to hebes jak Bóg Bogiem. *Scientia* nic z niego mieć nie będzie. Niech się czepia dworów.

Śmiech Matłowskiego ochrzcił mnie na autora. Przy tej sposobności muszę zrobić uwagę, że sposób najdzielniejszy podobania się – jest łatwość śmiechu. Śmiech jest nieudaną aprobatą conceptu... a aprobaty, któż nie lubi?!

Sukces nadzwyczajny mojej komedii zawrócił mi głowę, wziąłem się do tragedii. Ale ta ograniczyła się na tytule wielkimi literami napisanym; „Rzeź Pragi” i na spisie osób, na czele których, jak' łatwo zgadnąć, stali Suworow, Zajączek i generał Jasiński. Zdaje mi się nawet,

że zacząłem pierwszy wiersz pierwszej sceny wyrazami: „O Ty! co...” albo: „O Ty! który...” co zawsze wielki efekt robi w stylu poważnym tak, jak inwokacje w kazaniach, które budzą wszystkie uśpione baby do ryczącego westchnienia, albo jak w teatrze owe oklepane sentencje o cnocie, honorze, miłości ojczyzny. Bo trzeba wiedzieć, że nigdzie nie ma tylu czcicieli cnoty, ile w teatrze, lubo w zamęcie owych szlachetnych uniesień najwięcej ginie chustek i zegarków.

Ale jeżeli zostałem dramaturgiem bez żadnego wyraźnego powodu, nie tak się ma co do poezji. Okolicznościami bowiem pchnięty dosiadłem Pegaza. Długo już przemyślałem, jak to opowiedzieć, bo to działo się w wojsku, a koszary nie salon. Ale historia jest historią, ma swoje żelazne prawa, z których wyłamać się nie zawsze można. Będę jednak starał się, bądźcie, Panie, pewne, omglic, ile możliwości, wszelką szorstkość przedmiotu. A więc do rzeczy.

W Krasnymstawie mieszkalem razem z podporucznikiem Jakubem Nowickim, który miał służącego Franciszka. Razu jednego wziąłem wstępny bojem (*necessitas frangit legem*) pewną nieodzowną, acz tylko płócienną część ubioru, którą to słońce nie zwykło oglądać. Kiedy zaś kolega uporczywie upominał się o zwrot swojej własności, napisałem wierszyk pod tytułem: „Żale Jakuba nad utratą g.i”. Zwrotki kończyły się powtórzeniem: „Franciszku! Gdzież g...e moje?” Ta poezja zrobiła w pułku furorę. Ale jeden z kolegów, Dąbrowski (zginął pod Mołajewem), wziął mnie na stronę i zwrócił moją uwagę, że w kilku wierszach nie ma średniówki. – Średniówki?... Co to średniówka? – zapytałem. Dąbrowski wytłumaczył i to była pierwsza oraz jedyna nauka rymotwórstwa, którą w życiu otrzymałem.

Uzbrojony w średniówkę, rzuciłem w świat parę kawałków, których tytułu powtórzyć nie mogę, a których sława przeszła krańce nawet pułku.

Później we Francji spróbowałem rodzaju uczuciowego – napisałem do Ludwika Jelskiego ładny wierszyk zaczynający się:

Miłość jest równie
Bujna topoli.
Wzrasta gwałtownie
Na miękkiej roli.

Ale kiedy razu jednego zacząłem deklamować w gronie kolegów, jeden z nich, gbur nieokrzesany, dodał zaraz do mego pierwszego wiersza „Miłość jest równie” – swój rym arcynieczysty, co mnie tak zbiło z terminu, że na długi czas dostałem wstrętu do uczuciowego rodzaju.

W roku 1807– 1808 mieszkaliśmy we Lwowie u Judki, na rogu ulicy Sykstuskiej. Niczego się nie uczyłem, wyjąwszy fechtunku, tańcu i ekwitacji, co mnie jednak nie wyprostowało, bo się zawsze pochyło trzymałem. Zacząłem wprawdzie i lekcje matematyki, ale za trzecią dostałem febry. Z Ignacym Konarskim jeździliśmy konno – było nas wszędzie pełno. Lansadowaliśmy najczęściej pod oknami pańskich konwiktów, a gdy pańien nie było w oknie, jeden z nas krzyknął: Gwałt! gwałt!... co do okien ściągnąć musiało.

Złożywszy na stronę miłość własną, muszę wyznać, że byłem wówczas dość pocieszną figurką, zwłaszcza gdy przy końcu 1808 r. pozwolono mi w świat wchodzić po trosze, Oddawaliśmy wizyty i nikt nam nie powiedział: A do książki smarkacze! – Pamiętam siebie bardzo dokładnie i jeżeli chcecie wiedzieć, jakim byłem, proszę słuchać. Łeb rudy w loki, jak w zawijane zrazy, zafryzowany, mocno pudrem przykryty, frak brązowy z czarnym aksamitnym kołnierzem i dużymi, żółtymi guzikami, spodnie jasne, dość przestronne, jak była moda, i buty węgierskie, a czasem buty po kolana z dwunastocalowymi sztylpami. Przy zegarku siedm pieczętek rzeszowskiej roboty, w rękę laseczka z kobuzią główką.

Nadszedł rok 1809. W naukach żadnej zmiany, przybył tylko rysunek, do którego miałem niejakię usposobienie, i taniec. Taniec szczególnie mocno mnie zajął, bo w tych czasach pojawiły się we Lwowie kadryle francuskie, czyli jak zwano kontradanse, które nie tańczono tak jak dzisiaj chodząc prawie, ale tańczono sztucznie, baletniczo. Czasem na balach produkowały się pary w gawocie albo kozaku. Cytowano dobrych taneczników. Między pierwszymi był Ignacy Turkuł, później minister w Petersburgu. Taniec dziś zarzucony, anglaise, był tańcem sentymentalnym. Każdy stawiał do angleza z panią swego serca.

Mówiono o wojnie, ale młodzież mego wieku usłyszała o niej dopiero wtenczas, kiedy gruchnęła wieść, że polskie wojska wkroczyły do Galicji – ale razem gruchnęła i postrach, że wszystkich, szlachtę nie szlachtę, będą brać na rekrutów. Tego zaszczytu unikając, zostałem wysłany z panem Stecewiczem, który jeszcze więcej miał powodu niż ja lękać się austriackiego munduru, do Beńkowej Wiszni, do mego wuja Wojciecha Dembińskiego. Tę majątność trzymał w dzierżawę pan Wojciech, ożeniwszy się niedawno z Karoliną Humnicką. Mój wuj był właśnie na wyjeździe w Przemysku – wziął mnie ze sobą.

Mówiono wprawdzie o wojnie, ale jak o wojnie gdzieś za dwoma morzami, niemałe więc było zadziwienie nasze, kiedyśmy spotkali między Mościskami a Przemyślem mnóstwo fur z wielkim pośpiechem jadących. – Skąd? – Z Jarosławia. – Dokąd? – Do Lwowa. – Co wiozą? – Mąkę. Jeden chłop stary, śmiejąc się, odrzekł na nasze zapytanie: „Ne хочut Nimci chliba isty”. – W to nam graj! Ruszaj, aż koła furczą. Dalej widzimy na wozach i paki, i kufry, i tłumoki, a gdzieś tam żołnierz patrzący za siebie dowodził, że to były rupiecie wojskowe. Wszystko to miało taki pozór ucieczki, żeśmy się spodziewali ujrzeć co chwila ułanów polskich. Ale jeszcze godzina nie była wybiła.

W Przemyśle niby cicho, niby spokojnie. Wojska jak wymiótł. Jakiś ruch tajemniczy objawia się przecie. Dowiadujemy się, że nieprzyjaciół pod Jarosławiem, ale ten nieprzyjaciół nie straszy, bo trwogi ani znaku. Po ulicach dużo ludzi, nie stoi, nie idzie – drobne gromadki ciągle zbierają się i rozchodzą. Poznać oczekiwanie, ale oczekiwanie czegoś ciekawego, a nie przykrego wcale. Każdy stąpa, jakby bał się kogo spłoszyć, każdy mówi cichym głosem, jakby nie chciał obudzić, każdy się uśmiecha, a marsa stawia. Jakiś duch sercem tylko odgadnięty przebiega, dotyka, porywa, wznosi w niebo nadziei. Ach, nie umrze, nie doznawszy największego szczęścia ten, którego owionął, choćby tylko na chwilę, ten upajający, rozkoszny, podwajający każde uderzenie tętna, ten pierwszy podmuch wolności – wolności! Oswobodzenia! Pierwszy połysk światła słonecznego, co wpadnie przez włot do podziemnego więzienia. Ileż to lat upłynęło, ile marzeń spełzło jak mgła poranna, ileż rzeczywistości wysliznęło się jakby z dłoni, a jednak owa chwila w Przemyśle, wyraźnie wybita w pamięci, przemknęła się jeszcze czasem jak błyskawica po duszy mojej z całym swym urokiem wiary i nadziei.

Chcieliśmy dowiedzieć się czegoś więcej. Żydzi wszystko wiedzą. Idziemy więc do Rubina, znajomego kupca. Ciemno było w korytarzu, gdzieśmy z nim rozpoczęli nasze badanie. Ale on cedzi przez zęby odpowiedzi swoje, wtem nagle chwyta mego wuja pod ramię – ten nadstawia ucha... a Żyd pociągnawszy rękaw zapytał: „A gdzie Pan to sukno kupował? Mam świeży towar – co osobliwszego!” Niechże cię piorun trzaśnie i z twoim towarem – pomyśleliśmy sobie i wyszliśmy czym prędzej. Żyd zawsze Żydem. Pieniądz jego gwiazdą przewodnią i nie ma się czego dziwić, pieniądz tylko dźwignąć go może na stanowisko mniej wystawione na wzgardę powszechną.

Roku 1809 w Galicji, a zwłaszcza we Lwowie, zapal Żydów w naszej sprawie był ogromny. W 1812-tym w Litwie, a potem i Księstwie Żydzi stali się naszymi głównymi nieprzyjaciółami. Teraz wątpię, aby byli przychylni jakiej bądź zmianie w Galicji. Ubodzy wprawdzie płacą czasem więcej podatku, niż mają majątku, ale ogólnie biorąc, cały handel i cała administracja kraju w ich ręku. Chłop bez Żyda żyć nie może. Szlachcic go potrzebuje jako pośrednika w interesach z urzędnikami. Urzędnik tak cywilny, jak i wojskowy z

żydowskich tylko rąk chce przyjmować kubany, a kubanów chciwy. Wielka przyszłość czeka Żydów. Duch żydowszczyzny ogarnął świat cały. Pieniądz stał się wszystkim. Ale kiedy on jest dla Żyda sam przez się szczęściem, dla świata jest tylko środkiem do osiągnięcia tych wszystkich materialnych rozkoszy za granicą, bez których nikt żyć nie chce. We Francji nawet, owej Francji rycerskiej, gdzie uczucie wbrew częstokroć rozsądku[^] rozwijało częstokroć potęgę swoją do najszczytniejszych krańców fantazji, gdzie człowiek władzą ducha ulatniał się, oddzielał się od siebie samego i wznosił się czystym tylko instynktem ku nieśmiertelności, tak jak się wznosi motyl do stref słonecznych, kiedy jeszcze jego poczwarka, kołysząc się gdzie u kwiatu, świadczy o jego pobycie na ziemi, w owej Francji znika poezja wszędzie i ze wszystkiego. Piśmiennictwo francuskie czuć rzemiosłem. Każdy teraz pisać będzie przeciw natchnieniu, przeciw przekonaniu, jeżeli tylko może wiele pieniędzy zyskać. Kto na zawadzie, nieprzyjacieli – żadna świętość cnoty i zasługi nie zasłoni, jeżeli nie własna siła. Po sercach, po głowach w górę! w górę! pnie się tłum zimny, chciwy i nie żyjący tylko w obecnej chwili. Żydzi wszędzie. Żydzi w Paryżu, w Rzymie, w Londynie i w Przemyśle, skąd w nocy, o świetle księżyca i w majowej pogodzie, tysiąc ośmset dziewiątego, ruszyliśmy w dalszą drogę do Nienadowej, do brata pana Wojciecha, pana Antoniego Dembińskiego, byłego oficera z Kościuszkowskich czasów.

W Nienadowej, majątności ojca mojej matki, mieszkali niegdyś rodzice moi. Tam pamięć moja błądzi w mgłach dzieciństwa. Nie było już wprawdzie murowanego mostu przed bramą na szuwarem zarośniętej fosie – nie było na środku dziedzińca kompasu, który mi się niegdyś zdawał spoczywać na ogromnej kolumnie – nie było wkoło niego ostrzyżonego agrestu, ani też w grabowym szpalerze kamiennego Kupidynka z urną pod pachą, którą zawsze napelnialiśmy gorliwie, ale był jeszcze dom duży, drewniany, o czterech kolumnach, o dwóch kurytarzach, z których jeden na lewo wiódł do biblioteki, drugi do oficyn i do sklepionego skarbcza, gdzie mieszkała panna Bełdowska, pocziwa staruszka, przyjacielska sługa.

Ale co to was obchodzić może, moje dzieci, co obchodzić kogokolwiek, że niegdyś, gdzieś w Nienadowej tlało jakieś życie przez lat dziewięćdziesiąt spokojnym płomykiem, że zgasło jak nocna lampa bez śladu i odgłosu. Co to obchodzić może? A jednak wam opowiadam... Ach, więcej ja do siebie niż do was mówię. Przebaczcie egoizmowi, bo to tak miło, tak lubo wpatrzeć się czasem w jaką gwiazdeczkę, co nam gdzieś z dalekiej przeszłości zdaje się przymrużyć przyjaźnie. Widzę jeszcze tę małą, pocziwą staruszkę, jak we mnie pieściła dziecko, bawiła studenta, witała oficera, a zawsze ta sama, ani młodsza, ani starsza. W uszach mi jeszcze dzwoni brzęczące echo dużej, ciemnej sieni, przez którą biegło się do niej krzycząc, klaszcząc i tupając razem. Mam jeszcze w oczach ową tam kaplicę ze swoimi obrazkami i pochyłonymi ścianami, do której nam wstęp był zabroniony, a przeto tak wielce pożądany. Czasem udało się tylko jakiej ciekawej główce zaglądnąć przez uchylone drzwi do opuszczonego już, grożącego upadkiem kącika, bo ta kapliczka była mała – mały był ołtarzyk, ale któż zgadnie, jak wielkie wznosiły się tam myśli, jak wielkie korzyły się uczucia?! Ileż tam modłów i błogosławieństwa przesunęło się cicho... ale pewnie macierzyńskich najwięcej. Pada do nóg rodziców, skłania uwieńczone skronie, włos rozpuszczony skrapia rześzystymi łzami... Ach, jakaż jej przyszłość?! Tak młodej, tak świeżej, tak pięknej! Życie takie długie!... Ale czas mija, przemija i znowu tam stanęła, i córkę odrywa od serca, i wiedzie przed ołtarz... I znowu ta córka błogosławi syna. Godziny, lata, pokolenia przepędzają jak obłoki wiatrem parte najczęściej bez śladu i pamiętki. Życie westchnieniem, szczęśliwym... przestrogą – cierpiącym pociechą... Nie ma już kaplicy w Nienadowej... Dom nowy... Mój wuj nie żyje...

Surochów, gdzie się urodziłem, skąd raz wywieziony na rękę piastunki, już nigdy nie wróciłem, leży przede mną jak obraz w śnie kiedyś widziany. Nienadowa taka, jaka była, aczkolwiek zamglona, została lubym dla mnie wspomnieniem. Ale świat mego dzieciennego i

młodocianego wieku cały w Beńkowej Wiszni. Długie tam dni, długie tam pory roku, bo kiedyż dłuższe jak w dzieciństwie, nie odgrzebuje w pamięci, ale dokładnie pamiętam.

Dom tam moich rodziców był to dom prawdziwy polsko szlachecki, zamożny bez zbytku, cichy a gościnny. Długi tam stół bywał. U góry siadywał mój ojciec, jak to mówią – na pierwszym miejscu, kiedy gości nie było, po jego lewej stronie major Biegański, adiutant Kościuszki, potem generał; od upadku aż do wskrzeszenia Ojczyzny bawił w naszym domu. Człowiek rzadkiej pocziwości i do śmierci prawdziwy i gorliwy nasz przyjaciel. Po prawej stronie ojca najmłodsze z dzieci obok matki. Za matką Ludwisia, Kostusia i panna służąca; naprzeciwko Maksymilian, najstarszy z rodzeństwa, guwerner, nauczyciel muzyki Matłowski, rysunku Romanowski, a czasem tańca Kurc i fechtunku Frik von Lindenfeld, głuchy. Dalej Seweryn i ja, a niżej Smólski, Lesiecki, Orzechowski kulawy, szlachta oficjaliści. Bo lubo dom był szlachecki, jednak nigdy szary koniec u stołu nie był bez kilku dworzan. Dwa razy do roku, 2-go lipca i 17-go sierpnia, w dniu imienin rodziców zjazd bywał wielki. Obiad w ogrodzie pod lipami... bal noc całą... iluminacja... były niemałym szczęściem dla dzieci. Raz, że kilka dni upiekło się bez lekcji, po wtóre, że wszyscy mężczyźni obozowali w rostowni przy browarze. I sukienki nowe, i muzyka z Rudek, i ciasta z cyframi, wszystko to było celem oczekiwania i wielkiej radości.

Co niedziela zajeżdżała ogromna poczwórna karetka sześciu kasztanowatymi końmi – furman Sobek i foryś Fedzio w spencerach, spodniach łosiowych, o okrągłych kapeluszach, niby po angielsku. Za kareta szedł kocz poczwórny, równie ogromny, czterema końmi. Dla młodzieży przyprowadzał konie i kuce stary Stanisław, rzadko trzeźwy, w palonych butach i stosowanym kapeluszu ze srebrnym galonem, tak jak wszyscy lokaje. Jechaliśmy na mszę do Rudek, ale czy my, chłopcy, umieliśmy pacierz, o to – ledwie do wiary – nikt nigdy się nie spytał. Drwiono sobie przy dzieciach z wszelkiej oznaki religijności. Nie być *Esprit fort* znaczyło tyle, co być głupcem na wielki kamień. Taki był duch czasu, i to powszechny.

W pierwszych latach bieżącego wieku mój ojciec zakładał fabrykę żelaza w Cisny. Często tam przesiadywał. Raz wziął nas z sobą, to jest Seweryna, mnie i pana Płachetkę. Była to pierwsza podróż moja; lepiej ją pamiętam niż we dwadzieścia lat później odbytą do Włoch. Kiedyś Państwu i o tej podróży opowiem, jak wyjechałem ze Lwowa do Florencji w zamiarze ożenienia się z panną Elżbietą Buturlin – jak to i dlaczego nie przyszło do skutku... jak się nareszcie puściłem do Neapolu, ale chwycony spleenem w Rzymie, kazałem nawrócić i wróciłem do Beńkowej Wiszni.

Przywiozłem wszakże trochę pamiątek, między innymi różę uszczknioną w papieskim ogrodzie i oset na gruzach pałacu Cezarów. Za parę wieków może las będzie z ogrodu, a jezioro z pałacu. Albo może z gruzów powstaną gmachy, a z gmachów gruzy i to ostatnie podobniejsze do prawdy niż pierwsze, ale cieszymy się nadzieją, lubo zmartwychwstanie bardzo trudne. Wziąłem własną ręką w spalonym kościele św. Pawła kawał belki ze stropu, który miał być z cedrów góry Libanu. W Wiedniu kazałem z niego wyrobić Zbawiciela na krzyżu i za powrotem do kraju posłałem do świątyni Sybilli księżnie jenerałowej Czartoryskiej. Niezwykły to był u mnie wybryk grzeczności. Zrobiłem nadzwyczajnie wiele, a księżna nadzwyczajnie mało. Kiedyś, później, komuś, przez kogoś kazała podziękować. Bądźże tu uprzejmym. Ile razy pomknąłem się ze sentymentem, tyle razy szcztuka dostałem. Bądź nareszcie grzecznym, jeżeli ci to przyjemnie, jeżeli ci to sprawia apetyt albo sen sprowadza, ale jeżeli grzeczność chcesz użyć na ponętę na ludzi, to daremne trudy. Szczęście do ludzi, jak szczęście w karty, przyczyny nie ma.

Wyjawszy głupich, których zawsze świat lubi, bo po nich skakać może jak koza po pochyłym drzewie – i o tych nie mowa – znałem ludzi uczciwych, ale niedelikatnych – lubiących gości w domu, ale nie trudniących się nimi – upartych, despotycznych w zdaniu, obojętnych wreszcie na wszystko, co leżało za granicą ich domu – a jednak więcej mieli przyjaciół niż ci drudzy równie uczciwi, ale grzeczni, lękający się uchybić komu bądź, stać

się natrętnym lub niedelikatnym, ludzie gorliwi w radzie i nigdy nie obojętni tak w prywatnej, jak publicznej sprawie. Znałem ludzi zimnych, nie dbających o niczyją przyjaźń, egoistów charakteru nieczystego, nie ceniących nawet miłości żony i dzieci, a jednak świat ich lubił. Znałem zaś uprzejmych, miłych, wymowy miodem i mlekiem płynącej, a wszystko nadaremnie. Ścisła ręce, całuje z jednej i drugiej strony, a czasem i trzeciego całusa suplementarnego nie szczędzi – nie zapomni nigdy niczyich imienin – sześć tysięcy biletów wizytowych rozdaje co roku – sprawunki robi, listy pisze, poradzić lubi, a nawet czasem i pożyczy pieniędzy, a jednak ludzie go nie lubią. Zrozumiejsz tu, proszę.

W jakiejś operetce Bogusławskiego śpiewa jakiś moralista: „Pochlebiaj, a będziesz szczęśliwy”. Można by dodać: „i będziesz lubiony”. Miałoby to być słowem zagadki? Bądź, jakim chcesz, ale pochlebiaj. „Pochlebstwo, chociaż się rzekomo odrzuca, smakuje przecie”, powiedział i ś. p. Andrzej Maks. Fredro. Ale jakie ma być pochlebstwo, jak i gdzie go użyć, w tym sztuka, w tym rozum. Są pochlebstwa czynne i pochlebstwa bierno. W rządzie tych ostatnich najgłośniejsze: *Nigdy nic lepiej nie wiedzieć jak ten, któremu podobać się trzeba*. A jeżeli zależy ci na tym, aby twoje zdanie przemogło, wykręcajże tak, abyś nim nigdy nie zwyciężył, ale raczej mu ulegał.

Mówią, że trzeba kochać przyjaciół i z ich wadami. Ja utrzymuję, że się ich kocha właśnie dla ich wad. Ty nie wiesz tego, a ja tamtego, – ja niemiły w tym, a ty w tamtym – więc kwita – równość. Człowiek doskonały we wszystkim, gdyby się znalazł na świecie, mógłby być uwielbiany, można by z niego wielkie ciągnąć korzyści, ale pożycie z nim byłoby pewnie najnieznośniejsze. Obok doskonałości nasza indywidualność spadłaby pewnie niżej zera. „A – jak bajka powiada – *miłość własną ma i ptak*”.

Tout chemin mène a Rome. Jeżeli do Rzymu, to i do Cisny – i nic dziwnego, że jadąc do Cisny wstąpiłem do Rzymu. Wracam jednak na trochę prostszą drogę – do Beńkowej Wiszni.

Ruszyliśmy w podróż koczkiem, zwanym niegdyś skarbnikiem. Na przedzie wysłano siedzenie i przy bokach zapchnięto po dwa gonty, aby który z paniczów nie wyleciał pod koło. Przy moim ojcu siedział pan Płachetko, straszny, kiedy na wietrze tabakę zażywał, straszny, kiedy kichnął, i gdyby nie był moim guwernerem, powiedziałbym, że kichał jak koń, a zawsze z akompaniamentem obligato kaszlu i finałem huczno zatrąbionym w czerwoną kraciastą chustkę. Konie powodne szły za nami.

Już z Chyrowa, gdzie droga kamienista kręciła się wzdłuż Strwiąża, a często i jego łożyskiem, trudno było wysiedzieć w pojeździe, siadaliśmy więc na konie, a gdzie tylko Strwiąż pozwalał, biegliśmy przed końmi. Była to podróż długa, ciekawa – dłuższa i ciekawsza niż do Włoch, co już miałem podobno honor dowcipnie powiedzieć.

Z długiego noclegu w Lesku puściliśmy się w dalszą drogę do Cisny konno. Nasz ojciec jechał na tureckim, białym jak mleko szłapaku. Obok, na siwym, dużym, z zaprzęgu wziętym koniu, pan Płachetko, który wypiętą postawą, równie jak i prętem prosto w górę przy ramieniu trzymanym, starał się udowodnić to, co tylekroć powtarzał, że służył niegdyś w jeździe litewskiej pod komendą generała Jasińskiego. Za panem Płachetką mój brat Seweryn na kasztanowatym, a ja na szpakowatym kucu. Wówczas siedziałem na koniu, jak to mówią – po łacinie, ale gdy przyszło od zamku spuszczać się do Sanu po skalistych ledwie nie schodach, wezwałem na pomoc całą moją bereiterską sztukę. Wypreżyłem nogi tak, że butami dotykałem munsztuka, a ręką chwyciłem tylną krawędź siodełka i ciało w tył podałem. W takim horyzontalnym prawie położeniu, zjechałem szczęśliwie na dół i w San. Za pierwszym pluśnięciem wody, jak papierowy arlekin za pociągnięciem sznurka, zmieniłem gwałtownie moją pozycję; ściągnąłem nogi jak do prysiody i puszczaając siodło, chwyciłem się grzywy jedną, a potem i drugą ręką. Pomimo drwinek Stanisława, starego masztalerza, byłbym chwycił się i trzecią, gdybym ją był miał, kiedy w środku rzeki zdawało mi się, że nadbrzeżne chałupy i drzewa suną się jakby w szenekatarynce, albo, co jeszcze gorzej, że woda mnie i kuca unosi. Kłapanie podków po śliskich kamieniach, szum przerywanego prądu, wytryski

sprzed końskich kolan, padające na plecy i za kołnierz, zbiły mnie z terminu do reszty. Mój kucyk zaś zdawał się wcale przeciwnego doznawać uczucia; stawał ciągle, spuszczał łeb, jak gdyby był nie pił od dwóch dni, nareszcie zaczął nogą grzebać, znak nieomylny, że ma ochotę położyć się, co byłoby nastąpiło niezawodnie, gdyby go Stanisław nie był podgonił, a panicza za kark chwycił, bo panicz w niespodziewanej zmianie ruchu tracąc równowagę, byłby zleciał jak worek otrębów.

Wielki to był wstyd bać się konia albo okazać złe usposobienie na jeźdźca. Ksiądz Zacharyasiewicz, biskup przemyski, powiadał mi, że jego ojciec kazał raz swoim synom, dzieciom jeszcze, siadać na konia. Gdy się on niezręcznym okazał, ojciec kiwnął ręką i rzekł: „To kiep! będzie księdzem”. Tak się też i stało.

Żaden majtek, po burzliwej żegludze wstąpiwszy na brzeg, nie odetchnie tak błogo jak ja, kiedy ujrzałem się na stałym lądzie. Spojrzałem za siebie i oczy moje spoczęły na zwaliskach zamku, na owe czarne świerki, te nieme świadki tylu wiosen, tylu zim, tylu dni burzliwych i pogodnych, które jak u ich stóp ścigające się fale przepłynęły w morze wieczności. Ten ogród leski był ulubiony memu Ojcu. Nigdy nie mógł oczu dość nasycić jego widokiem i nigdy nikt nie wspomniał Leska, aby mój Ojciec nie narzekał na niedbalstwo i obojętność teraźniejszego dziedzica. „Lada dzień – mawiał – ta cała pyszna lipowa ulica zesunie się do Sanu, a tak łatwo byłoby temu zaradzić”. W samej rzeczy, w czasie, o którym mówię, brzeg Sanu był splotem obnażonych korzeni. Wisiały w powietrzu ogromne lipy; zdawało się, że lada wietrzyk, lada pchnięcie zwalić je potrafi, a jednak dzisiaj mija lat blisko pięćdziesiąt od mojej pierwszej przeprawy przez San – Ojciec spoczął w grobie, ja posiwałem, a wisząca ulica jak szumiała, tak szumi nad Sanem.

Jechaliśmy dalej. Nowy był to świat dla mnie – pierwszy raz byłem w górach. Im dalej, tym więcej ponurą stawała się okolica. Wkoło góry, a spoza gór znowu wyglądające góry, wszystko czarnym lasem pokryte. Step, morze, te jednostajne ogromy, objawiające potęgę, wielkość natury – te obrazy nieskończoności przejmują nas podziwieniem, uszanowaniem i kornym zastanowieniem się nad sobą samym, nad nicością swoją. Ale widok rozległych borów łączy do tych uczuć jeszcze trwogę. To nam się zdaje, że wszelkie życie uszło z tych wilgocią grobów tchnących cieni – to znowu jakiś ruch tajemniczy niby się tu i ówdzie pojawia – to nareszcie z kolebki jeszcze wzięte i w dalsze życie niesione ze sobą powiastki o czarownicach i rozbójnikach stają przed oczy. Wszystkiego tego doznawałem, poprawiając się dość niespokojnie raz w prawo, raz w lewo na nieco twardym siodełku. Górale z długimi włosami, w ciemnych guńkach i dużych kapeluszach, występując zawsze nagle na ciasną widownię, nie byli dla mnie nader przyjemnym widokiem. Ale kiedyśmy spotkali rodzinę Cyganów, kiedy z nich jeden wyciągnął rękę po jałmużnę i ta ręka znalazła się w równi z moją twarzą, lubo on był pieszo, a ja konno... O! wtenczas dusza była na ramieniu. Minąwszy niebezpieczeństwo, ochłonawszy nieco z trwogi, zbliżyłem się do ojca i zapytałem się tak obojętnym głosem, jak go tylko ukształcić mogłem, czy są rozbójnicy w tych lasach. – „Nie ma – była odpowiedź – od czasu jak schwytano i stracono Wulfa, o żadnym w tych stronach nie słyszałem rozboju”. – „Co to za Wulf?” – „Potem, kiedyś wam opowiem, a teraz patrzcie przed konie i niech jeden za drugim jedzie”.

Jechaliśmy pod górę wykutą w skale drogą. Na grzbiecie pagórka mój ojciec wstrzymał konia i zawołał rzecznym głosem, jak gdyby widział przyjaciela: „Hoczew!”

W dolinie nad brzegiem rzeki płynącej do Sanu ujrzelśmy szczątki niewielkiego zamku. Obok biały dworek i gospodarskie, dość porządne zabudowania. Dalej kościółek, karczma i chaty wzdłuż łągu rozsypane. To była Hoczew. – „Tu, w tym zamku urodziłem się – rzekł mój ojciec i zdawał się więcej do siebie niż do nas mówić. – Z tej strony był pokój mojej matki... już tylko jedno okno... dalej był ganek... wszystko się zwałyło... Na środku dziedzińca stała wielka lipa... takich drzew już teraz nie widać... w jej cieniu bawiłem się, będąc dzieckiem, a biegałem, swawoliłem już chłopcem... piękne było drzewo!”... – Czas jakiś

patrzył jeszcze w milczeniu, zdawał się robić rachunek swoich wspomnień z otaczającymi go przedmiotami. Nareszcie zsiadł z konia i nam zsiąść rozkazał, bo w skale wykutą drogą, więcej do schodów niż do drogi podobną, trzeba było ponad potok spuszczać się w dolinę Hoczwi. Uszedłszy kawałek, prowadząc konia za sobą, wstrzymaliśmy się przy źródelku, co ciekim promieniem z prostopadłej wytryskało skały. „Nie ma – rzekł mój ojciec – w całej okolicy równie dobrej wody. Tu dziećmi będąc wprawialiśmy bżowe rynewki i patrząc z daleka cieszyliśmy się, kiedy przechodnie korzystali z naszego wynalazku. Mało kto minął, żeby się z rynewki nie napił”. – Te słowa ojca, jego głos rozplywający się w rozczuleniu, oko pogodne, a tak pełne rzewnego uczucia, głęboko utkwiły w mojej pamięci. Przez wiele lat potem, jeżdżąc tamtędy, spuszczać się do Hoczwi, zawsze słyszałem w sobie te proste wspomnienia naszego dobrego i kochanego ojca. Nie minąłem nigdy źródelka, z uszanowaniem nachylałem głowy, aby świętego dla mnie zaczerpnąć źródła. Kilka lat temu... teraz już kilkanaście... nie potrzebowałem zsiadać z konia, droga była rozkopana, szeroka, wygodna, ale mego źródelka... mego źródelka!... odszukać nie mogłem. Pozbawiony zostałem uczucia, któremu zawsze czekał z upragnieniem, jadąc „w tamte strony. Uczucie wzięte dziecięcą duszą z ust ojca, wyraziłem później w następującej, jednej z najpierwszych moich poezji:

Ach, któż na widok swej rodzimej wioski
Nie cofnie myśli w te chwile bez troski,
W ten cień kolebki... wiek błogosławieństwa,
Gdzie pod skrzydłem rodziców, w gromadzie rodzeństwa,
Brał tak swobodnie, tak pełen ochoty
Życia poranne pieśczęty?!
O! skały, źródła, doliny i drzewa,
Wy, w które pamięć czułą duszę wlewa,
Świadki lat młodych, stałe przyjaciele,
Jakże was starość lubi, jak was ceni wiele!

Przyjemniejszy szmer świerków, miłszy cień topoli,
Przy których wolni pasków i wstając powoli
Pierwsze stawialiśmy kroki.
O! jakież wdzięki uroczę
Mają te szare, sterczące opoki,
Z których bluszcz gęsty rozpuścił warkocze,
Co krzyk dzieci powtarzały
I łajane, nas łajały.

Jak smaczna woda źródła, co się z góry zmyka,
Gdzieśmy groble sypali z piasku i krzemyka,
Albo bżowe rynewki umacniając w skale,
Nieśli przechodniom ochłodę w upale.
A te doliny w kwiecistym ustroju,
Te miejsca igrzysk, gonitw, czasem boju,
Ileż wspomnień nam nie niosą!!
Tu ścinałyśmy ostry, mokre ranną rosą,
Tam z białych główek strząsały zielone badyle,
Pletliśmy pół dnia łańcuch, który potrwał chwilę,
A ta straszna pokrzywa, tajona krzewina,
Ileż łez gorzkich nie była przyczyną!

Ach, tak jest, miejsce urodzenia jest świętością dla serca, jest księgą, w której człowiek czyta aż do śmierci dzieje swojego szczęścia, bo dzieje lat dziecinnych. Sad za domem, ścieżka przez łąkę, kładka na strumyku, wszystko to rozdziały żywota, oblanego światłem nieprzebranej miłości rodzicielskiej...

Im dalej ku krańcowi życia, tym bardziej ściska się w sobie przeszłość nasza. Lata, lat dziesiątki, stają się punktem, a nawet nie punktem, jeżeli z niej nic dotąd istniejącego nie pozostało. Jak błyskawica zgasła, raz na zawsze. Ale wiek dziecinny leżyć zawsze będzie przed duszą, świeży, jaskrawy i równie rozległy, rozciąglejszy nawet i co do czasu, i co do miejsca, niż był w istocie. Wielkim zawsze w naszej pamięci pozostanie pokój, po którym harcowaliśmy na laskowych rumakach, wielką owa kaplica,

Gdzie tuląc się do Matki, skryci w jej odzieże,
Jej tylko zrozumiałe pletliśmy pacierze...

A też pory roku! Jakże długo trwały! Chętka bierze wierzyć, że dłużej niż teraz. Zima, groźna swoimi długimi wieczorami, zdawała się wiecznością. Nie można było doczekać się owego wielkanocnego baranka z chorągiewką – owej baby z cykatą i placka z migdałami, którymi cieszone się pół roku naprzód. A przy lekcjach! Przy lekcjach ten czas niemiłosierny laził jak na żółwiu.

Ale wróćmy do Hoczwi. Stanąwszy przed karczmą, mój ojciec zapytał Żyda arendarza: „A żyje jeszcze stary Kajetan?” – Na odpowiedź, że żyje, posłał po niego, pokazując nam chatkę naprzeciwko dworu na pagórku, w której on mieszkał.

Kajetan był to strzelec i hajduk podobno, służył dworsko w czasie, kiedy mój ojciec swawolił pod wielką lipą, kiedy rynewki w skale umacniał. W roku 1818 czy 1819 przyszedł był odwiedzić mnie, boso z Hoczwi do Cisny, mil trzy. Miał wówczas, jak mówił, lat dziewięćdziesiąt. Głowa jak z marmuru, bez jednego włoska, broda niewielka prawdziwie śnieżnej białości, twarz czerstwa, oko pełne, był jak jaka postać historii świętej z obrazu zdjęta.

Długo mój ojciec z nim rozmawiał, potem obdarzył i ruszyliśmy dalej.

W Baligrodzie wypoczęliśmy koniom. Tam granica świata. Za Baligrodem wjeżdża się jak w czarne gardło. Droga i rzeka jest to jedno i toż samo, a od rzeki z jednej i z drugiej strony wznoszą się czarne ściany jodeł i smereków. Cisna leży w obszerniejszej nieco kotlinie. Folwark, cerkiew, karczma, dalej młynek i tartak ożywiają tę górską wioskę więcej niż wiele innych. Przyjazd nasz wszakże nie w dobrą chwilę miał miejsce. Zanosilo się na słotę. Z gór czarnych kurzyło się wkoło – na co tam zwykli mawiać, że niedźwiedzie piwo warzą. Szczyty gór były całkiem zakryte, nie mogliśmy więc podziwiać pierwszą osobliwość – *Łupiennik*. Ta góra podług miejscowego podania ma mieć dwadzieścia cztery kondygnacje, a z wierzchołka widać Lwów!!!

Wieczór, chcąc nas zabawić, pan Zajączkowski, ówczasowy rządca ciśnieński, wystrzelił z fuzji. Stokrotny odgłos, biegnący i wracający po górach, był dla nas zjawiskiem całkiem nowym, nawet nie przecutym. Nie było miary naszemu zadziwieniu i zachwyceniu, dlatego wystrzelaliśmy wkrótce cały zasób prochu z arsenału pana Zajączkowskiego.

Pobył nasz w Cisny był pełny uciech. Wszystko dla nas było nowe – nowe dla słuchu i wzroku. Trąby z kory juhasów odzywały się czasami po górach tu i ówdzie. Ton ich melodyjny, nieco jednostajnie przeciągły, powtarzany, a raczej rozciągany echem po skałach i lasach, ma w sobie coś tak swobodnego a tęsknego razem, tak stosownego do tej poważnie milczącej natury gór, że wrażenie, które od pierwszego razu na mnie zrobił, najmniej się nie starło. Odgłos tej trąby jest zawsze dla mnie prawdziwą rozkoszą, teraz może i większą niż wówczas, bo za każdym tonem leci krocie wspomnień. Łapaliśmy pstrągi i kielbiki, a jeżeli

się czasem noga ześliznęła, było to powodem do śmiechu bez końca. Zwiedzaliśmy szalasy po odległych górach, gdzie nas częstowano bundzem i bryndzą. Byliśmy przekonani, że w każdym parowie musi być przynajmniej jeden niedźwiedź. W tym mniemaniu utwierdzał nas poniekąd pan Zajączkowski. Bał on się niedźwiedzi nie powoli. Powiadał nam, że przyszedłszy raz zamyślony nad jedną kładkę i podniósłszy oczy, ujrzał z drugiej strony rzeki idącego do tej samej kładki, zapewne w zamiarze przejścia przez nią, ogromnego niedźwiedzia. Jak był ogromny niedźwiedź, nie potrzeba mówić... rozumie się, że jak wół, jak kopica siana i jaka jeszcze kopica!... rozumie się także, że się pan Zajączkowski przestraszył i że krzyknął, jak żaden jeszcze Zajączkowski nie krzychał. Niedźwiedź zdziwiony, bo zapewne o czym innym myślał, wzniosł się na zadnich łapach, a przednimi klasnąwszy parę razy zszedł na bok i zostawił wolne przejście, z której to jednak grzeczności pan Zajączkowski nie uznał za potrzebne korzystać i łącząc odwagę z roztropnością wrócił spiesźnie do domu. – Od tego czasu – mówił – bez szabli przy boku nie wyjdę z dziedzina.

Mój ojciec był ciągle zajęty fabryką. Jak wszędzie, tak i w tamtych okolicach kochany i szanowany, miał wkrótce wiele gości. Między innymi Michał hrabia Konarski z Wietliny. Miał konie ze strzyżonymi grzywami, mówił co trzecie słowo: „Jak mi Bóg miły” i tabakę z rożka zażywał. Ludwik Urbański z Jabłonek, nie tak głupi, jak się wydawał. Dobre człeczysko. Pius Fredro, ten sam, co raz we Lwowie wracając w nocy do domu tego podkreślony na zapytanie sztyldwacha: *Werdo? (Wer da?)* odpowiedział: „A Fredro. – Jak on wie, że ja Fredro?” – dodał sam do siebie. Osuchowski z Zerniczki, stary myśliwy, ten z Cisny nie wyjeżdżał prawie. Czasem wieczór grywał z moim ojcem mariasza, ale jak było więcej gości, opowiadał wypadki, których sam doznał albo których był świadkiem, wojując z niedźwiedziami. Powiadał, jak raz wzięwszy w zapale kuca srokiego za kundysa, szczuł nim po strzale rannego niedźwiedzia. Kuc w nogi, a niedźwiedź do niego... dalej tańcować wkoło buka, póki nie nadszedł strzelec i dobrze wymierzonym strzałem nie położył końca tym mimowolnym płsom. Powiadał, jak widząc swego sąsiada pod niedźwiedziem, wołał przez rzekę: „Panie podczaszy! Oddaj się Waćpan Bogu!” – i jak palnął, w sam łeb... (niedźwiedzia rozumie się). Powiadał, jak raz na polowaniu, gdzie więcej było amatorów niż myśliwych, rozstawił wszystkich drożyskiem z łąki aż na pagórek, gdzie objechano niedźwiedzia. „Odezwał się – mówił – tropowiec, dopuszczono kundysy, doszły niebawem niedźwiedzia, który idąc w hurku wzmagał się ku działom. Ja stałem na uszyjku, z drugiej strony łąki. Wtem słyszę strzał w górze, a wkrótce potem moje goście zadychane wypadają gęsiego na łąkę krzycząc: «Niedźwiedź! Niedźwiedź!» – Ostatni bez czapki i bez strzelby, jak trup błydy, komisarz cyrkularny, a za nim... aż chrusty trzeszczały... aż ziemia dudniła... Co? – Biała kobyła. – Cóż się stało? – Biała myśliwska kobyła uwiązana w gąszczu, spłoszona strzałem, a jeszcze więcej kapelą wiodącą niedźwiedzia, urwała się i puściła ku domowi na pół drożyskiem. Nie czekał jej kreiskomiser, krzyknął: «Gwałt!» i dalej w nogi. Niżej stojący amator podobnie wrzasnął i dernął – tak i cała linia wysunęła się następnie na łąkę, ścigana białą kobyłą.”

Takie i podobne opowiadania wielce nam się podobały, ale jeszcze więcej dykteryjki różnego rodzaju Krzyżanowskiego. Jak sobie teraz przedstawię tego Krzyżanowskiego, a pamiętam go bardzo dobrze, był on może ostatnim egzemplarzem dworaka, pieczeniarza, wyjadacza dawniejszych czasów. Przyjechał konno, torba borsucza i strzelba przez plecy – harap w rękę. Niewielki, krępy, włos szpakowaty, mowa chrypliwa. Półbłazna, półszlachcica, wszędzie był domowym. Nigdy nie opuścił okazji prosić o korczyk zboża, faskę bryndzy, kawał skóry i czy otrzymał, czy nie, zawsze z uśmiechem ścisnął kolano Jaśnie Pana. Komu w nocy napuścić os do izdebki, komu włosienia nastrzyc na prześcieradło, komu jaj w buty nakłaść? – Krzyżanowskiemu. Kogo rano do sieni w koszuli wyciągnąć, kogo pytką wybić, kogo poczęstować piwem z wodą zamiast wina, a wodą zamiast wódki? – Krzyżanowskiego. Dlatego Krzyżanowski miłym był gościem, a szczególnie dla dzieci. Na szarym końcu u

stołu, nie był ostatnim do mowy i do kieliszka, nie urażał się jednak, kiedy w jego lampeczce mętniejsze było wino niż przed Jegomością albo księdzem Proboszczem. Kiedy pan domu co opowiadał, Krzyżanowski oka z niego nie spuszczał, chwycił się za głowę z przestachu albo śmiał się do rozpuku. Kochany Krzyżanosio! Osuchowski z nim na żaden sposób nie mógł konkurencji wytrzymać – łągał dobrze jako myśliwy, ale i Krzyżanowski był myśliwy, a łągał trzykroć lepiej. Kiedy się odezwał: *Razu jednego...* już wszystkie oczy były na niego zwrócone – wszystkie uszy nateżone... I w samej rzeczy, trzeba słyszeć takiego improwizującego łgarza, aby pojąć, jaki wdzięk mają te długie i szerokie, a co krok w epizody wyskakujące opowiadania. Słuchamy, jak historii z tysiąc i jednej nocy, w przekonaniu, że tam albo nic prawdy nie ma, albo tak mało, że ledwie na tytuł wystarczy, a jednak słuchamy z wszelkim udziałem. To ciągle wyjaśnianie najdrobniejszych szczegółów, poprawianie sumienne siebie samego w najlichszym zboczeniu, cytowanie miejsca, dnia, godziny, osób przytomnych z odwołaniem zawsze do świadectwa: *Żywych przecie* – wszystko przeciąga rzecz całą niezaprzeczoną pokostem prawdy. Dopiero gdy przyjdzie do samego jądra *Dziwnego wypadku* i kiedy wszelkie prawdopodobieństwo ustaje, wtenczas gwar i śmiech. Każdy się śmieje, jakby mówił: „Nie głupim, abym uwierzył”. I im mocniejszy śmiech, tym mocniej objawia się to zadowolenie z swojej własnej przenikliwości. Niechby kto spróbował pisać, słowo po słowie, co taki Krzyżanowski rozpowiada, i niechby komu potem odczytał, a pewnie znaleźliby obydwaj, że słuchana z upodobaniem powieść jest tylko nudną i bez sensu ramotą. Skądże to pochodzi? Oto brakuje świeżości improwizacji – uniesienia rzetelnego – mimiki stosownej – figury charakterystycznej opowiadacza, a nade wszystko jego wiary, że wiarę wzbudza w słuchaczach. Słowem, trzeba prawdy kłamstwa, aby kłamstwo zająć mogło.

Mam Krzyżanowskiego przed oczyma, kiedy po kilkodniowym pobycie odjeżdżał. Szkap podkasała – terlica węgierska – sakwy przewieszane z tyłu, a płaszcz z przodu – spod płaszcza zaś wyglądała zgięta podług siodła szyna żelaza wykutego w Ciśnie na wieczną pamiątkę. Wsiadł pan Krzyżanowski, urznawszy sieczki parę razy, skropił szkapę harapem, ruszył z kopyta, a pochylony jak w ukłonie aż za bramą czapkę włożył.

Generał Józef Kalinowski, który lubił do prawdy wiele nieprawdy dodawać, gniewał się, *par jalousie de métier*, na Ignacego Cetnera, że ten kłamał bez konceptu. – „Co to może kogo obchodzić – mówił – że pan Ignacy 300 000 fur gnoju wywiózł albo że ma 100 000 owiec”. I w samej rzeczy, kłamstwo o tyle tylko jest znośne i bawić nawet może, o ile w nim jest dowcipu, inwencji, poezji. Na przykład jeden ze znajomych ojca, żałuję, że jego nazwisko zapomniał, rozpowiadał o swoich podróżach po całym świecie, lubo nigdy nie był za granicą Polski.

„Raz – mówił – będąc w Ameryce, zabłądziłem w lesie. Im dalej w las, tym las gęstszy, a droga węższa – nareszcie zniknął wszelki ślad. – Co tu robić? – Na szczęście, przypominam sobie, że mam w bryczce doskonałą mapę, a doskonalszą jeszcze perspektywę. Rozłożyłem więc mapę pod bukiem, zwróciłem na nią perspektywę i ujrzałem siebie i bryczkę w parowie pod bukiem – drogę zaś, idącą działami o pół mili na prawo, gdzie się potem, będąc już zorientowany, łatwo dostałem”.

Niedawno umarł na Podolu Jędrzej Szumlański, ostatni może w Polsce łgarz – poeta – tegoczesny Radziwiłł. Między innymi opowiadał, że ma ogromny proces z powodu pługa parowego, który sam z Anglii przywiózł. „Doskonały – mówił – w jednym dniu zorał mi trzysta morgów – ale na noc zamknięto go w wozowni. Cóż się stało? – pług wrota wyłamał – hajże w pole! Jak zacznie orać i orać, aż wpadł na grunta sąsiedzkie, a – co gorzej – wszystkie kopce graniczne porozorywał. Stąd proces. – Najlepsze jednak jego koncepta nie dadzą się powtórzyć w dobrym towarzystwie.

Między różnymi myśliwskimi przygodami i mój ojciec opowiedział nam następującą i za jej prawdę zaręczył. Wątpić więc nie można.

Nieboszczyk Wojski Orzechowski¹², ojciec naszego Piotra¹³, poróżnił się był z Chorążym N. – Wyzwali się do pierwszego spotkania, dlatego zawsze przy szabli jeździł i na polowanie. Razu więc jednego strzelił do niedźwiedzia i mocno ranił w piersi. Niedźwiedź swoim zwyczajem wznosił się na zadnich łapach i szedł prosto na przeciwnika. Orzechowski do szabli. Machnął parę razy, ale wkrótce szabla dostała się w zęby rozjuszonego zwierza – szczęściem atoli, że ostrzem ku niemu. Nie stracił głowy Orzechowski i chwyciwszy lewą ręką koniec szabli, odpierał jakby ostrym munsztukiem niedźwiedzia, który pchać się na niego nie przestawał – ale skaleczony w piersi i na pochyłości, niżej, nie mógł łapą zachwycić. Długo ta, nie do wiary prawie, a jednak najprawdziwsza trwała walka, aż przecie Orzechowski postrzegł zbliżającego się strzelca. Krzyknął, aby mu strzelbę rzucił pod nogi, sam zaś powoli tak się obrócił, że stanął znacznie niżej od niedźwiedzia, a gdy poczuł mocny nacisk, puścił nagle szablę. Niedźwiedź wywrócił kozła, a nim wstał, Orzechowski chwycił strzelbę i trupem go położył. Świadkiem niezaprzeczonym tej walki był palec odgryziony u lewej ręki.

Trzy razy w dzieciństwie byłem z ojcem w Ciśnie. Zawsze wstępowaliśmy do Jabłonek na obiad lub nocleg. Nie chciał tego odmawiać Ludwikowi Urbańskiemu, który pomimo śmieszności powierzchownych był dobrym i uczciwym człowiekiem. A propos niego, raz mi ojciec powiedział: „Prawdziwym jest nieszczęściem w górach to oddalenie od wszelkiego światłego towarzystwa. Poznałem to w najwcześniejszej mojej młodości, dlatego wszelkich sił dołożyłem, aby się z gór wydobyć. Ożeniłem się z waszą matką nie zważając, że mogłem większy znaleźć posag. Puściłem Cisnę w dzierżawę, Hoczew sprzedałem, powiększyłem majątek biorąc znaczne dzierżawy, jako u hrabstwa jarosławskiego, starostwa przemyskiego itp. Żyłem zawsze z ludźmi i dobrze na tymi wyszedłem, bo mogłem wam dać lepsze wychowanie, niż je sam otrzymałem”.

Kochałem i szanowałem mego ojca, ale w miarę jak mi czas nasuwa punktów porównania, cześć dla niego zdaje się wzmacniać w moim sercu. Powtarzam teraz często niejedno jego zdanie, jego przestrogę, których słuchając nie myślałem nawet, że je pamiętać będę. Żywot ojca stał się wzorem dla dzieci. Jego charakter prawy, rozum nie błyszczący świetnym ukształceniem, ale głęboki, logiczny – dobroć nieprzebrana – uprzejmość – uczynność – zjednały mu powszechny szacunek. Jako człowiek i jako Polak – był on w całym znaczeniu wyrazu: *Bez skazy*. O nim sumiennie można było powtórzyć: *Le Ciel n'est pas plus pur, que le fond de son âme*.

Dobra sława ojca jest drogą spuścizną dla dzieci – ale i dzieci szanując rodziców składają jakby grosze do kasy oszczędności, które kiedyś w kapitalik urosną. Kiedy już ojca, matki nie ma – o, jak błogie uczucie napelnia serce, wznosząc oczy w te światy tajemnicze, gdzie mieścić lubimy choć cząstkę tych, których kochaliśmy, którzy nas tyle kochali w tym życiu. Jeżeli zawsze Boga błagałem, aby uczynił dzieci moje godnymi mego błogosławieństwa – *co otrzymałem hojnie* – to pewnie więcej ze względu na ich dalsze szczęście niż na moje własne. Bo ci, co nic sobie do wyrzucenia nie mają, słusznie i po swoich dzieciach spodziewać się mogą pociechy – ze spokojnym sumieniem wspominać będą czas spędzony na opiekuńczym łonie rodziców. Wiele osób okazuje żalobę serca po stracie rodziców, pokrywając ich pamięć świętym milczeniem, a ja chciałbym, żeby mnie moje dzieci wspominały, jak gdybym jeszcze był z nimi. – Ja lubię wspominać mego ojca jak najczęściej, robić go uczestnikiem i wesołych, i dobrych chwil moich – zdaje mi się, że się on wtenczas do mnie uśmiecha. Spoczywaj! Spoczywaj w Bogu, Ty dobry, prawy, drogi, kochany Ojcze!

¹² Zdaje mi się, że ten Orzechowski był Wojskim przemyskim. Człowiek silnej duszy i silnego ramienia. Zginął w Krakowie, w Bramie Miejskiej, podczas Konfederacji Barskiej. (*Przypisek autora*).

¹³ Piotr Orzechowski, konsyliarz foralny w Galicji do 1809 r., potem sędzia Trybunału w Warszawie, umarł tam koło 1820 r. Był stałym i szczerym przyjacielem mego ojca. (*Przypisek autora*).

Deszcz padał – z lasów się kurzyło – smutna była Cisna. Siedzieliśmy przy kominie, słuchając odgłosu młotów, co nas z bliskiej fryszerki dochodził. Ktoś wspomniał rozboje – przypomnieliśmy Wulfa, a mój ojciec, jak dobrze pamiętam, tak mówił;

Wówczas, kiedy Żyd Wulf, na czele kilkunastu łotrów, obdzierał podróżnych, najeżdżał domy i coraz straszniejszym się stawał, mieszkał w Sanockiem niejaki Kitajgrodzki. Szlachcic czynny, zabiegły, odważny, ale przy tym trochę zawadiaka i wielki wciubski, nie znał lub znać nie chciał mądrego krakowskiego przysłowia: *Nie wtykaj nosa, gdzieś nie dał grosza*. Otóż razu jednego, w zimowej porze, ten Kitajgrodzki nocował w Barwinku u naczelnika komory. Koło dziesiątej, kiedy się już do spoczynku zabierano, strażnik przyniósł do podpisu kilka paszportów Żydów jadących z Węgier. Naczelnik siadł do biura i zaczął podpisywać, gdy Kitajgrodzki zasłyszawszy z alkierza, o co rzecz idzie, wyszedł wpół ubrany i zaczął przygarniać tej łatwości, z którą przepuszczają przez granicę, nie przekonawszy się pierw, jakie to indywidua, i to właśnie w czasie, kiedy rozboje mnożą się coraz bardziej. To rzekłszy, wziął świecę i wyszedł do pierwszej izby, gdzie w ciemnym kącie koło pieca stało kilku Żydów. Wzniósłszy światło nad głowę, aby lepiej widzieć przed sobą, postrzegł, że jeden z podróżnych, stojących na przodzie, cofnął się za drugiego, ku temu więc zwrócił się i w oczy zaświecił. Był to Żyd, jeszcze młody, wysoki, chudy, żółtawej cery, czarnej, krótkiej i rzadkiej brody. „Skąd panowie kupcy?” – zapytał Kitajgrodzki. – „Z Węgier” – odrzekł zapytany i zasłaniając ręką oczy, jak gdyby go światło raziło, chciał się do drzwi zbliżyć. Ale Kitajgrodzkiego pozbyć się nie łatwo było, zwłaszcza kiedy się ciekawością czym zajął. – Skąd? – Dokąd? – Po co? – Którędy? – Na długo? – pytał i zatrzymywał, nareszcie chwycił za połę płaszcza cofającego się bladego Żydka, podniósł ją i odkrył pałasz przy boku, a dalej parę pistoletów za basem. Wszczął się hałas – straż przybyła – chwycono podróżnych – okuto wszystkich i odesłano do kryminalnego więzienia. Młody Żyd był to ów słynny Wulf, herszt rozbójników.

W kilka miesięcy po swoim zwycięstwie dowiaduje się Kitajgrodzki, że Wulf uszedł z więzienia i że dał się słyszeć: „Nikogo jeszcze nie zabiłem, ale Kitajgrodzkiego jak schwycę, pasy z niego drzeć będę”. Zrozumiał szlachcic, że to nie przelewki, że tu idzie o gardło i że on albo Wulf zginąć musi. Pojął oraz, że tylko prędkie i energiczne środki mogą dowieść do celu. Nie tracąc więc czasu, spieniężył, co mógł, dopożyczył jeszcze, kupił koni, broń, przyjął pewnych ludzi i obwarował swój domek tak, że w nim napadu mógł się nie lękać. Ale nie przestał on na tym, wiedział bowiem, że w każdej walce chcąc stanowczo odnieść zwycięstwo, nie można ograniczyć się na odpornym działaniu. Miał swoich szpiegów, śledził przez nich obroty nieprzyjaciela i zawsze był gotów wyruszyć przeciw niemu, na czele swego dobrze uzbrojonego hufca. Wulf zaś ze swojej strony, lubo zemstę poprzysiągł, nie chciał ją jednak uczynić jedynym celem swoich czynności. On chciał rabować dla zysku, a zemścić się dla uciechy. Dlatego wojna z Kitajgrodzkim nie była mu na rękę i unikał go, ile możliwości. Jak długo trwał ten stan rzeczy, nie umiem powiedzieć – wiele razy walczone ze sobą, nie wiem – dość, że razu jednego dano znać Kitajgrodzkiemu, że Wulf ma zjechać na szabas do Liska. – Na koń! krzyknął Kitajgrodzki i nie wyszło pół godziny, już kłusował działami na czele swojego oddziału. Nie drzymał i Wulf, miał swoje czaty, bo gdy Kitajgrodzki jedną stroną od Ustrzyk wpadał do miasta, on wymykał się drugą. Dostrzeżony, ścigany, coraz mocniej napierany, skręcił nareszcie ku Sanowi i wpław się rzucił. Kitajgrodzki przypadł nad brzeg, strzelił za nim i zdawało mu się, że się Żyd po strzale na lewo pochylił. Ale czy to dlatego, że już wieczór szarzał, czy że się lękał zasadzki, nie ścigał dalej, wrócił do Liska i tam przenocował.

Nazajutrz, jeno świt, przejechał San w bród pod Zamkiem i na lewym brzegu starał się przejąć ślady naprzeciwko miejsca, z którego strzelił. Nie tak to łatwo po kamienistym polu. Głowa w dół spuszczone, ledwie nie z olstrami w równi, sylabizował rozmaite hieroglify, z których się nareszcie doczytał, że jego przeciwnik zaraz z wody ruszył z kopyta – galopował

aż pod las, tysiąc może kroków od brzegu – tam stał, słuchał pewnie, czy pogoń nie pluszcze po Sanie albo czy krzemień nie tętni pod podkową na drodze z miasta. Potem skręcił na łączkę i ujechawszy paręset kroków, zsiadł z konia i uwiązał go do drzewa. Przy bliskim strumyku leżał cybuszek rogowy i długa szmatka. Z łączki wrócił do konia i jechał pomału popod las tęgi kawał aż do drożyny wiodącej w lewo w las. Tu ślady stawały się coraz rzadsze, gdzieniegdzie tylko kamyk usunięty albo korzeń zdarty ocale wskazywał z kilku dróg, a raczej ścieżek, którą pojechał. Nareszcie zginął wszelki ślad.

Daremnie Kitajgrodzki ze swoimi ludźmi, jak wprawni objezdnicy, zakładali na prawo i na lewo – daremnie przecinali drożyska i łąki – na każdej mokrzawie na klęczkach szukali najlichszego znaku – ślad jak zginął, tak zginął. Już było i z południa – popasiono konie w Piskarowskiej karczynie i straciwszy wszelką na teraz nadzieję dojścia złoczyńcy, ruszono ku domowi. Wyjechali z lasu i z przykłej spuszczały się góry, kiedy jeden odezwał się do drugiego: „Byłbym przysiągł, że dzisiaj sobota”. – „A jużcie nie niedziela!” – odpowiedział drugi i tak głośno się roześmiał, że Kitajgrodzki jadący przodem, zapytał się: „A czego ty się tak śmiejesz, Szymonie?” – „Jakże się nie śmiać, kiedy Józef tak się tego Wulfa przestraszył, że zapomniał, że to dzisiaj sobota”. – „Jakże może być sobota – odezwał się Józef – wszak w sobotę Żydzi nie jeżdżą”. – „Alboż jedzie który?” – „Ot, nas minął wózkiem i ćwiczysz szkapę pod górę”. – „Łapaj! – krzyknął Kitajgrodzki – łapaj!”... I sam zwróciwszy konia, kopnął się za wózkiem, aby doścignąć, nim w las wjedzie. – Stój! – krzyknięto. – Żydziuk zbladł – zdjął czapkę i upuścił – zdjął gemerkę i upuścił. Jednak udając pół głuchego, pół głupiego, wywijając się jak wąż w swoich odpowiedziach na zapytania. Aż nareszcie harap, parę razy dobitnie na plecy spuszczone, uporządkował jego myśli i odpowiedzi, z których okazało się, że zawiózł chorego Żydkę do Brzozowa do Judki cyrulika.

W niedzielę dzwoniło na Anioł Pański, kiedy Kitajgrodzki zsiadł z konia przed kościołem w Brzozowie – ukląkł – zmówił pacierz – potem zostawiwszy jednego ze swoich ludzi przy koniach, z drugimi kazał prowadzić się ujętemu na drodze Żydkowi. Sunął się cicho popod domy, a gdy Żydek pokazał domek cyrulika, odesłał go w tył, a sam zakałatał do drzwi. Jęczał i błagał przez drzwi, aby mu otworzono, obiecywał trzy złote, jeżeli mu pan Judka prędko zęb wyrwie. Odezwał się nareszcie jakiś bachór i powoli drzwi uchylał – Kitajgrodzki pchnął je, wszedł i przyłożywszy pistolet pod nos zaspanemu i skrobiącemu się bachórowi, rzekł cicho: „Ani piśnij, bo ci w łeb strzelę. Gdzie Żyd chory, którego tu w nocy przywieziono?” – Bachór wskazał na schodki w głębi sieni i na wznak się przewrócił. – Dalej więc na schodki! Drzwi były zewnątrz zamknięte. Uderzone nogą otworzyły się na oścież... a kulka świsnęła pomiędzy głowy wchodzących. Żyd leżał w łóżku, wystrzelił z jednego pistoletu i chwycił za drugi... ale mu czasu zabrakło... Kitajgrodzki przycisnął sobą pistolet i Żyda razem. Ankiel Wulf – gdyż to był on w istocie – okuty i odprowadzony do Lwowa był tam nareszcie stracony dnia 16 maja 1787 na wielką pociechę Kitajgrodzkiego.

Wyjechaliśmy z Cisny, odwiedziliśmy Urbańskiego w Jabłonkach, Orzechowskiego w Żerniczce, nocowaliśmy w Lisku, czyli Lesku. Za Liskiem stanęliśmy i oglądali na szczycie pagórka ogromny ułom skały. Nie widać na nim ręki ludzkiej, a jednak ze swego kształtu zdaje się być częścią jakiegoś gmachu. Różne o tym kamieniu biegają powiastki, jedna cudowniejsza od drugiej, ale najwięcej jest upowszechniona ta, która zapewnia, że diabeł niósł ten kamień, ale kogut zapiał i diabeł kamień upuścił. W Ustianowej stanęliśmy na popas. Wkrótce wbiegł Żydek, powiedział coś Żydówce, Żydówka spojrzała w okno, a za nią pół tuzina Żydziatek różnego kalibru. – „Cóż tam takiego?” – spytał się jeden z nas gospodarza. – „Pan Kasper” – odrzekł gospodarz. „Czegóż go się boicie?” – odezwał się mój ojciec. – „A jak się nie bać?... On wariat!” – „Ale nikomu nic złego nie robi”. – „Jak nie robi! On ma strzelbę nabitą. Raz już w okno wystrzelił”. – „Przypadkiem”. – „Jak przypadkiem! On, mierzył... Dwie szyby wybił”. Spojrzeliśmy w górę w miejsce wskazane i ujrzeliśmy

dziury w oknie gontami założone, jako pomnik owej strasznej katastrofy, która pewnie przejdzie z ust do ust, aż do najdalszej potomności tej arendarskiej rodziny.

Wszedł pan Kasper Brześciański, dziedzic części Ustianowej. Miał na sobie kapotę zieloną strzeleckiego koloru, pas skórzany z klamrą. Torba i strzelba przez plecy, czapka ze siwym barankiem na bakier. Zawsze pieszo podróżował, bo jak miał swoje konie i bryczkę, zawsze kazał prosto jechać... A że prosta droga nie wiedzie do celu... więc w pierwszym potoku musiał zostawiać połamaną bryczkę. Był to piękny mężczyzna, wysoki, twarz piękna, wąs czarny, oko łagodne. Przywitał się z moim ojcem po przyjacielsku i rozmawiał czas jakiś tak rozsądnie, że ja z Sewerynem, zawiedzeni w nadziei naśmiania się z wariata, już chcieliśmy wyjść na podsienie, kiedy słowo *interesa* zdało się dotknąć go drutem elektrycznym i zgasić nagle pochodnię rozumu, a otworzyło razem wrota gradowi słów bez żadnego związku. Domowe niezgody obłąkały jego rozum w kwiecie młodości.

Widocznie dramata na powierzchni świata przejmują nas litością albo zgrozą. Ach, gdybyśmy zoczyli mogli te liczne dramata, co się toczą w głębi serca, a cicho, a cicho... których tajemnicy strzeże nieszczęsny jak skarbu najdroższego, a skarbu nieprzebranej swojej boleści, których ogrom Bóg tylko jeden ocenić może, a świat nie przeczuwa nawet... i które nareszcie rozsadzają łono albo mącą rozum... O, jakże często płakalibyśmy krwawymi łzami wśród tego kwiecistego świata!

Podobne pomieszanie zmysłów dotknęło generała Kopcia w niedocieczonych jego cierpieniach na Syberii. Poznałem go w Warszawie 1820 r., przyszedł do mego brata Maksymiliana; długo rozmawiał bardzo rozsądnie, ale gdy wspomniał o swojej niewoli, nie wyszło pięciu minut, już w swojej podróży po Syberii stawał na szczycie jednej góry, skąd się na szczotkach spuszczano. Tam była granica jego rozumu. Co dalej mówił, nie miało żadnego związku. Mój brat powiadał mi, bo bawił w Puławach wtenczas, kiedy tam Kopeć przyjechał zaraz lub wkrótce po swoim powrocie z niewoli, że księżna generałowa Czartoryska zleciła kilku osobom uporządkować jego opowiadanie, ile możliwości, ale nie było podobieństwa. Nawet gdy chciano skreślić mapę podług jego wspomnień, on chciał, aby zawsze rysowano góry z profilu, jedne za drugimi. I ten nieszczęsny miał zostawić pamiętniki!!! I Mickiewicz rozwodzi się nad nimi! A jednak Mickiewicz żył z osobami, co znały bardzo dobrze generała Kopcia. Wierzę tu owoczesnym pisarzom! – Nie, ówczesi mogą tylko materiałów dostarczać, a dopiero później sąd światły, oczyściwszy je z błędów mimowolnych i z błędów natchnionych duchem stronnictwa, może utworzyć *prawdę* dziejów.

W tych czasach pojawił się pamiętnik Jana Sagatyńskiego – *pazia* (?) Stanisława Augusta. Urodzenie Sagatyńskiego jest dotąd zagadką. On dawał do zrozumienia, że był synem króla, drudzy mówili, że wielkiego koniuszego Kickiego. Tak czy siak, ród jego nie uprawniał go do zaszczytnego urzędu pazia. Sagatyński był to patentowany bufon salonowy. Jego śmieszne i dobre koncepta, rozwałkowane w długie historie, żyją dotąd w tradycji i długo żyć będą, pozbawione wszakże i szczególnego talentu, i pociesznej figury ich autora. Kilka lat przed śmiercią Sagatyński bywał często w moim domu. Gdy mi raz opowiedział parę anegdotek o królu Stanisławie, powiedziałem mu, że powinien spisać, co tylko pamięta z owych czasów. W parę dni przyniósł mi arkusz pisma. Styl słaby, a raczej żaden – rozwlekłość – jedna anegdotka, i to niedowcipna – przekonały mnie, że z tej mąki nie będzie chleba. Pochwaliłem jednak i zachęciłem do dalszej pracy. Nic mi już jednak później nie przyniósł, a gdyby był co napisał, byłby mi czytał niezawodnie, nareszcie – ten niby jego pamiętnik nie odpowiada ani wesołości charakteru Sagatyńskiego, ani też sposobowi zbyt rozwlekłemu opowiadania. Wydawca, który starał się uniewinnić słabość stylu, niech się pocieszy, Sagatyński nie był w stanie i tak napisać.

Za Chyrowem, gdzie cała ludność robi pończochy na drutach, widzieliśmy po lewym rękę piękny zamek w Łaszkach Murowanych nad Strwiążem w zupełnie jeszcze dobrym stanie. W

tych czasach matka moja odwiedzała w nim panią Mniszchową, matkę pani Ksawerowej Krasickiej i pana Stanisława Mniszcha.

Ledwieśmy zajechali do Żyda w Starej Soli na nocleg, przyszedł jakiś Inspektor, czyli Verwalter żupy solnej i po długiej upartej prośbie skłonił mego ojca, że wzięwszy nas z sobą, poszedł do niego na wieczerzę. Został mi w pamięci ryż przysypany cynamonem, a jeszcze bardziej zdarzenie, które mu towarzyszyło. Już mowa z niemiecka naszego gospodarza łechtała nas nie po trosze, chęć śmiechu brała nas na tortury... A cóż dopiero nie stało się z nami, kiedy pan Inspektor wzięwszy kieliszek: „Za strofie laskafego gościa!” – podniósł się, uklonił, a siadając chybił krzesło o połowę, chwycił się stołu i niepewność długo trwała, czy wróci na krzesło albo czy wleci pod stół. Cała serweta w usta wpakowana, nos ściśnięty, wejrzenia ojca nic nie pomogły, trzeba było koniec końców parsknąć śmiechem. O, śmiechu! Jak ty luby jesteś starości, kiedy zagrasz w dziecinnym garełku, tak szczerze, tak dźwięcznie! Rozciągasz wesołość wkoło siebie i na sam smutek. Porównać cię można do jutrzeńki, co swój uśmiech różany rozciąga i na zwaliska, i na zbutwiałe drzewa, i na pochylone krzyże cmentarza.

W kilka lat potem, 12-go stycznia 1806 r., dzień mroźny zabielał na wschodzie. Świece po pokojach w Beńkowej Wiszni tły czerwono... nikt ich objaśnić, nikt pogasić nie myślał. Pojazdy stały przed oknami... pakowano spieszenie... Dzieci zbite w gromadkę płakały, bo i starsi płakali, a płakali rzewnie. Ojciec opuszczał swój dom, bo przed godziną ostatnim westchnieniem ostatnie dała nam błogosławieństwo najlepsza, najtroskliwsza matka.

Już miałem rok trzynasty, kiedy straciłem matkę, a jednak jakby zamglona przedstawia się mojej pamięci... nawet rysy jej twarzy nie dosyć wyrazisto mam przed oczyma. Widzę ją zawsze zajętą ogrodem... ona bowiem przeistoczyła i rozszerzyła ogród w Beńkowej Wiszni. Oprócz lip, szczątków ulic sklepionych w czworobok, wszystkie starsze drzewa jej ręką sadzone. Dlatego ten ogród dzieci moje szanować powinny. Te kilkanaście świerków przy ścieżce wiodącej na dół do studni – był to klombik przez nią zasadzony, złożony z dziewięciu świerków, liczby żyjących wówczas jej dzieci... Trudno teraz rozpoznać, które to te najpierwsze świerki.

W rok niespełna po śmierci naszej matki bracia moi starsi, Biegański i Trawiński wyjechali do Warszawy, by wstąpić do wojska polskiego. Mój ojciec przeniósł się na stałe mieszkanie do Lwowa, lato tylko przez parę lat na wsi przepędzał.

1808 roku siostra moja Ludwika poszła za Antoniego Rozwadowskiego. Jeżeli obowiązki córki, żony, matki, pełnione z poświęceniem nieustannym ściągnąć mogą promyk świętości, pewnie on świeci nad duszami sióstr moich: Ludwiki Rozwadowskiej i Cecylii Jabłonowskiej. Ich ciche cnoty przesuwają się niezważane, bo same nie zdawały się mieć pojęcia swojej wartości...

Ludwika po śmierci męża (1813) została z dwojgiem dzieci, bez majątku prawie, powróciła więc w dom ojcowski. Kiedy synowie, rozstrzelani na wszystkie strony, rzadkim byli towarzystwem dla starego ojca, ona z wzrastającą pod jej opieką Cecylią, otaczała go niczym nie zmordowaną troskliwością. A gdy i Cecylia poszła za męża, a ojciec coraz częściej zapadał na zdrowiu, ona i ona zawsze nieodstępną była i ona oczy mu zamknęła (1828 r.). Żyła jedynie w swoich dzieciach, za ich ciasnym kółkiem świat dla niej nie miał powabu, nie miał pociechy, a jednak gdy nadszedł rok 1830, nie wahała się wyprawić jedyne go syna do Warszawy. Doczekała się jego powrotu i dopiero 1839 roku zakończyła śmiercią długą i bolesną chorobę w domu ukochanej swojej córki, Wandy Skrzyńskiej.

Uosobistnioną dobrocią i łagodnością była Cecylia Jabłowska. Ostatnie jej słowa najwyraźniej malują całą świętość jej duszy. Kiedy w chwili śmierci już raz ostatni odzyskała przytomność, spoglądała na córki i na całe otaczające ją rodzeństwo i rzekła: „Ach, jak ja was męczę!”

Zdaje mi się, że w opowiadaniu moim zboczyłem z prostej drogi. Nadużywałem, jak widzę, moi państwo, cierpliwości waszej. Ksiądz proboszcz drzymie, a doktor ziewa, panie przez grzeczność o czym innym myślą. Może wspomnienie 1809 roku wszystkich obudzi. Wracam się do tej chwili, kiedy z wujem moim, Wojciechem Dembińskim, przyjechaliśmy do Nienadowej, pierwszych dni maja.

Nazajutrz po przybyciu naszym obadwa bracia, Wojciech i Antoni, pojechali do Zarzecza, aby się zbliżyć do Jarosławia, gdzie podług wieści wojsko polskie już było, i aby pewniejszych zasięgnąć wiadomości. Ja z wujenką piliśmy kawę pod kolumnami starego domu, kiedy błądy, zadychany Żyd, krawiec ze złamanym nosem, wbiega na dziedziniec, i od bramy już krzyczy: „Już są!... Przyszli!... w Dubiecku!... w pałacu!... Polaki!”. Nie słuchałem, nie słyszałem więcej... Jednym skokiem już byłem na ścieżce wiodącej przez Olszynkę do Dubiecka... ze mną biegł Perrot, Francuz, guwerner młodych Dembińskich.

W samej rzeczy ujrzeliśmy przy rogatce dwóch szaserów konnych 5-go pułku dowództwa pułkownika Turno. Mieli granatowe kolety, amarantowe kołnierze – od kołnierza wzdłuż okrągłych guzików po obu stronach pasek biały z amarantową wypustką, na głowie czaka z piątym numerem na przedzie. Przy siodle karabinki, w ręku ogromne obosieczne pruskie pałasze.

To Polacy!... To Polacy! – powtarzałem i nie wierzyłem sam sobie. Dusza przeszła w oczy... wlepiąłem je w drogie zjawisko. Na ziemi leżał porąbany dwułbisty orzeł, który był na domie pocztowym. Schwytany oficer austriacki, jadący kurierem, stał przy wozie, z miną, która zowie się gminnym wyrazem: kiepska. Poczmajster, w szlafroku i pantoflach, zapewniał wiarusów, że się bardzo cieszy z ich niespodziewanej wizyty – częstował wódką, a flaszka dzwoniła o kieliszek, bo poczmajster dostał febry z radości.

Idziemy ku pałacowi i w ulicy spotykamy cały oddział pod dowództwem porucznika Wesołowskiego. Był on potem kapitanem w 11-ym pułku ułanów.

Kiedy przy rogatce poczmajster się trzęsie, porucznik klnie, podpite szasery pakują na wóz grubego hauptmana, w pałacu kończył się okropny dramat. Patrol 5-go pułku wpadłszy do miasteczka, a potem do pałacu, zastał – jak to zwykle na wsi bywa – drzwi na oścież pootwierane, a w pokojach nikogo. Henrykowski, kapral, młody, przystojny mężczyzna, szukając tam nieprzyjaciela znalazł najniebezpieczniejszego: „pokusę”. Wziął złoty zegarek. Wkrótce przybył oficer, nadeszła pani domu, przyjechał pan Ksawery Krasicki: dostrzeżono stratę i upomniano się o nią. Henrykowski przekonany, zmuszony oddać swoją zdobycz, nie mógł znieść wstydu, chwycił za pistolet i strzelił sobie w piersi. Żył jeszcze, kiedy go odwiedziłem, ale wkrótce skonał.

Jakże później żałowałem, że nie wsiadłem na jego luźnego konia i że nie pojechałem z Wesołowskim... Ale nie byłbym był świadkiem tego, co się wkrótce działo we Lwowie. Nie byłbym uchwycił: uczucia, które stało się najmiłszym, najdroższym moim wspomnieniem.

Wróciwszy spieszenie do Lwowa, zafryzowałem, wypudrowałem głowę i poszedłem do wojewodziny bełskiej. Otoczony, wypytywany, nie mogłem nastarczyć w powtarzaniu wszystkich szczegółów wypadku w Dubiecku. Wtenczas z Olesia wyrosłem na pana Aleksandra.

Nie chciałem czasu tracić i mój kochany Ojciec, Polak z duszą, ciałem, nie pojmując nic wyższego nad dobro Ojczyzny i zaszczyt jej służenia, nie dał się prosić i opatrzywszy w pieniądze, wyprawił mnie z krzyżykiem na drogę do zbliżającego się wojska polskiego.

ANEKSY

I

LUŻNE FRAGMENTY Z PAMIĘTNIKÓW

I

W kampanii 1813 roku, w wigilię bitwy pod Hanau, byłem posłany z rozkazem do generała Bertrand'a, który dowodził arièregardą armii. Spotkałem po drodze różne oddziały naszego wojska, dotarłem prawie do nieprzyjacielskich tyralierów, a generała Bertrand'a nie znalazłem. Nic mi zatem nie pozostawało, jak wracać drogą, którą przybyłem.

Już mrok zapadał, jak wyjechałem z ostatniej wioski, zajętej przez nasze wojsko, i znalazłem się w towarzystwie czterech tak zwanych maruderów. Pierwszy był ułan – zwał się Świderski – poznał mnie zaraz, bo w jednym pułku służyliśmy dawniej – potem dwóch kirasjerów francuskich na małych, podobno kozackich, szkapach, nareszcie artylerzysta, z Alzacji rodem, z zawiązaną głową i dobrze wypchanymi sakwami, na kulawym koni-i.

W takim położeniu towarzystwo zawsze miłe, jeden drugiego chętnie się trzy., ma. Wkrótce więc zawiązała się rozmowa i składaliśmy jakby jeden oddział.

Było to w ostatnich dniach października – noc nadeszła ciemna i zimna. Błoto zmieniało się w grudę, a ostry wiatr ciął śnieżycą jak szpilkami. Zrazu szło jako tako – każdy miał coś do powiedzenia, zwłaszcza jeden z kirasjerów rozweselał nas swoimi conceptami i figlami – szczekał jak pies, miauczał jak kot, a nade wszystko piał jak kogut z największą doskonałością, tak że Świderski nieraz zaśmiał się głośno i co chwila powtarzał pod nosem: „Psiajucha, nie Mazurek”. Ale wszystkiego przebrało się w końcu.

Noc była, jak to mówią, „oko wykłuj”, zimno coraz więcej przejmowało, do tego jeszcze klacz moja zaczęła na przednią nogę utykać. Przekonałem, się, że pół podkowy zgubiła, trudno więc było pospieszać, choćby dla rozgrzania się tylko. Świderski, który jechał na przodzie, zawołał nagle, że przed nami rozstajna jest droga, i spytał mnie się, którą jechać?... Stanęliśmy i radzimy... a wtem na prawo niedaleko błysło światelko raz i drugi i... znowu ciemno... Nie było co dłużej myśleć – ruszyliśmy w prawo – może obóz, może wieś, może kował się znajdzie, a na wszelki wypadek ogień zastaniemy niezawodnie.

Zaledwie kilkaset kroków przebywszy prostą drogą między dwoma rowami, wjechaliśmy w ulicę wysokich drzew, potem mostek zadudnił pod kopytami koni – nareszcie Świderski, zawsze w przedniej straży jadący, wykrzyknął: „Ho! ho!” – „Cóż tam?” – spytałem. „Jakiś dom widać” – odrzekł. W samej rzeczy dom czarny z dużą bramą kończył, czyli zamykał dalszą drogę. Zaczęliśmy doń pukać, wołać, krzyczeć co siły – żadnej nie odebraliśmy odpowiedzi.

Nie bardzo żołnierz w takim razie cierpliwy; nie było też i czego się dłużej wahać – wzięto się do wysadzenia bramy. Puściły w okamgnieniu zamki i zawiasy i połowa drzwi padła w budynek z ogromnym traskiem i hałasem.

Oczywiście budynek był opuszczony, bo na takie wezwania tylko umarli mogli nie dać znaku życia. Wprowadziliśmy konie, miarkując po odgłosie, do brukowanej i sklepionej sieni, ale ciąg wiatru tak był tam silny, żeśmy musieli szukać dalszego schronienia. Na lewo namacane drzwi otworzyły się łatwo, artylerzysta zrobił ognia, i zapalił kawał kanonierskiej świecy.

Ujrzelismy się wtedy w wąskiej, długiej, sklepionej izbie, na pierwszy rzut oka pustej. Kupka jednak trzasek i połamanych kijów na ziemi była dla nas wielce przyjemnym odkryciem, bo wkrótce na środku kamiennej podłogi wzniosł się dobry ogień, przy którego świetle spostrzegliśmy w jednym kącie dużą framugę, a w niej kilka schodów wiodących do wysokich, ciemnych, podwójnych drzwi. Zaciekawieni, odsunęliśmy długą zasuwę i weszliśmy do drugiej izby, równego kształtu i wielkości co pierwsza, z tą tylko różnicą, że zaraz przy drzwiach był komin, naprzeciw komina okno z kratą do połowy zamurowane, a w jednym kącie leżał stos gratów, któreśmy przy bliższym obejrzeniu poznali jako części katafalka; za nimi stały duże lichtarze.

Przy takim zimnie skarb to był dla żołnierzy nieoceniony. Rzucili się więc żwawo i zaczęli deski wyciągać i łamać, pomimo napomnień Świderskiego, który im powtarzał; „Pas bon celà – pas bon celà” a do mnie zwracał się z prośbą, abym na to nie pozwalał. Przyznam się, że zostałem nie tylko głuchy na jego zaklęcia, ale sam wysunąłem dolny stopień katafalku na środek izby, jako łóżko, lepsze od zimnych kamieni.

Za lichtarzami w kącie znalazła się paka, a w niej kilka sztuk czarnego sukna z białymi obwódkami. I to nie było do wzgardzenia. Podzieliliśmy się nimi po koleżeńsku, a kiedy na kominku zapaliły się malowane w trupie głowy deski, wyciągnąłem manierkę, sam pierwszy się z niej napiwszy, poczęstowałem Świderskiego resztką araku, prosząc, by się koniem moim zaopiekował i, owinąwszy się w całun, jak długi ległem na katafalk. Po wyjściu z izby Świderskiego zostałem zupełnie sam, bo żołnierze woleli przy koniach spoczywać, i wkrótce twardo usnąłem. Spałem jak zabity, gdy nagle zbudziło mnie gwałtowne zatrzaśnięcie drzwi. Rzuciłem sennym okiem przed siebie i usiadłem zdziwiony, spostrzegłszy na przeciwległej ścianie duży obraz, którego pierwiej nie byłem wcale zauważył.

Wstałem, otworzyłem drzwi i podparłem je kawałkiem tarcicy, aby pozostać niejako w towarzystwie, choć dalekim, moich kolegów. W pierwszej izbie było pusto i cicho zupełnie – konie tylko w sieni dogryzały resztę obroku i czasem to jeden, to drugi parsknął albo potrząsł kulbaką. Na kominie ogień palił się jasno, przystąpiłem więc bliżej do ściany, by rozpoznać ów dopiero co spostrzeżony obraz, którego nagłe pojawienie wprowadziło mnie w zdumienie. W starych, wytartych ramach widniała postać mnicha, w białym habicie, o włosach czarnych i twarzy śniadej. Twarz tę czas zapewne powlókł trupią bladością, równie jak i oczy przykrył dwiema ciemnymi plamami. Nos orli, kończasty, nadawał całej fizjonomii coś ptasiego, krogulczego. Prawa ręka mnicha, zgięta, trzymała czarną rękociecz sztyletu, noża czy też szpady, bo kształt broni krył się w fałdach niegdyś białego, teraz szarobrudnego habitu. Całość obrazu była tak samo szarobrudna, a jedna tylko rzecz uderzała w tym starym, wypłowiałym malowidle, to usta czerwone, tak świeże, że się w nich połysk ognia odbijał...

Obejrzawszy dokładnie portret, położyłem się na nowo i wnet znów zasnąłem, ale, jak się zdaje, nie na długo. Nowy łoskot mnie obudził. „Niech cię piorun trzaśnie!” – zawołałem głośno, obracając się na drugi bok. Ta apostrofa była wyraźnie wymierzona do wiatru, który drzwi zamykał, a mój sen przerywał; niech piorun wiatr trzaśnie – było wprawdzie dość dziwne życzenie, lecz w położeniu, w jakim się znajdowałem, o logice trudno było myśleć. Tymczasem w przedsięwziętej ewolucji mego ciała z lewego na prawy bok, musiałem mimochodem spojrzeć na portret. Spojrzałem i w pół obrotu zostałem nagle wstrzymany, bo na mnie z ciemnej twarzy wytrzeszczone oczy patrzyły i lubo w nich same tylko białka martwej kredowej białości widać było, patrzyły z takim wyrazem złości, zemsty i szyderstwa, że aż mrowie mi po skórze przeleciało. Zerwałem się ruchem błyskawicznym i jednym skokiem stanąłem przed obrazem, ale obraz, z bliska widziany, żadnej nie przedstawiał zmiany i, jak dawniej, ciemne plamy zakrywały ciemne ócz gniazda. Zaledwie jednak oddaliłem się nieco, białe oczy znów groźnie na mnie patrzyły i goniły za mną uporczywie, gdzie bądź się zwracałem – za moim zbliżeniem się zaś gasnąć się zdawały.

Rozdrażniony wreszcie tą walką niepojętą – urojoną czy rzeczywistą – chwyciłem oburącz za obraz, zdarłem go ze ściany, podniosłem w górę i, skręciwszy, rzuciłem nim tak gwałtownie o ziemię, że się ramy w setne kawałki rozleciały.

Uspokojony tym moim zwycięstwem, drzwi zamkniętych już na powrót nie otworzyłem, ale położywszy się na dawnym miejscu, chwilę później znów spałem, do ognia zwrócony. Spałem, czyli raczej zasnąłem na krótko, bo nagle drzwi rozwarły się na dwie strony z większym jeszcze łoskotem i trzaskiem, niż się pierwiej otwierały. Tego było mi już za dużo i krocie diabłów miałem na końcu języka, ale zdrętwiały na wylocie, bo oto patrzę: portret, nie tylko że wisi znów na ścianie, lecz postać mnicha się w ramie porusza – powoli odczepia od płótna i ku mnie nie iść, ale sunąć, płynąć się zdaje...

Nie czekałem oczywiście długo i równymi nogami stanąłem przy łożu. Przywidzenie!.. Portret spokojnie wisiał na ścianie, a walka oczu rozpoczęła się na nowo... I tego dość mi było. Wyszedłem do drugiej izby, ale wstydziłem się budzić uśpionych towarzyszy i to tak mocno uśpionych, że tym razem jednego oddechu ani ludzi, ani koni nie mogłem dosłyszeć. Wszystko wkoło mnie było jakby z kamienia wykute, płomień nawet w rozłożonym na środku ognisku nieporuszenie blade świecił i jakiś chłód obcy na wskroś mnie przejmował. Po chwili wróciłem do siebie, dorzuciłem na komin kilka trzasek i postanowiłem przechodzić resztę nocy... Ale każdy krok mój, każdy ruch, jakieś dziwne echo budził – zdawało mi się, że ktoś ślad w ślad, krok w krok za mną postępuje... Mimo wszelkiej natężonej woli nie mogłem się wstrzymać, aby głowy na wszystkie strony nie obracać i nie spoglądać za siebie. Jeżeli stanął, czułem tuż za sobą jakiś oddech zimny i wilgotny.

Przy całym tym napięciu nerwów sen mnie tak morzył, pochylał, tak mi nogi wprost podcinał, że usiąść w końcu na stopniu musiałem, i zasnąłem po raz czwarty, sam nie wiem, kiedy. Jak długo spałem, trudno powiedzieć, wiem tylko, że kiedyś się podniosłem na łokciu, zbudzony po raz czwarty głośnym zatrzaśnięciem drzwi – portretu na ścianie nie było... Odetchnąłem swobodniej i, podciągając na siebie czarne sukno, zwróciłem się twarzą do komina, ale jakież ogarnęło mnie przerażenie, gdy ujrzałem nagle białą postać zaledwie o kilka kroków ode mnie, tyłem do mnie siedzącą przed ogniem!...

Zerwałem się. Dobyć pałasza, przypaść do widma i zapytać, Bóg jeden wiedzieć raczy jakim językiem: „Kto tam?!” – było dziełem mgnienia oka. Nie można było nie poznać w białej, spokojnie siedzącej postaci mnicha z zakłętogo obrazu...

Na dwukrotnie powtórzone moje zapytanie, nie otrzymałem żadnej odpowiedzi – postać ani drgnęła. Chciałem ją płazem pałasza po ramieniu uderzyć, ale zaledwie pałasz z rozmachem spuściłem, nie dotknąwszy wszakże niczego, zerwała się postać szybkim, cichym ruchem, zwróciła ku mnie straszne swe białe oczy, rozwarły się jej czerwone usta, jakby mnie połknąć chciały, i nim się zdołałem odsunąć, nim mogłem pomyśleć o obronie własnej, już coś przede mną błysnęło i okropny ból uczułem wskroś piersi. Straciłem przytomność.

Z tego stanu omdlenia czy też odrętwienia ocknęły mnie mocne, kilkakrotnie powtarzane wstrząśnienia i głos wołający na mnie. Otworzyłem oczy. Leżałem, jak długi, na moich deskach, kirem przykryty, tak, jak mnie był odszedł Świdorski; on to mną teraz potrząsał, wołając:

– Panie kapitanie! Panie kapitanie! Obudź się! Wstań! Ugotowaliśmy ci przedni krupniczek...

– Jestem ranny – odrzekłem.

– Gdzie? Jak? Co?...

Wskazałem na piersi. Podniosłem się nieco, odpiąłem mundur, rozdarłem koszulę... Nigdzie ni krwi, ni rany... tylko jakby wskroś ciała, na wylot, lekkie czułem swędzenie, a gdy ogień jaśniej błysnął, spostrzegliśmy plamkę sinoczerwoną pod lewą piersią, owalną, w kształcie małej fasoli, i taką samą, tylko trochę mniejszą, zobaczył później Świdorski z tyłu pod lewą łopatką.

– Musiał pan kapitan na pałaszu leżeć – rzekł on i pomógł mi się na nogi dźwignąć.

Przyszedłszy trochę do siebie, spojrzałem oczywiście w stronę obrazu; ani śladu go nie było – widniała tylko przede mną zupełnie goła, brudna ściana. Zacząłem więc myśleć, że wszystko snem było, gdy spostrzegłem na ziemi przed kominem jakiś przedmiot błyszczący, i oto podnoszę ułamek ostrego żelaza, leżący zaś dalej – kawałek czerwonego sukna, który zawsze zakładałem, aby pałasz w pochwie ciaśniej trzymać...

(*Na tym nie dokończonym zdaniu rękopis się urywa*).

2

Zakończenie *Trzy po trzy* w brulionie jest następujące:

...Trzeba było mnie widzieć, kiedy łeb wypudrowany, frak o guzikach wielkości moskiewskich kopiejek, buty ze sztylpami, u zegarka siedem pieczętek rzeszowskiej roboty, przybyłem na wieczór do wojewodziny bełzkiej. Otoczony, rozpytywany, nie mogłem nastarczyć powtarzać wszystkich szczegółów wypadku Dubieckiego – z Olesia wyszedłem na pana Aleksandra.

Mówiono wówczas – wieczór, bal lub obiad u wojewodziny Potockiej, lubo wojewoda żył jeszcze; słaby na oczy, siedział w na pół oświeconym gabinecie, nie należał do świata, co w innych salonach snuł się nieustannie. Ale obok niego ujrzałeś zawsze, jakby cienie jego osoby, Rostworowskiego, starostę bez starostwa, albo którego z Komorowskich, między tymi wyróżniał się Józef, maltański i jeszcze paru innych okienkowych orderów kawaler. Żyje dotychczas. Jego przeznaczeniem było być zawsze arcymłodym, a powołaniem – robić ciągle długie. Goldoni przezwiał ten typ Fabriccim, który sprasza na obiad, kogo spotka, nie troszcząc się, czy się obdzieli tym, co skupił za ostatnią srebrną łyżkę. I znowu kontent, znowu śmiejący; taki człowiek najlepiej dowodzi, co jest szczęście – że nic innego, jak nasze własne usposobienia przyjmowania zewnętrznego dotknięcia. Żyje też długo. Śmieszny to był ten kawaler maltański, tchnący bergamotem, pudrem sypiący, szastający się, kobietom nadskakujący, a przy tym dający powód do wielu dwuznaczności przez zmianę w swojej mowie K na T. Tak mawiał: „moją żonę całą noc tatar (*katar*) męczył”, „województina taszel ma (*kaszel ma*)”, „tonie (*konie*) wpadły, baba wysypała trupy (*krupy*) i padła na tupę (*kupę*)”. Dla skompletowania tych wszystkich śmieszności z półszambelanem austriackim – on w haftach, żona i dzieci bez trzewików.

W domu województwa, a potem wojewodziny, nudzono się zwykle, lecz jednak bywano. Co dzień wieczór można było kogo zastać i kto tylko przyjechał lub przejeżdżał przez Lwów, siedł tam, gdzie zawsze przyjmowali, gdzie ziewali, ale w dobrym towarzystwie.

Wiadomo powszechnie, że Potocki tulczyński kazał utopić synową swoją, z domu Komorowską, między innymi więc wynagrodzeniami, które familia Komorowskich przyjęła, było i ożenienie Teodora Potockiego, wojewody ruskiego, z siostrą zamordowanej. Z pierwszej żony miał syna Adama, ożenionego z Rostworowską, siostrzenicą rodzoną wojewodziny. Ona to, owa wszędzie znana pani Adamowa z swymi siostrami, Anielą i Zofią, wiodła długo rej eleganckiego życia we Lwowie. Dobre to ruskie przysłowie: „*Prybud' rozum, szczascje bude*” – bo pani niegdyś za mającą rozum uchodziła i w rzeczy miała go tam nieco, ale nie takiego, z jakiego szuka się chluby – potem o tym i nieraz jeszcze, a teraz o sobie.

Nie chciałem tracić czasu i ojciec też mój kochany, Polak z duszą, ciałem, nad dobro Ojczyzny nie pojmując nic wyższego, nie dał się prosić i, zaopatrzwszy w pieniądze, z krzyżykiem na drogę, wysłał mnie do zbliżającej się armii polskiej. Brygadier Rozwadowski, potem pułkownik 8-go pułku ułanów, który później odstąpił ks. Dominikowi Radziwiłłowi, jechał do głównej kwatery, do Poniatowskiego, wziął mnie więc z sobą i ruszyliśmy ku Zamościowi.

W Żółkwi spotkalismy patrol polski i Adama Potockiego – wrócił on z głównej kwatery z pozwoleniem formowania pułku konnicy. Uległem jego namowie i obietnicy szlify oficerskiej. Zdawało mi się wtenczas, że pułk wystawić niedługo zabawi i że na nieprzyjaciela nie zbędzie nam tak prędko. Dałem więc słowo, zostałem podporucznikiem, ale nie pamiętam, dlaczego zaraz z nim nie wróciłem.

W Rawie zastaliliśmy generała Kamińskiego z 6-tym pułkiem ułanów pułkownika Dziewanowskiego. Trzeba było mieć sto, a nie szesnaście lat, mleko, a nie krew w żyłach, aby się nie upoić sławą, co opromieniała wojsko nasze. Słuchałem całą duszą opowiadania świetnych, ledwie do wiary podobnych, a jednak istotnych czynów – Sandomierz i Zamość zdobyto, jak w przelocie, wszędzie zwycięstwo, gdzie powiał proporzec, gdzie orzeł biały zabłysnął. Brała mnie chętka zapomnieć, co przyrzekłem Adamowi Potockiemu, i wejść w szeregi 6-go pułku, zwłaszcza że zapoznałem się z szefem szwadronu, Dembińskim i jako z Dembińskiej urodzony, miałem jakieś prawo do jego protekcji. Ale mój opiekun Rozwadowski, a nawet i pocziwy Kamiński, który zawsze ojcowskie miał serce dla młodych, odradzili, zabronili prawie. Kamiński był to człowiek już wieku, małego wzrostu, dosyć otyły, dobroduszny, przystępny, chętnie rozprawiający, prawdziwy szlachcic dawnej daty. Ile razy później okoliczności zbliżyły mnie do niego, zawsze w nim znalazłem więcej niż uprzejmego przełożonego. Miałem wtenczas szczęście do ludzi. W kampanii 1812 r. wzięty w niewolę, skończył tam z życiem swój zawód wojskowy.

W Rawie rozstałem się z brygadierem Rozwadowskim i w końcu z Ożarowskim i Erazmem Komorowskim za obozem wróciłem do Żółkwi.

W jednym z zajezdnych domów zebrało się kilkunastu szlachty z obwodu Żółkiewskiego, w najczystszy zapale siebie, dzieci, majątki przynosić w ofierze ojczyźnie, temu bóstwu, niepojętemu od wielu narodów, a którego samo wspomnienie przejmuje ogniem i miłością całą istotę Polaka. Poczęto radzić. Generał Erazm Komorowski, targowiczanie, którego generalstwo zostało zagadką na zawsze, zabierał głos stanowczy. Pułkownik Dziewanowski odczytał naprędce napisany obraz powstania narodowego w Wielkiej Polsce za zbliżeniem się wojsk francuskich w r. 1806 i radził tym samym torem postępować. Ledwie mu dano skończyć. Dwa pułki wystawi cyrkuł Żółkiewski, pieszy i konny – jednogłośnie wykrzyknęło... kilkunastu i zaraz do wyborów przystąpiono. Jeden pułk miał formować generał Komorowski, drugi, jak mi się zdaje, Goszkowski. Komorowski zaczął zaraz nominować oficerów; mógłbym być osiągnąć jaki wysoki stopień, gdybym już nie był w 24 godzin podporucznikiem w innym korpusie. Daremnie Dziewanowski robił uwagi, że pułk wystawić jest wielkim zadaniem, że lepiej następnie małe oddziały uzbrajać i do boju wysyłać etc. Nie pomogło. Dwa pułki postanowiono.

Noc już była, kiedy znalazłem się znowu na lwowskim bruku. Podczas krótkiej mojej niebytności wielkie zmiany zaszły, bo wczoraj Lwów już był polski. Czarne orły znikły, białe, gdzie jeszcze się znalazły, wykute w kamieniu, oświetlono. Wczoraj Starzyński na czele oddziału 5-go tegoż samego pułku, który widziałem już w Dubiecku, i także później mój kapitan i kolega, wszedł był do miasta opuszczonego przez Austriaków na kilka dni pierwej. Wielki to był popłoch między biurokacją; wielka radość i zapal między mieszkańcami. Ale oddział Starzyńskiego był tylko rozpoznawczym, zabawiwszy więc kilka godzin w mieście, odszedł; potrafił on tylko kajdany, które z ogromnym szczęciem runęły. Wolność jak po długim odrętwieniu zdawała się powoli przychodzić do świadomości siebie. Jednak nie tak to szło, jakby iść powinno, czułem to nawet wtenczas. Zastałem całą młodzież na wypieszczonych koniach, połyskujących dziewczą jeszcze bronią na dziedzińcu pałacu wojewodziny, gdzie z okien świat piękny poklaskiwał, nie wiem czemu.

Jakkolwiek młody, bardzo młody, nie dałem się pochwycić w owej chwili tej demonstracji patriotyzmu, zanadto przysypanej kwiatami salonowymi, aby mogła w każdym sercu równy odgłos znajdować. Może dlatego zimniejszy wtedy od moich przyjaciół byłem, że

wyjechawszy z domu na wojnę, wróciłem, jakim był wyjechał, że mnie ogarnęło powietrze obozowe, gdzie widziałem ogorzałe słońcem, twarze, kurzawą pokryte mundury, że widziałem już prawdę wojny, jednym słowem – wstydzilem się sam siebie, wstydzilem się tego eleganckiego kurakolowania bez celu. Później, niedługo później, przypasałem i ja szablę do fraka i z wielkim ukontentowaniem rozpuszczałem konie po ulicach. Zostałem adiutantem Adama Potockiego, który, powiem dokładnie, jakie i nad czym był objął dowództwo.

Kiedy teraz stawiam przed rozważę obraz owego czasu, przyznać muszę, że w r. 1809 Galicjanie uczynili zbyt wiele i zbyt mało. Zbyt wiele, że na pierwszy pojaw polskiego żołnierza, bez najmniejszego wezwania do współdziałania, w imieniu ówczasowego Wskrzesiciela (!!!) Polski rzucili się do broni, organizowali powstanie, zebrząc nieledwie zezwolenia na to u napoleońskimi więzami skrępowanego Poniatowskiego. Starzy, młodzi, majętni, ubodzy, wszyscy (szlachta, rozumie się), zuchwale, nie patrząc za siebie, nie licząc tak przyjaciół, jak i nieprzyjaciół; nie kombinując możliwych skutków dyplomatycznym tchórzostwem, wypowiedzieli posłuszeństwo niemieckiemu panu. Wypowiedzieli wojnę, mając tylko ufność w Bogu za jedyną warownię, za jedyną obronę przeciw zatrwożonym, ale nie zniesionym wrogom. Zaiste, to zbyt wiele! Ale, uczyniwszy to, jakże zbyt mało w dalszym postępie! Szlachta nie chciała szukać nowych źródeł potęgi za ciasnym, aczkolwiek bohaterskim zakresem szlachectwa. Nie starała się, jak niegdyś tak i teraz, stopić się z ludem w jedną całość.

We Lwowie przy wejściu, raczej przy pokazaniu się wojska polskiego cała ludność chrześcijańska i żydowska, wyjąwszy piórogryzów niemieckich, co truchleli pod swoimi biurami, cała ludność, mówię, wrzała, by się tak wyrazić, duchem polskim. Kapitan Starzyński powiadał mi nieraz potem, że to był najpiękniejszy, najszcześniejszy dzień w jego życiu; że jego oddział ledwie się mógł precyzyjnie, że go ledwie na barki nie wzięto. Ręce, nogi żołnierzy, konie całowano. Uniesienie szału sięgało. A jednak jakież był skutek, pytam się? Oto sto kilkadziesiąt ludzi, z których połowa podrostków, zwerbowało do pułku pana Adama Potockiego. Na to się Lwów zdobył, ale czy starano się użyć wzbudzonego zapału, czy w pierwszych dniach, o których mówię, wspomnieli kto o pospółstwie? Czy przemówił do niego? Czy okazał mu, że go potrzebuje? Czy wezwał do obrony praw wspólnych? Czy nawet powiedział, o co idzie? Nie. Szlachta, spuszczając się na rekrutów, których, że im kiedyś przywiodą, mogła się spodziewać, mniej myślała o szeregach, a więcej – kto stanie przed nimi. Między sobą toczyła sprawę. Czynna, odważna, gorliwa, ale w swoim tylko ciasnym zakresie. Na szlachcie też się skończyło i zawsze kończyć się będzie, dopóki jedne żyły nie przepłotą wszystkich członków społeczeństwa, póki jednym tętnem bić nie będzie całe ciało narodu. Ku temu celowi powinno się postępować w każdym powstaniu narodu. Bylibyśmy przynajmniej zostawili ludowi na zawsze myśl i wiarę, czego się spodziewać, czego wraz z nami pragnąć, do czego dążyć powinien.

Szlachta polska, wiecznie młoda, nie podstarzała się doświadczeniem, nawet na zwłokach własnej ojczyzny; wszystkie zalety i wszystkie wady, właściwe młodości wieku ludzkiego, ona łączy w sobie. Skora do szlachetnego uniesienia, do poświęcenia, prowadzącego częstokroć w męczeństwo, nie ma tej wytrwałości, którą tylko dobrze pojęte i dobrze rozważone idee wydać z siebie mogą; nie zastępuje jej nawet uporem, uporem czasem zbawiennym w sprawie publicznej. W zapale stawia na kartę majątek i życie dla celu, dla którego w spokojnym położeniu duszy najlichszej przyjemności wyrzec się nie umie. Nie mogła szlachta dotąd schwycić stanowiska w swojej niewoli, między szalonym zuchwalstwem a podłą uległością. Albo bundiuczy się i grozi, albo kłania się i łasi, ale jej groźba nie na sztych zaprzysiężona, a uprzejmość uniżona z dobrotliwej tylko jej natury wypływa. Dlatego myślą się ci z nieprzyjaciół naszych, którzy Polaków oskarżają o fałsz lub podłość – ni jedno, ni drugie tu nie ma miejsca. Polak nie pamięta swojej szkody, zapomina więc i kto jej przyczyną, a będąc przyjacielskim, gościnnym, lubiącym bawić się, a nade

wszystko traktować, progom swojego domu nadaje własność Lethy. Otwiera objęcia nieprzyjacielowi (mówię tu o nieprzyjacielu zasad, a nie osobistości – ogólnym, a nie indywidualnym); otwiera objęcia i dłoń ściska, nie aby go fałszywą pieszczotą uspił, nie aby korzyść u możniejszego wyludził, ani też, że nie jest zdolnym uczuć zniewagi, ale dlatego jedynie, że, będąc z nieprzyjacielem, łatwo o nieprzyjaźni zapomina. Nienawiść w narodzie lub w rodzinie dziedziczna, wywołująca konieczność zemsty u południowych ludów, jest dla Polaka męczącym uczuciem. Wybijmy się, woła, a potem kochajmy się, póki się znowu nie wybijemy, aby się kochać znowu. Naród ujarzmiony przemocą, tylko w jarzmie trzymany, nie ma innego zadania względem swoich panów, póki ci są mocniejsi, jak strzec święcie w tajnikach serca wiarę swoją i te przykazania, które niegdyś Bóg nam i osobno każdemu narodowi udzielił. W stosunkach zaś ze swoimi władzami zachowywać się musi tylko biernie, stać zawsze przed nimi jak kamień grobowy zamordowanego, jak opoka, której nie zmiękczą pieszczone słowa albo rozgrzeją lubieżne uściski, która martwością swoją straszyć powinna na jawie i we śnie nieprawych swoich zdobywców, grozić, że ich kiedyś przyrodzonym ciężarem na miazgę roznieść może. To jest nasze zadanie. Kajdany i uśmiech znać się nie powinny. Ale my zamknąć się w sobie nie umiemy, nie umiemy oprzeć się pokusie, co się nam czasem jak kwiat przy drodze nastrecza albo którą nam nigdy nie drzemiący wróg zdradliwie podsuwa.

Przy zaborze Galicji szlachcie polskiej, senatorom Rzeczypospolitej, elektorom królów, piastunom konfederacji, rzucił Pan nowy – szychowe grafostwo, baronostwa, szambelaństwa i owe dygnitarstwa Korony Galicji! Korony Lodomerii! – wiatrem nadęte pstrokate pęcherze, których nie ceni ten, co daje, wstydzi się ten, co bierze, a drwi, kto w Boga wierzy. Rzucił Pan – chwycono trutkę, a w narodzie, niewolą zrównanym, powstała nowa szizma, szizma bez treści, bez jądra, a co gorsza, niestety, przedmiot nie wstrętu, ale zawiści.

Skleiła się jakaś nazwa arystokracji, która stała się jakby obszerną skarboną, w którą każdy pchał swoją prywatną obelgę lub upośledzenie; która stała się łączym tylko wyrazem, rzuconym tej koterii, co z jakich bądź powodów zawiść u drugich wzbudzała.

Bo cóż jest arystokracja w Galicji, jeżeli nie słowem bez treści? Gdzie te sejmy, parlamenta, kongresy, gdzie (*nieczytelne*) jedną opinią falanża (*sic*) arystokratyczna miejsca zajęła? Gdzie są jej wyłączne przywileje w składzie socjalnym? Gdzie te nienaruszone naczelne majątki, utrzymujące w wybranych rodzinach przewagę albo wpływ w interesach kraju? Albo nasze społeczeństwo rozdwojone jest w dwie równosilne partie, których opinie stanowią różnicę, z których jedna oznaczona arystokratyzmem, a druga szlachectwem. Nie, bynajmniej, na nieszczęście nasze opinie nie połąpały się w partie, nie mają sztandarów, wkoło których pewna liczba mogłaby się gromadzić, mogła obliczać się wzajemnie.

Cóż więc rozdwaja braci szlachtę? Bodaj – czy nie prywatą, kryjącą się w pożyczane osłony. Majątek tylko, jak niegdyś w Polsce, tak teraz w Galicji istotną stanowi różnicę, ale gdzież tej różnicy nie ma, a gdzież łatwiej, jak (*nieczytelne*) ta różnica przenosi się z głowy na głowę, z rodziny na rodzinę. Widzimy często potomków znakomitych familii w prywatnej służbie, tak jak widzimy wielu galicyjskich magnatów, którzy w swoim trzecim pokoleniu w górę nie znaleźliby i ze świecą ani kapki szlachectwa. Ale ogólnie biorąc, nie tylko Galicję, lecz Polskę, nie czas tylko teraźniejszy, ale i dawniejszy, zdaje mi się, że główną przyczyną niesfornych wybryków narodu jest owa wieczna młodość jego charakteru. Ona to pcha do błyszczącego zwierciadła, o nam nie świat nowy, ale tylko nasze własne uczucia odbija. Dla niej księga doświadczenia zamknięta, dla niej wszelka rachuba na przyszłość mozolna. Ona to może okazywać się czemś więcej, niż jest w istocie. Ona wiedzie do wydatków nad możność, a gdy stąd złe skutki następują, wtenczas wyrasta zawiść ku tym, którym lepiej się wiedzie albo którzy także taki sam odgrywają dramat, tylko że są jeszcze w pierwszym akcie.

W Polsce szlachta nie była kastą, ale częścią ludności, stanowiącą rzeczywisty naród. Jedne ma wspólne wady i zalety, solidarnie za tychże skutki odpowiadać powinna. Bez żadnej

więc zasady są owe klątwy dawniej, a nawet i teraz ciskane na Panów, Panów, kształcących się i odkształcających się ciągle, Panów, co byli niczym innym, jak tylko szczytami wystrzelonymi nad powierzchnię narodu. Czyliż to szczyty drzew są winne, kiedy się skręcają albo kruszą, a nie raczej nasienie, z których wyrosły, ziemia, która im soków dostarcza? Ster nie może się skruszyć tylko w ręku sternika, z jakiej zaś przyczyny to skruszenie, to inne pytanie. I cesarz marokański za zły obiad nie każe pięć wybijać furmanowi, ale kucharzowi, choćby go pewnie furman jeszcze gorzej ugotował. Jeżeli więc nie zbiegowi okoliczności i chciwości sąsiedzkiej, wspartej przemocą, chcemy upadek nasz przypisać, ale koniecznie szukamy w sobie winy, nie dzielimy jej, ale jak ciężącą na całym narodzie wykażmy, a może kiedyś przecie czas przyjdzie, gdzie doświadczenie będzie razem i przestroga.

Wróćmy do ośmset dziewiątego roku, do dnia mojego powrotu z wojennej wyprawy aż po Rawę. Nazajutrz zgromadzono się w salach domu pojezuickiego ogrodu pod przewodnictwem niby Potockiego, wojewody bełzkiego, i Młockiego, kasztelana wołyńskiego. Pierwszy mało widział, drugi był zupełnie ciemny pierwszego senatorstwo, mówiąc nawiasem, było diablo niskiej próby – kupił go był od Cetnera, który także, jak mówią, otrzymał był, jako więcej dający. Wieczny odpoczynek tym głupim brudom. Ciżba była wielka w salach, a krzyk jeszcze większy. Jeden z przedmiotów, nad którymi miano się naradzić, ile sobie przypominam, było – jak przyjąć zbliżające się wojsko polskie – konno, pieszo, zbrojno czy bez broni. Co uradzono i czy uradzono, nie wiem; to wiem tylko, że kto miał jaką szablina – przypasał; kto miał jakiego konia – dosiadł, i wieczór zebrali się wszyscy przed domem wówczas Cieleckich, za Żółkiewską rogatką. Nie byłem z ostatnich; koń siwo-jabkowity, mego ojca, niechętnie wtórował patriotycznemu mojemu zapałowi, tym bardziej że głęboki jego stoicyzm gardził wszelkim bodźcem lub naciskiem, który by usiłował prędszą w nim rozwinąć działalność – pięknej postawy, ukształcony, poważny, nie wiedział, co to jest potknąć się, ale i wszelkie bryknięcie było-dla niego zupełnie obcą namiętnością; służył mi długo i mógłbym mu być dać sumiennie świadectwo: wiernie, pilnie i trzeźwo, niż się zwykle daje każdemu, co o nie prosi. Wyjechałem tedy powtórnie tą samą rogatką i podług wszelkiego podobieństwa powtórnie, jak razą pierwszą, wróciłem – i gdybym nie czytał w dziele Sołtyka, nie umiałbym nawet powiedzieć, że to się działo 23 maja.

O Czasie! Ty okrutne Bożyszcze, ty ryjesz coraz głębiej piętna gorzkiego cierpienia – boleści duszy, zdajesz się je mnożyć, a ślady rozkoszy i szczęścia zasuwasz, zaciemniasz, ściskasz w punkcik ledwo dostrzeżony. Jakże dobrze pamiętam moje noclegi w moskiewskich zaspach! Jak pamiętam ledwie nie każdy krok mego konia, pchanego w lody Berezyny! Jak pamiętam nędzę niewoli! Jakże mocno wspomnienie pierwszej tam jałmużny czerwieni jeszcze czoło moje! A pamięć chwil uroczych, chwil błogiego rozmarzenia, nadziei, zapału, wolności, życia młodego, szczęścia – leży, jak węzeł, splątana w głębi serca, nie ma już siły rozwinąć się w słowo...

Ach, gdyby głos jaki mógł przebiegać świat cały i wołać szczęśliwym od czasu do czasu: Pamiętajcie! Może by te przerwy, jakby epoki, przeciągały formę szczęścia dla przyszłej pamięci. Wszak i sen – a szczęście nie jestże snem lubym – jeżeli trwał nieprzerwanie choćby jak najdłużej, traci przy obudzeniu przestrzeń swoją. Ale jeżeli nasze zmysły z uśpienia w ocknienie i z ocknienia znowu w uśpienie przenoszą się łagodnie – natenczas sen daje niejaką świadomość siebie, przyjemność pomnożoną, przedłużoną bywa.

Nie myślcie jednak, kochane dzieci moje, że całą masę szczęścia, którą los mojemu życiu wydzielił, zamknąłem, zostawiłem w onym dalekim czasie; lecz bluźniłbym, gdybym nie czuł się szczęśliwym, kiedy wzrok błogosławiący przesuwam po waszych jasnych włoskach, kiedy go zawieszam na ustach waszych, uśmiechających się młodością, kiedy go wtapiam w nie zamącone jeszcze wejrzenie, w czyste jak niebo oczy wasze; kiedy was widzę w objęciu matki, przy jej sercu, sercu nieprzebranej dobroci i miłości, przy tym jednym sercu, gdzie się odbijam takim, jakim jestem w istocie, gdzie zawsze tak wierny oddźwięk każdego mego

uczucia znajduję... Lecz tak, tak jest – kiedy całą duszą obejmę, osłonę, złączę jakby w jeden uścisk was wszystko troje, co jesteście moim światem, moją miłością, moją nadzieją, dziękczynne modły muszę wznieść do Boga – jestem szczęśliwy... Ale szczęście domowe Polaka jest teraz oazą kwiecistą wśród pustyni Sahary...

II

PORTRETY OSÓB, KTÓRE ZNAŁEM OSOBIŚCIE

Napoleon I. Z wszystkich portretów, które widzieć mi się zdarzyło, najpodobniejszy jest sztych wiedeński z r. 1814. Zdaje mi się tylko, że na portrecie jest wyższy, niż był w istocie. Na koniu nietęgo wyglądał, krótko siedział w strzemionach. Kapelusz jakby stanowił jedną z nim całość, tak że byłem zdziwiony zobaczywszy go pierwszy raz bez kapelusza. Był trochę łysy i to zmieniało o wiele wyraz jego twarzy, jak z marmuru wykutej. Jego ręce zdawały mi się trochę za krótkie. Wejrzenie spod powiek było przenikające.

Jérôme, król westfalski. Pierwej go poznałem w Warszawie niż Napoleona pod Smoleńskiem. Był o wiele wyższy od brata, ale zdawał mi się być do niego podobnym, może dlatego, że naśladował w ubiorze cesarza.

Murat, król Neapolu. Piękny mężczyzna w całym znaczeniu słowa. Twarz wesoła, otwarta, przyjemna. Szczególnego zaś wyrazu rozumu albo dowcipu nie dostrzegłem. Jego strój teatralny zle na myślących robił wrażenie.

Cesarz Aleksander I. Poznałem go w St. Denis na śniadaniu u gen. Wincentego Krasieńskiego. Piękna postać, wysoka; twarz przyjemna i dobra; trochę łysy.

Cesarz Mikołaj I. Poznałem go w Wiedniu (r. 1852); przejeżdżał z naszym cesarzem koczem; kolosalnie piękny, ale na pierwsze wejrzenie łatwo było odgadnąć, czym był. Kapelusz kirasjerski na głowie nie zdawał się strojem stosownym dla monarchy, zwłaszcza jadącego powozem.

Cesarz Franciszek. Pierwszy raz zobaczyłem (go) na Boulevard des Italiens, kiedy wjeżdżał do Paryża r. 1814. Twarz ponura. Nie zdała się uczuwać swego triumfu.

Wilhelm, król pruski. Poznałem go w Karlsbadzie. Silny mężczyzna; nie można powiedzieć, że brzydki, ale ordynarna fizjognomia. Był bardzo popularny.

Ferdynand d'Este, gubernator Galicji w r. 1846. Wzrost trochę wyższy jak mierny. Nos duży, ogórkowaty; twarz uprzejma, ale oko fałszywe.

Maksymilian, jego brat. Wyższy, może przystojniejszy, ale wyraz twarzy niedobry.

Kościuszko, Poznałem go w r. 1814. Mały, chudy, nos zadarty, dużomowny, żywe ruchy.

Napoleon III. Mała figura, twarz brzydka, oczy blade. Na koniu dobrze siedzi.

Marszałek Berthier Aleksander, ks. Neufchatel. Major-generał, czyli szef sztabu cesarza Napoleona. Mały, włos kędzierzawy, twarz przystojna; mówi przez nos. On tylko nosił taki kapelusz, bez wszelkich znaków, jak cesarz.

Marszałek Mormont, duc de Raguse. Korsykanin. Chudy, włos czarny, cera ciemna, wzrostu średniego; każdy z Polaków wziąłby go niemylnie za Cygana.

Macdonald, duc de Tarente. Wzrost więcej jak średni; twarz przyjemna, nos trochę zadarty; zawsze starannie ubrany; często na białej kamizelce wstęga czerwona Legii Honorowej.

Marszałek Victor, duc de Bellune. Więcej jak średni wzrost, twarz okrągła; peruczka jasnobłond.

Marszałek Mortier, duc de Trévise. Wysoki, nos duży, twarz przyjemna. Jeden z marszałków, który razem siadał do stołu ze swoim sztabem i oficerami, którzy w misji do niego przyjeżdżali.

Marszałek Lefebvre, duc de Dantzig. Wysoki, silny mężczyzna, brunatnej cery, wyrazu ostrego.

Marszałek Ney, książę Moskwy. Parę razy tylko widziałem go z daleka; przypominał mi cara Pawła.

Caulaincourt, duc Vicence. Wysoki, trochę łysy, twarz przyjemna.

Wincenty Krasiński. Generał, dowódca gwardii polskiej chevauléger'ów. Twarz piękna, postać wojskowa.

W. Ks. Konstanty. Bardzo podobny do portretu litografowanego w Warszawie przez Piwockiego. Brwi jasne, gęste, wyraz twarzy tyrański. Jego wojskowość była personifikowaną karykaturą wojskowości.

Zajączek, namiestnik Królestwa Polskiego. Wysoki, piękny mężczyzna.

Dąbrowski generał. Otyły nieco, twarz nieładna, okrągła, bez wyrazu; postać niewojskowa.

Kniaziewicz generał. Wysoki, twarz przyjemna, rozumna.

Roźniecki generał. Mały, włos jasny, dziobaty, brzydki; dobry jeździec.

Sułkowski Antoni. Wzrost średni, kształtny; twarz przyjemna, ale harda; zły jeździec.

Krukowiecki generał. Włos jasny, rzadki; twarz okrągła, czerwona, ospowata; wzrost wyżej jak średni; namiętny w mowie.

Generał Hauke. Średniego wzrostu, nieco otyły; twarz okrągła, rumiana; zęby popsute; uprzejmy dla podwładnych.

Generał Sokolnicki. Twarz przyjemna, wzrost średni, chudy.

Generał Umiński. Mały, dość brzydki; namiętny w mowie.

Stanisław Potocki, prezes, minister. Wysoki, bardzo chudy.

Morawski Franciszek. Więcej jak średni wzrost; włosy ciemne; zwięzłej figury; zawsze w okularach. Chorujący trochę na Byrona. Doskonale deklamował swoje wiersze, szczególnie bajki... (akcentem wielkopolskim).

Koźmian Kajetan. Wzrost średni; twarz okrągła, przyjemna.

Osiński. Wzrost średni; włos ciemny; twarz okrągła, zdaje mi się – trochę ospowata; wyraz twarzy ironiczny.

Generał Kurnatowski. W r. 1812 mój pułkownik, dowódca 5-go pułku Strzelców konnych. Wzrost więcej jak średni; dobrze zbudowany, dobrej tuszy; mocny brunet, twarz okrągła, rumiana; akcent niemiecki, niby nieco żydowski. Nielubiony w pułku.

Mój brat Maksymilian, major w tymże pułku. Wysoki, piękny mężczyzna; włosy rude, oczy bardzo małe. Dla wszystkich przyjacielski, usłużny, ale nie gospodarny.

Mój brat Seweryn, szef szwadronu gwardii napoleońskiej. Piękny mężczyzna, trochę niższy od brata; powszechnie lubiany w pułku.

III

LISTY ALEKSANDRA FREDRY I GERMANA HOŁOWIŃSKIEGO

I

D. 28 Grudnia 1817 ze Lwowa.

Powinien bym list zacząć od gorzkich wyrzutów, kochany Wasserkolego, gdybym nie pamiętał na nieprzewycięzoną siłę spleńów, jey to pewnie byłeś podległym, gdy, przejeżdżając przez Lwów, nie spytałeś się o mnie, byłem pono nawet natenczas i bardzo by mi było miło zobaczyć się z Tobą i Emroda przeczytać; zawsze ja wiele cenię Twoje przyjaźń, którą lubo może jeszcze nie zasłużyłem, jednak zasłużyć starać się nie przestane, pocieszam się z Twego zapomnienia pisząc i spodziewając się odpisu, którego nie chciey odmawiać; rad będę wiedzieć, jak Ci Sprudel i Franzesbrunn skutkowały, a może naylepiey rozrywki Wiednia i czy z upłynionym rokiem zostawisz słabość zdrowia i ponure myśli, czego Ci nayserdeczniey życzę; niech Cię w rok 1818-ty wprowadzi piękna i dobra żona, w 819-ty luby synek, ale z krzywym paluszkim, w 840-ty wnuk Tobie podobny, w 880-ty prawnuk, i tak daley praprawnuczęta.

Znalazłem między papierami pieśń, którą zrobiłem w Fontainebleau, kiedy nic jeszcze pewnego nie było o losie naszego woyska, może Ci się podoba, przynaymniey ze sposobu myślenia, który był równie wszystkich nieszczęśliwych Polaków. Przyszlj mi, proszę Cię, Biblię, o którą u Was łatwo, ja Ci się odwdzięczę dziełem historycznym x. Chodynckiego, w druku będącym, mówią, że ma być dobre.

Wincenty Tyszkiewicz odda Ci ten list, poznay się z Nim; bo bardzo zacny i dobry chłopiec, a pamiętay czasem o znajomościach zagranicznych. Zegnam Cię najserdeczniey, polecając się Twojej szacowney przyjaźni.

Alexander Fredro.

PIEŚŃ POLAKÓW

5 kwietnia 1814, w Fontainebleau

*Pośród nieszczęść dopełnienia,
Jak wśród mordów wściekley wrzawy,
Znośmy nasze dziś cierpienia
Dla honoru i dla sławy.
W obce zarzuceni stronę
Srogich przeznaczeń igrzyskiem,
Łączmy stałość niewzruszonę
Z chlubnym Polaka nazwiskiem.
Szybko szczęścia chwile zeszły,
Szczątki tylko rot i znaków
Świadczą smutnie byt nasz przeszły,
Świadczą nadzieje Polaków.
Wzięła nam ją w mężów zgonie
Moc wyroków zawsze spreczna,
Wszystko jeszcze czas pochłonie,
Sława tylko, sława wieczna!*

*Los nas stawil w jednym rzędzie,
 Niech jeden drugiego wspiera,
 A przyjaźń ocierać będzie
 Łzy, które przeszłość wydziera.
 W nieszczęściu prawi Polacy,
 Dóydzim przecie do Ojczyzny,
 Tam czcić będą w nas rodacy:
 Honor, stałość i te blizny.
 Nieskażone wrogów dłonią,
 Wiodąc błędne nasze kroki,
 Nieśmy orły wsparte bronią,
 Nieśmy braci naszych zwłoki.
 Niech przeciwko przeznaczeniu
 Mężni legną między swemi,
 Znajdziem dla Nich w laurów cieniu
 Jeszcze garstkę polskiej ziemi.*

2

Słodka pamięć naszego u wód towarzystwa najmiłszym mi jest przypomnieniem, niesprawiedliwie więc, kochany współpikaku, obwiniasz panujące nade mną spliny; przyjaźń, którą dla Ciebie powziąłem, nierównie moc ich przewyższa i dopiero wtenczas na nowo przez nie podbity zostałem, gdy ciebie chciwie i skrzętnie po całym Lwowie szukanego znaleźć nie mogłem. Nadgrodziło mi się to ucierpienie rozkoszą odebranego od ciebie listu; przyłączoną w nim piosnkę zainkorporowałem do zbioru wierszów wybranych, których częste odczytywanie rozwesela moje ponure myśli; oprócz niezaprzeczonego talentu autora daje ona poznać uczucia honoru i miłości Ojczyzny, tak mocno w sercach prawych Polaków ugruntowane. Na wiosnę odwiedzę znowu Karlsbad, nie minę i Lwowa; spodziewam się, że widok szczerzego przyjaciela, równie jak i wody, mieć będzie wpływ na moje zdrowie.

G. Hołowiński.

Posyłam ci trochę tytoniu i aloesu, za każdym nabiciem fajki wspomnij o posyłającym. Oświadcz moje uszanowanie panu Skrupiskiemu.

3 lutego 1818. Steblów

IV

PRO MEMORIA

Wyjechaliśmy razem nie z równych pobudek,
 Napoleon na Elbę, ja prosto do Rudek.
 Tęskniłem za obozem... nudziłem się przeto,
 I ażeby coś robić, zostałem poetą. –
 Poetą!... Tam do licha!... To, Panie, nie żarty!
 Byłżeś przynajmniej silną nauką podparty?
 Ach gdzież tam!... Byłem sobie, ot, szesnastoletnim
 Pośród dwóch guwernerów nieukiem kompletnym;
 Nigdy mi się nad książką nie zmarszczyło czoło,

Trąbka myśliwska w kniei była moją szkołą.
A kiedy niespodzianie zafurknął proporzec,
W to mi graj! ... Żegnając rodzicielski dworzec,
Żegnając biblioteki zasuwy spokojne,
Z radosnym uniesieniem ruszyłem na wojnę.
A gdym przedeptał obręcz i prysku, i lodu,
Moskwy, Paryża, Wiednia od grodu do grodu;
Ze sześciomiesięcznym niewoli popasem,
Wróciłem z nie zwiększonym nauki zapasem.
Wróciłem, prawdę mówiąc, bez celu do kraju,
Lecz z pękiem doświadczenia różnego rodzaju.
Razu jednego, kiedy w malignie zasnąłem,
Wpadł mi palec w kałamarz i pisać zacząłem;
Oczywiście komedię, której bez nauki,
A na najpierwszych scenach pojąłem treść sztuki.
Pisałem więc z tą wieku młodego odwagą,
Co się często dla drugich ciężką staje plagą.
Chciałem zasięgać rady... ale na me nogi
Literackich świeczników za wysokie progi;
I jeśli się zbliżyłem, bijąc kornym czołem,
Tak czy siak, koniec końców zawsze szcztuka wzięłem.
U jednego trzy akty ledwie wyzebrałem,
Bo swoje bajki z ciągłym wygłaszał zapalem;
A finalnie półgębkiem skończył na odprawie,
Że podobnych Geldhabów nie mamy w Warszawie.
Drugi zaś, nieruchomy klasyk ostrokuty,
Który z tej samej jednej zawsze śpiewał nuty,
Dał wyrok, że zły papier, atrament za blady,
I ani słowa więcej. – Szukajże tu rady!!...
Nie wiedząc już nareszcie, jak poradzić sobie,
Z najmędrszym Gramatykiem skromny układ robię:
Darowałem mu pisma, ażeby poprawił,
Potem wydał... a sobie wawrzyny zostawił.
Mędrzec wziął, co chciał. A musiałem bez swatów
Uratować wawrzyny za dziesięć dukatów.
Po takich próbach, których części tu nie mieszczę,
Trzeba było jeść diabła, aby pisać jeszcze.
Publiczność tylko szczerą, tę miałem po sobie,
Inaczej byłbym dernął zaraz w pierwszej dobie.
Przy tym i teatralne dzienniki w Warszawie
Przemawiały od razu mniej więcej łaskawie.
W lwowskich tylko, jak mówią, i pies nie zaszczekał,
Ale nic nie straciłem, żem lat kilka czekał.
Bo jakiś Minos powstał i zaszczekał wściekle,
Chciałby moich pięć tomów w piątym widzieć piekle.
Żłem pisał. – Zgoda. – Ale źle pisać nie zbrodnia;
Trafiało się to dawniej i trafia się co dnia.
Byłem więc więcej złością niż treścią zdziwiony,
A kiedy nikt się mojej nie podjął obrony,
Nie mogłem pojąć, zgadnąć, czy rada, czy zdrada,

I zrozumiałem tylko, że milczeć wypada.
 Milczałem lat piętnaście i nie schudłem wcale;
 Jakżem się nagle znalazł w moim dawnym szale?
 O! w labiryncie życia ścieżki niezliczone,
 Nikt nigdy nie przewidzi, w jaką zajdzie stronę.
 Niejeden mimo przestróg i przewodniej nici,
 Chcąc chwycić Apollina, Żandarma uchwyci,
 Tak i ja z łaski głupców, ich zwodnej przyjaźni,
 Tuj, tuj, że nie beknąłem w Temidowej kaźni.
 Gdy bowiem ktoś niepomny na wypadki krwawe
 Wkrótce o Ekonomii rozpoczął rozprawę,
 Rzucono kilka wierszów, wprawdzie nie z Parnasu,
 Ale zastosowanych do miejsca i czasu:
 Finał był taki:
 „A rząd?... Rząd, Mospanie, kiep!
 Jego argumentem stryczek albo cep;
 Gdzie taka Ekonomia wzrasta,
 Wszystko błazeństwo i basta!”
 Stadion przyjął wiersze, mnie oskarżył o nie,
 Zgromadził całe gremium w rządowym salonie,
 I słuchajcie! słuchajcie! Do uwagi zmusił;
 Etmajer deklamował... na *kpie* się zakrztusił,
 Stadion przejął wiersze, mnie oskarżył o nie,
 A ja miałem gdzieś w kozie powiedzieć; „Na zdrowie!”
 Przyszła chwila odwetu – każdy miał swój znaczek,
 Bo zemsta, jak to mówią, królewski przysmaczek.
 Zbombardowano wieżę... ot tak, dla uciechy;
 Za mniemane, a wsteczne oskarżono grzechy
 Miera, Ambasadora, że kładł barykady,
 Mnie zaś, żem lżył Cesarza wśród Rudeckiej Rady.
 Śmiano się do rozpuku, nie dając im wiary,
 Ale wiary nie trzeba, kiedy trzeba kary.
 Jak szydło z worka, Stadion wylazł w danej chwili.
 Kto tam zapłacił, nie wiem, lecz świadków kupili
 I fałsz miał zostać prawdą. – Nareszcie pojąłem,
 Że słowo wzlata ptaszkiem, a powraca wołem;
 A mówiąc między nami, szczerze wam udzielię,
 Że moich piosnek były niezbyt głośne trele;
 Udając zaś fantazję przed grożącą kozą,
 Napisałem komedią... lecz tym razem prozą,
 A napisawszy jedną, po szczęsnym połogu,
 Do dawnego, niestety, wróciłem nałogu.
 Ale już teraz piszę tylko dla szuflady,
 Bo pochwałam nie wierzę... Za późno na rady.
 A teraz to *Pro memoria* spisuję dokładnie,
 Aby niezbyt gwiżdżano, jak kurtyna spadnie.

29 października 1872.

PRZYPISY

Kiliński w pamiętnikach swoich często niepotrzebnie używa spójnika *więc*. Fredro pamiętniki Jana Kilińskiego znalazł w wydaniu K. Wł. Wójcickiego z r. 1831.

– Szlufka = pętlica, z niemieckiego *Die Schleife*.

Montereau, miasteczko w departamencie Sekwany, pamiętne zwycięstwem Napoleona nad armią sprzymierzonych w dniu 18 lutego 1814 r. – Victor-Perrin, książę Belluno (ur. 1764, zm. 1841 r.), głośny wódz w armii napoleońskiej, buławę marszałkowską otrzymał w bitwie pod Friedlandem. Krótki wypoczynek, na jaki pozwolił swoim żołnierzom, był powodem utraty mostu pod Montereau, za co rozgniewany cesarz zastąpił Victora przez gen. Maurycego Stefana hr. Gérarda.

Lefebvre Franciszek Józef, książę Gdański, marszałek francuski (ur. 1775, zm. 1820 r.), znakomity wódz w armii napoleońskiej.

Zdanie Fredry o weredykach wywołane zostało rozżaleniem autora na krytyków jego dzieł scenicznych, Goszczyńskiego, Pola, Łukaszewicza, Dembowskiego i in.

Sztubmadla = pokojówka, z niemieckiego *Das Stubemädchen*.

Arena Bartłomiej, członek Rady Pięciuset, w pamiętnym dniu 18 Brumaire'a rzucił się na Bonapartego, chcąc go zabić. – Błęszyński Hipolit, w r. 1789 chorąży w pułku pieszym gen. Malczewskiego, podkomendny Kościuszki; w r. 1794 generał-adiutant króla saskiego, w r. 1797 kawaler maltański.

Książę Neufchâtel = Aleksander Berthier, marszałek i znakomity wódz armii napoleońskiej (ur. 1753, zm. 1815 r.). – Rejtan Dominik, podpułkownik, w r. 1814 należał do sztabu głównego; syn Tadeusza, słynnego posła na sejm 1773 r.

Vandamme Dominik Józef (ur. 1771, zm. 1830 r.), generał napoleoński, pod Kulmem dostał się do niewoli rosyjskiej.

Hr. Merfeldt, generał austriacki, wzięty przez ks. Józefa do niewoli w pierwszym dniu bitwy pod Lipskiem. – Caulaincourt Armand (ur. 1772, zm. 1827 r.), głośny wódz w armii napoleońskiej. – Król neapolitański = Joachim Murat.

Pac hr. Ludwik (ur. 1780, zm. 1835 r.), od 18 lipca 1812 r. generał brygady w sztabie cesarza. – Kossakowski hr. Józef (ur. 1771, zm. 1840 r.), w r. 1812 szef pułku strzelców pieszych litewskich, który własnym kosztem uformował. – Wąsowicz hr. Dunin Stanisław, w r. 1807 porucznik, w 1810 r. przeniesiony do 2 pułku jazdy, następnie do pułku szwoleżerów; oficer ordynansowy Napoleona, towarzyszył cesarzowi w odwrocie z Moskwy w r. 1812. – Larrey Jan Dominik (ur. 1768, zm. 1842 r.), znakomity chirurg, generalny lekarz armii napoleońskiej. – Monthion de Bailly hr. Franciszek, generał dywizji (ur. 1776, zm. 1850).

Marmont August Fryderyk (ur. 1774, zm. 1852 r.), książę Raguzy, generał i marszałek napoleoński. – Bertrand hr. Henryk (ur. 1773, zm. 1844), znany z poświęcenia i przywiązania do Napoleona.

Hanau, miasto w Hessen-Nassau, pamiętne bitwą stoczoną przez Napoleona 30 października 1813 r.

Suchorzewski Tadeusz, w r. 1814 pułkownik 6 pułku ułanów, 20 stycznia 1815 r. przeszedł do 2 pułku strzelców konnych. – Miłberg (Müliberg) Henryk, w r. 1814 szef batalionu 20 pułku piechoty. – Jelski Ludwik, od 11 kwietnia 1813 r. adiutant sztabu głównego. – Sołtyk Roman, w r. 1814 szef szwadronu 6 pułku ułanów. – Niegolewski Andrzej, w r. 1807 podporucznik 5 pułku strzelców konnych, 5 czerwca 1807 r. przeszedł do pułku szwoleżerów. – Grabowski Józef, w r. 1812 podporucznik, adiutant gen. Biegańskiego, w 1814 r. należał do sztabu głównego; autor „Pamiętników wojskowych”. Kościelski Tomasz, w 1813 r. kapitan 15 pułku piechoty. – Krauze Franciszek, w r. 1812 kapitan 15 pułku piechoty. Oprócz wyżej wymienionych do sztabu głównego korpusu polskiego w r. 1814 należeli podpułkownicy: Dowgiałło, V nder-Noot, Gajewski, Kwiatkowski; kapitanowie: Fredro Aleksander, Gosławski, Staniszewski, Dowgiałło, Daszewski, Ferdynand Nawiroł. Kościelski nie jest wymieniony. – Rewia pod-St. Denis odbyła się 24 kwietnia 1814 r.

Kurnatowski Zygmunt, generał brygady.

Dillon Teobald (ur. 1745, zm. 1792 r.), feldmarszałek francuski, zamordowany przez własnych żołnierzy, posądzających go niesłusznie o zdradę.

Latour-Mobourg Maria Wiktor de Fay, generał francuski (ur. 1756, zm. 1850), w bitwie pod Lipskiem utracił nogę. – Steyer – sztajer, taniec styryjski, rodzaj walca.

Schimmel = koń siwosz.

Troyes, stolica departamentu Aube, w r. 1814 stały tu wojska austriackie pod wodzą Schwarzenberga. – Bar-sur-Ornain albo Bar-le-Duc, w departamencie Meuse, miejsce urodzenia marszałka Oudinot.

Mortier Edward, książę Treviso (ur. 1768, zm. 1835 r.), marszałek i głośny wódz w armii napoleońskiej.

Brienne, miasto w departamencie Aube, Napoleon poniósł tu klęskę 1 lutego 1814 r. – Thiers Ludwik, autor głośnego dzieła *Histoire du Consulat et de l'Empire*.

Klicki Stanisław, generał, w r. 1813 dowodził brygadą jazdy.

Aleksander Fredro w r. 1812 wzięty został do niewoli rosyjskiej podczas choroby na tyfus.

Dr Józef Frank w swych pamiętnikach mówił, że „w Wilnie i jego okolicach znajdowało się 40 tysięcy trupów, najczęściej w mundurach, skostniałych od mrozu”. Urzędowy raport ministra policji, A. Bałaszewa, z grudnia 1812 r., podaje liczbę trupów pochowanych w gub. wileńskiej na 92 243.

Łapa Antoni, prezydent Sądu głównego wileńskiego; w r. 1805– 7 marszałek powiatu trockiego.

Mineyko Michał, sędzia grodzki trocki, dziedzic Stokliszek i Dubnik. List, o którym wspomina Al. Fredro, pisany był 24 czerwca 1817 r. z. Beńkowej Wiszni. – Makomaski Wincenty, od 30 listopada 1811 r. kapitan 6 pułku piechoty, 28 listopada 1812 r. ranny i wzięty do niewoli rosyjskiej.

Vitry-le-Français albo Vitry-sur-Marne, stolica okręgu Marny, zdobyta przez koalicję w r. 1814. – Tomicki Jan, od 18 stycznia 1813 r. major 11 pułku ułanów.

Fam Agaton, autor dzieła pt. „La manuscrit de 1814” i in. – Belliard Augustyn Daniel (ur. 1769, zm. 1832 r.) znakomity wódz armii napoleońskiej.

Oborski Aleksander, od 18 stycznia 1813 r. pułkownik 3 pułku ułanów, – Sulimierski Stanisław, od 3 sierpnia 1809 r. kapitan 11 pułku ułanów.

Potocki hr. Adam (ur. 1776 r., zm. 1812 r.), utworzył w r. 1809 we Lwowie 4-ty, nie 5-ty, pułk jazdy, przezwany następnie 11-tym pułkiem ułanów.

Strona 110.

Mieroszewski Ignacy, od 23 lipca 1811 r. kapitan 5 pułku strzelców konnych.

W r. 1813 z żołnierzy nadliczbowych utworzony został osobny korpus, tzw. gwardii honorowej pod komendą generałów: Stanisława Woyczyńskiego, Ksawerego Niesiołowskiego i in. – Görlitz, po polsku Zgorzelec, główne miasto okręgu lignickiego na Śląsku.

Löwenberg, miasto obwodowe w regencji lignickiej na Śląsku, pamiętne klęską Macdonalda 19 lipca 1813 r. – Nielipkowice, wieś na prawym brzegu Sanu, przy drodze z Jarosławia do Sieniawy, niegdyś stacja dla spławu zboża do Gdańska.

Kellermann Franciszek, książę Valmy, marszałek francuski (ur. 1735, zm. 1820 r.).

„Śpiew o Krzywoustym” – w „Śpiewach historycznych” Niemcewicza. – Do słów: „do mojej ciotki Ruckiej” – dodał Fredro w brulionie następujące objaśnienie: „Amelia z hr. Dembińskich, siostra rodzona mojej matki; córka Jana Nepomucena Dembińskiego, cześnika krakowskiego”. – Jankowski Antoni od 6 grudnia 1811 r.

kapitan szwoleżerów gwardii. – Zielonka Benedykt wstąpił do pułku szwoleżerów gwardii 21 lutego 1808 r., szefem szwadronu został 15 marca 1814 r.; po bitwie pod Brienne w odwrocie dowodził pułkiem tzw. Eklererów i tenże pułk pod swą komendą przyprowadził do Polski. – Tzw. pułk Eklererów gwardii utworzony został w styczniu 1814 r., dowodził nim major Jan Leon Koziętulski.

Rüdiger hr. Teodor, generał rosyjski (ur. 1783, zm. 1856 r.), podczas wojny polskiej r. 1831 poraził 19 czerwca pod Łysobykami generałów Turna i Jankowskiego.

Sułkowski książę Antoni (ur. 1785, zm. 1836 r.), 29 listopada 1806 r. został pułkownikiem 9 pułku piechoty, 3 lutego 1813 r. generałem dywizji, 20 października t. r. wodzem naczelnym korpusu polskiego w armii napoleońskiej na miejsce ks. Józefa, jednak już 27 października t. r. podał się do dymisji. – Ocana (w tekście mylnie – Ocaud), miejscowość w Hiszpanii, pamiętna bitwą w d. 19 listopada 1809 r.

Kurnatowski Zygmunt został pułkownikiem 5 pułku strzelców kon. 20 marca 1810 r. – Toliński Józef, pułkownik od 18 czerwca 1809 r. – Tyszkiewicz hr. Tadeusz, generał brygady od 3 marca 1812 r. – Dulfus Stanisław, pułkownik od 20 marca 1810 r. – Rzysszczewski Gabriel, pułkownik od 1 lipca 1809 r. – Kamiński Ignacy, dowódca dywizji jazdy od 3 marca 1812 r. – Sebastian Henryk Franciszek, marszałek francuski (ur. 1775, zm. 1851 r.), w r. 1812 dowódca przedniej straży Wielkiej Armii. – Lefèvre-Desnouettes hr. Karol, generał dywizji (ur. 1775, zm. 1828 r.).

Kurcysz Stanisław, od 3 lipca 1809 r. szef batalionu 3 pułku piechoty; w r. 1813 Napoleon z korpusu polskiego wybrał batalion grenadierów, który pod nazwą gwardii polskiej został wcielony pod dowództwem Kurcysza do gwardii cesarskiej. – Łącki Franciszek, od 4 kwietnia 1810 r. porucznik 12 pułku piechoty, adiutantem-majorem mianowany 11 stycznia 1813 r. – Żółtowski Edward (w tekście mylnie – Żółkowski), od 2 marca 1807 r. dowódca 3 pułku piechoty, od 11 grudnia 1811 r. generał brygady. – Potocki Stanisław (ur. 1778 r., zm. 29 listopada 1830 r.), od 9 grudnia 1806 r. pułkownik 2 pułku piechoty, od 20 marca 1810 generał brygady. – Mowa Napoleona była wypowiedziana 27 października 1813 r. pod Hanau r.

Kwilecki, prawdopodobnie Józef, adiutant gen. Fiszera, od 1 października 1810 r. kapitan.

Pajgert Józef Kalasanty, wierszopis galicyjski w pierwszej ćwierci XIX wieku.

Biegański Łukasz, od 27 grudnia 1812 r. generał brygady. – Po wyliczeniu rodzeństwa Fredro dodał objaśnienie następujące; „Ludwika, później hr. Rozwadowska. Cecylia hr. Jabłonowska. Julian, ożeniony z hr. Kasińską, młodo umarł. Henryk, porucznik 1 pułku ułanów, adiutant generała Umińskiego. Edward, rotmistrz 6 pułku ułanów (Dzieci Warszawskich), ciężko ranny pod Kałuszynem. Obydwa ozdobieni złotym krzyżem *Virtuti Militari*”. O stosunkach rodzinnych Al. Fredry wiele wiadomości podał Jan Aleksander Fredro (syn) w swych „Wspomnieniach” druk. w „Przeglądzie Polskim” z r. 1897.

Aigner Piotr (ur. 1746, zm. 1841 r.), studiował architekturę w Rzymie, do Polski przybył w r. 1782, zbudował świątynię Sybilli w Puławach, pierwotny kościół św. Aleksandra w Warszawie itd.

Szumlański Józef, od 23 maja 1809 r. major-adiutant ks. Józefa, od 5 sierpnia t. r. pułkownik, w r. 1812 adiutant kom. w wydz. jazdy korp. V-go. – Ludwik ks. Jabłonowski (ur. 1784 r., zm. 1864 r.), w r. 1817 koniuszy; w kor. galic. i członek stanów galic.

Uruski Kajetan, w r. 1809 prefekt departamentu lwowskiego, w r. 1817 miecznik kor. galic., zmarł w r. 1827. – Potocki Artur był od 24 czerwca 1809 r. porucznikiem-adiutantem ks. Józefa, nie Rożnieckiego, od stycznia 1812 r. szefem batalionu saperów w stopniu podpułkownika i nadal adiutantem ks. Józefa; od 13 listopada 1815 r. fligeladiutantem Aleksandra I.

Rautenstrauch Józef w r. 1809 był w stopniu pułkownika szefem sztabu I dywizji.

Kamieniecki Ludwik, w r. 1794 generał brygady, od 12 lutego 1807 r. adiutant ks. Józefa, od 20 marca 1810 r. generał dywizji, dostał się do niewoli 19 paźdz. 1813 r. w bitwie pod Lipskiem. – Nowicki Józef od 23 listopada 1809 r. pułkownik. – Raporter; z francuskiego *Rapporteur*, oficer składający raport w sądzie wojennym.

Żorawski (w tekście mylnie – Żurowski) Józef, od 5 sierpnia 1809 r. kapitan 17 pułku piechoty. – Tomicki Jan przeszedł na szefa szwadronu z 6 pułku jazdy 6 kwietnia 1810 r. – Orzelski Marcin, od 17 lipca 1810 r.

kapitan 11 pułku ułanów. – Brzozowski Kazimierz, kapitan 11 pułku ułanów. – Boznański Feliks, od 31 sierpnia 1810 r. porucznik 11 pułku ułanów.

Sołeczka Wola, wieś pod Solcem w powiecie ilżeckim.

Kuszell Antoni, od 11 grudnia 1811 r. kapitan 10 pułku huzarów.

Małachowski Stanisław, od 1 września 1809 r. pułkownik 14 pułku kirasjerów.

Komorowski Franciszek, od 3 sierpnia 1809 r. kapitan 11 pułku ułanów – Lemański Ludwik, od 5 czerwca 1809 r. kapitan 3 pułku piechoty, w bitwie pod Studzianką, 29 listopada 1812 r., ranny i wzięty do niewoli.

Wojewoda podolski – Andrzej Maksymilian Fredro, głośny w XVII w. pisarz polityczny, zwany „Tacytem polskim”, zmarł w r. 1679.

Przebendowski Konstanty, od 9 listopada 1809 r. pułkownik 1 pułku strzelców konnych, w bitwie pod Romanowem, 14 lipca 1812 r., dostał się do niewoli.

Ustęp od słów: „Połamałem moje pióro autorskie...” w brulionie brzmi: „Połamałem pióro autorskie nie, jak mniemano, dla jednego głupiego artykułu Goszczyńskiego, który się podobał obcej nieprzyjaźni, nieprzyjaźni za przyjaźń, za ważną nawet usługę; porzuciłem i urząd...” Wspomniany artykuł Goszczyńskiego był drukowany w „Powszechnym Pamiętniku nauk i umiejętności” (Kraków, 1835).

Guwerner Fredry, Trawiński Piotr, urodził się 5 września 1779 r. w Gorzejowej, w Galicji, jako syn Franciszka i Anny Zadzkiej; do wojska wstąpił 9 lipca 1807 r., odbył kampanię hiszpańską 1808 r., pod Samosierrą był ranny.

O komedii pt. „Strach nastraszony” wspomina Fredro w swej autobiografii, druk. w „Kronice rodzinnej” (Warszawa, 1876), nr 21.

Nowicki Jakub, od 11 grudnia 1809 r. podporucznik 11 pułku ułanów. – Dąbrowski Wincenty, od 16 września 1811 r. porucznik w tymże pułku. – Jelski Ludwik, przyjaciel Fredry, od 11 kwietnia 1813 r. kapitan 16 pułku piechoty.

Ignacy Turkuł był po Stefanie Grabowskim ministrem sekretarzem stanu Królestwa Polskiego. – Beńkowa Wisznia albo Bieńkowa Wisznia, wieś w powiecie rudzkim.

Ustęp od słów: „W 1812-tym w Litwie, a potem i Księstwie Żydzi stali się naszymi głównymi nieprzyjaciółmi” – w brulionie brzmi: „W 1812 w Litwie, a potem i w Królestwie Żydzi stali się, może z powodu bolesnej chłosty, którą alianci odbierali z rąk francuskiego wojska, głównymi naszymi nieprzyjaciółmi. W Wilnie pastwili się bez litości na półzmarzłych jeńcach wojennych, obdarłszy, wyrzucali na śnieg, a zdrowszych, silniejszych mordowali po domach dla jakiego haftowanego munduru lub lichego futra, albo w nadziei znalezienia cząstki bajecznych skarbów moskiewskich. Teraz wątpię, aby byli przychylni jakiej bądź zmianie w Galicji”.

Nienadowa, wieś w powiecie przemyskim.

Surochów, wieś w powiecie jarosławskim, rodowe gniazdo Fredrów.

Podróż do Włoch odbył Fredro w r. 1824 z namowy brata Maksymiliana, który, zaślubiwszy księżniczkę Praskową Gołowin, zamierzał swatać poetę z przyjaciółką żony, Elżbietą hr. Buturlin.

Lesko albo Lisko, miasto powiatowe na prawym brzegu Sanu, gród znany już w w. XVI. – Ks. Franciszek Ksawery Zacharyasiewicz, ur. 1770 r., zm. 1845 r., był biskupem przemyskim od r. 1840.

Hoczew, wieś w powiecie lisieckim. – Zmiany w wierszu zostały wprowadzone na podstawie autografu w archiwum przyłbickim.

Baligród, miasteczko w powiecie lisieckim. – Bundz – ser owczy, zbity w płaskie formy.

Józef hr. Kalinowski, generał, zmarł w r. 1825. – Ignacy Cetner, pułkownik wojsk pol., zmarł w r. 1821.

Kitajgrodzki Mikołaj, zmarł w r. 1789.

Kopeć Kołodziński Józef, generał wojsk Rzplitej, ur. w Wilnie 1759 r., odznaczył się w kampaniach 1792 i 1794 r. Pod Maciejowicami wzięty do niewoli, wysłany został do Irkucka, następnie na Kamczatkę. Powrócił do kraju na mocy amnestii Pawła I. Aleksander I polecił ukazem z 21 grudnia 1804 r., aby po śmierci Wincentego Kopcia majątek jego, Luszniów, w pow. brasławskim gub. wileńskiej, oddany został dożywotnio gen. Józefowi Kopciowi. W papierach gen. Kopcia (Archiwum Tow. Przyjaciół Nauk w Wilnie) znajduje się następujące jego podanie: „Do Rady wojennej w r. 1812” – „Od młodości, przez lat dwadzieścia kilka, stopniowo od prostego żołnierza wysłużony jeszcze w r. 1792 brygadier, znany w r. 1794 przez poświęcenia i niebezpieczeństwa, poniesione dla dobra ojczyzny, jeniec i ranny pod Maciejowicami, niewolnik potem Niżnej Kamczatki i przez lat 6 zamrożonymi tylko rybami żywiony, także mieszkaniec bezinteresowany za powrotem przez wrodzony entuzjazm narodowy, wreszcie życzliwy krajowi i współziomkom obywatel i żołnierz nie śmie dopomnieć się zasług swoich, swojej nagrody, bo mniema, że wszędzie pełnił powinność, lecz pragnąc dla starających się i podeszłego wieku mieć losu i znaczenia swego zapewnienie, udaje się do sądu współkolegów broni z prośbą, aby resztę dni pozostałej zdolności ocenić i krajowi go jeszcze użytecznym zrobić chcieli, a zabezpieczoną przez Radę Litewską w roku 12-tym jego część pensji pozwolili uczciwie jemu zapracować. Podający łączy wyrazy uszanowania. Kopeć generał”. Pamiętnik Kopcia, pt. „Dziennik podróży przez całą wzdłuż Azję lądem do portu Ochocka, oceanem przez Wyspy Kurylskie do niższej Kamczatki i stamtąd na powrót do tegoż portu na psach i jeleniach”, wydał Edw. Raczyński we Wrocławiu w r. 1837. Nowe, uzupełnione wydania wyszły w Berlinie (1863 r.) i Paryżu (1867 r.), ostatnie z przedmową Mickiewicza, który rozbiorowi pamiętników Kopcia poświęcił dwie lekcje swoich wykładów o literaturze słowiańskiej. O oblężeniu Kopcia wspominają pamiętnikarze współcześni, np. Leon Dembowski. – Sagatyński Jan, przed r. 1830 przebywał w Warszawie, następnie w Galicji, gdzie zmarł w r. 1844. Odznaczał się dowcipem i darem opowiadania. Anegdoty jego przytacza F. S. Dmochowski w swoich „Wspomnieniach” (Warszawa, 1858). Sagatyński skreśla pamiętniki, opisujące ostatnie lata Stanisława Augusta, od 17 kwietnia 1794 r. do zgonu króla w Petersburgu, w r. 1798. Pamiętniki te zostały wydane w Poznaniu, w r. 1845, pt. „Pamiętnik byłego pazaia Stanisława Poniatowskiego, przy którym zostawał aż do śmierci”.

Laszki Murowane w powiecie lwowskim; pałac Mnichów znajdował się w Laszkach, w pow. jarosławskim. – Mniszech hr. Stanisław, ur. 1774 r., zm. 1860 r. – Starasól, wieś w powiecie staromiejskim, znana już w XV w. z żup solnych.

Strona 206 i 207.

Turno Kazimierz, od 30 grudnia 1806 r. pułkownik 5 pułku strzelców konnych. – Wesołowski Ksawery, od 9 grudnia 1809 r. kapitan 11 pułku ułanów. – Krasicki hr. Franciszek Ksawery, ur. 1774 r., zm. 1844 r. – Wojewodzina bełzka, Kordula z Komorowskich Teodorowa Potocka, zwana „la Fée Diamantine”, siostra Gertrudy Szczęsnej Potockiej.

Fragment ten podany był do druku w „Bibliotece Warszawskiej” z r. 1911, t. I, przez wnuczkę autora, Marię hr. Szembekową, z dopiskiem następującym: „Wśród papierów i rękopisów, pozostałych po moim dziadzie, Aleksandrze Fredrze, znalazłam niżej podany urywek; pisany jest ręką mojej ciotki, Zofii Szeptyckiej, wyraźnie jako brulion pod dyktandem ojca, bo zawiera dużo przekreśleń i poprawek. Wydaje mi się ciekawy, więc go ogłaszam. O poniższym zdarzeniu raz jeden w życiu słyszałam, ale było to w tak dalekim dzieciństwie, że żadnych szczegółów nie pamiętam. Wiem jedynie, że raz kiedyś, w mojej obecności była mowa o bitwie pod Hanau i poprzedzającym ją tajemniczym zajściu z mnichem. Dopiero odczytanie rękopisu rozmowę tę mi przypomniało. Czy rzeczywiście przygoda ta mego dziada spotkała, twierdzić na pewno nie mogę. Wiarogodność jej wydaje mi się o tyle niewątpliwą, że dziad mój nigdy tego rodzaju fantastycznych bajek ani sam nie pisywał, ani też nie lubił”.

Komorowski Józef, ur. 1767 r., zm. 1847 r., rotmistrz kawalerii narodowej, kawaler orderu św. Stanisława w r. 1792, kawaler honorowy maltański, szambelan austriacki od r. 1816. – „Okienkowy order” = dany z patentem, w którym było pozostawione miejsce („okienko”) do wpisania nazwiska udekorowanego. – Goldoni Karol, znakomity komediopisarz włoski, ur. 1707 r., zm. 1793 r. – Teodor Potocki, wojewoda bełzki (Fredro mylnie nazywa go ruskim), w r. 1796– 9 marszałek szlachty gub. podolskiej, zmarł w r. 1812. – Rozwadowski Kazimierz, od 3 sierpnia 1809 r. pułkownik 8 pułku ułanów, który w r. 1811 odstąpił Dominikowi ks. Radziwiłłowi. – Kamiński Ignacy, w r. 1794 generał brygady, w r. 1812 dowódca dywizji jazdy, podczas bitwy pod Lipskiem, 19 października 1813 r., dostał się do niewoli. – Dziewanowski Dominik, od 3 grudnia 1806 r. pułkownik 6 pułku ułanów; w r. 1810 generał brygady. – Dembiński Józef, od 27 maja 1808 r. szef szwadronu 6

pułku ułanów. – Komorowski Erazm, pułkownik jazdy wojsk koronnych, w r. 1793 otrzymał dymisję z rangą generał-majora, zmarł 1835 r. – Starzyński (Starzeński) Ignacy Jerzy, od 3 czerwca 1809 r. porucznik 3 pułku jazdy, od 18 stycznia 1813 r. szef szwadronu 11 pułku ułanów. – „Dzieło Sołtyka” – Romana Sołtyka: „Rélations des opérations de l'armée aux ordres du prince Joseph Poniatowski pendant la campagne de 1809” (Paryż, 1841).

„Portrety osób, które znałem, osobiście” – z rękopisu Al. Fredry w archiwum przyłbickim.

Listy Al. Fredry i Germana Hołowińskiego – z rękopisów w archiwum przyłbickim i Bibliotece Kasińskich. – German (Herman) Hołowiński, dziedzic Steblowa w powiecie kaniowskim. – Dzieło Chodynickiego to prawdopodobnie ks. Ignacego Chodynickiego: „Dzieje historyczno-polityczne Europy” (Lwów, 1817– 1820). – Wariant „Pieśni Polaków” druk. pt. „Pieśń nasza” w „Dzieliach” Fredry (Warszawa, 1880), t. XIII.

Wiersz *Pro Memoria* – z autografu Al. Fredry w archiwum przyłbickim; wariant w „Dzieliach” Fredry (Warszawa, 1880), t. XIII. – Prysk = popiół gorący, żar, zarzewie. – „Na najpierwszych scenach pojąłem treść sztuki”, tj. w Komedii Francuskiej. – „Bo swoje bajki z ciągłym wygłaszał zapalem” – prawdopodobnie Franciszek Morawski. – „Klasyk ostrocuty” = Ludwik Osiński (?). – „Gramatyk” = Antoni Małeki (?). – „Minos” = Seweryn Goszczyński (?). – Zakończenie wiersza „Pro memoria” zawiera przypomnienie procesu politycznego, jaki został wytoczony Fredrze w r. 1848, zob. interesującą rozprawę Bronisława Łozińskiego pt. „Sprawa kryminalna Aleksandra hr. Fredry o zdradę stanu”, druk. w „Szkicach z historii Galicji w XIX w.” (Lwów, 1913). – Stadion hr. Franciszek, w r. 1846– 47 gubernator Galicji, w 1848–49 r. austriacki minister spraw wewnętrznych. – Mier hr. Feliks, w r. 1818– 30 poseł austriacki w Brunszwiku i w. Niderlandach zmarł w r. 1857.

SPIS RZECZY

Przedmowa

„Trzy po trzy”

Aneksy

Luźne fragmenty
z pamiętników

„Portrety osób,
które znałem osobiście”

Listy Aleksandra Fredry
i Germana Hołowińskiego

„Pro memoria”

Przypisy

Spis ilustracji